d Słucki · Marek No-
wski · Teresa Socha-
ska · Kazimierz Orłoś
eł Jasienica · Zbigniew
rt · Janusz Sławiński

twórczość

WRZESIEŃ 1961

twórczość

WRZESIEŃ 1961 ROK

9

twórczość

ROK XVII WRZESIEŃ 1961 NR 9 (194)

SPIS TREŚCI

Arnold Słucki
NOC WALPURGI INTRONIZACJA THALASSA IONICA KREDĄ PISANE MARZENIE
str. 5

Marek Nowakowski
POPAPRANIEC
str. 8

Teresa Socha-Lisowska
* * * (WIOSNĄ KWIAT...) RZECZ O USWIADAMIANIU DZIECI JAZDĄ ULICA STROMYCH BALKONÓW WYPOCZYNEK
str. 19

Kazimierz Orłoś
DZIECKO OJCA I MATKI
str. 22

Jan Prokop
* * * (ZOSTAWIMY PO SOBIE...) * * * (STAROŚĆ JEST JAK WINO...)
str. 32

Paweł Jasienica
W WIŚLICY
str. 34

Krystyna Miłobędzka
ANAGLIFY
str. 57

Zbigniew Herbert
O ALBIGENSACH, INKWIZYTORACH I TRUBADURACH
str. 59

Janusz Sławiński
O POEZJI JANA BRZĘKOWSKIEGO
str. 82

Archiwum

Janusz Odrowąż-Pieniążek
Z PARYSKIEGO ARCHIWUM ADOLFA JANUSZKIEWICZA
str. 102

Książka miesiąca

Andrzej Kijowski
ARCYDZIEŁO ZŁEGO SMAKU CZYLI O SZKOLE HEMINGWAYA
str. 111

Wśród książek

PIEŚNI ODMIEŃCA — *Stefan Lichański*
str. 115

„CREDO NAJMNIEJSZE" — *Bogdan Ostromęcki*
str. 118

„TAM, GDZIE SREBRNA PŁYNIE SPREWA" — *Stefan Lichański*
str. 120

KATASTROFIZM NA WESOŁO — *Janusz Maciejewski*
str. 122

MĘDRZEC CZY SOFISTA? — *Stefania Podhorska-Okołów*
str. 126

SPOD PYŁU WIEKÓW — *Janusz Rohoziński*
str. 129

FELIETON I DUCH EPOKI — *Włodzimierz Maciąg*
str. 133

PAMIĘTNIKI DEKABRYSTÓW — *Ksenia Kostenicz*
str. 135

Na widnokręgu

LITERATURA A RISORGIMENTO — *Jarosław Iwaszkiewicz*
str. 141

PRZEGLĄD PRASY — *Andrzej Kijowski*
str. 142

SKARBY MEKSYKU W WARSZAWIE — *Zbigniew Bieńkowski*
str. 144

W RZESZOWSZCZYŹNIE — *Stanisław Czernik*
str. 146

MONACHIJSKIE KŁOPOTY STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO — *Jan Koprowski*
str. 149

PRZEGLĄD ZAGRANICZNY
str. 152

Noty

str. 164

Książki nadesłane

str. 173

REDAKTOR NACZELNY
JAROSŁAW IWASZKIEWICZ

Arnold Słucki

NOC WALPURGI

Jędzo
ze złożonymi skrzydłami,
dalekowidząca ptasia kreaturo,
gwiazdo odjęta od ust,
świeć mi!

Może tu znajdę związane garścią mgły
dwie miotły.
Światu na Sabat,
wiedźmom
na łzy.

INTRONIZACJA

W kołpaku z ognia, w jedwabi zarzewiu,
w Haleviego hiszpańskiej sukni,
w kalwaryjskim przysłowiu —

jakże mi zmieścić tę orgię point,
słyszeć jak Pound rozmawia z Poem
z klatki, jak obłąkany ptak?
Czy jak słoń swój kieł wygrzebać mam z popiołu,
porazić ich bielą,
poszczuć wilcze światła?
Już niebo rydwanami śmiechu grzmi
i rozum postradał Eklezjasta.

THALASSA IONICA

Myślę —
o czym ryby myślą.
Stąd
trzy kilometry w dal i w głąb
nabrzmiewa murena,
słyszę,
jak jełczeje
oliwa w zatopionych amforach,
jak okiem Temistokla wypływa.
Tam Grecja moja,
tam mój Ur
i Biblia i Apokryf,
całun z wody w ikrze gwiazd,
tam porozrzucane sieci,
flota moja,
żagle,
jak białe poczwary.

KREDĄ PISANE

Ince

Zastygną osty powietrza,
trawy przelśnią się w wyrzut widzenia
i wszystko stanie się alfą
czekania,
tak białą,
jak zapis
kredą
w sztambuchu anioła.
Wtedy mnie znowu przywołasz
westchnieniem świecy,
milczeniem,
gwiazdą na lodzie —
i sykiem.

MARZENIE

Kim jesteś,
śnie mój ruchomy,
że aniołem uciekasz z Sodomy
z tobołem siarki bożej na skrzydłach,
kim jesteś? turystą świtu na szczytach Andów,
prorokiem Bantu,
zjadaczem świętości, którego wierni wzięli na widły,
kimże jesteś?

— Krawcem sztandarów z powietrza.

Arnold Słucki

Marek Nowakowski

POPAPRANIEC

Ogarniał mnie coraz silniejszy niepokój, bo te paskudne poty, kropelki potu wzdłuż nosa, na czole, wszędzie, całe ciało lepkie, cuchnący ropny katar, uporczywe zmęczenie, te wieczorne gorączki, bóle głowy — właściwie rozstrajały zupełnie. Zresztą diabli wiedzą, a może to coś poważnego, coś, co rozłoży mnie na długie miesiące, zastrzyki, lekarstwa, wizyty siwych, grubych, jowialnych i innych jeszcze lekarzy. Choć myślę, patrząc rozważniej, to zapewne zwykła, tylko przewlekła grypa. Najgorsze, że nie mogę spać, w ogóle nie mogę patrzeć na łóżko. Spojrzę na to swoje żelazne łóżko, spod koca wystaje różowa kołdra, i wyobrażam już sobie to przewracanie się, skrzypią sprężyny, próbuję na boku, nie wychodzi, próbuję na wznak, też nie wychodzi i wreszcie rezygnuję z tego kolebania się, i nastaje moment najgorszy — leżę z otwartymi oczyma, widzę ciemniejsze od wszystkiego zarysy morelowych gałęzi (nie zamykam u siebie okiennic), patrzę z uporem, gałęzie zlewają się z tłem, niekiedy, jak natężę mocniej wzrok, to nawet lekkie chybotanie tych gałęzi w wietrze dostrzegam, liście szorują o ścianę, tak to szeleści i zgrzyta jak czyjeś kroki suwające niemrawo. I można z gałami wlepionymi w okno tak Bóg wie jak długo...

Więc nie patrzę w kąt, gdzie żelazne łóżko, palę papierosa, i papierosy, niestety, to już nie taka przyjemność jak dawniej, palę dużo jak automat i od tego dymu gorzko, mdło, coś podjeżdża do gardła, aż czasem łzy w kącikach oczu występują, od tych fajek, od wszystkiego w ogóle, myślę, w kałdunie jest wielki smród i ferment, kotłuje się to wszystko rozdrażnione, bulgocące, naciskam brzuch i tak jakbym wyczuwał doskonale. Naprawdę nie wiem co robić, wyczerpałem już wiele przeróżnych możliwości zapełniania czasu, łażę od kuchni do pokoju, z powrotem, w kółko, to niby coś odnoszę do kuchni, na przykład wyrzucam niedopałki, buty biorę, czyszczę, wracam znów, potrafię tak łazić godzinami i nawet kiedyś wymyśliłem cel tego łażenia, śmieszny, na długą metę wystarczający, na długą — znaczy na jakieś dwie godziny, nastawiałem w garnku, tym największym od powideł, wodę do mycia, gdy już się zagotowała, po troszku dolewałem, dwie bańki miałem przygotowane, i to gotowanie dlatego tak długo trwało.

Rodzice siedzą jeszcze przy dużym stole i przygotowują lekcje, ojciec przerabia algebraiczne zadania, na papierze długa kolumna cyfr i znaczków, zadowolony, iks, igrek, mówi półgłosem, spoglądam na niego z ukosa przez uchylo-

ne drzwi, zadowolony porządnie, ma sześćdziesiąt cztery lata, czerstwy, rumiany i zawsze coś musi robić koniecznie, chyba w swoim życiu machnął tysiące, dziesiątki tysięcy równań, zadań, wzorów, robi to po to, tak powiada, żeby nie wyjść z wprawy, kiedyś, trwało to sześć miesięcy, nie miał roboty, wtedy, wydawało mi się, że rozsypie się, zmarniał, wychudł i nagle zobaczyłem, że to starzec, pomarszczony i siwy, sięgał po algebrę czy trygonometrię, pisał te swoje symbole, cyfry, równym, starannym pismem wypisywał i zaraz odkładał, nastawiał radio, słuchał dziennika i zaraz wyłączał. Otrzymał wreszcie robotę, gorszą od poprzedniej, i od razu poweselał, całymi dniami rozwiązywał te równania, zadania, wzory. Patrzę na nich przez uchylone drzwi, matka pisze plan lekcji polskiego. *Placówka* chyba, podwinęła śmiesznie nogi pod siebie, paseczkami zakłada ważniejsze partie w książce, zaraz też pomyślałem, że mogą podnieść głowy znad tych swoich pedagogicznych zajęć i zaczną dopytywać się, co ze mną jest, co jest, powie matka z taką retoryczną afektacją, jeszcze doda na pewno, to straszne, jak tak można żyć, to moje chodzenie, abnegacja jakaś, zszarzała twarz i pot na niej, najwięcej na czole i koło nosa, będą zaniepokojeni, smutne miny, zaczną poszeptywać, już wiem doskonale o czym, nie daj Boże gruźlica, głos matki zdławiony i ostry słyszę. Ostrożnie przymknąłem drzwi i usiadłem w swoim pokoju przy biurku, rozłożyłem papiery, stare tygodniki, przewracam, szeleszczę, układam w równy stosik, bardzo starannie składam, pod warstwami tych papierów znalazłem kamyki, zbiór kamyków w torebce, te kamyki przywiozłem znad morza, dużo przedziwnych w kształtach kolorowych kamyków, jest wśród nich jeden taki, uznałem go za najważniejszy, z odciskami owadów, muszelek, kilkanaście odcisków, sam kamień niełady i niekształtny, ale odciski mają przecież największe znaczenie, bo drugiego takiego kamyka nie mam.

Rodzice położyli się już spać, ojciec zastrzegał jeszcze, bym nie siedział zbyt długo, nienormalny tryb życia, mówił, najlepiej zaraz zgasić światło, dalej chciał wywodzić, ale powiedziałem, że mam kupę roboty pilnej i dobrze płatnej, zamknąłem drzwi. Robota, śmiać mi się chce, od paru tygodni nie mogłem do niczego się zabrać, owszem, próbowałem tego i owego, mam pod ręką na biurku stos papierów przygotowany, ale nic nie mogę, kompletnie nic, łażę tylko jak męda po tych pustych pokojach, cieszę się tylko, że tak mogę łazić spokojnie i nikt do mnie nic nie gada, nie narzeka, starych do drugiej po południu nie ma w domu.

Właśnie poszli spać, nastawili budzik, spokój. Podchodzę do półek z książkami, gładzę grzbiety, przewracam stronice, ale to już wiele razy robiłem, nudna zabawa, układałem książki kolorami, na tej najwyższej półce kolorami, niżej grzbietami, potem zmieniłem zabawę, układałem na wszystkich półkach stosami, to ładniej wygląda, tak niedbale i jakby książek zrobiło się więcej. Możliwie wyglądają książki w kupkach, na każdej półce po pięć kupek. Możliwie, całkiem możliwie, pustym wzrokiem spoglądam wokół, do znudzenia znajome kąty, parszywie tak ciągle siedzieć w tym złotawo malowanym pokoju, złoty kolor, pamiętam, jak przyszli malarze, matka o złoty kolor prosiła, starego złota, bardzo lubi ten kolor, no i wymalowali, ale to wcale nie jest podobne do starego złota. Lusterko oparte o popielniczkę, światło lampki pobłyskuje na szkle. Przysuwam krzesło bliżej lusterka, o tak, i szczegółowo, bardzo szczegółowo oglądam twarz, po kolei, zaczynając od gardła i brody.

Lusterkiem bawię się często, badam pysk, miny robię rozmaite, najdłużej zatrzymuję się na oglądaniu zębów, bezsilna kontrola uzębienia, tak to nazywam, szczerzę zęby, zadzieram wargi i widzę świetnie te wszystkie kawałki, szpice, strzępy zębów, na przedzie poczerniała dziura, brak dwóch, przesuwam językiem po tych dziurach, jamach, kłujących kawałeczkach, język ześlizguje się, sunie po miękkim, ciepłym mięsie porastającym miejsca po zębach, niektóre dziury rozległe, włazi tam cały język, obmacuję, paskudne wrażenie, cała masa tych dziur w gębie, mój kiepski nastrój potęguje się, no i oczywiście natychmiast strach przed dentystą, boję się tych biało lakierowanych z metalowymi przyrządami gabinetów, boję się panicznie, złapie mnie potężny ból zęba, często to się zdarza, rwie, puchnie, łupie jak młot we łbie, klnę, wyję, biegam oszalały, dzień, dwa, ciągle liczę, że ustanie, musi przecież ustać w końcu, wreszcie jęcząc gnam do rejonowego dentysty. Przed drzwiami nogi już mam miękkie, z wysiłkiem przymykając oczy pakuję się do środka i skowyczę błagalnie, tylko, tylko ostrożnie.

Spojrzenie mam jak zając, skowyczę bez ustanku, jeśli rwacz zębów kobita, to pół biedy, współczuje, ale raz taki rwacz, mężczyzna włochaty na łapach, śmiał się ze mnie do rozpuku. No i te zęby już do niczego, a rok temu jeszcze całkiem możliwe, choć właściwie od dawna wymagały generalnego remontu. O, widzisz, mówi zawsze matka, pokazuje swoje zęby, rzeczywiście białe, ładne, jest to druzgoczący dowód, że dbała, uważała itd. Ta zabawa z lusterkiem bardzo stara, od szkolnych czasów jeszcze, ustawiam lusterko na popielniczce albo, jeśli nie ma starych, w środkowym pokoju na cukiernicy i obmacuję szamot, szamot to pysk, tak mówią chłopaki ze stacji, delikatnie muskam palcami, badam wszystkie wypukłości, wyciskam wągry na nosie, tam cała kupa wągrów, robota pochłaniająca bez reszty, tak wyciskać to żółte z czarnymi punkcikami świństwo, i właśnie dlatego, że tak pochłania bez reszty, to dobra zabawa. Teraz tylko zabawa, bo za szkolnych czasów był z tego cały dramat, wywalały mi się wtedy krochy na policzki, brodę i nos, lawina tych kroch, najhaniebniej na nosie, co wieczór widziałem w lustrze róg na nosie, czerwony wpierw, potem pęczniejący biało, wyczekiwałem z udręką na moment wyciśnięcia, mściwego, dokładnego, z sykiem bólu wyciśnięcia. Cholernie czekałem. Dziś już nie tak, wągry nic takiego, z krochami koniec, od wielu lat nie ma już tych rogów upokarzających na nosie. Ale tamten haniebny czas nosa z rogiem jednak lepszy. Pamiętam piekliło to mnie mocno, gęba błyszcząca w słońcu, poznaczona cętkami kroch, i ten nos — odsuwałem cukiernicę, lusterko opadało z hukiem, jeszcze jedno krótkie spojrzenie, twarz od dołu widziana też parszywa z tym całym świństwem porozsiewanym na brodzie, policzkach, wszędzie. Wyskakiwałem z mieszkania, spłoszony, niepewny, gnałem co sił na stację, tam na stacji to wszystko haniebne, upokarzające ustępowało przecież, spotykałem swoich nowych znajomych, dla których czułem wielki podziw, węglarze, furmani, silne chłopy z tatuażami, pili wódkę z butelki, bili się często i żaden nigdy nie ustąpił, chyba że upadł i zdolny był już tylko do tego, by zasłonić twarz przed kopniakami. Stawałem nieśmiało przy nich, mówiłem „czołem" i już mi lepiej. Swoją drogą śmieszny był ze mnie gawniaczek. Albo te kamienie, ten zbiór kamieni znad morza, wśród nich ten najważniejszy z odciskami muszelek i jeszcze czegoś, to też dobre było, morze przybijało pod sam dom, taki głuchy szum, łoskot, fajni rybacy, łaziłem brzegiem do późna, pusty brzeg, tam tylko

kilka chałup i prawie wcale letników, morze ciągle waliło głucho, zasnąć nie można, ale dobrze. Wsunąłem te kamienie pod papiery, lustro też schowałem i zacząłem rysować na podaniowym papierze zarośnięte gęby w kapeluszach, cyklistówkach, kropki na szczękach to zarost, takie schematyczne gęby, parę kresek i już, od lat rysuję te gęby, włosy na jeża albo bardzo długie na kark, koszulki pasiaste niżej, piersi jak puklerze, kłaki znad koszulki wyłażą, tak sobie rysuję dla zabawy, co rano palę te kartki w piecu. Rodzice śpią, oni zasypiają twardo, zmęczeni, przed siódmą dudni budzik, wstają w pośpiechu, wypijają kawę i pędzą do szkoły, matka wychodzi nieco później, więc przed wyjściem zagląda do mojego pokoju i na biurku zostawia pięć złotych. Wieczór parszywy jak wszystkie, w tym niby moim pokoju nieprzytulnie, obco, biurko błyszczy tandetnie i przez to jeszcze gorzej, zawaliłem ten blask biurka kupą papierów, teczek, popielniczek, ale i tak jest parszywie, wczoraj nawet szorowałem kamieniami znad morza fornir, myślałem mściwie, porysuję, zniszczę, będzie spokój, ale gdzie tam, mocne to jest błyszczenie i przy skupionym świetle nocnej lampki odbicie twarzy widać nawet dość wyraźnie. Na górze jeszcze jakieś człapanie, to gospodyni, właścicielka domku, w którym mieszkamy, teraz chrobot leciutki i skowyt, to ten głupi kundel Bystry, nad moim pokojem jej kuchnia, w tej kuchni ona siedzi i czyta na pewno, ona tak czyta przez cały dzień, przeważnie w kółko, chyba już czwarty raz tę książkę Grzymały-Siedleckiego *Świat aktorski moich czasów*, Grzymała to cała jej młodość, najpiękniejszy okres w jej życiu, była wtedy sekretarką u Gebethnera i Wolffa, zawsze, gdy spotka mnie na schodach, powiada, pisarze, och, jacy to ludzie kulturalni, subtelni, a przecież wiesz, że pracując stykałam się z nimi ciągle, och, wzdycha, na przykład przyjechał pan Przybyszewski, tak, przyjechał z Krakowa po zaliczkę, ale nie było jeszcze przygotowanej zaliczki, więc chciał ode mnie parę rubli, oczy jej błyszczą, artyści, mamrocze, pędzi na górę, pochyla się nad tą etażerką w stołowym, grzebie, przebiera książki, szuka Przybyszewskiego, znalazła, nakłada okulary w drucianej oprawie, zaczyna czytać z zapałem... Śmieszna ona przy tym czytaniu, wypieczona albo trochę jakby kamienna twarz, włosy wieczorem rozpuszcza, kilka takich strąków wokół twarzy, pamięć ma kiepską, z tego, co czyta, chyba nic nie pamięta, ten głupi kundel Bystry poszczekuje cienko, ona drgnie gwałtownie, stronice przewrócą się do tyłu, i znów czyta to, co przed chwilą, na pewno nic nie pamięta z tego czytania. Dziś rano przychodziła do mnie trzy razy z tą samą fotografią, którą trzymała w palcach jak opłatek, relikwię, Gebethner i Wolff, gabinet szefów przed pierwszą wojną, Gebethner i Wolff stoją, na pierwszym planie siedzi Prus, Prus na tym zdjęciu jak mumia, wystające kości policzkowe, włosy białe i sterczące, dłonie złożone na kolanach, stare, żylaste, o smukłym rysunku palce wczepione mocno w kolana. A tam, objaśnia gospodyni ze szczęśliwym uśmiechem, jestem ja, w uchylonych drzwiach zamazany, nikły kształt, jak cień, to niby ona. Z tego jej zapominania zysk, chciałem mieć *Sobola i pannę*, dawno polowałem na tę książkę, pożyczyłem, i ona, ta stara, natychmiast zapomniała, więc mam u siebie na górnej półce *Sobola i pannę*.

Bystry znów rozszczekał się przenikliwie, pazurami drapie podłogę, musi być głodny, ona pewnie zapomniała go nakarmić. Jest już koło dwunastej, tak obliczam, bo przeszło godzinę już siedzę, a moi starzy kładą się przed jedenastą, teraz właśnie czuję się najlepiej, mniej kaszlę, katar mniejszy, całkiem nieźle.

Z tą moją chorobą, właściwie nie chorobą, tylko takim ni to ni owo stanem — duży kłopot. Przecież żadna poważna chyba sprawa, tylko takie pokwękiwanie, a jak jest poważna choroba, to już wiadomo jak się urządzić, wszystko do tej choroby dostosować i w porządku. Więc bardzo narzekam na to wredne pocenie się, katar, gorączkę, kaszel. O, jak ten Bystry rozszczekał się, chyba potężnie głodny, ile odmian szczekania, pisk, charkot, coś jak bas, skomlenie, szeroka skala. Ta moja gospodyni nie była brzydka, ma taką fotografię, możliwa całkiem, wodziła palcem po twarzy na tej fotografii, śmieszna stara panna, przy tym wodzeniu mówiła, widzisz, Maruniu, zawsze taki stary babsztyl nie byłam, taka wiekowa zalotna pannica, ale podobno nie była to taka stara panna zamknięta na kłódkę, ten gospodarz kamieniczki po sąsiedzku i ona parę lat ze sobą, rozbiła małżeństwo tamtego faceta, jego żona poczęła, jak mówi moja matka, gasnąć w oczach i umarła, ale raczej ze starości, przede wszystkim, grubo od niego starsza była, w ogóle to i ten facet z sąsiedztwa już dawno wykitował, tylko moja gospodyni dalej sobie żyje, dosięga do osiemdziesiątki i czyta w kółko *Świat aktorski moich czasów*. Postanawiam sobie, że rano, jak nie będę miał nic lepszego do roboty, pójdę do niej na górę, tam na górze brudne, z zaciekami mieszkanie, jakiś trupi, zatęchły smrodek, zakurzone książki na etażerce, w ogóle wszystko w tym mieszkaniu pokryte grubą warstwą kurzu, ale najważniejsza ta etażerka, chciałbym jeszcze zdobyć coś Ossendowskiego, nie będzie to jednak proste, gospodyni przy książkach uważa na ręce, śledzi każdy ruch ręki, choć może zagadam ją o te czasy Gebethnera i Wolffa i wtedy coś z tego wyjdzie, bo ona zawsze jak mowa o Gebethnerze i Wolffie oczy przymyka. Najśmieszniej kiedy pukam tam do niej, a ona jeszcze nie uczesana, takie rzadkie kosmyki włosów, twarz ma od snu trupią, żółte policzki, zastygła jakaś, martwa, szybko jednak ustępuje ta martwota, ona wyciąga z szuflady listy, ma dużo listów od pisarzy tamtych czasów, musiała trząść tą firmą u Gebethnera, bo pisali do niej o zaliczki, pozdrawiali uprzejmie ze staroświecką galanterią, a to rączki całuję, a to tęsknię za modrymi oczętami, te zaliczki wtedy w rublach. Szczerze mówiąc z tego pocenia się, kataru, całego tego chorowania, jest we mnie nie tylko strach, ale i zadowolenie. No, bo będę chodził do lekarzy, na różne analizy, morfologie, OB, cała masa tych załatwianek. Trzeba rano wstawać, szykować się spiesznie, nawet nie można zapalić pierwszego papierosa, trzeba lecieć do ubezpieczalni po numerek, dopiero jak dostanę numerek, już pod drzwiami lekarskiego gabinetu zapalę papierosa. Wczoraj tak właśnie pod drzwiami, zadowolony, bo trzeci numerek miałem, zapaliłem pierwszego papierosa, dym przyjemny, nie tak jak na czczo w łóżku jeszcze. Przed białymi drzwiami gabinetu oprócz mnie dwóch ludzi, garbus i barczysty staruch o rumianych policzkach. Staruch gadatliwy, garbus zły i zjeżony. Staruch postukiwał laską, koniecznie chciał gawędzić, garbus zbywał go pomrukami. Młodyś ty, brachu, mówił rubaszny staruch, a ja na dogorywku, posmutniał, westchnął, ale w waszym wieku, patrzył na mnie, nie wiedziałem, co to lekarz i choroba. Garbus łypał ślepiami i milczał zawzięcie, więc staruch chwycił mnie za rękaw, i to swoje brachu, dobroduszny uśmiech, śmiejąc się dmuchał w te zrudziałe wąsy, rozpoczął gadkę. Okazało się wkrótce, że mieszkamy na jednej ulicy, sąsiedzi, dudnił staruch, on zajmuje się szewstwem, zapraszał, mówił, że tanio i dobrze. Następnie zajął się wspomnieniami, gaduła przedni z niego, szybko, bełkotliwie wyrzucał słowa, nie bardzo słuchałem, coś o lasach,

posłyszałem, lasy zniszczone, przejeżdżał przez rodzinne strony pociągiem, tamuj kiedyś wielkie lasy, te jego rodzinne strony, wyjaśnił, to białostockie, polował w młodości, po boku, nielegalnie. Razu pewnego, zaczął odetchnąwszy głęboko, śmieszny zwrot, takie baju, baju, wykopał dół na sarny, właściwie chodziło mu o sarnie kozły, bo taki jeden hrabia chciał kozły do zwierzyńca, więc ten dół przykrył darniną, a było to na ścieżce, którą sarny chodziły, taki ich szlak, przyczaił się i czekał wiele godzin, patrzy, stado zmierza prosto do pułapki, zerwał się, krzyczał, dwadzieścia sztuk, zakończył, wpadło. Chyba zmyślał albo zapomniał, niemożliwe, żeby dwadzieścia na raz wpadło, garbus też wykrzywił się niedowierzająco.

Drzwi otworzyły się. Ja mam pierwszy numerek, powiedział garbus, na jego twarzy ulga, szybko podbiegł do drzwi. Ho, ho, zamruczał staruch. W takich poczekalniach przed biało lakierowanymi drzwiami zacznę wysiadywać, myślę też, że jestem zdrów, ale zacznę robić dokładne badania płuc, nerek, zatok, zębów, to bardzo dużo będzie wysiadywania, różne ramole, wstrętne dziady wpychające się bez numerków, baby plotkary, kupa tego. Ta lekarz wczorajsza, przyjemna, nogi z czarnymi włoskami widocznymi aż do kolan, dużo tych lekko poskręcanych włosków, silne dłonie z krótko obciętymi paznokciami, wyżej dłoni piegi, czyste, silne ręce, ci lekarze zawsze tak czysto wyglądają, kobiety lekarze najlepiej, i jeszcze jak mają włoski poskręcane na nogach, takie samice silne i władcze, rozbieram się, jestem chudy porządnie, z żebrami jak pręty, mam na barku śmieszny tatuaż z poprawczaka, ona, lekarz, przyciska słuchawkę do moich pleców, zimna, błyszcząca słuchawka, słucha pilnie, ja czuję się jak pies, niepewnie mamroczę na jej pytania, czerwony po uszy, zerkam ukradkiem na jej nogi, młoda lekarz, łydki dość grube, dużo lekko poskręcanych włosków, badała mnie uważnie, mówię dziękuję, bardzo dziękuję. Wychodzę i z rozkoszą zapalam papierosa.

Zimno w moim pokoju, ciągnie od podłogi, po kątach chłód, bo dwie ściany zewnętrzne, i pewno tutaj łapie mnie ten uporczywy, miesiącami trzymający katar. Okrywam się kocem, machinalnie przerzucam *Dzielnego wojaka Szwejka*, tę książkę mam zawsze w pogotowiu na biurku, przeważnie sięgam do tego tomu, gdzie kadet Biegler obżarł się ptysiami i dostał sraczki, tego całego *Szwejka* znam już do znudzenia, na wyrywki, i ciągle pustymi wieczorami czytam te ględziarskie przygody, czytam w kółko jak gospodyni Grzymałę-Siedleckiego.

Może z rana wpadnie do mnie Arek. Ostatnio przez trzy dni co rano graliśmy w szpaki, taka zabawna gra w karty i z Arkiem przyjemnie grać, bo on z kartami obchodzi się poważnie. Arek twarz ma nalaną, taką blado opuchłą i posiwiał już nieco. Z nim przyjemnie grać w szpaki, opowiada bez przerwy o swoich przeróżnych sprawach z kobitami. Ma tych spraw całą kupę, pokazuje fotografie bab, takie stare, brzydkie, ani jednej ładnej nie widziałem. Pokazuje rozdygotaną ręką, tu, mówi, interes, ona ma spadek w Ameryce, parę tysięcy dolarów, i leci na mnie. Po tygodniu przychodzi do mnie zgaszony, smutny, z tą babą i ze spadkiem nic nie wyszło, bąka ze wstydem. I tak w kółko, nowa baba, nowy interes, następna zniszczona, brzydka twarz na fotografii. Te jego babsko-finansowe gadki drażniące już i nudne, ale niech wpadnie jutro z rana. Niech gada byle co. Niech opowiada, najlepiej opowiada o tej swojej żonie chamicy. Chamica z Lubelskiego, widziałem, okropna, szeroka, płaska jak

decha, czoło niskie, całe w takich grubych, baranich fałdach. On opowiadał tak, zrobiłem interes, zadurzyła się we mnie, sprzedam te jej morgi i będzie zabawa. Pojechał tam na wiochę i po miesiącu wrócił, wygnali, ledwie kupiła mu skórzaną kurtkę i wypasł się trochę, karmili go nieźle, mięcho, bo akurat świnię zabili, i śmietany dużo. O tej skórzanej kurtce mówił z takim zachwytem, jakby rzeczywiście zrobił interes. Więc uwodzi Arek te pokraczne, brzydkie baby, uwodzi ze sztywniacką swadą, one zachwycone, wdzięczą się i popiskują, on prawi im bez przerwy komplementy, wyszukanym, też sztywniackim językiem, albowiem, li tylko, twa szlachetność oszałamia mię, do mnie też kiedyś przysłał taki list sztywniacki, jakby sprzed czterdziestu lat co najmniej, ten list chyba mam. W szufladzie. Choroba, taka kupa rupieci. Jest. Śmieszny list i jakie pismo staranne, kaligraficzne, z zawijasami. Najgorsze, że Arek fotografie swoich szpetot pokazuje chętnie, dumnie pokazuje i mówi, patrz, jaką dedykcję mi napisała, nie mówi inaczej tylko dedykcja, cha, cha, śmieję mu się w twarz, a on nie wie, o co chodzi, minę robi głupią, powtarza niepewnie, fajna dedykcja, co, cha, cha. Ten Arek ma przy tym wygląd zagonionego zwierzęcia, tak coraz mówi, przepraszam, wybacz, przegrywał w szpaki, spocił się, rozpiął koszulę, dedykcja, ja parskam coraz mocniej, on zaniepokojony, pokorny, dopytuje, powiedz, co, może coś źle powiedziałem. Cha, cha, śmieję się z tej hecy, którą widziałem u niego niedawno. Siedzieliśmy w pokoju, babcia w kuchni, malutka, głucha, dziewięćdziesiątkę przeszła, z kuchni dochodził chlupot wody, głos babci, woła, rzekł Arek, wrócił za chwilę i mówi, poczekaj, babunia już umyła nogi i muszę jej poobcinać pazurki. Zaciekawiony poszedłem za nim, w kuchni drzwi uchylone, widziałem. Położyła babcia nogi na krześle, takie grube, workowate nogi z czarnymi żyłami, Arek kucnął, trzaskały nożyce, babcia mruczała z zadowolenia, skończyłem, huknął jej w ucho Arek.

W ogóle ostatnio jak tak siedzę kamieniem w domu, chyba już miesiąc, to mam konszachty ze staruszkami. Chociażby ta moja gospodyni, co kilka razy dziennie pokazuje mi tę samą fotografię, najlepszy był z nią numer, jak ten jej sublokator, Korwin Piotrowski, beznogi dziedzic po bürgerze, dostał pierwszego ataku nerek, ona nie lubi go, życie, powiada, prowadził szpetne, ten Korwin jęczał cienko, gryzł wargi, skręcał się w szczelny, ciasny kłębek, kopał w ścianę, widziałem nagi kikut jego prawej nogi, taki słupek nieduży, zakończony czerwonym strzępiastym ciałem, ojciec pobiegł dzwonić po pogotowie, wyszedłem na schody, bo trudno było patrzeć na Korwina, wyszła też gospodyni, z łóżka wstała chyba, te siwe, właściwie nie siwe, szare, rozpuszczone włosy, twarz prosto ze snu, jakby nie stąd albo jak odlew jakiś z wosku, żółto błyszczący, chwyciła mnie za rękę i mówi, męczy się, co, nagle śmieje się, śmiech taki jak u dziecka, szeroki, szczęśliwy, prosto ze snu, oczy pobłyskiwały przekornie, ma stary łajdak za swoje życie, klepnęła się po udach, prawda, Maruniu...

Tak, ze starowinami mam ciągłe konszachty, chodzę też do ciotki mego szkolnego kolegi. Najmłodsza z tych moich staruch, dobiega siedemdziesiątki, z sępim, indiańskim nosem i wiecznie papieros w ustach, ślini tego papierosa do połowy prawie, z nią rozmawiam przeważnie o książkach, dużo czyta, niekiedy spoglądam na fotografię w ramkach złotych, młoda, pulchna dziewoja, ona widzi mój wzrok, zaciąga się chciwie dymem i nic nie mówi, wiadomo prze-

cież, że dziewoja z fotografii to właśnie ona. Dyskutujemy o Blasco Ibanezie i Stefanie Zweigu, ich książki ona uwielbia, w mieszkaniu smród kotów, ona ma trzy syjamskie koty. Z kotami perypetie, do kotki Blanki, pokazuje spasioną jak gąsienica kocicę, sprowadziłam samca, chichocze, pan sobie nie wyobraża, co się działo, on bez przerwy z tą Blanką, jak maszynka, a później po trzech dniach on już fukał na nią, nie dał się zbliżyć, drapał, chichocze, zapala następnego papierosa i opowiada o Tomaszu, moim przyjacielu z powszechniaka, więc po co taką żonę sobie brał, pan się ze mną zgodzi, cóż za sens, prostaczka przecież, no, cóż, rosła, pociągająca, ale żenić się od razu, dym puszcza kłębami, oczy mruży zagadkowo, z tym sępim nochalem jak wiedźma wygląda, ona bardzo lubi takie samcze, kocio-babskie sprawy, a choćby mój mąż nieboszczyk, też witalista, zaznacza znaczącym parsknięciem, z dziewkami od krów, jedna taka dójka zadurzyła się w nim, chlipała, wzdychała, mąż przystojny był mężczyzna, śmieliśmy się z mężem i trzeba było ją odprawić, i ten chichot jej, gęsty, intensywny, w mieszkaniu mrok, ona szura kapciami, parzy herbatę. Myślę sobie, taki stary grat, wyschnięty, skóra pergaminowa, martwa, dłonie z brunatnymi cętkami i tyle tego lubieżnego, stłumionego chichotu. I odwiedzam ją często, myślę też, wypić wino, wziąć drugie wino, iść, ona oczy ma żywe, uważne, i ta fotografia nad łóżkiem, pulchna, ponętna dziewoja. Ale to tylko takie rozważanie przy biurku w tych długich, wieczornych godzinach i bałbym się przecież. Lubię te staruchy, one są zabawne, opuchłe albo jak wiór, żółte, pokarbowane zmarszczkami, mają rzadkie, szare włosy, gospodyni te swoje włosy zwija w kok, śmieszne, kok jak supełek, Arka babka znów w cienki sznureczek i z tego robi koronę, i ta ciotka Tomasza, ta najmłodsza ze staruch, nochal ostry, wielki, włosy ściąga gładko do tyłu, ględzą, sztuczne szczęki klekoczą, opowiadają, przypominają. Moja gospodyni, gdy zaczyna te swoje mowy, wspominania, staje zawsze na progu i mówi, ja tylko na chwilę, i w ogóle nie chcę cię uwodzić, proszę, mówię, proszę, więc ona, pyta mnie Prus, panno Geniu, dlaczego panna za mąż nie wychodzisz, ona chichocze, nikt mnie nie chciał, na drugi dzień Prus przynosi laleczkę Murzynka, mąż dla pani, Or-Ot był przy tym, co też panna opowiadasz, nikt jej nie chce, wszyscy chcieliby, a Józio Rapacki... Gospodyni urywa, każe mi czekać i szybko drepcze na górę, coś zobaczysz, mówi ze schodów, przynosi list od Rapackiego. Pokazuje tylko początek, zaczyna się ten list, o pani, cały tekst zakrywa szczelnie dłonią, pokazuje jeszcze zakończenie, pozostaję w bolesnym oczekiwaniu. Widzisz, powiada, pokasłuje, chrząka skromniutko, jest bardzo zadowolona.

Tak, ze staruchami zabawa. Takie pomarszczone woreczki, papierowa skóra, wątrobiane plamy na dłoniach, pliki wyblakłych listów, owiązanych wstążeczkami lila, te listy pisane kaligraficznym maczkiem, staruchy pokazują chętnie swoje fotografie z młodości, ładne, rosłe dziewoje z grubymi warkoczami, zapominają zaraz, i od nowa pokazują listy, fotografie, uśmiechają się wstydliwie, oczy dziecinne, zamglone, brązowymi palcami wodzą po listach, muskają fotografie.

W pokoju rodziców człapanie, kaszel. Charakterystyczne, powłóczące kroki ojca. Poderwałem się od biurka, rozrzuciłem pościel na łóżku. Ojciec może zajrzeć, zacznie narzekać, oni nie lubią tego nocnego przesiadywania, bardzo nie lubią. Człapanie ustało. Pisk sprężyn. Położył się. Nie przyjdzie. Jakie do

mnie mają te staruchy zaufanie, nie tylko w sprawach listów i fotografii, ta ciotka Tomasza na przykład, mówi, mam rozstrój, panie Marku, stare kiszki, prze i prze boleśnie i nic z tego, nie idzie, uśmiecha się poufnie, współczuję jej, dość obrzydliwe, prawda.

Mam też w tych dniach, kiedy nie wyjeżdżam nigdzie, inną stałą metę. Odwiedzam znajomego inżynierka, geodeta zdaje się, jego żona, krzykliwa, nudna blondyna, to lekarz. Matka inżynierka ma pralnię i postawiła młodym willę, taką z werandą, piętrową, parkan żelazny, wysoki, w tej willi cztery pokoje pełne brzydkich, błyszczących wysokim połyskiem mebli. Jest też telewizor Orion, siadam za okrągłym stołem, mahoń zapewne, powiedziałem pierwszym razem przymilnie, oni siadają w miękkich fotelach, i patrzymy w ekran. Nuda tam u nich, te meble okropne, obraziki cukierkowe na ścianach, dywan bordowy nad kanapą, dywan na podłodze, pianino z czterema kryształowymi wazonami, ale najgorszy ten ich sypialny pokój, małżeńska sypialnia, wprowadzono mnie tam z dumą, a więc tapczanisko jak obora, niska toaleta z mnóstwem porcelanowych posążków, ptaszków, słoników, Murzynków, jest też łoś mosiężny, na podłodze dywan, nad tapczanem makata ręcznie haftowana, myśliwy w tyrolskim kapelusiku, dziewica i słońce, misterna robota, powiedział inżynierek, ładna robota, co, nad tym tapczanem oborą ich ślubna fotografia, ona utrefiona w mnóstwo drobnych kiełbasek, jego twarz pusta, napięta w jakimś niby-uśmiechu. Inżynierek zabawny, domowy szczur, bonżurka z łatami na łokciach, w domu chodzi tylko w bonżurce, swobodniej, objaśnia, pobłyskują mu metalowe ząbki, srebrne i złote, patrzy na nią ulegle, zależy mu na niej jasnowłosej, oczy też jasne, krzykliwej z kredkowanymi brwiami i drgającymi, szczelnie opiętymi pośladkami. Gdy ona wychodzi do kuchni zaparzyć kawę, inżynierek szepcze mi pośpiesznie, wiesz, byłem w Kamerze na trunkowaniu, poznałem przyjemną laleczkę i... urywa spłoszony, wchodzi ona, ta blondynka lekarz, znów w milczeniu patrzymy w ekran. Inżynierek, tak, geodeta, przykulony, wyblakły, dawniej piłem z nim kilka razy wódkę, bardzo lubił dziwki i wódkę, mawiał przy piciu z gorzką miną, cóż nam zostało, ludziom straconym, na dziewczyny chart był z niego, żadnej nie przepuścił, a najgorzej było przy płaceniu rachunków, chował pieniądze do małej kieszonki w spodniach i robił minę ockniętego, cholera, całą forsę zostawiłem w domu, wtedy często chwytano go za klapy, więc odwracał się, długo gmerał w kieszonce i wyciągał odpowiedni banknot. Siedzę więc u inżynierostwa godzinę, dwie, pożyczam jakiś kryminał, bo do licha chcę się oderwać od tego *Szwejka*, i wychodzę.

Willa piętrowa, czerwona, bez tynku jeszcze (inżynierek narzeka, że brak forsy), na drzwiach tabliczki, zgadza się, on jest geodeta, ona lekarz dentysta. Oni lubią mnie. Bo ja umiem żyć z ludźmi, mam swój sposób, każdemu przytaknę, miny robię specjalne, niby takie, że pochłaniam z ciekawością słowa rozmówcy, ale najważniejsze to przytakiwanie, z dentystką rozmawiałem o jakiejś książce Faulknera, nudna, uznała, rozwlekła, głosik przy tym koneserski, lekko nosowy, zgodziłem się skwapliwie. Dawniej to bym im mowę założył, taką z pasją i złośliwością, w ich oczach oszołomienie, on czy nie on, a ja dalej waliłbym. Ale teraz nie mogę, głupio bym się czuł, no, bo jak to, napiłem się neski, ciasteczka, likierek też się zdarza, i nagle taka wredność. Więc zgadzam się, potakuję. Nawet do Arka ani pary z ust nie popuszczę. Jednak z nim co innego, posiwiały i te psie, głupie błyski w oczach, więc po co mówić mu co-

kolwiek, spociłby się i te psie, poddańcze błyski w oczach, od ostatniej, tej długiej, odsiadki taki właśnie jest Arek, zmarniały.

Dużo w ogóle sobie ułatwiam takim z cicha pęk, mądrym przytakiwaniem. Wyskoczę na stację, tamci wszyscy moi znajomkowie, studniarze, szoferaki, chłopaki, co jeżdżą z węglem, to całe ministerstwo pogody i słońca (ci, co w ogóle nic nie robią), Kizior, Felek, Biały, cała rakieta chłopaków przy barierce, składają się na wino, wódkę, stałe gadki, niezmienne jak katarynka, a to ostatnia zabawa w straży pożarnej, a to ciężka popijawa w Warszawiance, te dziewczyny z budek fajne, jakaś Maryśka, Staśka, to i śmo. I tu mój sposób niezawodny, zataczam się od śmiechu, jak oni, dopytuję, jak oni, na wszystko się zgadzam, to, że tamten komendant posterunku glinów lepszy, najlepszy właściwie, niby groźny, klął, ale chłopaków trzymał najwyżej osiem godzin, a ten nowy najmniej dwadzieścia cztery, na wsio się zgadzam... Tylko długo tak nie mogę, godzinę, no do dwóch najwyżej i zwiewam. Najdłużej mogę wytrzymać i jest mi najlepiej z moimi staruchami, a też u inżynierka i blond dentystki. Hm, gdyby tak chłopcy ze stacji znali to wszystko, to powiedzieliby, że jestem frajer i chwiej, tak, na pewno.

Siedzę przy biurku, międlę te kartki ułożone stosikami, przerzucam książki na półce, układam grzbietami, kolorami, kupkami, łażę po tych pustych pokojach, takie spacerki odstawiam, matka przy tej okazji namawia mnie do froterowania, pewnie, ma rację, odwiedzam te baby wiekowe, po prostu chwiej, wyskoczę na stację, witam się z chłopakami, udaję równiaka, mówią, postaw porter, stawiam, sam ledwie usta umoczę, bo uważam, że porter tylko smak niepotrzebny do gorzałki daje, a znów gorzały boję się pić, bo upijam się ostatnio szpetnie, ględzę, robię się mędowaty, zamęczam wszystkich, ciągle, jakby retorycznie, dopytuję się, kto ja jestem, kto, do znudzenia tak, a jak wytrzeźwieję, narzekam boleściwie, po co piłem, nadkwasota dokucza, myślę, trzeba klina wybić, dochodzę do Warszawianki, zatrzymuję się pod drzwiami, myślę, po co, jedna wódka to smak na następne, znów będę ględził, nudził, więc zawracam od Warszawianki. Bezwarunkowo chwiej, z tą wódką naprawdę mam kłopoty, jeszcze na ulicy trzymam się jako tako, ale w domu już zupełnie tracę formę, złość mnie ogarnia, krzyczę na starych, klnę, oni przerażeni, ryczę, co wy rozumieta, burasy jesteśta i tyle, zgrzytam zębami, wyzywam od osłów, robotów, wreszcie walę się na łóżko zmęczony, prawie już trzeźwy, w gębie ohyda, gorzko, z trudem zasypiam, i przychodzi podły ranek, wstaję rozklekotany, napięty, boję się o swój żołądek, boję się o swoje płuca, mam wrażenie, że za chwilę stanie się ze mną coś złego. Albo, przeważnie rankiem po tym piciu, mówię, skończę z tymi bzdurami, histerią, z tą jałowizną, z tym włóczeniem się po pustych pokojach, z tymi staruchami woskowymi, do roboty pójdę, mam przecież rozmaitych znajomych, oni po koleżeńsku wynajdą coś dla mnie, więc postanowione, idę do znajomych, co pracują w biurach, już, już mam załatwić, i wahanie nagłe, myślę, trzeba wpierw rozważyć, a nie tak na chybcika, zawracam. Czy nie chwiej jestem? Są też takie ranki, kiedy uważam, że w życiu trzeba iść na całego, na ura, ryzykować, łba nadstawiać, więc koniec z tą strachliwą papraniną i mazią. Tak rozmyślam, smętne to są rozmyślania, palę łapczywie papierosa, a potem idę do kuchni, czas na obiad, gotuję ziemniaki, umiem już robić zupę ziemniaczaną z zacierkami, do tego trochę smaku pomidorowego, kostka maggi, gotują się ziemniaki, bulgocze woda,

łażę po pustych pokojach, zupa już gotowa, wracają ze szkoły rodzice, patrzą na mnie z wyrzutem, zamykam drzwi i siadam przy biurku.

Ha, ha, ha, śmieję się z tych swoich wielkich postanowień i z tego gotowania zupki na maszynce. Choć śmiech śmiechem, ale są to przykre jednak sprawy. Z sentymentem wspominam stare czasy, kiedy był ze mnie łapczywy życia małolatek, taki psiak niezmęczony, biegałem po ulicach naszego miasta, wstępowałem do knajp, umiałem poznawać dziewczyny, niezłe dziewczyny, i nawet dużo forsy nie potrzebowałem wydawać, po prostu lubiłem tę zabawę w zaloty, a dziewczyny chętnie te moje zaloty przyjmowały. Teraz to i z dziewczynami nie wychodzi mi za dobrze. Źle. I tylko wspominam dziewczyny z tamtych czasów, taka Hanka, ekspedientka z WSS przy Żelaznej, albo Baśka, fajne, miłe dziewczyny. Hanka miała wielkie jak buły piersi, szerokie usta i wszyscy, którzy widzieli nas, mówili, ona to jest za tobą, tak, tak. Tę Hankę spotkałem nawet przed paroma dniami pod kinem. Poznała mnie od razu. Dobrze wyglądała. Uśmiechała się do mnie, rozchylała te swoje grube, wilgotne usta. A ja, baran, gadałem niemrawo, sztywno, w ogóle nie chciało mi się gadać z nią. Ona wyraźnie rozczarowana. Pożegnaliśmy się chłodno. Byłem zadowolony. Dopiero w domu plułem sobie w brodę, jak jeszcze plułem, zmarnowałem taką okazję, dziewczyna chętna, przyjaźnie do mnie nastawiona, nawet nie musiałbym specjalnie wysilać się, a ja chwiej głupi zmarnowałem taką okazję. I długo niepokoił mnie obraz tej Hanki z Żelaznej. Doskonale też wiem, że gdybym nawet spotkał ją drugi raz, to również zmarnowałbym okazję.

No, ale już porządnie późno. Starzy pochrapują. Zrobię sobie jeszcze herbatę, taką mocną, brunatną, i w kimę. Jutro, jeśli nie odwiedzi mnie Arek, to pójdę do gospodyni na górę, co mi szkodzi pooglądać znów te listy sprzed wielu lat. Tak, wybiorę się do niej. Teraz po cichutku, na palcach do kuchni. Ale te drzwi skrzypią piekielnie, żeby ich nie zbudzić, psiakrew... Muszę w pokoju zainstalować sobie taką grzałkę do herbaty.

Marek Nowakowski

Teresa Socha-Lisowska

*
* *

Wiosną kwiat pięciu zmysłów eksploduje
Uliczkami
Cienkie nóżki dziewcząt
Zmieszane z pęcinami koni
Na moście widowisko
Chłopcy topią marzannę
Dziewczynka z wodogłowiem
Przewieszona z poręczy
Połyka słoneczną hostię
Zazielenił się winograd krwi
W szkatułkach cmentarzy spopielała rosa
Wysoko mój brat tańczy z białymi lalkami
Białymi końmi otoczony

Modlitwa:
Dolino łaskiś pełna
Słońce wypełnia twą uległość jak kochanek
W twoim sercu źródło piwonii z grzywą rozpadu
Ach zanurzyć usta

RZECZ O UŚWIADAMIANIU DZIECI

Tych kilka słów o sobie
Matka nade mną płacze
Karmiła mnie różą i mlekiem
A stałam się jak wiór
Słońce przeze mnie przenika
I deszcz

Nikogo nie mam
A jestem pełna
Rzeki narcyzów przeze mnie płyną
I szum ptasich skrzydeł

Dzieci Marii Więckowskiej
Bawią się nad Styksem
A w oczach dorosłych
Światło księżycowych pełni
Dorośli zrywają dzieci jak kwiaty
Jedna mówiła
Moja siedmioletnia córeczka to już
I z nagiej szypułki wypełzła czarna gąsienica

Moja matka
Lampa w której włosach błękitnych
Stąpa Chrystus

Po drugiej stronie lampy
Umarła kobieta w moim wieku
Ach matko ty wciąż przenikasz mnie
Jak pełnia przenika zwierzęta
Trwogą poetów

JAZDA

Gdy ręka się zatrzyma nad snu stromym brzegiem
Umarli pod powieką jak kwiaty pod śniegiem
Semafor o guzikach złotych jak południe
Wydzwania krótki postój na stacji bezludnej
Tam rynna gardziel smutku dwie bez twarzy w cieniu
Żwir i zakręt które zna się lecz nie po imieniu

A w tunelach zbyt ciemnych w tunelach zielonych
Jak nagie słupy w ścianach postacie znajomych

ULICA STROMYCH BALKONÓW

Ulica stromych balkonów
I zakochanych panien
W której emeryt szalony
Na trąbce gra Anioł Pański

O świcie wózek mleczarza
W sto podków złotych dzwoni
A potem staruszki stoją
W okopach pelargonii

A w oknie mała dziewczynka
Już o tak wczesnej godzinie
Rysuje ludzi w tramwaju
Różowych jak brzoskwinie

WYPOCZYNEK

W Brelikowie po pracy idzie się do lasu
Słońce wisi na sośnie jak domek dla ptaków
W bukowych gniazdach ziemi
Białym powojem strumień
Oplata kamienie

Leżący rozwarł palce przesmyka się trawa
Źdźbło drży jak złota mucha nad dłonią człowieka
A promień jasną nicią
Zszył niebo z powieką

Lasem mchów idą drwale mrówki żuk niebieski
W klatce nieba zamknięty dzięcioł puka w wiatr
I spływa kropla rosy żywicową ścieżką

Teresa Socha-Lisowska

Kazimierz Orłoś

DZIECKO OJCA I MATKI

Na platformę wchodziło się po metalowej drabince wiszącej na klapie. Olszewski, kierownik wycieczki, denerwował się, że ludzie spóźniają się — było już kwadrans po, a odjazd miał być o dziewiątej. Matka wspięła się po drabince pierwsza — chuda, w granatowej sukience w białe grochy, kiedy przekładała nogę przez klapę, zobaczyliśmy różową halkę i suche nogi. Za nią wszedł Ojciec, z teczką, z której wyglądała szyjka brązowej butelki z jabłecznym winem, sztywno stawiając lewą nogę, odświętnie ubrany, w granatowym garniturze, brązowych butach szytych żółtą nicią, z czerwoną, obrzękłą twarzą i karkiem wylewającym się za obcisły kołnierzyk białej koszuli. Potem podsadziłam dzieciaki, rzuciłam przez klapę torbę z jedzeniem, na końcu wzięłam Michałka na ręce, a Józek i Wojtek wciągnęli go. Siedliśmy na ostatniej ławce zaraz przy klapie, dalsze ławki były zajęte — Olszewski sadzał ludzi na kolejnych ławkach, jak kto przyszedł.

Brakowało jeszcze Antka — windziarza z fabryki, w której Ojciec pracuje, czekaliśmy pięć minut, póki nie nadbiegł zdyszany, z harmonią przewieszoną przez ramię i butelką wina sterczącą z kieszeni.

Ruszyliśmy, gałęzie lip nad ulicą uderzyły po pałąkach budy, chwilę jechaliśmy przez miasto, a potem wyjechaliśmy na drogę między łąkami i polami — kierowca dodał gazu i wiatr rozwiał włosy Matki. Wstałam i wysunęłam głowę nad pręty. Widziałam długą, prostą drogę, niebieskie niebo nad ciemną linią lasu, do którego zbliżaliśmy się (dzień zapowiadał się piękny), i czułam na twarzy wiatr jak strumień ciepłej wody.

Ojciec wyciągnął pół litra czystej i napili się z panem Pietruchą po łyku. Antek, windziarz, już grał na harmonii, przepchał się do przodu i siedział między dziewczynami na pierwszej ławce. Słyszałam śmiech dziewczyn, pisk dzieciaków pod nogami i monotonny warkot motoru. Od czasu do czasu odwracałam głowę i widziałam z góry szarą drogę, kurz wzniecany przez koła i kłęby niebieskich spalin. Ojciec coś już śpiewał, a Matka rozmawiała z panią Pietruchową — oboje nawet nie spojrzeli na dzieciaki. Policzyłam je. Wojtek i Józek siedzieli po tamtej stronie — Wojtek ciągle wysuwał głowę za pręty i patrzył do przodu, bliźniaczki piszcząc z uciechy kucnęły pod ławką, a Michałek kulił się przy moich nogach.

„Tyle uciechy mają dzieciaki — pomyślałam — a Ojciec i Matka wcale nie palili się, żeby nas wziąć. Wstydzą się, czy co?"

Musiałam prosić chyba pół dnia Matkę — Matka jest ważniejsza i jak coś postanowi, to Ojciec także musi tak postanowić. Zgodziła się, ale znowu nie chciała zgodzić się, żeby Michałek pojechał, i drugie pół dnia prosiłam Matkę o to. Dwa razy dostałam po twarzy, dzieciaki płakały, a ona ciągle krzyczała, że głupiego nie weźmiemy, zostanie w domu, a od czasu do czasu zajrzy do niego dozorczyni. W końcu Matka dała się uprosić. Dziś rano ubrałam dzieciaki odświętnie — bliźniaczki w kolorowe sukienki, Józka i Wojtka w długie granatowe spodnie na szelkach (uszyłam je ze starych spodni Ojca), a Michałkowi dałam do ręki łopatkę, żeby miał czym kopać w piasku, jak już przyjedziemy nad morze i zejdziemy z wydm na plażę. Michałek był głupi, Matka wstydziła się przed ludźmi, że ma takiego głupiego syna, i dlatego musiałam tak długo przekonywać ją i prosić, zanim zgodziła się, żeby pojechał z nami.

Oczy zabolały mnie od patrzenia ciągle przed siebie, załzawiły się od wiatru, który ciągle czułam na twarzy jak strumień ciepłej wody, wysunęłam się spomiędzy prętów i siadłam na ławce. Wjechaliśmy w las, słońce schowało się za drzewa, zrobiło się chłodniej, tylko zapach drzew — kory i igieł, był mocny.

— Si-si! — powiedział Michałek, co znaczyło, że chce załatwić się. Miał siedem lat, dużą głowę i drobne ciało. Nie potrafił nic powiedzieć, tylko „si-si", „ga-ga", „e-e", ślinił się i ciekło mu z nosa, a w ręku ściskał kurczowo łopatkę, którą dałam mu rano.

— Czekaj, Michałek! — powiedziałam. — Niedługo przyjedziemy. Tam będziesz mógł zrobić si-si! — Wytarłam mu nos i starłam ślinę ściekającą po brodzie. Chustkę zawsze musiałam mieć pod ręką, żeby móc go doprowadzić do porządku.

— Si-si! — powtórzył Michałek i zaczął wiercić się niespokojnie.

— Mamo! — powiedziałam. — Michałek chce się załatwić, trzeba zatrzymać samochód.

Matka plotkowała z panią Pietruchową, Antek śpiewał z dziewczynami — „Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą, a ja doliną..." — hałas był porządny, jeszcze motor huczał bez przerwy, i Matka nie usłyszała. Położyłam rękę na jej ramieniu i powtórzyłam:

— Michałek chce się załatwić.

— Niech zrobi przez klapę — powiedziała Matka.

Spojrzałam na Ojca i zobaczyłam, że znowu pije z półlitrówki, którą przyniósł w kieszeni, i dlatego, kiedy wspinał się po metalowej drabince, zdawało się, że ma sztywną nogę.

„Ten Ojciec — pomyślałam —ten Ojciec..."

Podniosłam Michałka i ustawiłam przy klapie. Wyjęłam tę jego małą rzecz i potrząsnęłam.

— Si-si! — powiedziałam — No, si-si!

Ale Michałek nie chciał się załatwić, tylko uderzył mnie łopatką po ręce.

— Ee, nic ci się nie chce! — powiedziałam. Chciałam znowu stanąć na ławce — akurat skręciliśmy, za zakrętem był zagajnik i słońce wyskoczyło zza drzew oślepiając nas, a wiatr przywiał znad zagajnika zapach rozgrzanych igieł, piasku i żywicy. Michałek złapał mnie za nogę.

— Si-si, si-si!

— Panie Antku! — krzyknęłam nad głowami Ojca, Matki i Pietruchów.— Niech pan stuknie w okienko, żeby kierowca stanął. Dziecko chce się załatwić.

Antek zastukał pięścią w okno, nie przestając grać i śpiewać („...ty zakwitniesz różą, ty zakwitniesz różą, a ja kaliną!"), a jedna z dziewczyn nachyliła się i krzyknęła:

— Panie kierowco! Niech pan zatrzyma wóz. Dziecko musi się załatwić.

Kierowca przyhamował i zjechał na bok, wiatr zaraz przycichł, tylko mocniej zapachniało rozgrzaną korą, igłami i piaskiem. Olszewski wyskoczył z budki i stanął pod klapą.

— Co się stało? — zapytał. — Komu się chce?

— Temu małemu, panie kierowniku! — powiedziałam. — Już nie może wytrzymać.

— Dawaj go!

Podałam Olszewskiemu Michałka, który ciągle kurczowo ściskał łopatkę, a potem sama zsunęłam się w dół, mocno chwytając za zimne metalowe pręty. Stanęłam nad Michałkiem w rowie, teraz już poszło raz dwa i zaraz wróciliśmy. Olszewski czekał przy klapie, póki nie usadowiliśmy się z Michałkiem z powrotem na ławce.

— Gotowe? — zapytał. — Panie Pietrucha, może pan jeszcze namyśli się? Prędzej, ludzie! Komu się chce? Raz dwa!

Dziewczyny zapiszczały, Antek tupiąc głośno nogą do taktu zagrał oberka, a pan Pietrucha wyciągnął do Olszewskiego rękę z butelką.

— Panie Olszewski, napij się pan. Nic pan sobie nie żałuj i kierowcy daj pan łyknąć, co się będziem martwić?

Staliśmy jeszcze chwilę, póki Olszewski z kierowcą nie napili się, potem butelka wróciła do pana Pietruchy pusta, bo Olszewski podał ją przez okienko Antkowi, Antek napił się, dał się napić dziewczynom, i tak butelka przeszła z rąk do rąk. Śmieliśmy się z pana Pietruchy, a jeszcze bardziej śmieliśmy się, kiedy wyciągnął spod ławki drugą pełną butelkę, a pustą (to chyba była butelka Ojca) cisnął do rowu. Kiedy jeszcze nie nabraliśmy gazu, minęła nas jakaś wycieczka — usłyszeliśmy krzyk i śmiech i poczuliśmy ciepły podmuch — zapach potu, benzyny, kurzu, który na chwilę zabił tamten mocny zapach nasłonecznionej ziemi i drzew.

Nabraliśmy szybkości, Antek bił pięścią po budzie szoferki i krzyczał, żeby gonić tamtych, ale pewno mieli silniejszy motor i mniej ludzi na platformie, bo tylko dwa razy jeszcze zobaczyliśmy ich, kiedy wyjeżdżaliśmy zza zakrętów — słyszeliśmy wtedy stłumiony krzyk i widzieliśmy, jak machają rękami, a potem znikli nam z oczu i kiedy znowu wyjechaliśmy z lasu, droga przed nami była pusta, aż po zamglony horyzont i dalekie jasne plamy przezroczystego powietrza jak rozlane na asfalcie kałuże.

Jechaliśmy jeszcze godzinę, minęliśmy miasteczko, dwie wsie (śmieliśmy się, kiedy jakaś kura wpadła pod koło i potem uciekała wlokąc za sobą zmiażdżone skrzydło), wjechaliśmy znowu w las i jechaliśmy już do końca w cieniu drzew, aż skręciliśmy przed pierwszymi chałupami rybackiej wioski na piaszczystą drogę, którą jechaliśmy podskakując na kamieniach, wpierw w górę, potem w dół. Z góry już było widać morze — trzymałam się prętów czując pod palcami ich drżenie, a pod stopami kołyszącą się platformę i zdawało mi się, że to morze podniesie się i przewróci na nas jak olbrzymia granatowa ściana. Na dole zakręciliśmy na małym placu, bliżej wydm stał biały barak, a między

skarlałymi sosenkami zaparkowane samochody osobowe i ciężarówki, którymi przyjechały inne wycieczki.

Pobiegliśmy w dół, pod barakiem zdjęłam sandały i czułam pod stopami gorący piasek, kiedy biegłam trzymając Michałka za rękę — piasek szczególnie gorący wyżej, w przejściu koło baraku i obok drewnianego kołowrotu z zardzewiałą liną rzuconą w dół, nad brzeg, gdzie stały łodzie. Wbiegłam do wody podnosząc sukienkę, Michałek został na brzegu, w miejscu, gdzie na gładkim piasku załamywały się fale. Pierwszy raz widziałam morze, nie wyobrażałam sobie, że piasek jest taki gładki i woda czysta — w rzece przepływającej przez nasze miasto dno jest kamieniste, pokryte szarym mułem, a woda brudna. Odwróciłam się — śmiałam się i wyciągnęłam ręce do Michałka, ale on bał się wody i nie chciał przyjść do mnie.

Rozejrzałam się. Nasza wycieczka rozłożyła się pod wydmą, obok dziurawej łodzi przewróconej do góry dnem — zobaczyłam, jak Ojciec rozkłada szary koc, a Matka zdejmuje sukienkę.

Było południe, zjechało się dużo wycieczek i dalej nie było już wolnych miejsc, tylko tu, blisko przejścia, gdzie piasek palił stopy, pachniało rdzą i roztopioną smołą. Wzięłam Michałka za rękę, podniosłam z piasku torbę i poszliśmy w stronę tej dziurawej łodzi. Wszyscy usadowili się dookoła niej, na kocach, brezentowych płachtach i rozłożonych ubraniach. Przyszli kierowca z Olszewskim, który powiedział:

— Słuchajcie, ludzie! Odpowiadam za was — nie rozchodźcie się, o godzinie ósmej wieczorem odjazd, żeby mi żadnego nie brakowało.

Matka siedziała oparta plecami o burtę przewróconej łodzi, w różowej halce podwiniętej na udach. Twarz posmarowała tłuszczem, kiedy stawiałam torbę na piasku przy niej, powiedziała:

— Odejdź! Nie zasłaniaj słońca. Nie widzisz, że opalam się? Ślepa jesteś?

Miałam w torbie olejek, bo wiedziałam, że słońce jest niebezpieczne, teraz wyjęłam olejek z torby i posmarowałam ramiona i twarz Michałka (przedtem utarłam mu nos i wytarłam ślinę na brodzie), potem sama posmarowałam się i krzyknęłam na Wojtka, Józka i bliźniaczki, żeby przyszli także posmarować się. Wojtek i Józek przybiegli z krzykiem, już mokrzy, w spodniach podwiniętych do pół łydki, a bliźniaczki w zmoczonych sukienkach, kazałam im zdjąć je i biegać nago.

Obok Ojca i Matki rozłożyli się Pietruchowie, pan Pietrucha tak samo jak Ojciec pijany. Obaj nie rozebrali się, tylko zdjęli buty i marynarki. Ojciec swoje brązowe buty, szyte żółtą nicią, zdjął zaraz po zejściu z platformy i potem schodził lekko zataczając się, ostrożnie niosąc je w garści, a w drugiej — teczkę z wystającą nad klapą brązową szyjką butelki z jabłecznym winem. Siedzieli teraz obok siebie ze sztywno wyciągniętymi nogami, w białych koszulach, źle pewno widząc plażę i morze, słysząc tylko gwar, śmiech (blisko nas odbijano piłkę), rytmiczny plusk załamujących się na gładkim piasku fal, potem zasnęli i spali do piątej, a kiedy zbudzili się, pili znowu kwaśne jabłeczne wino z brązowej butelki. Teraz pomyślałam znowu:

„Ten Ojciec, ten Ojciec..."

Antek rzucił harmonię na piasek, przykrył koszulą i pobiegł z dziewczynami do wody. Trzymali się za ręce, nad samym brzegiem dziewczyny przestraszy-

ły się — Antek ochlapał je, a potem gonił po plaży i wciągał przeraźliwie piszczące do wody. Matka i pani Pietruchowa śmiały się.

— Niech pani patrzy, co ten chłop wyprawia! — powiedziała Pietruchowa.

Przyglądałam się, jak Antek goni dziewczyny — wszystkie niezgrabne, ciężko biegnące po sypkim piachu, z sińcami na gołych białych nogach, w różowych majtkach i stanikach — tylko jedna miała porządny żółty kostium, za to była najbrzydsza.

— Panie kierowco — odezwała się Matka — a pan co? Nie pobiegnie pan za nimi do wody?

— Lecę, lecę! — powiedział kierowca. Zdjął koszulę, rzucił na piasek, potem ściągnął spodnie. Kucnął w długich, granatowych kąpielówkach, związanych białą tasiemką, i starannie złożył koszulę i spodnie w kostkę.

— Ga-ga! — powiedział Michałek. Już posmarowałam go i teraz siedział na brzegu koca z podkurczonymi, chudymi nogami, dużą głową na cienkiej szyi, a ślina znowu zaczęła mu ciec po brodzie.

— Chcesz ga-ga? — powiedziałam. — Dobrze, dostaniesz ga-ga.

Wyjęłam z torby chleb, nożyk, smalec zawinięty w pergaminowy papier, kubek i butelkę z herbatą. Nalałam do kubka herbaty zaprawionej malinowym sokiem i dałam Michałkowi napić się. Kierowca zachichotał. Podniosłam głowę.

— Co się pan śmieje? Nie widział pan dziecka?

— Taki duży i trzeba go karmić?

— Jest za duży na swój wiek — powiedziałam. — Nie podoba się komu, może nie patrzeć.

— Nie złość się, mała — powiedział kierowca.

— Mamo, chcesz chleba ze smalcem? — spytałam Matkę.

Matka nie odezwała się. Zamknęła oczy i położyła głowę na rozgrzanej burcie łodzi.

— On coś nie tego — powiedział kierowca. — To widać. Nie ma wszystkiego na miejscu tu — stuknął palcem w czoło.

— Za to pan ma! — powiedziałam ze złością. — Mamo, chcesz tego chleba?

Matka nie odezwała się.

— Ma bardzo dużą głowę — mówił kierowca. — Znałem już ludzi, co mieli takie dziecko. Lepiej, żeby takie coś nie żyło. Co komu przyjdzie z tego, że takie coś chodzi po świecie? Tak, pani Pietruchowa?

Pietruchowa wzruszyła ramionami, Matka nie odezwała się.

— Już lepiej niech pan sobie idzie do wody — powiedziałam.

Kierowca wstał. — Czy ja mu źle życzę? — spytał. — Mówię tylko, że takie stworzenia nie powinny żyć. Jemu źle, a rodzicom wstyd.

Nakarmiłam Michałka i zaprowadziłam nad brzeg. Kazałam mu kopać w piasku, a sama weszłam do wody. Rudy chłopak Pietruchów ochlapał mnie. Pobiegłam za nim z garścią mokrego piasku, ale nie mogłam go dogonić i wbiegłam z powrotem do morza skacząc po płytkim dnie, a potem wyciągnęłam ręce i rzuciłam się na wodę. Wydało mi się, że jest zimna, przez chwilę nie mogłam złapać oddechu, wstałam, czując na piersiach i plecach piekący chłód. Zanurzyłam się znowu — teraz woda nie była już taka zimna, śmiałam się bijąc po powierzchni rękami, odbijając się piętami od dna, a rudy chłopak Pietruchów wbiegł za mną i starał się zalać mi oczy bijąc na płask w wodę rozłożoną dłonią. Pogoniłam za nim znowu, goniłam po plaży między poroz-

kładanymi kocami i wygrzebanymi dołkami, w końcu śmiejąc się upadłam na gorący piach i poturlałam po nim, czując, jak przylepia się do ciała, jakbym owinęła się w ciepłe płótno.

Przypomniałam sobie o Michałku i wróciłam na brzeg — ciągle kręcił się w tym samym miejscu, kopiąc małe dołki, które natychmiast zalewały załamujące się fale.

— Chodź do wody, Michałku — powiedziałam. — Zobaczysz, jak to przyjemnie.

— Uuu! — powiedział Michałek i pokazał na morze.

— Tak, duże — zgodziłam się. — Ogromne. Nie ma drugiego brzegu! — Wzięłam Michałka za rękę i pociągnęłam do wody. Zaparł się nogami i wyrywał rękę. — Uuu! — krzyczał. — Uuu!

Puściłam go i sama weszłam do wody. Kucnęłam i powiedziałam:

— Zobacz, nic się nie boję. Morze jest wielkie, ale nie trzeba się bać. Woda jest taka ciepła! Nie bój się, głuptasie!

Odwróciłam się i na czworakach popełzłam głębiej, potem jakiś czas ubijałam nogami wodę podpierając się o dno rękami. Zaczerpnęłam powietrza, zanurzyłam głowę i ostrożnie otworzyłam oczy — woda była przezroczysta, w jednym miejscu piasek wzbił się w małą, pękatą chmurkę, spod której czmychnęła fląderka. Podniosłam głowę i krzyknęłam:

— Flądry są! Takie małe, nakrapiane flądry!

Rozejrzałam się przestraszona — dobrze, że blisko nie było nikogo, ktoś obcy mógłby się śmiać — zobaczyłam przy brzegu Michałka, jak stał po kolana w płytkiej wodzie bijąc o powierzchnię łopatką i przysiadając przy każdym uderzeniu z głośnym piskiem.

— Chodź tu, Michałek! — ucieszyłam się. — Zobaczysz małe fląderki.

Wzięłam go za rękę i brodziliśmy jakiś czas, ale wszystkie małe flądry uciekły, nie zobaczyliśmy już ani jednej.

O piątej słońce nie grzało tak mocno, jak w południe, przeszłam się po plaży idąc nad wodą po mokrym piasku, na którym załamywały się fale — minęłam łodzie i szłam jakiś czas, aż do pierwszych koszy obitych wypłowiałym, czerwonym płótnem, w których pewno wygodnie siedziało się, ale nie mogłam sprawdzić, bo wszystkie były zajęte. Kiedy już miałam wracać, dogonili mnie Wojtek, Józek i rudy chłopak Pietruchów i powiedzieli, że mają piłkę — poznali jakiegoś chłopaka z innej wycieczki i chcieli, żebym szła z nimi grać.

Wróciliśmy biegiem. Odchodząc zostawiłam Michałka przy Matce, zaraz tam pobiegłam, pod tę przewróconą łódź, ale nie było go. Rozejrzałam się przestraszona i zobaczyłam go przy brzegu — jego dużą głowę i wąskie ramiona sterczące nad wysokim nawisem piasku, nieco w lewo, w miejscu, gdzie brzeg wrzynał się głębiej w morze, jak mały półwysep podmywany przez fale. Uspokojona przysiadłam, nalałam sobie herbaty do kubka i napiłam się. Zaraz z krzykiem przybiegły bliźniaczki, że też chcą pić — musiałam im jeszcze ukrajać chleba i dać po jabłku, które w tajemnicy przed Matką wzięłam z okna.

Ojciec już zbudził się i pił z panem Pietruchą to kwaśne jabłeczne wino, przysiadł się do nich kierowca z butelką wódki — te dwie butelki stały pośrodku, między nimi, duża, brązowa z winem i mniejsza, jasna z wódką, obok szklaneczka, do której co chwilę kierowca nalewał i podsuwał to Ojcu, to

Pietrusze albo sam pił — ciskali przez te butelki kartami, zmiętymi banknotami i świecącymi złotówkami i pięćdziesięciogroszówkami. Nie mogłam zrozumieć, jak mogą grać i pić na gorącej plaży, wprawdzie ojciec przykrył sobie głowę gazetą, a pan Pietrucha szarą, zmoczoną w wodzie chustką, ale to niewiele chroniło przed słońcem.

— Bronka, chodź grać! — krzyczał rudy chłopak Pietruchów. Wstałam, jeszcze biegnąc rzuciłam okiem na Matkę, ciągle siedzącą plecami przy burcie przewróconej łodzi, z zaczerwienioną twarzą i suchymi nogami, w halce podwiniętej na udach.

Poszliśmy na prawo — mniej tu było ludzi i znaleźliśmy pusty kawałek piasku przy brzegu — jak był sztorm, fale wygładziły go, był jeszcze wilgotny i można było łatwo narysować na nim patykiem linie. Wojtek i ten nieznajomy chłopak rysowali linie, a ja jeszcze pobiegłam do Michałka, wzięłam go za rękę i odprowadziłam w bok, dalej od wysuniętego w morze cypla, który podmywały fale i piasek zwisał nad wodą, od czasu do czasu osypując się z szelestem.

— Tu baw się — powiedziałam do Michałka — kop w piasku dołki i buduj zamki, a ja trochę pobawię się z chłopcami piłką.

Wróciłam na plac i graliśmy do zmierzchu w dwa ognie, potem część dzieciaków musiała odejść — te z innych wycieczek, które już odjeżdżały, zrobiło się chłodniej, słońce było już nisko nad wodą, biegaliśmy po zimnym piasku, a kiedy patrzyliśmy na zachodzące słońce, twarze czerwieniały nam, tak samo jak piasek na wydmach i długie, ostre trawy, siwe jak włosy starych ludzi. W końcu odszedł i ten chłopak, którego piłką graliśmy, jeszcze jakiś czas goniliśmy się po plaży w berka — koniecznie chciałam dogonić chłopaka Pietruchów, ale on dobrze biegał, a potem wróciliśmy.

Jak przyszliśmy, Antek znowu grał na swojej harmonii jakiegoś oberka, pan Olszewski chwycił mnie i zakręcił kilka razy, ale na piasku źle tańczyć — piszczałam i wyrywałam się. Potem Olszewski spojrzał na zegarek i powiedział:

— No, ludzie — komu w drogę, temu czas!

Antek przestał grać i zaraz usłyszeliśmy, jak Ojciec i Pietrucha śpiewają coś — słów nie można było zrozumieć, coś bełkotali obejmując się za ramiona, raz ciszej, raz głośniej, bijąc do taktu pięściami w piach.

„Ten Ojciec — pomyślałam — ten Ojciec..."

A potem rozejrzałam się za Michałkiem. Nie było go na brzegu. Pobiegłam tam, przeszłam po cyplu tuż nad zwisającym nad wodą piaskiem osuwającym się z szelestem, zawróciłam, pobiegłam do łodzi — zajrzałam do każdej, ale i tam go nie było. Wróciłam pod wydmę, obeszłam przewróconą łódź — wszyscy już wstali i ubierali się, nawet Ojciec i Pietrucha wstali podtrzymując się za ramiona i nie przestając śpiewać.

— Ubieraj się, mała! — powiedział do mnie kierowca. — Nie marudź, zaraz odjeżdżamy!

Nie odpowiedziałam. Policzyłam dzieciaki — Wojtek i Józek wciągali granatowe spodnie i koszule, bliźniaczki kolorowe sukienki, szara koszula Michałka leżała na kocu obok torby, w miejscu, gdzie położyłam ją, kiedy go rozbierałam, a jego nie było. Jeszcze raz policzyłam dzieciaki, nasze i obce, przyjrzałam się wszystkim — na pewno zauważyłabym go, gdyby był.

— Nie ma Michałka — powiedziałam do Matki. — Kiedy widziałaś go ostatni raz?

Matka nie odezwała się. Wciągała sukienkę, halka opadła za kolana, suche stopy przykrył piasek. Podbiegłam do Olszewskiego.

— Panie Olszewski — powiedziałam — zginęło dziecko. Nie ma Michałka. Jak poszliśmy grać, to był przy brzegu, a teraz nie ma.

— Nie opowiadaj — powiedział Olszewski — nie opowiadaj. Na pewno gdzieś jest. Źle szukałaś.

— Byłam w miejscu, gdzie zostawiłam go, jak szłam grać, i przy łodziach, liczyłam dzieciaki — nie ma nigdzie.

— Nie zginie! — powiedział Olszewski zaciągając pasek. — Nie bój się! Zaraz się odnajdzie. Co to za dziecko — duże, małe? Chłopiec, dziewczynka?

— Chłopczyk — powiedziałam. — Ten, którego wysadzałam, jak tu jechaliśmy. Ma taką dużą głowę.

— Słuchajcie, ludzie! — powiedział Olszewski głośno. — Dziewczyna mówi, że zginął chłopiec, trzeba go poszukać. Rzeczywiście nigdzie tu go nie ma. To ten, którego po drodze wysadzaliśmy.

Matka skoczyła do mnie. — Jak go pilnowałaś, dziewczyno? — krzyknęła. — Gdzieś go posiała? Ile razy ci powtarzałam, żebyś nie spuszczała go z oka?

— Chwileczkę, kochana pani — powiedział Olszewski. — Dziewczyna także dziecko — trzeba było samej pilnować chłopca.

— Dziewczyna miała pilnować i już! — rozkrzyczała się Matka. — Teraz wrócimy bez dziecka. W piłkę zachciało jej się grać! — Podbiegła do Ojca i szarpnęła go za koszulę. — Ty stary pijaku, oprzytomnij — dziecko zginęło. Było sześcioro, jest pięcioro!

Ojciec upuścił buty, schylił się i podniósł je. — Było pięć! — powiedział. — Jak Boga kocham — przywieźliśmy pięć dzieciaków!

— Nie trzeba zaraz robić takiego krzyku — powiedział Olszewski. — Mały gdzieś mógł zawieruszyć się — może schował się w którejś łodzi albo koszu, może zawędrował na wydmy? Trzeba poszukać go! Dzieciaki, skoczcie na wydmy, a my, panie kierowco, chodźmy zajrzeć do łodzi i koszy.

— Do łodzi zaglądałam — nie ma go — powiedziałam.

Kierowca wstał z piasku. — To ten głupi, zasmarkany, z dużą głową? — spytał.

Nikt nie odezwał się i kierowca poszedł za Olszewskim w stronę łodzi.

— Skocz na górę i rozejrzyj się koło baraku, może tam zawędrował! — zawołał do mnie Olszewski, kiedy odeszli kawałek. — Zajrzyj na platformę i do szoferki! A wy, ludzie, nie gapcie się, tylko zbierajcie. Późno zrobiło się, zaraz go znajdziemy i odjeżdżamy.

Matka skoczyła do mnie i chwyciła za ucho. — Ty głupia dziewczyno — krzyczała — jak pilnowałaś dziecka?

Ucho piekło, kiedy biegłam na górę, po zimnym piasku — nie zdążyłam włożyć sukienki i teraz trzęsłam się z zimna, słońce już nic nie grzało, a kostium jeszcze był mokry, czułam, jak przykleja się do ciała na brzuchu i plecach, szorstki od ziarenek piasku.

Słyszałam, jak Antek gra na dole cicho jakąś skoczną melodię, obeszłam barak wkoło, potem zajrzałam na platformę i do szoferki. Wszystkie samochody odjechały, została tylko nasza ciężarówka między niskimi, skarlałymi so-

senkami na skraju placu. Michałka nie było nigdzie. Słyszałam harmonię i głosy nawołujących się dzieciaków na wydmach, wróciłam powoli z powrotem rozglądając się ciągle, bo miałam nadzieję, że gdzieś go zobaczę, ale na prawo i lewo plaża była pusta, wydmy i siwe trawy poczerwieniały bardziej, jakby tlił się na nich ogień.

Olszewski i kierowca wrócili także, dzieciaki zbiegły z wydm i staliśmy wszyscy wokół przewróconej łodzi, a Antek ciągle grał cicho na harmonii.

— Było pięć — powiedział znowu Ojciec. — Dobrze pamiętam — przywieźliśmy ze sobą pięć.

— Cicho! — powiedział Olszewski do Antka i Antek przestał grać. — A ty, stary, weź Pietruchę pod ramię i idźcie na górę. Poczekacie na nas na platformie — nic tu po was!

Pietrucha objął Ojca i poszli zataczając się. Koło drewnianego kołowrotu Ojciec upuścił but, przeszli jeszcze kilka kroków, potem wrócili, klękli, długo nie mogli wstać — Pietrucha czepiał się drewnianego ramienia kołowrotu, w końcu znikli za grzbietem wydmy.

— Może schował się pod tą łodzią? — spytał kierowca. — Taki mały głupi mógł tam wejść.

— Skąd! — zaśmiała się Matka. — Cały czas siedziałam plecami oparta o dno. Poczułabym, jakby kto palcem ruszył łódź.

— Sprawdzimy — powiedział Olszewski. — Dla własnego spokoju.

Chwycili z kierowcą za krawędź burty i podnieśli łódź. Michałka nie było, tylko czysty, niezdeptany piasek i duży, czarny pająk, który pobiegł prędko, zostawiając osypujące się małe lawiny z krawędzi śladów. Dziewczyny pisnęły i Antek przydeptał go.

— Nie mówiłam? — spytała Matka. — Palcem ktoś by ruszył — poczułabym. Cały czas przesiedziałam plecami oparta o dno.

— No, ludzie! — powiedział Antek. — Szukajcie prędzej, bo robi się późno, człowiek zmarzł, zgłodniał — chce w końcu wrócić!

Olszewski popatrzył na niego. Nie powiedział nic.

— Mógł utopić się, powędrować plażą albo zabłądzić w lesie — odezwał się kierowca. — Takich głupich z wielkimi głowami nie można spuścić z oka.

— Ma pan dziewczynę, panie kierowco! — powiedziała Matka. — Czternaście lat, dorosły człowiek — powiedziałam jej: opiekuj się małym, nie spuszczaj z oka, i co? Wrócimy bez szóstego.

— Trudno! — powiedział Olszewski. — Trzeba było, kochana pani, samej od czasu do czasu rzucić okiem na dziecko! Tylko że z was taka matka...

Matka nie odezwała się. Schyliła się i zaczęła zwijać koc. Wszyscy już stali gotowi do odejścia. Ciągle trzęsłam się, mimo że włożyłam sukienkę, suche majtki i stanik.

— Czy wchodził do wody? — zapytał Olszewski.

Skinęłam głową. — Z początku bał się, a potem brodził przy brzegu.

— Ktoś go mógł potrącić — powiedział kierowca. — Upadł, napił się i gotowe.

Popatrzyliśmy na morze. Słońce już zaszło i woda poszarzała.

Olszewski machnął ręką. — Na drugi raz będziecie wiedzieli, jak pilnować dziecka! — powiedział ze złością. — Nic już nie zrobimy. Trzy godziny drogi przed nami i już noc!

Poszliśmy powoli do przejścia, minęliśmy kołowrót, barak i stanęliśmy na placu.

— Rano zadzwonię do tutejszej gminy — powiedział jeszcze Olszewski. — Może coś bedą wiedzieli, nie, to powiem, żeby szukali.

Kierowca zapalił motor i powoli wyjechał spod skarlałych sosenek, wyglądając przez półotwarte drzwi. Poczułam zapach spalin. Ojciec i Pietrucha już byli na platformie. Ojciec powiedział głośno, kiedy ciężarówka stanęła:

— Słowo honoru, panie Olszewski — było pięć dzieciaków, jak wyjeżdżaliśmy. Chyba szósty urodził się w drodze.

— Cicho, pijaku! — powiedziała Matka.

Dziewczyny wskoczyły na platformę, za nimi Antek, dzieciaki i rudy chłopak Pietruchów, a Ojciec, kiedy Olszewski przechodził obok klapy, wyciągnął rękę i chwycił go za ramię.

— Jak Boga kocham, zabraliśmy tylko pięć dzieciaków. Szóstego nie było, panie Olszewski!

Olszewski strącił rękę Ojca z ramienia. — Najgorszy pijak wytrzeźwiałby, jakby dowiedział się, że dziecko mu zginęło! Wstydzilibyście się!

Pomyślałam, że to niemożliwe, żebyśmy wrócili bez Michałka, i pobiegłam z powrotem na plażę, słyszałam tylko, jak Matka krzyknęła: „Wracaj!", ale nie obejrzałam się i po chwili stałam nad wodą. W miejscu, gdzie słońce zaszło, został na niebie czerwony ślad, wyżej świeciło kilka gwiazd, woda ciągle była spokojna, małe fale załamywały się z szelestem. Rozejrzałam się. Pustą plażę przykryła szara mgła, kosze wyglądały jak czarni zakonnicy, zaklęci i dlatego nieruchomi, a dalej nie widać już było wydm, siwych traw, tylko tę mgłę, od której piasek i woda pachniały wilgocią.

Wracałam powoli, przy kołowrocie spotkałam Olszewskiego, który objął mnie ramieniem, a potem podsadził na platformę.

Odjechaliśmy — wpierw wolno wspinaliśmy się pod górę, motor pracował z wysiłkiem (przytłumiony, wzbierający jęk), potem szybciej w dół do asfaltowej szosy, gdzie kierowca zapalił światła, i wjechaliśmy znowu w las za skrajem wsi, która pożegnała nas głośnym szczekaniem psów.

Ojciec coś śpiewał, a Matka powiedziała do pani Pietruchowej:

— Spaliłam sobie twarz. Nie ma pani pojęcia, jak mnie piecze. I tłuszcz nie pomógł.

Antek już coś grał na harmonii i przyśpiewywał — przyjemnie było tak jechać po ciemku słuchając harmonii, słów piosenki i monotonnego warkotu motoru. Dzieciaki śmiały się, rudy chłopak Pietruchów uszczypnął mnie w plecy, ale nie oddałam mu. Ciągle myślałam o Michałku, jak gdzieś tam wędruje po pustej plaży albo śpi na zimnym piasku pod jedną z tych skarlałych sosenek rosnących na wydmach, albo w koszu (może Olszewski i kierowca niedokładnie sprawdzili, czy w którymś z koszów nie ma go?), i zdawało mi się, że słyszę jego głos, jak woła „si-si!" albo „ga-ga!", kurczowo ściskając łopatkę w ręku.

Potem wstałam (Antek śpiewał już na cały głos), wysunęłam głowę nad pręty, znowu czułam pod palcami chłodny metal, ławka usuwała mi się spod stóp, patrzyłam na ciemną drogę, bliżej jasną od świateł, w których kręgu od czasu do czasu przelatywały ćmy, a wiatr uderzył mnie w twarz i spłynął w dół po ciele jak struga zimnej wody.

Kazimierz Orłoś

Jan Prokop

* * *

Zostawimy po sobie przypadkowy ślad
guziki z orzełkiem połamany wibelec
ukradkiem dotknięcie na murze
odcisk palców na „świeżo malowane"
podarte płaszcza odniesiony klucz
Pamiętajmy także o dzieciach z podwórza
ich pamięć przechowa najlepiej
nasz sposób mówienia szybki i z przyciskiem na pierwszej sylabie
lub ostry falset jakim psa wołamy wieczorem
Także książki Smarowanie na marginesach
rogi ślinione i zaginane potem palcami
Tak pamiętam włos zecera czarnym
esem przekazany wiernie potomności
Niepewne jest wszystko inne
testament sporny i zakwestionowany przez wierzycieli
mowa którą powie nad trumną nasz tłusty przyjaciel
sława O niej mówi poeta że jest
jak śledzie im starsze tym bardziej cuchnące
Tak drzewo usycha od głowy
i puste gałęzie jak dzban wystawiony pod tkap
Głosy bijące ciemność beating the darkness
i psów czekające języki

* * *

Starość jest jak wino
kwaśne i szumiące Jest darem bezsennym
Biała kość drąży ciało rzeźbi szkielet suchej anatomii
oczy okrągłe czerwone jak u królika Ręce

drżą i błądzą niepewnym kołysaniem
Twarze dzieci duże i obcy ich profil w dymie papierosa gdy słucha
z wyrozumiałym pochyleniem czoła Wnuki
przywołują naszą młodość Natarczywe głosy i imiona
Kazuś Zenuś i zapomniany groteskowy Bonifacy
Syn najukochańszy Wszystko popiół rozsypany po drogach świata
Taśma nagrana wstecz gorączkowa i niezrozumiała
Fotografia w dzienniku: minister w kraju paragwajskim
inżynier w Chinach cesarz w Australii
Na prawym palcu drzazga galaretka
z porzeczek i pastylka przeciw duszności aby sen
sprowadzić po północy bez widzeń i pamięci
Dziecinne kaftaniki rękawy źle przyszyte krzywy bucik
Nie zapomnij tornistra i zeszytów przyczesz włosy
Czy to było naprawdę: biec bez tchu Tyle lat
bez tchu Aby teraz w zaciśniętych palcach
trzymać koc pod brodą i rozlewać mleko z przechylonej filiżanki
Obcość jak list z daleka przysłany i woda szumi w uszach
Ten szum głośniejszy jest niż ciemne główki na dnie pamięci
niż czuwanie w nocy i krzyk głuchy oddaleniem krzyk głuchy oddaleniem

Jan Prokop

Paweł Jasienica

W WIŚLICY

I

Po raz pierwszy w życiu odwiedziłem Wiślicę we wrześniu 1950 roku. Poczułem się, jakbym trafił w takie miejsce, gdzie świat się kończy. Od mieściny nie wiodą w kierunku Wisły żadne drogi. Szosa ze strony Buska, a od przeciwległego krańca wysuwa się ku Nidzie grobla, którą usypał podobno diabeł, zaklęty przez mądrego proboszcza.

Wiślica miała nieszczęście leżeć w pasie przytykającym do granicy galicyjskiej. Zgodnie z zasadami „strategii Scytów" rząd carski nie budował żadnych dróg, świadomie i celowo przetwarzał kraj w depresję cywilizacyjną. Nadzwyczaj trudno usunąć później skutki tego rodzaju zabiegów, trwających przez lat osiemdziesiąt przeszło. Zwłaszcza, jeśli od chwili ich zaniechania odbyły się dwie wojny światowe.

Przejmujące wrażenie sprawia widok miasteczka oglądanego od Nidy. Kupka niedużych domków, trwożnie skupionych na spłaszczonym wzniesieniu, trzymających się siebie jakby ze strachu przed okoliczną pustką. A nad tym wszystkim, nad żałosną mizerią nowszej doby historii, dwa ogromne ceglane masywy. Kolegiata króla Kazimierza Wielkiego i tak samo gotycki dom Jana Długosza, historyka, kanonika i arcybiskupa. Wiek XIV i XV. Czasy późniejsze nie pozostawiły w Wiślicy nic godnego uwagi.

Kielecczyzna tłumaczy Stefana Żeromskiego. Pisarz urodził się i wzrósł w kraju, w którym co krok niemal można napotkać widoki podobne do wiślickich. Sandomierz — mógłby być polską Florencją, gdyby nie zaniedbanie, bieda, brak wodociągów, które tu istniały... za królów. O całych siedemnaście kilometrów odległy od kolei Opatów, z kamienną romańską kolegiatą św. Marcina, w niej renesansowe nagrobki Szydłowieckich, zaliczane przez znawców do najlepszych dzieł odlewnictwa w Europie. Kielce — w nich samych wspaniały pałac biskupi, a obok Białogon, gdzie można obejrzeć ciekawe, ładne, ale nie w pełni wykończone założenie urbanistyczne... twór księdza Stanisława Staszica.

Młodym latom pisarza stale towarzyszyły zabytki wielkości, obrosłe późniejszą nędzą.

Kiedy w 1914 roku armia niemiecka ruszyła ze Śląska ku Wiśle, właśnie

w Kieleckie, dowodzący nią Paweł von Hindenburg tak podsumowywał swe spostrzeżenia: „Wkraczamy do rosyjskiej Polski i w tejże chwili pakujemy się w to, co generał francuski, opisujący przeżytą przezeń kampanię 1806 roku, nazwał szczególnym elementem tutejszej wojny, a mianowicie — w gnój! I to w gnój pod każdą jego postacią, a więc nie tylko pod gołym niebem, lecz także w tak zwanych mieszkaniach ludzkich i na samych ludziach. Przekroczywszy granicę, weszliśmy jak gdyby w inny świat. Mimo woli cisnęło się pytanie: jak możliwe, aby pośrodku Europy kamienie graniczne, dzielące Poznańskie i Polskę, odgraniczały tak krańcowo odmienne stopnie kultury jednego i tego samego szczepu? W jakiejż niedoli cielesnej, moralnej i materialnej pozostawiła kraj ten państwowa opieka rosyjska! A jak mało pierwiastków cywilizacyjnych przeniknęło z polskiego przerafinowania u góry w dolne warstwy siłą powstrzymane w rozwoju!"

W 1959 roku Wiślica stała się głośna w całej Polsce, a bodajże i szerzej. Będzie ciekawe, lecz nie dziwne, jeśli podniesieniu się miasteczka dopomoże jego własna przeszłość. Już w roku 1960 kilka tysięcy turystów je odwiedziło.

Reszta chętnych musi się uzbroić w cierpliwość, i to nie tylko dlatego, że nie miałaby gdzie głowy skłonić ani co jeść.

Dotychczas raz jedynie pokazano odkrycie tłumowi. Było to jesienią 1959 roku. Przed zasłonięciem wykopu w kościele badacze ogrodzili go mocnymi poręczami i ogłosili w miasteczku, że każdy, kto chce, może przyjść popatrzeć. Tłok był taki, jak podczas sumy, kiedy arcybiskup przyjedzie. A cisza jak w grobie.

Obecnie wykop wygląda jak podziemna komora, szczelnie odziana drewnem. Ze wszystkich stron świeci jego jasny kolor, czuć żywicą. Poziome i ukośne belki, wiązane według wskazówek najlepszych specjalistów Politechniki Warszawskiej i pod ich bezpośrednim nadzorem, tworzą kościec.

Magister inżynier Andrzej Tomaszewski schodzi pierwszy, o metr przede mną. Jego wysoka postać zagradza mi drogę, uniemożliwia wszelki szybszy ruch naprzód. A głos z naciskiem dyktuje, gdzie mam stopy stawiać.

— Na tę krawędź muru... A teraz już tylko po rozporach! I przez cały czas dłońmi za te górne belki — mówi, pilnie okiem sprawdzając wykonanie.

Z powodu tych samych ostrożności wczoraj w ogóle mnie tu nie wpuszczono. Poprzedniej nocy, podczas wyjątkowo silnej burzy, kiedy uderzyło nawet parę kulistych piorunów, wyładowania popsuły w kościele elektryczność (bo od niedawna Wiślica ma prąd). Bez światła nie można schodzić w wykop.

Przycupnąłem na kłodzie, ociosanej gładko, do kantu. Pozycja pewna, zwłaszcza jeśli przez cały czas obejmować ramieniem stojak. Dno komory mam tuż pod sobą. Jest doskonale płaskie i żółte, ponieważ przysypano je grubo trocinami. Jego powierzchnia znajduje się o cztery niemal metry poniżej posadzki kolegiaty.

Andrzej Tomaszewski zaczyna od przeciwległego brzegu. Zwykłą miotełką pomału odgarnia trociny. Pokazuje się różowawa płaszczyzna płyty i nagle pierwsza ciemna kresa bocznego ornamentu. Już widać dziwnego centaura-kobietę w czapce, która normalnie nazywa się wszędzie frygijską. Ale mnie jakoś ona przypomina nakrycie głowy oglądane kilka tygodni przedtem na malowidle trackim w Kazanłyku, w Bułgarii.

Widać już cały wielki kwadrat płyty. Z trzech stron obramia ją regularn wstęga ornamentu, zwana przez specjalistów „bordiurą". W zawiły motyw roślinny wplótł artysta aż cztery tajemnicze figury. Badacze już rozpoczęł spór o ich symboliczną wymowę. Padają argumenty, których samo brzmieni rozszerza horyzont miejscowej historii. Słychać o możliwościach wpływ Węgier, Moraw, Czech, Włoch północnych, Konstantynopola-Bizancjum.

Na razie o tym nie myślę. Przypadkiem wybrałem miejsce na belce, któr przebiega poziomo tuż nad głowami trzech postaci ludzkich, wyobrażonyc w XII wieku rylcem rytownika na kruchym gipsie i cało przechowanych po czterometrowym słojem ziemi, zmieszanej z twardym, ciężkim gruzem ka miennym.

Spoglądam wprost na oblicze brodatego mężczyzny. Poważny mąż patrz ku górze. Twarz jego wyraża korne uwielbienie. To samo mówią wzniesion w geście adoracji dłonie. Po obu stronach niewiasta i młody chłopak te trwają w pozie modlitwy i wiary. Łączą się w religijnym hołdzie, powtarzaj dokładnie ruch... Czyj? Małżonka i ojca?

Kogoś w każdym razie, kto dużo znaczył na świecie doczesnym. Szat wszystkich trojga są bogate. Artysta nie gubił się w szczegółach, był oszczędny Ale spody sukni niewieściej i tunik męskich ozdabiają pasy, na których wy raźnie znaczą się ciemne punkty. Był w średniowieczu zwyczaj przyszywani dzwonków na rąbkach ubrań osób dostojnych, książąt.

Za plecami mam zabezpieczoną deskami ścianę ziemi, której dotychcza jeszcze odkrywcy nie poruszyli. Zrobią to jeszcze w tym, 1960 roku. Wted się okaże, ku czemu z taką pokorą kieruje wzrok ta trójka bardzo wielmożnyc ludzi. Ale przedtem rozwiązana zostanie dręcząca wszystkich zagadka los dalszej części płyty. Próbne sondaże, delikatne drążenia poziome zdają si zapowiadać, że i tam gips się ostał.

Utrzymuje się wśród nas skłonność do uznawania za pewniki mniemań które wcale nimi nie są. Uchodzi za rzecz dowiedzioną, że pamięć osobnicz i zbiorowa przechowuje wieści o dodatnich stronach czasów minionych, a szyb ko pozbywa się balastu przykrych. W rzeczywistości bywa nieraz wręcz prze ciwnie. Kronika Długosza zawiera skąpą wiadomość o jakiejś krypcie w Wiśl cy, w której jakoby to miał się ukrywać Władysław Łokietek. Ani w dziejo pisarstwie, ani w tradycji nie przechował się cień chociażby wspomnieni o tym, co dawny kościół wiślicki mieścił w podziemiu. Można więc śmiał przypuszczać, że gdyby tylko okoliczności historyczne ułożyły się odpowiedni ludzie potrafiliby zapomnieć o Kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Nie wie dzieliby w ogóle, że kiedykolwiek istniała.

Zestawienie z Kaplicą Zygmuntowską jeśli zgrzeszyło, to skromnością ra czej niż przesadą. Europa liczy wiele dzieł sztuki XVI wieku równych te kaplicy albo i lepszych. Rytowana płyta w Wiślicy jest zjawiskiem niem jedynym w swoim rodzaju. Tylko kościół klasztorny w Ilsenburgu w górac Harzu ma podobną, również wykonaną z gipsu w stuleciu XII i pokryt ornamentem. Nie wiadomo, skąd pochodził rytownik, który tworzył w Wiśl cy. Pewne za to, że jako artysta stał na samych szczytach swojej epoki.

Powłóczystość szaty niewieściej wydobył jednym pociągnięciem rylca. T widać! Chciałoby się nawet mówić o jednym ciosie ostrza, ale nie... on j prowadził ruchem ciągłym, czując temat palcami. Kresa rozszerza się, grubie

je i zaraz znowu czyni się wiotka. Dokładnie tak jak potrzeba, by i po ośmiu stuleciach przemówić do widza tonem pewnym, władczo.

Ani śladu krajobrazu w tle, nigdzie ani drobiny dziubdziania w szczegółach, „żeby było jak żywe". Detale stroju, nawet rysy twarzy to właściwie znak tylko, kontur, niezbędne minimum. Nie jest „jak żywe", za to żyje. Wyraża prawdę wieków, w których złożono pierwsze zwrotki *Bogurodzicy*. Przecież to jej melodia jest w dłoniach, w oczach tych postaci.

W XII wieku, gdzieś w jego drugiej połowie, wykonano kolejno kilka czynności. Najpierw usunięto część starej podłogi w krypcie kościelnej (w przyszłości przekonamy się może, czy nie wykopano wtedy również jam na trumny). Na poziomą płaszczyznę wylano płynną masę, zrobioną z gipsu zmieszanego z paloną i zmieloną gliną. To wszystko przedtem, to znaczy przed rytowaniem. Potem bruzdy rysunku nasycono ciemnym barwnikiem, w którego skład wchodził sproszkowany węgiel. Jak ten człowiek wykonał zadanie główne, jak rytował?

Powierzchni mógł dotykać samym ostrzem narzędzia. Miękki gips przechowałby ślady stóp i dłoni. Z tego samego powodu musiał się śpieszyć. Gips szybko krzepnie. Pochylać się, sięgać od strony krawędzi nie było sposobu.

I wtedy zatem, przed ośmiuset laty, musiało istnieć nad tą płytą jakieś rusztowanie. Artysta leżał może na nim, może klęczał. Jedno absolutnie pewne: rusztowanie obmyślono tak, by zostawić twórcy pełną swobodę ruchu ramienia.

A może on zwisał w jakimś koszu czy na desce, przesuwany w miarę potrzeby nad gotową już, lecz jeszcze martwą kartą gipsową? W średniowieczu artyści działali w zespołach. Do roboty w Wiślicy zaprząc się musiało całe grono majstrów. Byli wśród nich tacy, co wiedzieli, jak przygotować i rozlać masę. I tacy, co umieli otworzyć rytownikowi drogę do każdego punktu rozległej płaszczyzny. Narodziny obrazu pilnie śledziły oczy grona ludzi, którzy byli bractwem. Ten, co rzeźbił, wykonał zadanie główne, ukoronował pracę zbiorową. Pozostał bezimienny, jak i jego towarzysze.

Skąd przyszli i dokąd poszli? Doskonałość ich wspólnego dzieła nie pozwala wątpić, że to, czego dokonali w Wiślicy, nie było im pierwszyzną. Po wypełnieniu zobowiązania nie zostali pewnie na łaskawym chlebie miejscowego księcia. Nie po to się dobrali. Sens życia ich bractwa polegał na twórczości.

Za Wisłę chyba nie poszli. Nie byłoby po co. Ale na lewym brzegu rzeki nie brakowało książąt dzielnicowych, nie gorszych, nie mniej ambitnych od tego, który władał w Wiślicy. W takim Strzelnie w tym samym czasie stanęły przepięknie rzeźbione kolumny, w Gnieźnie archikatedra przyozdobiła się swymi słynnymi drzwiami, w Kaliszu Mieszko Stary wznosił kolegiatę... Z Wiślicy do Krakowa w jedną, a do Sandomierza w drugą stronę wcale nie tak daleko. Płock również leży nad Wisłą.

Czy jest nadzieja odnalezienia kiedykolwiek śladów wcześniejszej i późniejszej roboty owego bractwa, w którym rzemiosło i sztuka zrosły się w jedno? To pewne, że kiedyś musiały istnieć. Jak dotychczas — w całej Europie znane są dwa okazy rytowanych płyt, w Ilsenburgu i w Wiślicy. Obie są z g i p s u. Przypadek nie zawsze bywa łaskawy. W Wiślicy budowniczowie późniejszej kolegiaty gotyckiej usunęli podstawę jednej z kolumn,

obramiających niegdyś płytę. Wykopy pod fundamenty ominęły ją właściwie o włos.

Ani spostrzegłem, kiedy zaludniła się podziemna komora. Członkowie ekipy badawczej wsuwali się widać pojedynczo, ostrożnie zajmując miejsca na rozporach. W ciszę zamkniętego wnętrza od dawna już pewnie wniknął nie zauważony dźwięk. Nie przeszkodził myślom o sztuce, co rosła „w cieniu ołtarza". Już pierwsza jego nuta musiała utrafić w ich tok. Na górze rozpoczęły się nieszpory, kolegiata huczała grą organów. Stłumiona melodia wypełniała wykop. Kiedy umilkła, pojąłem, że pora wychodzić. Zabrakło jednego z tonów doznanego przeżycia.

Tegoż wieczoru wpuszczono mnie pod obszerny budynek drewniany, przysłaniający wielką odkrywkę, znajdującą się tuż obok, za murem przykościelnego cmentarza. Poprzednio docent Zofia Wartołowska postawiła uprzejme, ale kategoryczne veto. Światło dzienne pod tamtą szopę przenika, nie o to chodziło. Od paru tygodni w całej Polsce leją katastrofalne deszcze. Archeologowie zrobili wszystko, co tylko leżało w ich mocy. Wczoraj jeszcze na gwałt kopali dodatkowe rowy, ustawiali ściek z desek, odpływ dla rozlewisk z cmentarza, położonego nieco wyżej. Mało pomogło. Woda wdarła się w wykop, pokryła jego dno. Na szczęście już wsiąkła, bo w nocy przestało padać, ale pozostawiła wszędzie czarne szkliwo. Za ślisko. Tutaj także nie wolno ryzykować.

Wyraziłem się przed chwilą niezbyt dokładnie, bo zakaz zwiedzania był częściowy. Nie wolno mi było schodzić w głąb, a tym bardziej za ekran z białego płótna, odgradzający północną część bardzo rozległej jamy. Temu, co jest bliżej, niejako na froncie, mogłem się do woli przyglądać z drewnianej galeryjki, specjalnie przeznaczonej dla publiczności. Wszystko, przypominam, to znaczy dół, ekran i balkonik z poręczą, mieści się wewnątrz wielkiej szopy drewnianej, pod dachem. Jeszcze całkiem niedawno temu nie było tej budowli. Tędy, gdzie ona teraz stoi, prowadziła ulica Batalionów Chłopskich, która za Kazimierza Wielkiego miała ten sam kierunek, tylko nazywała się Solną.

Z odległości kilku metrów patrzę więc na szczątki niewielkiego budynku z kamienia. Oglądam go z boku, bo gmach ma położenie poprzeczne w stosunku do biegu ulicy. Wyjrzał naturalnie z warstwy grubo niższej od tego jej poziomu, jaki istniał za króla Kazimierza.

Dziwna budowla, podwójna. Część bliższa moich oczu, południowa, miała kształt zwykłego prostokąta, złączonego bokiem z partią dalszą, o wiele bogatszą w formy. Była tam wewnątrz murów wydłużona, ale całkiem ciasna salka, po stronie wschodniej kończąca się kolistą wypustką-izdebką. Zewnętrzna ściana gmachu opisuje w tym miejscu łuk.

Zwykłą rzeczy koleją ziemia przechowała tylko to, co było zrośnięte z nią samą — najniższe pasma. Ustrzegła je za to w całości i dzisiaj zarys poziomy jest pełny, wyznaczony grubym murem kamiennym.

Biały ekran płócienny nie jest zasłoną ani tłem dekoracyjnym. Umieszczono go, aby nauczać. Na pionowo zwisającej płachcie widnieją napisy objaśniające oraz rysunki dające pojęcie, jak prawdopodobnie wyglądało to wszystko ongi.

Stał więc tutaj mały, lecz krzepki kościółek murowany, któremu w jakiś czas później dodano od południa prostokątną przybudówkę. Mieściła pewnie

kaplicę grobową, bo inaczej skądżeby się w niej wzięły aż cztery mogiły. Leżały w nich szkielety mężczyzn, których pochowano bardzo starannie — jednego nawet pod płytą ze sztucznego kamienia — ale w podróż wiekuistą nie dano im nic z dostatków ziemskich. Żadnego noża, naszyjnika, miecza ani garnka z ofiarą. Szkielety bez dodatków spoczywały tu zresztą wokół, także tam, gdzie od dawna znajduje się w Wiślicy plac targowy.

Zadziwiająco niewielki był masywny kościółek. Jego światło wewnętrzne wynosiło pięć metrów na trzy. Absydka miała w średnicy dwa metry.

Docent Zofia Wartołowska opowiadała mi wczoraj ciekawe rzeczy o religijnych wyobrażeniach Prasłowian. Według nich świątynia była siedzibą samego bóstwa, a nie gmachem przeznaczonym na zgromadzenia wiernych. Chrześcijaństwo z powodzeniem stosowało praktykę przyswajania, chrzczenia właśnie, niektórych tradycji pogańskich. Nowa wiara przygarniała ludzi razem z ich obyczajem, o ile się dało. Jej głosiciele byli za mądrzy, by postępować inaczej.

Za płócienną zasłonę ekranu wszedłem bardzo ostrożnie, wśliznąłem się raczej prawie na czworakach. Deszcze, które dla archeologów były nieszczęściem, mnie obdarzyły łaską głębokiego przeżycia. Znalezisko utraciło wygląd preparatu naukowego, rzeczy martwej, oczyszczonej z wszelkiego pyłu, gotowej pod szkło. Na krótko stało się znowu tym, czym było przez tyle stuleci. Tworem bez nazwy, wchłoniętym przez grunt, zdanym na jego łaskę i własny los.

Ciemna, lśniąca od wilgoci krawędź wielkiej konchy wyłaniała się z czarnej mazi niczym z wnętrza ziemi otwartego przez samą przyrodę.

Fundamenty murowanego kościółka beztrosko skryły osobliwe dzieło rąk ludzkich. Widocznie budowniczowie uznali je za już niepotrzebne. A może zniszczało — było wszak wykonane z wapna. Nasi badacze odsłonili tę część, która podczas kopania wyjrzała spod północnej ściany świątyni.

Była to duża, czterometrowej średnicy misa. Wyraźne ślady po okalających ją niegdyś słupach zdają się mówić o dawno zaginionej obudowie i dachu. Tuż niedaleko odkryto wykute w wapiennej skałce podłoża trzy grobowce. I w nich także spoczywały szkielety męskie, bez najmniejszego śladu darów pogrzebowych. Obyczaju wkładania ich w mogiły chrześcijaństwo nie uznało i nie przyswoiło. Ale w najdawniejszych czasach posłuszni tym zakazom byli przede wszystkim sami kapłani nowej wiary.

(Kiedy w roku 1426 umarł Ziemowit IV, książę na Płocku, wdowa włożyła do trumny istne skarby, usłała ją jak łoże. „Nie mógł znieść tej barbarzyńskiej głupoty" biskup płocki, Stanisław Pawłowski, więc „gdy po skończonym pogrzebie wszyscy odeszli, kazał z grobu wyjąć złoto, srebro, szaty, naczynia i inne ozdoby i rozdał je na chwałę Bogu i ludzkie użytki". W Polsce XV wieku taki wypadek był już czymś zupełnie wyjątkowym. Wdowa po księciu Ziemowicie, Aleksandra, to rodzona siostra króla Władysława Jagiełły, neofitka.)

Obsiadły mnie w Wiślicy wspomnienia sprzed ośmiu lat. Wtedy patrzyłem na szczątki takiej samej misy w katedrze poznańskiej. Dzisiaj mam przed sobą zakole wynurzające się spod budowli zniszczonej wprawdzie i zapomnianej od wieków, lecz takiej, która także była kiedyś kościołem chrześcijańskim.

I w Wiślicy również odsłonięto zatem wielką chrzcielnicę.

Zbiegiem okoliczności zachowało się tu urządzenie, jakiego nie ma w Poznaniu. Może istniało kiedyś i tam, bo mówię tylko, że nie ma go obecnie. Jest to pozioma, niewielka płaszczyzna o kształcie zbliżonym do trapezu, wysuwająca się z samego brzegu czaszy, na jej osi północnej. Miejsce, które podczas ceremonii chrztu mógł zajmować ksiądz.

Tam, na tej platforemce, odnaleziono bezcenny drobiazg, nóżkę glinianego pucharka. Docent Zofia Wartołowska i profesor Włodzimierz Antoniewicz twardo obstają przy twierdzeniu, że to naczynie mogło być wykonane najpóźniej w stuleciu IX.

Daleko jeszcze do zgody między specjalistami. Na dobrą sprawę — spory dopiero się zaczęły. Ale wymienieni przed chwilą uczeni głoszą co następuje:

Kościółek, którego resztki znaleziono pod ulicą Batalionów Chłopskich, zbudowano na początku X wieku. Zniszczony został i zapomniany od tak dawna, że już Kazimierz Wielki, o niczym nie wiedząc, poprowadził swoją ulicę Solną nad jego zwaliskami i cmentarzem. Chrzcielnica jest od kościółka znacznie starsza, zalega wszak pod jego fundamentami. Skorupy wskazują, że powstała w stuleciu IX.

Jeśli tak, to zabytki poznańskie wcale nie są najstarszymi świadectwami chrześcijaństwa w Polsce. Wiślickie wyprzedzają je o lat kilkadziesiąt, może o cały wiek.

Rok 966 i w tej sprawie nie jest więc żadnym początkiem. Oznacza tylko datę przyjęcia nowej wiary przez Gniezno, stolicę księcia Polan i całej Polski.

Ale my jesteśmy w tej chwili w Wiślicy, czyli na terytorium dawnego państwa Wiślan. Jak się już wspominało, w IX wieku św. Metody skierował posłańca do ich władcy i kazał mu powiedzieć: „...dobrze by było, synu, abyś się dał ochrzcić dobrowolnie na swojej ziemi, bo inaczej będziesz w niewolę wzięty i zmuszony przyjąć chrzest na ziemi cudzej, wspomnisz moje słowo...".

„Tak się też stało" — dodał kronikarz od siebie.

Około roku 880 Świętopełk Wielkomorawski podbił Wiślan (około... to znaczy, że możliwe są odchylenia; ale w którą stronę czasu?). Księcia ich ochrzczono w niewoli, a lud też przymusowo, lecz w kraju, na jego własnej ziemi, która zdołała przechować tajemniczą misę z wapna.

Gliniany pucharek, znaleziony na platformie przy chrzcielnicy wiślickiej, zaczyna coś przemawiać tonem dziwnie podobnym do tego, którym od dawna rozbrzmiewa *Żywot św. Metodego* czyli *Legenda Pannońska,* spisana w wieku IX albo na początku X.

II

Poszukiwania archeologiczne w Wiślicy mają już swoją własną historię. Zaczęły się w 1949 roku i od tego czasu niezmiennie kierują nimi docent Wartołowska i profesor Antoniewicz.

Zainteresowania skupiały się poprzednio głównie na grodzisku. Leży ono opodal miasteczka, wśród rozległych łąk. Dawniej, to znaczy, że już bardzo dawno temu, znajdowało się po przeciwnej, prawej stronie rzeki. Jak fan-

tastycznie Nida zmieniała koryta, o tym przekonują dopiero zdjęcia lotnicze, poczynione z helikoptera. Po całej płaszczyźnie fotografii wiją się esy-floresy o rozmaitym nasyceniu koloru. I teraz jeszcze idzie się na miejsce wzdłuż zupełnie czystej i głębokiej pewnie wstęgi starorzecza. Kiedy było właściwą rzeką, grodzisko będące wtedy grodem pilnowało przeprawy.

Stanęło pewnie na początku XI wieku, może wcześniej. W każdym razie wtedy, gdy Piastowie z Gniezna przyłączyli już kraj Wiślan do monarchii polskiej. Sama jej nazwa dopiero się wówczas przyjmowała i autor *Żywota św. Wojciecha* wyrażał się o tym państwie w sposób mało precyzyjny: „W okolicach Germanii jest miejsce zasobne bronią i srogimi mężami. Mieszkańcy zwą je Słowiańszczyzną".

Zdaniem większości badaczy owo przyłączenie kraju Wiślan (a jednocześnie i Śląska) odbyło się w roku 990, gdy walczącego z Czechami Mieszka I wspierały cztery hufce rycerzy niemieckich. Ale profesor Jan Natanson-Leski głosi teorię o wiele śmielszą. Twierdzi, że opisana przez Thietmara wojna z Czechami toczyła się o Łużyce. Ziemię Wiślan i Śląsk odziedziczył Mieszko po przodkach, pewnie po ojcu.

Dokładnej daty budowy grodu nad Nidą nigdy pewnie nie określimy, lecz nie ona jest tu zagadnieniem najważniejszym.

Mamy przed sobą najdawniejszy ślad ogólnopolskiej władzy politycznej nad tą ziemią. Grodu nie postawiono na pustyni! Samo państwo Wiślan jest przecież dość późnym rozdziałem tutejszej historii. Niezbyt daleko leży Igołomia ze swym wielkim zespołem przemysłowym. Na podnóżu Łysogór rozciągał się zastanawiająco wielki ośrodek wytopu żelaza, czynny w pierwszych wiekach po Chrystusie. To są najbardziej okazałe znamiona starości. Ale nie brakuje i pomniejszych, dotychczas zupełnie nie znanych. Z zainteresowaniem przeczytałem krótkie, odbite na powielaczu, sprawozdanie Łucji Okuliczowej z badań przeprowadzonych ostatnio we wsi Pełczyska w powiecie pińczowskim. Już przed wojną muzeum krakowskie otrzymało stamtąd sygnał w postaci licznych znalezisk. Teraz wykryto ślady dwu nawarstwionych na sobie osad. Ta młodsza żyła na samym początku naszej ery, a więc starsza musi pamiętać czasy przedchrystusowe. Wystąpiły w Pełczyskach także i ślady wpływów celtyckich. Inny, równie treściwy raport złożył Jerzy Pyrgała. Pracował niezbyt daleko Wiślicy, bo w tym samym buskim powiecie, we wsi Kobylniki. Znaleziono między innymi aż trzydzieści siedem jam „o charakterze gospodarczo-magazynowym" oraz dwa doły, służące mieszkańcom do pławienia żelaza. Wszystko to pochodzi zapewne z IV i V stulecia.

Piastowie z Gniezna zajęli kraj o bardzo starej kulturze. Jak nim rządzili? Kto zasiadł w grodzie nad Nidą i jakie metody stosował? Przywykliśmy lekko traktować te pytania, a tymczasem wyczerpująca odpowiedź pouczyłaby nas, w jaki sposób rojowisko plemiennych ojcowizn zrosło się w jedną dla wszystkich ojczyznę.

W cztery i pół — co najmniej! — stulecia po zajęciu przez Piastów ziemi Wiślan Kazimierz Wielki ogłosił w tej samej Wiślicy swój pamiętny statut. Zawierał on prawo spisane, lecz obowiązujące tylko w Małopolsce. Osobny kodeks dla Wielkopolski wydał w Radomsku, a Sieradz i Łęczycę pozostawił przy ich lokalnej jurysdykcji, pozwalając im swobodnie czerpać wzory z Krakowa lub Poznania.

Tak postępował ostatni z królewskiej linii Piastów, dziedzic władzy nad całym państwem. Praszczurowie, którzy państwo to dopiero sklejali, musieli tym bardziej szanować odrębności jego części składowych. W takich grodach, jak ten nad Nidą, z powodzeniem mogli zasiadać nawet potomkowie lokalnych książąt plemiennych. Bo powoływanie ich też mogło być użytecznym sposobem godzenia odwiecznego ładu prowincji z nową władzą, przybyłą z północy. Jej historyczne powodzenie wynikło i z tego, że ona nigdy się tępieniem owego urozmaiconego ładu nie zajmowała. Po jej stronie stała wielka przewaga materialna, używana mądrze, z umiarem.

Nie należy koniecznie przyjmować za prawdę, że skoro zbudowano nową twierdzę, to niewątpliwie komendę objął w niej obcy miejscowym ludziom satrapa, który tylko rozkazywał, przymuszał i łamał opory. To wszystko musiało jednak odbywać się w sposób o wiele bardziej rozumny, to znaczy życiowy. Niezbitego dowodu dostarcza sama trwałość państwa, zorganizowanego przez i za Piastów.

Tak sobie rozmyślałem, a nawet napisałem, kiedy w kwietniu 1961 roku zaproszono mnie na konferencję sprawozdawczą do Pałacu Kazimierzowskiego. Zwięzły referat o grodzie wiślickim wygłosiła dr Wartołowska. Od dawna kumam się z wykopaliskami, ale mało przeżyłem podobnych zaskoczeń.

Gród został zbadany do końca. Kopać się już tam więcej nie będzie, bo nie ma czego szukać. Fortalicja, wzniesiona u schyłku X lub w początkach XI wieku, przetrwała w pierwotnym kształcie do roku 1135, kiedy najazd Rusinów, Pieczyngów i Węgrów obrócił w ruinę zarówno ją, jak i osiedle, którego mieszkańcy przeszli wtedy gehennę. Odnaleziono wyraźne ślady domów załogi. Było ich kilkadziesiąt, mniej więcej jednakowych, o wymiarach około czterech metrów na cztery. Nie ma po temu żadnych wątpliwości, bo przyziemia tych domków były wkute w skałkę gipsową. Każdy miał w rogu kamienny piec.

Budyneczki były j e d n a k o w e. Nie wykryto ż a d n y c h resztek siedziby wielmoży. Wolno więc przypuszczać, że nie istniała.

Załoga na pewno miała dowódcę. Mógł nim być... taki jakiś Chebda albo Giez z powieści Antoniego Gołubiewa *Bolesław Chrobry*. Woj, dobry do zadań ściśle wojskowych, ale nie parający się polityką, niezdolny do niej. W przeciwnym razie dom jego wydzielałby się od reszty, jako przeznaczony dla przedstawiciela władzy wyższego rzędu, państwowej.

Więc może tak było, że zajęcie kraju przez Piastów przede wszystkim wpłynęło na poprawę warunków bezpieczeństwa? Gród i załoga nad ważnym brodem, który dla zbójów był tym samym, czym wodopój dla zwierząt drapieżnych. Miejscem, którego nikt ominąć nie może, gdzie najłatwiej napadać i obdzierać. Więc może ta piastowska władza przede wszystkim ulepszała, przyjmowała na siebie i wzmagała funkcje życiowo ważne dla ogarnianych przez nią regionów? Nie tyle eksploatowała, co służyła? To by tłumaczyło jej historyczne powodzenie. Bo wiadomo przecież, że od każdego ustroju poddani czy obywatele oczekują nieustannego oddawania usług. Porządek, który nie spełnia tego warunku, stoi na glinianych nogach. Piastowskie były mocne.

Takie wnioski zdają się wynikać z rewelacyjnego stwierdzenia, że w feudalnym grodzie wiślickim siedziby feudała w ogóle nie było.

Piastowie wprowadzali plemiona lechickie pod wspólny dach państwowy.

Przemoc stosowali, byli okrutni, lecz nie barbarzyńscy. To znaczy, że nie niszczyli odwiecznie ustalonego ładu prowincji. Ulepszali go raczej i chronili siłą dużego państwa.

W odbudowanym później grodzie wiślickim znalazł się dom większy, wyróżniający się od reszty. Ale były to już czasy rozbicia dzielnicowego i budowla owa mogła stanowić mieszkanie samego księcia.

W jednym z tych starszych, kwadratowych domków służących załodze znaleziono przedmiot bardzo dziwny. Jest to wydłużona figurka kościana, podobna do trzonka noża. Samą głowicę wieńczy sześć popiersi ludzkich, zwartych ramionami. Wydatne biusty wskazują płeć. Na głowach zaznaczone liniami diademy, niżej naszyjniki czy obramienia dekoltów — a każdy nieco inny. Twarze niby ludzkie, ale dziwnie trójkątne, jakby podobne do ptasich, trochę niesamowite, drapieżne.

Dr Wartołowska przypuszcza, że mogą to być wyobrażenia wił, słowiańskich nimf, boginek wodnych. Domysł pasuje do natury miejsca — gród wiślicki leżał na czymś w rodzaju wyspy wśród rozległych mokradeł. Trzonek pogańskiego noża obrzędowego? Jak Polska długa i szeroka niczego podobnego nie znaleziono. Tylko na biuście jednej z dziwożon wyraźnie widać nacięcie w kształcie ukośnego krzyżyka. Zupełnie takie samo, jakie nosi magiczny konik z Opola, wykonany w stuleciu XI, oraz ogromne rzeźby ze Ślęży, zdziałane około V wieku przed Chrystusem.

Najstarsze fortyfikacje w Wiślicy — te właśnie, w których mieszkał właściciel dziwnego noża — składały się z typowych wałów drewniano-ziemnych. Całe kolisko obronne utrzymało się do dzisiaj, aczkolwiek od bardzo dawna niszczył je kto chciał, a w 1914 roku artyleria robiła tu sobie stanowiska bojowe. W XII stuleciu zastosowano nowy typ umocnień. Był to mur kamienny. Ślady jego występują na całym kręgu, duże odcinki można i teraz podziwiać. Gdzie indziej znikł, bo gdy tylko w 1915 roku front odtoczył się na wschód, pewien przedsiębiorczy obywatel Wiślicy zorganizował eksploatację i sprzedaż kamienia.

Od czasu odkrycia pod ulicą Batalionów Chłopskich badacze przyglądają się murowi ze wzmożoną uwagą. Widać w nim bowiem kamienie ociosane w kształt regularny, takie, jakich się zwykle używa przy bardziej skomplikowanym budowaniu. Być może pochodzą one ze starego kościółka, który wtedy ostatecznie zakończył swój żywot.

Ciasna świątynka od dawna już przestała wystarczać, nie tyle może osiedlu, co dworowi książęcemu. Toteż już za Kazimierza Odnowiciela lub Bolesława Śmiałego o trzydzieści metrów na zachód od niej stanął trzynawowy kościół romański, również zresztą niezbyt obszerny. Kiedy miasto wstąpiło w okres rozwoju, z powodzeniem zaleczając rany zadane mu w roku 1135 przez Rusinów, Pieczyngów i Węgrów, w tym samym miejscu wzniesiono nową trzynawową świątynię, która murami swymi ogarnęła kościół Odnowiciela czy Śmiałego, uczyniła z jego części kryptę własnego prezbiterium. To tam właśnie nieznani mistrzowie wykonali płytę gipsową i pokryli ją rytem. Prawdopodobnie stało się to za Kazimierza Sprawiedliwego. Od roku 1166 Wiślica była własną dzielnicą tego księcia.

W praktyce wyglądało to tak: człowiek idący od drzwi kościoła w pobliżu prezbiterium natrafiał na schody, które prowadziły go w dół. Minąwszy płytę,

przeciwległym biegiem schodów wynurzał się z podziemia i stawał tuż przed ołtarzem.

Sklepienie krypty opierało się na czterech kolumnach, obramiających płytę (bazy trzech zachowały się do dziś). Było wykonane sposobem stosowanym i teraz — z zaprawy z gipsu hydraulicznego, którą wylano do odpowiedniej formy i której pozwolono zakrzepnąć.

W 1241 roku najazd Tatarów zniszczył południe Polski. Szosa z Kielc do Wiślicy omija Chmielnik, pod którym Mongołowie rozbili wtedy rycerstwo ziemi sandomierskiej.

Na przełomie XIII i XIV wieku działał osławiony biskup krakowski, Jan Muskata. Chórem podnosiły się przeciwko niemu oskarżenia o to, że jest przysięgłym wrogiem nie tylko Władysława Łokietka, lecz i całego narodu polskiego, który pragnie wytępić. Między innymi zarzutami w skardze kleru sandomierskiego figurował jeden, szczególnie ciężki. Muskata miał zniszczyć w Wiślicy jakiś kościół.

Wykopaliska naprowadziły na ślady poczynań biskupa. Są to mury i fundamenty bardzo potężnej wieży, przy której wznoszeniu bez ceremonii używano odłamków starszych, romańskich. Coś z prawdy było więc we wspomnianych narzekaniach kleru, chociaż można przypuszczać, że Muskacie chodziło nie o zniszczenie kościoła, lecz o przerobienie go w sensie obronnym. Czasy były niespokojne, do czego w niemałym stopniu przyczyniał się sam biskup. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, w trakcie tych pełnych rozmachu prac zawalono kryptę ziemią i gruzem. Jeśli tak było, zawarty w niej skarb sztuki rytowniczej skrył się przed oczyma ludzkimi na lat przeszło sześćset pięćdziesiąt.

Czasy spokojniejsze, szczęśliwsze zaczęły się o wiele rychlej. Łokietek zmógł przeszkody, zjednoczył co się dało z ziem polskich i w roku 1320 został królem. Podobno to on zaczął budować w Wiślicy na starym miejscu nowy kościół według porządku gotyckiego. Nie wiadomo, czy tak było na pewno, ale zastanawia, jak bardzo miejscowa tradycja umiłowała postać Władysława.

W kolegiacie znajduje się ciekawa figura średniowieczna. Właściwe jej miejsce jest w głównym ołtarzu, ale teraz — ze względu na wykopaliska w samym kościele — ksiądz dziekan przeniósł ją do tymczasowego, obok kruchty. Pochodząca z pogranicza romańszczyzny i gotyku rzeźba przedstawia Madonnę z Chrystusem na ręku. Podanie, o którego prawdziwości nikt w Wiślicy nie wątpi, zowie ją Matką Boską Łokietkowską. Posąg miał stanowić osobistą własność króla i towarzyszyć mu we wszystkich wyprawach (w co trudno uwierzyć, ze względu na sam ciężar figury).

Latem 1960 roku błyskawicznie rozeszła się po miasteczku pogłoska, że odkryto w prezbiterium złotą trumnę matki Łokietka. Wymysł. Dlaczego jednak uczepił się on akurat tej postaci? Jakoś te wiślickie legendy z uporem trafiają w tę samą, odwieczną koleinę. Widocznie na początku XIV stulecia zaszło tu coś, czego echa przechowuje pamięć zbiorowa. Musiało to być przeżycie głęboko wzruszające i dobre. Może naprawdę Łokietek ukrywał się w Wiślicy za czasów swej niedoli?

Tym bardziej to wszystko zastanawia, że majestatyczna tablica rzeźbiona, ozdabiająca wejście do kościoła, przedstawia nie Łokietka, lecz jego syna, Kazimierza Wielkiego. Klęczący król trzyma na dłoniach miniaturę strzelistej

świątyni i ofiarowuje ją Madonnie. Jeśli nawet Kazimierz nie zaczął budowy gotyckiej kolegiaty, to ją na pewno wykończył. Na frontonie pozostały jednak wieże romańskie i trwały jeszcze przez sześć prawie stuleci.

Wiele dobrodziejstw otrzymała Wiślica od Kazimierza, ale żadne z nich nie spłynęło na stare grodzisko, które stało się już po prostu niepotrzebne. Monarcha wzniósł zamek w samym mieście i opasał je murami.

Ludzie z zespołu dr Wartołowskiej poszukują dzisiaj ich śladów. Kopanie odbywa się w rozmaitych punktach — na skarpie wyniosłości, w ogrodach, tuż przy stodółce czy chlewiku — zawsze jednak na samym obrębie mieściny, która dotychczas jakby się nie odważyła przekroczyć Kazimierzowych granic. Także i ulice Wiślicy dochowują wierności planom wytyczonym za jego rządów.

Same mury obronne znikły późno. W początkach XIX wieku rozebrano je, a materiał sprzedano. Były z cegły.

Zaniedbane grodzisko służyło obywatelom za miejsce wypasu bydła, lecz także i do celów dość specjalnych. Można by nawet mówić o tradycji, gdyby nie to, że każdy musiał sam wpaść na pomysł, wiadomości się nie udzielało. Podczas zamieszek wewnętrznych, wojen i innych niepokojów ten i ów ukradkiem, najpewniej po nocy, zakopywał tam kosztowności. Ale nie każdemu dane było wrócić potem. „Skarby" pozostawały w ziemi, czekając na archeologów.

Po roku 1135, kiedy gród stał pusty, bez załogi, ktoś schował tu garnuszek z kilkuset monetami srebrnymi, odnaleziony dopiero w roku 1960. O tym się jeszcze wspomni w ostatnim rozdziale książki. Ale najpokaźniejszy skarb wygrzebano dziesięć lat wcześniej. Oprócz monet, był tam kubek srebrny, dwie łyżki, aż sto siedemdziesiąt guzów od żupanów szlacheckich oraz rzecz, która zdradziła narodowość właściciela: pieczęć z literami hebrajskimi. Ukryte to zostało w wieku XVII, po wojnach szwedzkich, kiedy w Wiślicy wybuchły rozruchy przeciwko Żydom.

W grodzisku znajduje się jeszcze jedna osobliwość. Można tam zobaczyć szczątek starodawnej studni o wodzie słodkiej. Rzecz niby całkiem zwykła, dziwić się zacznie dopiero ten, komu wiadomo, że w dzisiejszej Wiślicy nie warto kopać studzien, bo występuje w nich woda gorzka, nie nadająca się do domowego użytku (w pobliżu leży Busko ze swymi źródłami leczniczymi, kto wie, czy i Wiślicy nie czeka przyszłość miejscowości kuracyjnej). Interesujące, w jaki sposób założyciele grodu odgadli, gdzie trzeba kuć skałę, by natrafić na zdrój.

Do miasteczka przywozi się wodę z Nidy beczkami i sprzedaje na wiadra. Taki stan rzeczy trwał bardzo długo i dopiero ostatnio postanowiono go zmienić. Po elektryczności, której Wiślica nigdy dawniej nie oglądała, przychodzi kolej na wodociągi. Prace wstępne stały się szczeblem do nowej sławy osiedla.

Jesienią 1957 roku archeologowie otrzymali wiadomość, że rów prowadzony wzdłuż ulicy Batalionów Chłopskich odsłonił jakieś głęboko położone mury, natrafił również na szkielety. Początkowo Gromadzka Rada Narodowa zgodziła się tylko na czas pewien odstąpić ulicę badaczom. Teraz nie ma już mowy o usuwaniu ich stamtąd, nikt tej kwestii w ogóle nie podnosi. Mury kościółka i chrzcielnicę przykryje specjalny stały budynek, umożliwiający zwiedzanie, a jezdnia go ominie, pójdzie bokiem. Tradycja Kazimierza Wielkiego ulegnie

złamaniu, bo natrafiono na starożytności, o których i on już nie wiedział. Wzruszające są refleksje mieszkańców: — takie świętości w ziemi! A chodziło się tędy i splunęło czasem. I krowy placki zostawiały. Kto mógł wiedzieć!

Godna upamiętnienia jest skrócona tabelka dotacji pieniężnych na wykopaliska. Jak przystało, zapoczątkował ją konserwator wojewódzki sumą trzech tysięcy złotych. Potem Gromadzka Rada Narodowa dała dziesięć, po niej z takimiż sumami przyszły powiat Busko i tamtejsza Miejska Rada Narodowa. Powstała również w Busku Komisja Przyjaciół Wiślicy. To wszystko było w roku 1958. W następnym powiat i województwo wystąpiły już z setkami tysięcy. Obecnie zapewniona jest co roku półmilionowa przeszło kwota z kasy Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego.

Pomoc finansowa rozwijała się poczynając od dołu. Najpierw dała gromada, potem stolica. Tak być powinno. Podczas specjalnego zebrania pewien stary gospodarz, na pamięć i na wyrywki znający statystykę gromadzką, przekonywająco wywodził, że niechby każda zagroda ofiarowała tygodniowo jedno jajko, a zbierze się pokaźna suma. Tutejszym wykopaliskom od początku towarzyszy zjawisko pod każdym względem cenne: przychylny mikroklimat, życzliwość bezpośredniego otoczenia.

Ma Wiślica i wiernego stróża swoich starożytności. Jest nim Stefan Marzec, od dawna tu osiadły nauczyciel. Czerpiąc ze swej roboty korzyści natury wyłącznie moralnej, dba on o wszystko. Oprowadza, informuje, propaguje, założył księgę pamiątkową, zajmuje się czym tylko potrzeba. Dzięki niemu archeologia obecna jest w Wiślicy na codzień, a nie tylko w sezonie prac.

W domu Stefana Marca mieści się kwatera dr Wartołowskiej. Od czasu odkryć i w Wiślicy wystąpiły tak zwane u nas trudności lokalowe. Ekipa badawcza jest liczna, potrzebuje mieszkań, pracowni pod dachem, magazynów. Ksiądz Paweł Wołoszyn, dziekan miejscowy i od bardzo wielu lat proboszcz, oddał jej do rozporządzenia połowę domu Jana Długosza. Trudno o postępek bardziej zgodny z istotą życzeń wyrażonych na ostatniej karcie dzieła wielkiego historyka, który błagał „wszystkich duchownych, tak zakonnych jako i świeckich, wielebnych i przezacnych mężów, doktorów, profesorów, mistrzów i pisarzów", aby po jego zgonie „księgi te dziejów rocznych w dalszym ciągu pisali, a nigdy przerwy w nich lub zaniechania nie dopuszczali... pracując w ten sposób dla dobra powszechnego, dla pożytku i zaszczytu miłej ojczyzny, a więcej jeszcze dla chwały Bożej i prawdy".

Mnie także przypadła kwatera w domu Długosza. Była to duża, chłodna izba na piętrze, z oknami otwierającymi widok na cmentarz przykościelny, boczną ścianę kolegiaty i tablicę Kazimierza Wielkiego. Na drewnianych półkach mieściło się to, co po dwóch wojnach światowych ocalało z księgozbioru parafialnego. Wydobyłem tom, którego rozmiary zwracały uwagę. Zawierał rozporządzenia urzędowe, jakie w przeciągu jednego tylko roku 1796, pierwszego po trzecim rozbiorze Polski, wydać raczył „Franciszek Wtóry, z Bożey Łaski obrany Cesarz Rzymski, po wieczne czasy Pomnożyciel Rzeszy, Król Niemiecki, Węgierski, Czeski, Gallicyi i Lodomerii etc. etc. Arcyksiążę Austrii, Xiążę Burgundii, Lotharingii, Xiążę Toskański etc. etc." — Już 21 marca 1796 obwieszczono w jego imieniu: „Gdy okoliczności teraźnieysze zupełny rozbiór Królestwa niegdyś Polskiego za sobą pociągnęły... zatym Herby Polskie

z mieysc, na których się jeszcze znayduyą zdięte bydź natychmiast powinny a Nasze Cesarsko-Krolewskie Herby umieszczone bydź mają".

Do czego się tylko nie wtrącały te aż nazbyt opiekuńcze rządy! W całym majestatycznym aparacie, wymieniając tytuły władcy, podano na przykład do wiadomości publicznej, że nie wolno importować z zagranicy lakierowanych deszczułek do oprawy szczotek.

W sąsiednich izbach kwaterowali poszukiwacze, na parterze była ich stołówka.

Drużyna badawcza jest tu różna od widywanych poprzednio na wykopaliskach (podobną spotkałem raz jeden tylko — w Płocku w roku 1956). Bo też działa ona z ramienia Zespołu Badań nad Polskim Średniowieczem utworzonego przez dwie wyższe uczelnie stołeczne: Uniwersytet oraz Politechnikę. Kierownikiem jest profesor Włodzimierz Antoniewicz, zastępcą jego profesor Piotr Biegański, dzięki któremu dostałem się z Kielc do Wiślicy i powróciłem do samej Warszawy komfortowo i w stylu wybitnie nowoczesnym: samochodem Politechniki, z szybkością wahającą się od stu do stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

Oprócz dwóch osób już wymienionych Zespół Badań stanowią profesorowie: Aleksander Gieysztor, Jerzy Teliga, Zofia Wartołowska, Michał Walicki, Jan Zachwatowicz oraz magister inżynier Andrzej Tomaszewski — sekretarz naukowy. W lipcu, akurat podczas mojej wizyty, z utęsknieniem czekano na kratownicę, którą według projektu profesora Teligi wykonywał „Mostostal". Miała być nie tylko mocna, lecz i kunsztowna, plastykowana, dyskretna i miła dla oka, a posłużyć do zabezpieczenia podziemnej krypty. Dopiero po jej założeniu wolno będzie badaczom posunąć się dalej, ruszyć słój ziemi i gruzu zasłaniający resztę płyty gipsowej.

Nic jeszcze nie powiedziałem o człowieku, który pierwszy do niej dotarł. Nazywa się Tomasz Mrówka. Nieduży, raczej okrągławy, przyjemny młody człowiek, nie pozbawiony poczucia humoru oraz — na oko sądząc — charakteru. Żadnych zwierzeń nie udało się z niego wydusić. „A no, kopało się, kopało..." — mówi, spoglądając nie bez ironii. Zdaje się, że zaprzysiągł dozgonną wierność naczelnemu przykazaniu naszej współczesnej młodzieży, które powiada: za skarby świata nie okazuj przejęcia się. — Do sławnej płyty pierwszy dotarł magister, owszem, ale inżynier. Tomasz Mrówka ukończył Politechnikę, a nie Uniwersytet.

Nie ma co mówić, Politechnika wniosła tu nowy, bardzo pożyteczny ton — rzutkość, przekonanie, że najbardziej nowoczesne narzędzie to reguła, chleb powszedni. No i całą swą wiedzę specjalną. A jej samej przyda się posłużyć trochę nauce historii.

Na wykopaliskach zaczynają się nawzajem przenikać dwie dyscypliny, które przez dziwaczne nieporozumienie uchodzą za wrogie. Oczywiście w oczach ludzi nie mających pojęcia ani o jednej, ani o drugiej.

Tylekroć wspominana krypta leży nie na osi kolegiaty i nie w prezbiterium. Znajduje się po stronie lewej — czyli Mszału — tam, gdzie do niedawna stał boczny ołtarz. Odnalezienie jej to osobna i bardzo pouczająca historia.

Podczas pierwszej wojny światowej artyleria tak naruszyła kolegiatę, że później trzeba było w wielu miejscach rozebrać mury do końca i odbudować wszystko na nowo. Prace prowadził sławny historyk sztuki i architekt, Adolf

Szyszko-Bohusz. Można podziwiać ich rozmach i tempo, skoro zostały ukończone w pięć lat po odzyskaniu niepodległości. Były to czasy ciężkie, a oprócz tego nikomu się wtedy nie śniło o takich chociażby pomocach technicznych, jak ciężarówki. Do usuwania gruzu, przywożenia i odwożenia wszystkiego służyły koniki, resztę załatwiały dłonie ludzkie.

Dokonały wówczas żywota dwie wieże romańskie, pamiętające wiek XII. Stało się to przypadkiem, a starsi mieszkańcy Wiślicy barwnie o tym opowiadają. Okna i inne otwory wież były od dawien dawna wypełnione kamieniami. Usunięto je, nie zastanowiwszy się, że nikt nie dźwigałby ciężarów na wysokie piętra dla rozrywki, owe kamienie umieszczono więc celowo. Pewnego dnia robotnicy pracowali na rusztowaniach, kiedy raptem zatrzeszczało i jakby zadymiło ze ścian. Stary majster połapał się pierwszy. „Wiara, skakać!" — krzyknął z dołu. Wielkie kupy piachu ocaliły kości spadających z wysoka ludzi. Ledwie zdążyli odbiec, wieże runęły w bok, w kierunku domu Długosza.

Profesor Szyszko-Bohusz kopał również w samym kościele, ruina wojenna oraz odbudowa dostarczyły po temu okazji. Sporządzał naturalnie plany odkrywek, które szczęśliwie przetrwały okupację. Dzisiejsi badacze nawiązali do spadku po poprzedniku, zmarłym w roku 1948. Plany powiedziały im, że Szyszko-Bohusz natknął się na jakieś murki położone o trzy przeszło metry pod posadzką. Doszedł aż do nich, lecz nie posunął się dalej w głąb.

Postanowiono kopać w tym samym miejscu. Okazało się, że Szyszko-Bohusz przerwał pracę, kiedy od rytowanej płyty dzieliła go warstewka grubości dwudziestu centymetrów. Zabrakło jednego sztychu łopaty, może tylko przypadku wynikłego z czyjegoś roztargnienia. A nic wtedy, w latach dwudziestych, nie wskazywało, że kiedykolwiek jeszcze można będzie ryć jamy w samym kościele.

Płyta w Wiślicy należy do naprawdę wielkich odkryć naukowych, stoi na równi z kolumnami ze Strzelna, odsłoniętymi w 1946 roku przez profesora Zdzisława Kępińskiego. Te znakomite dzieła sztuki rzucają zupełnie nowe światło na kulturę Polski XII wieku. Ostatecznie obalają zakorzenione mniemania o dzikości i prymitywie.

O płycie wiślickiej mogliśmy się dowiedzieć lat temu bez mała czterdzieści. A ponieważ nie dowiedzieliśmy się, przez tyleż czasu nauka oraz opinia publiczna żywiły wyobrażenia zupełnie fałszywe. Brakło dowodu rzeczowego, który by je podważył. Z tego samego powodu nikt się do podważania nie zabierał. Nie miał po temu bodźca.

To powinno nas nauczyć zbawiennej skromności. Wiele pewników naukowych trwa niewątpliwie tylko dlatego, że nie można ich obalić przy pomocy kontrargumentu, który istnieje, lecz dotychczas nie został poznany. Jak wykazuje doświadczenie, uczonemu zdarza się czasami ominąć tajemnicę o włos. Ostrożność jest szczególnie zalecana w nauce historii, bo w tej dziedzinie źródła naszej wiedzy zawsze pozostawały na łasce losu. Przypadek gospodarzył jak chciał.

Zaginęło mnóstwo dokumentów, które kiedyś znajdowały się tu, w Wiślicy, w domu Jana Długosza. Leżały na stole kronikarza, spoczywały w jego zamczystych skrzyniach. Do czasu... Długosz był nie tylko świetnym pisarzem, ale i sumiennym pracownikiem. Gromadził źródła w sposób bardzo staranny. Jed-

akże jego metody badawcze pozostawiały wiele do życzenia. Ileż dokumenów pominął, niewłaściwie streścił lub pojął! I ileżby one powiedzieć mogły zisiaj, gdyby istniały. Nie ma ich i nigdy nie wrócą.

Historia nie powinna pozować. Do matematyki się nie upodobni, a strai tylko własne oblicze. Chce czy nie chce, pozostanie bliską krewną literatury.

Większość dziejopisarzy kategorycznie dziś zaprzecza nieśmiałym domysłom, e twórcy Drzwi Gnieźnieńskich czy kolumn ze Strzelna mogli być Polakami, yszkolonymi w artystycznych środowiskach Zachodu. Wczoraj jeszcze żaden istoryk nie ośmieliłby się głosić, że książę Kazimierz Sprawiedliwy zdobił Viślicę dziełami sztuki, z których Italia czy Nadrenia też byłyby dumne.

Historia chce się teraz na gwałt upodobnić do nauk ścisłych i przyrodniych, lecz niektórzy jej arcykapłani stanowczo odmawiają posługiwania się oświadczeniem. Nie chcą wysnuwać z niego wniosków. Czy to nie dziwne? przecież doświadczenie to żąda tak mało: tylko teoretycznej zgody na prakyczną możliwość najbardziej z pozoru niemożliwych rzeczy.

Wracajmy do konkretu. Mieć plany Szyszko-Bohusza to było grubo za ało. Należało jeszcze dokopać się odkrytych przez niego murków i zajść łębiej. To wymagało zgody gospodarzy kolegiaty na... Postaram się pokrótce okazać na co.

Stalle, które znajdowały się dotychczas w prezbiterium, utworzyły ścianę, dgradzającą dwie trzecie wnętrza kościoła. Wiernym pozostała reszta, przyegła do kruchty. Tam odbywają się w ciasnocie wszelkie nabożeństwa. Za rzegrodę ze stall wchodzić nie wolno.

W odstąpionych sobie partiach naw badacze zdjęli przede wszystkim całą osadzkę. Odsłonił się widok dosyć niesamowity. Wszedłem od strony, gdzie o niedawna wznosił się wielki ołtarz. Stanąłem w prezbiterium wysłanym rumnami i kośćmi. Zaraz na lewo trumna niezwykłych rozmiarów, mieszcząca zapewne dwoje ludzi. Zaklęśnięte wieko czyni ją podobną do łodzi. Dalej druga, sporządzona z jednego pnia drewna, dłubana w okrąglaku. Obok ała trumienka dziecka, wkopana w sam środek, jakby w łono grobu zwykłej ielkości. Dno kościoła to jedno pole brunatnego prochu, czaszek i piszczeli.

Z nawy i prezbiterium wydobyto dotychczas sto siedemdziesiąt sześć szkieetów. Najstarsze pogrzebane były w głębokim średniowieczu, kiedy nie było eszcze gotyku i wszechwładnie panował styl romański.

Jama, która odsłoniła kryptę, jest obszerna. Wydrążenie jej przedstawiało zalone ryzyko, świadomie podjęte zarówno przez wykonawców, jak i przez ych, co wyrazili zgodę. Budowniczowie ogromnej kolegiaty gotyckiej nie rzewidywali próżni w jej wnętrzu. Zanim ściany dołu skrzepiono rozporami, omimo największego pośpiechu i troski, fundamenty musiały przez czas ewien wytrzymać straszny ciężar parcia zewnętrznych mas ziemi, którym aptem zabrakło równoważnika w środku, między ścianami. Od początku stniało pełne zaufanie do fachowców z Politechniki, brakło jednak absolutnej warancji, że wszystko się powiedzie.

Życzliwość, którą miejscowe duchowieństwo świadczy wykopaliskom, godna est wielkiego uznania i stanowczo trzeba ją upamiętnić drukiem. Ksiądz Paweł Wołoszyn pomaga jak może, własnym autorytetem tłumi w zarodku szelkie plotki, nawet z ambony mówi o powadze poczynionych odkryć.

Kiedy bawiłem w Wiślicy profesor Biegański otrzymał pismo z oficjalną zgodą kurii na rozpoczęcie poszukiwań w Kijach. Przyziemie tamtejszego kościoła to także głębokie średniowiecze, styl romański.

III

U schyłku lata 1960 roku została odsłonięta dalsza część płyty, ta, ku której spoglądały trzy wcześniej poznane postacie. Prasa całego kraju natychmiast wydrukowała wizerunki. Wiadomo więc, że pojawiły się trzy inne figury ludzkie — mężczyzna świecki, młodzieniec, a pomiędzy nimi duchowny.

Nad ich głowami, zachodzący również na bordiurę, napis ryty pięknymi literami, których styl nosi nazwę kapitały. Oto on:

HI CONCULCARI QUERUNT UT IN ASTRA LEVARI POSSINT ET PARITER VE...

Znaczy to po polsku: ci pragną być podeptani, aby mogli być podniesieni do gwiazd i jednocześnie...

Dalszego ciągu nie poznamy nigdy. Druga część płyty zachowała się w stanie o wiele gorszym. Jest nawet częściowo uszkodzona, tam właśnie, gdzie napis biec zaczął pasem obramienia. Gips nie wytrzymał doświadczeń, jakich mu czas nie szczędził, wykruszył się.

Czyżby zatem naprawdę grobowiec, nadzwyczajnie oryginalne wieko sarkofagu książęcego? Już przedtem zwróciło uwagę, że ułożona zamiast podłogi płyta nie była zatarta. Tylko jeden jej róg zdawał się zdradzać ślady rzeczywistego deptania. Pełen pokory napis mógł być tylko gestem.

I sama płyta mogła być tylko symbolicznym grobowcem. Nie kryć zwłok, lecz wyobrażać ludzi żywych, którzy sami polecili umieścić swe wizerunki nisko, u stóp ołtarza.

Więc to ku niemu wznosiły się dłonie i kierował wzrok osób bardzo wielmożnych, wyobrażonych rylcem artysty. Ku ołtarzowi oraz ku fryzowi wieńczącemu całą kompozycję płyty. Widnieją na niej dwie złączone, stylizowane gałęzie — symbol Drzewa Życia. Tę samą wymowę miałby wyobrażony w tym miejscu znak krzyża.

Z obu stron drzewa dwa szponiaste lwy paszczami, które są uderzająco podobne do groźnych twarzy ludzkich, zwrócone ku widzom. Oczy obydwu są ciemne, jakby ślepe. Rytownik wypełnił je całkowicie czarną zaprawą, tą samą, którą nasycał bruzdy rysunku. Według teorii profesora Antoniewicza lwy przedstawiają demony, lecz już nieszkodliwe, pokonane przez Drzewo Życia.

Niżej, pod fryzem i bezpośrednio pod napisem, pokazały się nowe rozmodlone postacie. Środkowa, znacznie wyższa od sąsiednich, to duchowny w piusce albo z dużą tonsurą. Przy nim mały chłopak wyobrażony w sposób porywająco piękny. W jego lekkim, nawet beztroskim geście modlitwa zlewa się w jedno z naiwnym zachwytem dziecka. Z drugiej strony księdza wznosi twarz i ręce stary, brodaty człowiek. Szata jego jest bardziej powłóczysta i jakby uboższa. On jeden nie ma u spodu tuniki rąbka z kropkami. I tylko jego oczy są wypełnione ciemną farbą jak u lwów. Czyżby ślepe?

Ale tym razem możemy mieć do czynienia nie z symboliką, lecz z wiernym odtworzeniem modelu. W średniowieczu cała Europa roiła się od ociemniałych. Żałosny — słabe słowo! — wprost potworny stan higieny czynił ze ślepoty zjawisko zwykłe. Tracili wzrok biskupi, królowie, jak słynny Jan z Luksemburga, pan Czech. O infekcjach wiedzieli oni tyleż, co najlichszy z ich poddanych.

Domysły wolno snuć tym śmielej, że i uczeni dalecy są na razie od wniosków ostatecznych. Wszyscy godzą się co do artystycznej wartości zabytku, reszta stanowi przedmiot dochodzeń i sporów.

Dla historyków, a tym bardziej chyba dla historyków sztuki, kwestia tożsamości wyobrażonych na płycie osób nie znaczy zbyt wiele. Zupełnie inaczej z pisarzem. Żywy, konkretny człowiek stoi w literaturze na pierwszym miejscu. On jest warunkiem jej istnienia.

Jakżeż to mogło wyglądać, kiedy rodzina książęca kroczyła na nabożeństwo? Z przodu, w pierwszym szeregu, szedł syn młodszy z opiekunami. Z kapelanem dworu, spowiednikiem i doradcą oraz ze starym, już ociemniałym piastunem. Za nimi sam książę, mający po prawicy małżonkę, po lewicy pierworodnego. Przecież ten właśnie układ widzimy na płycie. I jeżeli słusznie wymienia się imię najmłodszego z synów Krzywoustego, to obraz staje się jeszcze bardziej czytelny:

Kazimierz Sprawiedliwy, jego żona Helena Rościsławowiczówna, księżniczka kijowska („Helena w stroju niedbałym") oraz ich dwaj synowie — Leszek Biały i Konrad, nazwany później Mazowieckim. Sam wygląd dwu pozostałych postaci dowodzi, że nie należały one do rodziny panującej.

W pierwszym szeregu stoi ksiądz. Wysoki wzrost tej postaci podkreśla dostojeństwo stanowe. Duchowny o całą głowę przerasta starego ślepca (rytując dolny szereg, artysta starał się go wyrównać, postać środkową przedstawił w półprzyklęku). Średniowiecze, teocentryzm, przemożna rola religii? Oczywiście. Ale czy w tym konkretnym wypadku kompozycja rytu nie wskazuje dodatkowo na Kazimierza Sprawiedliwego? Przecież ten książę zawdzięczał swój piękny przydomek klerowi, któremu sprzyjał i ulegał. Jeżeli wierzyć Wincentemu Kadłubkowi, jeszcze na chwilę przed nagłym zgonem podczas uczty Kazimierz zadawał pytania dotyczące życia pozagrobowego i zbawienia duszy.

Na Kazimierza Sprawiedliwego zdają się wskazywać aż trzy argumenty: data, miejsce i treść rytu.

Wątpię, czy słuszna jest praktyka zaopatrywania jego przydomka w uszczypliwy cudzysłów. Polityka Sprawiedliwego nie przyczyniła krajowi ani blasku, ani szkody. Jej ocena jest zresztą sprawą podrzędną wobec niezbicie dodatniego ogólnego bilansu rządów piastowskich. Kler otrzymywał od księcia przywileje, obwarowywał swą pozycję, przez to samo dając przykład społeczeństwu świeckiemu, które uczyło się żądać prawa spisanego. Zastąpienie kodeksu obyczajowego paragrafami utrwalonymi piórem na pergaminie to na pewno był wielki postęp. W roku 1180 Kazimierz II Sprawiedliwy wydał w Łęczycy znany przywilej, którym wyrzekał się panującego w całej ówczesnej Europie *iuris spolii*, czyli prawa księcia do zabierania ruchomego majątku zmarłych biskupów. W sto kilkadziesiąt lat później Kazimierz III Wielki ogłosił w Wiślicy statut, który zabraniał dziedzicom zagarniać mienie

bezpotomnie zgasłych chłopów, przeznacza owe dostatki najbliższym krewnym nieboszczyka. Od Łęczycy do Wiślicy droga wyraźna. Jej sens polegał na rozszerzaniu i umacnianiu uprawnień społeczeństwa.

Wykopaliska odsłoniły fragment tego, co epoka Sprawiedliwego zrobiła dla sztuk plastycznych. Na pewno tylko fragment, bo nigdy nie dowiemy się, jak wyglądał cały kościół wiślicki, który nie był wszak jedynym we włościach Kazimierza.

To on pewnie otoczył grodzisko murem kamiennym. Wykryto tam znak kamieniarski, grecką literę, co niedwuznacznie wskazuje, że majstrowie, którzy budowali, pochodzili z północnej Italii, z Lombardii. I stanowili oczywiście znowu zespół, bractwo. Nic nie przeszkadza domysłom, że i twórcy płyty byli Italczykami.

Nie ma żadnych powodów do poniżania pamięci Kazimierza Sprawiedliwego.

Spory o sens odkryć z ulicy Batalionów Chłopskich będą bardzo zacięte i zasadnicze. Oby tylko nie odbywały się w pomieszczeniach hermetycznie zamkniętych, to znaczy na łamach czasopism fachowych. Nastąpi zupełna klęska, jeżeli i tym razem zastosuje się dziwny wynalazek lat ostatnich. Polega on na tym, że referaty uczonych odbija się na powielaczach i dostarcza kopie nielicznemu gronu wybranych. Tak traktowana nauka przestaje istnieć jako zjawisko społeczne, traci byt obiektywny, trzeba to wreszcie bez ogródek powiedzieć.

Już teraz specjaliści podzielili się na dwa obozy. Pierwszy stanowczo opowiada się za rewelacyjną starością zabytków, datuje chrzcielnicę na wiek IX, kościółek zaś na pierwszą połowę X. Drugi nie mniej kategorycznie temu zaprzecza. Jego zdaniem kościół powstał w stuleciu XI, a chrzcielnica pamięta najwyżej te same czasy, co jej poznański odpowiednik. To znaczy rok 966, datę chrztu państwa.

Zwolennicy pierwszej z dwu wykluczających się wzajemnie tez widzą w zabytkach wiślickich niezbity dowód przenikania do Polski obrządku słowiańskiego. Jego apostołowie, Konstanty-Cyryl i Metody, nigdy oczywiście nie przekroczyli grzbietu Karpat. Mieli jednak uczniów, których wysyłali w dalekie strony.

Pani Zofia Wartołowska broni teorii słowiańskiej z ogniem w duszy i oczach. Co prawda podczas wiślickich pogawędek raczej przekonywała i wyjaśniała, niż broniła, bo ani myślałem przeciwnacierać. Twierdziła między innymi, że obrządek słowiański mógł sięgać nawet do Wielkopolski, a zniekształcone wspomnienie o tym — przechować w podaniu o anielskich odwiedzinach u kołodzieja Piasta. Do chaty jego przybyło, jak wiadomo, dwóch wysłanników nieba. Jeżeli zapomnieć o ich legendarnym charakterze istot nieziemskich, a widzieć w nich tylko misjonarzy, od razu zainteresuje wiadomość, że św. Metody rozsyłał swych uczniów parami. Zawsze dwóch, nigdy w pojedynkę! Szli przecież w podróże pełne niebezpieczeństw. Mistrzowi zależało nie tylko na ich wzajemnej pomocy, lecz i na tym, by choć jeden powrócił i zdał sprawę.

Niezwykli goście mieli rozmnożyć jadło i napitki w komorze Piasta. Jeśli posiadali jako tako zasobne trzosy, sprawa utraci charakter cudu. W księstwie Popiela brzęcząca moneta była pewnie zjawiskiem dość rzadkim.

Już na własną odpowiedzialność dodam, że według legendy aniołowie nie napotkali trudności językowych w porozumiewaniu się z Piastem i Rzepichą.

Więc trzeba zdecydować się na jedno z dwojga: albo zupełnie odrzucić legendę, albo redukując ją do prawdopodobnego minimum przypuścić, że przyszło pod Gniezno dwóch dziwnych, życzliwie usposobionych ludzi, którzy potrafili się dogadać z miejscową odmianą Słowian (ich ewentualny wpływ na późniejsze poczynania Piasta w dziedzinie polityki to już temat wyłącznie dla powieściopisarzy). Ktoś może w ogóle wzruszyć ramionami widząc tak namiętne zajmowanie się legendą. Wbrew pozorom, jego postępowanie dowodziłoby smutnego zacofania. Legend nie należy lekceważyć. Wiele z nich już zdradziło jakiś odległy, rzeczywisty rodowód.

Nie pierwszy raz wypływa u nas kwestia istnienia w Polsce obrządku słowiańskiego. W zbyt gruntowne wspominki wdawać się niepodobna, ale o jednym warto napomknąć. Byli tacy, co głosili, że św. Stanisław ze Szczepanowa, biskup krakowski, reprezentował obrządek nie łaciński, lecz słowiański, i dlatego zginął. Wniosek filozoficzny, którego zresztą nie podtrzymuję, mógłby zatem brzmieć oryginalnie: uznany za wyklętego zbrodniarza, król Bolesław Śmiały szerzył obrządek rzymski (a postępował w sposób właściwy swojej epoce). Niezależnie od powyższego, niezbite fakty dowodzą, że ten król istotnie przez całe życie trzymał się wiernie obozu papieskiego. To była stała wytyczna jego polityki.

Dawne teorie odłóżmy i pomówmy trochę o pewnej współczesnej, głoszonej nie tylko przez publicystów. Przyjęcie obrządku łacińskiego miało więc źle wpłynąć na dzieje Polski. Zostaliśmy odcięci od pozostałych krajów słowiańskich, których kultura znalazła lepsze warunki rozwoju niż nasza. Obawiam się trochę, że odkrycia wiślickie dodadzą zapału wyznawcom mistycznej wiary w utraconę błogosławieństwa liturgii słowiańskiej.

Nie rozpaczałbym tak bardzo nad warunkami, w jakich się znalazła czy też w jakie popadła polska kultura, wykolejona przez nieprzemyślany postępek Mieszka I. Takie żale, rozwodzone w obliczu dopiero co odkrytej płyty wiślickiej, mogłyby bowiem kogoś z czytelników rozśmieszyć. A poza tym — dopóki Polska używała łaciny, jej pisarze dość łatwo osiągali to, o czym daremnie marzą współcześni: znaczenie na rynku europejskim. O przepaści, która miała nas oddzielić od Rusi Kijowskiej, przestańmy nareszcie mówić. Jeżeli już koniecznie zajmować się bajkami, to lepiej tamtymi o Piaście i aniołach. Na pewno więcej w nich prawdy.

Zadziwiająca jest skłonność ludzka do przeceniania zjawisk natury wyznaniowej i w ogóle ideologicznej. Polska i Ruś Kijowska miały wspólną granicę oraz stosunki nawiązane i trwające w praktyce. Cóż zamieszkujących je i rządzących nimi ludzi mogło obchodzić, że legaci papiescy wyklęli w Bizancjum patriarchę, a on ich? Czyż dlatego mieli wykolejać jaki taki ład, burzyć równowagę, mniej więcej ustaloną od wieków? Czysto retoryczne pytania. Papież Grzegorz IX w XIII wieku wzywał przełożonego polskich dominikanów do czujności i do zapobiegania małżeństwom mieszanym. W XIII wieku! Nakaz papieski przyszedł tuż przed najazdem Tatarów, który naprawdę — ale dopiero on! — miał odbić się fatalnie na stosunkach Polski ze Wschodem.

Postępowanie Piastów wobec prawosławnych doskonale pasowało do słów, które wyrzekł ich potomek po kądzieli, cesarz Zygmunt Luksemburczyk: „Zatrudniać się zjednoczeniem Greków nie ma potrzeby, gdy Grecy jedną

z nami wiarę wyznają, brodami tylko i pojmowaniem żon od nas się różnią; czego im wcale za złe mieć nie można, kapłani bowiem greccy na jednej żonie przestają, łacińscy po dziesięć i więcej ich trzymają". Słowa cesarza przekazał potomności kanonik Jan Długosz, właściciel pięknego domu w Wiślicy.

Sprawa przenikania do Polski obrządku słowiańskiego w wieku IX to pasjonujące zagadnienie. Oby tylko nie dostarczyło podniety amatorom prawienia kazań.

Z zupełnie zrozumiałych względów Polska musiała przyjąć chrzest w tym samym obrządku, który wyznawały Niemcy. Wszystko inne byłoby działaniem niepoczytalnym. Raczej nie należy pouczać Mieszka I, co powinien był robić tysiąc lat temu. On wiedział lepiej, o czym zaświadczyły fakty. Wojny katolickiej Polski z katolickimi Niemcami to była polityka i nic więcej. Okazji do szantażu wyznaniowego zabrakło.

Ale ludzie jakoś nie zawsze chcą słuchać wymowy faktów. Istnieje na przykład coś w rodzaju dyskusji na temat przeznaczenia wielkich mis wapiennych, odkopanych w Poznaniu i w Wiślicy. Nie wszyscy chcą uznać, że były kiedyś chrzcielnicami. Słyszałem opinię, wyrażoną tonem lekko protekcjonalnym: no tak, millenium... rok 966... rozumiem, ale może nie chrzcielnica, ale poidło?

W teorię poidła uwierzę natychmiast, skoro mi tylko pokażą kości żyraf, naówczas w Polsce bytujących. Bo nasze zwierzęta mają szyje krótkie. Poidła dla nich przeznaczone miewają zwykle kształt koryt, a nie mich o czterometrowych średnicach.

Dziwnym zbiegiem okoliczności obie tajemnicze czasze odnaleziono w miejscach jak najściślej związanych z kultem chrześcijańskim. W Poznaniu pod posadzką katedry i przed samiuteńkim frontonem pradawnego kościoła, w Wiślicy pod fundamentami takiegoż. Że też w o b u wypadkach nie wyszukano innego miejsca na zbiorniki wody, przeznaczone do celów n i e religijnych! W Poznaniu mógł to być oczywiście basen rozrywkowy, pracowicie po to wykonany, aby dzieci przybyłych na nabożeństwo feudałów miały gdzie puszczać łódeczki z kory.

Bardzo szanuję naukę i mam na to dowody w postaci kilku poświęconych jej książek reportażowych. Inaczej dziać się zaczyna, kiedy w pozór nauki stroją się mniemania dość dowolne, lecz za to arbitralne. Pewien uczony wie, że św. Wojciech zaraz po wylądowaniu w ziemi Prusów rzekł napotkanym ludziom: „przybyłem tu jako wasz zwierzchnik i macie mnie słuchać". Teorię poidła stworzył również właściciel tytułu naukowego.

Żadne z przypuszczeń lub twierdzeń, które tu osobiście wysuwam, nie chce udawać nauki ani nawet jej popularyzacji. To jest tylko esej, co skromnie znaczy po polsku: próba.

Przeszłość kraju Wiślan i jego rola w dziejach państwa polskiego aż kuszą do próby zrozumienia.

Pisząc dziesięć lat temu rozdział *Czoło ziem polskich* — poświęcony Wielkopolsce — zakończyłem go w ten sposób: „Nową stolicę założył Kazimierz Odnowiciel tam, gdzie tradycje chrześcijaństwa były jednak starsze, bardziej zakorzenione. W Krakowie". Niczego nie odwołuję. Skądżeby znowu, skoro jedna z dwóch poważnych teorii naukowych, dotyczących odkryć wiślickich,

chce zdecydowanie potwierdzić starość tradycji chrześcijańskich w tym kraju. Pragnąłbym jedynie znowu zwrócić uwagę na dziwny objaw, który by od biedy można nazwać dwustołecznością Polski średniowiecznej.

Grodem koronacyjnym aż do samego końca XIII wieku pozostaje u nas Gniezno, aczkolwiek już w XI punkt ciężkości przesuwa się do Krakowa. Dopiero w 1320 roku Władysław Łokietek łamie zwyczaj i przyjmuje pomazanie na Wawelu. Syn idzie w jego ślady, ale kiedy w roku 1370 koronę polską ma włożyć Ludwik Węgierski, arcybiskup Jarosław Bogoria ze Skotnik żąda, by stało się to w Gnieźnie. Całkiem jakby chciał wprowadzić nową dynastię w koleinę, wyżłobioną przez stopy pierwszych Piastów. Symbolika wiele znaczyła dla ludzi ówczesnych. Łokietek zmarł dnia 2 marca, lecz pochowano go dopiero po koronacji Kazimierza, która odbyła się 25 kwietnia. To we Francji, a nie u nas wymyślono efektowne zawołanie: „król umarł, niech żyje król!" U nas trumna zmarłego monarchy czekała niejako ze zstąpieniem do grobu, aż spadkobierca zasiądzie na tronie i choć odrobinę się umości. Po zgonie Kazimierza Wielkiego zamiast zwlekania był pośpiech. Pochowano go w dwa dni po śmierci, kiedy Ludwik dopiero zbliżał się do Krakowa. Przybywał przedstawiciel nowej u nas, obcej dynastii. „Wierni" uczniowie Kazimierza zażądali koronacji w Gnieźnie, uczczenia prastolicy.

Bardzo długo trzymało się w polskiej praktyce politycznej wspomnienie o miejscu narodzin państwowości. Jeśli, jak głosi większość uczonych, Kraków został przyłączony w roku 990, to na przodującą pozycję zdecydowanie wysunął się w pół wieku później. Lecz już znacznie wcześniej Chrobry rad w nim przebywał i wyraźnie chyba awansował gród wiślański.

Niedawno powstałe i rozrosłe państwo polskie należało do tych tworów politycznych, które odpowiadają naturze rzeczy. Złączyły się w nich plemiona o silnie zindywidualizowanych obliczach, ale wprost predestynowane do współżycia. Gnieźnieńska szkoła rządzenia, znająca nie samą tylko przemoc, sprzyjała wyrastaniu więzi. Dlaczego jednak właśnie dawny kraj Wiślan zaczął robić tak szybką karierę w nowej wspólnocie lechickiej?

Docent Wartołowska i profesor Antoniewicz używają przekonywających argumentów i przeciwnicy ich poglądów nie będą mieli łatwego zadania. Ale przypuśćmy, załóżmy, że kościółek w Wiślicy nie pamięta X wieku, a chrzcielnica powstała w tym samym czasie, co poznańska. Nawet to nie podważyłoby faktu, że świątyńka Feliksa i Adaukta na Wawelu jest bardzo sędziwa. Istnienie jej zawdzięcza się krótkotrwałym rządom czeskim.

Kraj Wiślan był dla książąt gnieźnieńskich nabytkiem nadzwyczajnej ceny. Opanowanie go równało się dla nich zdobyciu szczebla wiodącego wzwyż. Po prostu dlatego, że ten kraj był lepiej nasycony kulturą.

Igołomia i zespół hutniczy koło Łysogór wiele nas nauczyły o tradycjach i poziomie rodzimej wytwórczości. Oba ośrodki leżały w ziemi Wiślan. Gród w Wiślicy z całkiem określonych powodów stanął nad Nidą. Tędy, przez tę przeprawę, wiódł ważny szlak handlowy z Kijowa do Krakowa. Piastowie zatroszczyli się o jego bezpieczeństwo, ale sama droga i wcześniej była używana. Przez przełęcze karpackie przenikały wpływy południa. Ileż wymowy w fakcie, że o państwie Wiślan nie było głucho w Europie, aczkolwiek leżało w głębi lądu. Nawet Alfred Wielki o nim słyszał i napomknął.

Jak się wydaje, i w dziejach Polski zauważyć można zjawisko doskonale

znane z roczników innych państw. W ostatecznym obrachunku kultura bierze górę nad siłą fizyczną.

Ogólnopolska państwowość miała północny rodowód. Przyszła z Gniezna. W niedługi czas po jej okrzepnięciu krainą naczelną stał się obszar zdobyty późno, południowy. Zabytki kultury materialnej oraz ślady wczesnego przenikania chrześcijaństwa tłumaczą, dlaczego się tak stało.

Katedra wawelska dopiero w 1333 roku stała się cmentarzem królów. Pierwsi Piastowie kazali się chować w Poznaniu, nieco późniejsi — w Płocku. W dobie rozbicia dzielnicowego grodem koronacyjnym i stolicą kościelną pozostawało Gniezno, ale książęta walczyli o Kraków. Przede wszystkim o Kraków. Jego pożądał zarówno Mieszko Stary, jak Konrad Mazowiecki i wszyscy Henrykowie ze Śląska. W XIII wieku tylko wskutek fatalnego przypadku w skali dwóch kontynentów, czyli najazdu Tatarów, nie zjednoczyli Polski Piastowie z Wrocławia rodem. Ostatnim aktem walki o władzę było dla nich opanowanie Krakowa.

Małopolska dochowywała tradycji, wiodących się z czasów wiślańskich. Była tą dzielnicą królestwa, która najchętniej i najłatwiej chłonęła rozmaite nowinki. Wyraźnie różniła się w tym względzie od surowej, przywiązanej do starego obyczaju Wielkopolski. Wiele o tym mówią statuty Kazimierza Wielkiego. Ten wydany w Wiślicy, małopolski, był wybitnie nowatorski.

Zabytki niedawno temu odkopane w owym miasteczku świadczą, jak ciekawie falowała historia Polski. Jak szybko i zdecydowanie poszedł w górę kraj, który wcześnie doznał wprawdzie klęski politycznej od Wielkomorawian, ale nie utracił dorobku kulturalnego.

Wcale nie chcę z góry rozstrzygać o wyniku sporu uczonych. Być może zwyciężą w nim ci, którzy utrzymują, że na białym ekranie zawieszonym w nakrywającej wykop szopie należy napisać: chrzcielnica z roku 966 i kościół pod wezwaniem św. Mikołaja, zbudowany w wieku XI. Zwolennikom tego poglądu życzę oczywiście honorowej porażki, ale to nie ma nic do rzeczy.

Dostatecznie wymowny jest sam przedmiot zatargu. Doprawdy, rewelacje archeologiczne stępiły naszą wrażliwość. Opamiętajmy się, wspomnijmy niedawną przeszłość! Przecież wczoraj prawie bez dyskusji odrzucano domysł, że Mieszko I mógł coś wiedzieć o chrześcijaństwie, zanim sam się ochrzcił. Nowa wiara miała się u nas pojawić nagle, wcześniejszego przenikania być nie mogło.

A teraz poważni, rzetelni uczeni nie wahają się wysunąć twierdzenia, że rok 966 oznacza datę chrztu Gniezna i dynastii, a początki chrzecijaństwa w P o l s c e należy przesunąć na stulecie poprzednie, IX. Tezę taką można dziś nie tylko postawić, lecz ponadto liczyć na sukces w sporze z jej przeciwnikami.

Jeśli Mieszko I odziedziczył po ojcu kraj Wiślan, wolno przypuszczać, że poganin Ziemomysł miał wśród poddanych chrześcijan, a w państwie swym kościoły. Patrząc z Gniezna, widziało się je daleko na południu, za Pilicą.

Paweł Jasienica

Krystyna Miłobędzka

ANAGLIFY

11

Wrona siada na czubkach najcieńszych gałęzi — choć tam nie jest wygodnie ani bezpiecznie, a samo huśtanie jest tylko sposobem utrzymania równowagi. Boi się. Udaje lżejsze ptaki.

12

Grzyby są leśnymi pomnikami ludzi — są względnie trwałe, dopóki stoją, nie przypominają zwierząt ani roślin, przewrócone pachną rozkładającym się mięsem.

Któregoś dnia idzie się do dużego lasu.

13

Dopóki róża jest kwiatem, najważniejsze są powierzchnie: róża czerwona, róża herbaciana, aksamitna, pulsująca ciemnymi żyłkami. Potem najważniejszy staje się zapach. Dzięki niemu można ocalać od śmierci całe pola róż.

Ocalone róże gromadzi się w aluminiowych bańkach. Na wierzchu przykleja się etykietę.

14

W kałamarzu siedzą pofarbowane myśli. Kiedy się głęboko zanurzy pióro, można ich nabrać bardzo dużo na raz — wtedy robią się kleksy. Najczęściej używa się myśli z wierzchu — zupełnie wodnistych. Na samym dnie myśli są tak gęste, że wydają się już tylko kawałkiem kałamarza.

15

Nad klawiaturą organów obok partytury umieszczono lustro. Widać w nim salę koncertową, pozostałe instrumenty, czerń fraków i poruszającą się pałeczkę dyrygenta. Ale muzyki w lusterku nie widać.

16

Zardzewiały rzymski miecz oglądamy w świetle pozafiołkowym. Nachylamy się i uważnie przeszukujemy powierzchnie. Omijamy inkrustowane żyłki złota, motywy roślinne, wojenne sztandary. W miejscu, w którym ukaże się smutny pajacyk w hełmie, z długim patykiem w jednej ręce i pokrywką w drugiej — delikatnie zeskrobujemy rdzę. Tak się wywołuje ducha wojny.

17

Herbata jaśminowa: wyschnięty jaśmin wsypuje się do gorącej wody. Poparzone kwiaty starają się utrzymać na powierzchni, pamiętając, że kiedyś żyły w powietrzu. Ale tylko woda przywracała im życie. Więc toną powoli, osiadają na dnie.

18

Kolibry są kołyskami kolorów — należą do tej samej rodziny latających barw, co motyle, niektóre ryby i ptaki. Kiedy przestają latać, można je obejrzeć narysowane albo wypchane. Później ogląda się szkielet, na którym kolory się utrzymują. Szkielety są białe.

19

Im bardziej myśli się o kolibrach, tym trudniej w nie wierzyć. Dlatego kwiaty zamiast głów mają korony, słupki i pręciki. Rosną nie wiedząc nic o owocowaniu i śmierci.

20

Sprawa pierwsza: jeśli się ma w domu olbrzymi szmaragd, należy go obłupywać po kawałku. Dzięki zielonym szkiełkom można przeżyć jakiś czas, nie będąc szlifierzem szlachetnych kamieni.

Sprawa druga: psy zanurzone w formalinie wyglądają jak psy żywe. Aby złudzenie było pełne, rozchylone pyski przewiązuje się sznurkiem. W formalinie zmienia się tylko nieznacznie barwa preparatu.

Potem dokonujemy syntezy — ustawiamy na kominku zielonego pieska. To już nie śmieszy i nie boli.

Krystyna Miłobędzka

Zbigniew Herbert

O ALBIGENSACH, INKWIZYTORACH I TRUBADURACH

Podróżując po południowej Francji raz po raz napotykamy ślady albigensów. Znikome ślady — ruiny, kości, legenda.

Byłem świadkiem dyskusji, w czasie której uczeni profesorowie brali się za uczone łby właśnie z powodu albigensów. Jest to na pewno jedna z najbardziej kontrowersyjnych kwestii we współczesnej mediawistyce. Warto może zatem przyjrzeć się bliżej tej herezji wytępionej w połowie XIII wieku. Fakt ten łączy się bezpośrednio z powstaniem potęgi francuskiej na gruzach księstwa Tuluzy. Dzień, w którym dogasały stosy Montségur, był dniem ugruntowania mocarstwa Franków. Zniszczono w sercu chrześcijańskiej Europy kwitnącą cywilizację, w łonie której dokonywała się ważna synteza pierwiastka Wschodu i Zachodu. Wytarcie z mapy religijnej świata wiary albigensów — którzy mogli odegrać potężną rolę w kształtowaniu duchowego oblicza ludzkości, jak buddyzm czy islam — łączy się z powstaniem działającej przez wieki instytucji zwanej inkwizycją. Nic więc dziwnego, że ten węzeł problemów politycznych, narodowych, religijnych rozpala namiętności i niełatwy jest do rozplątania.

Literatura narosła wokół problemu albigensów wypełniłaby sporą bibliotekę. Oryginalne jednak teksty tych heretyków można policzyć na palcach jednej ręki. Wypadek częsty w historii kultury. Nie wszystkie dzieła uszły piaskom i ogniom historii, więc trzeba myśl ludzką i cierpienie rekonstruować z ułomków, przekazów wątpliwych i cytatów w pismach adwersarzy.

Aby dobrze zrozumieć rolę albigensów, działających na południu Francji od XII do XIII wieku, trzeba przypomnieć choćby pobieżnie ich dalekich antenatów. Jest rzeczą niewątpliwą, że w ich herezji czy, jak chcą inni, religii odezwał się głos Wschodu. Historycy poszukujący genezy tego prądu ustalają następującą genealogię: gnostycy (niektórzy cofają się jeszcze do Zoroastra) — manichejczycy — paulicjanie — bogomilcy — katarowie (występujący na południu Francji pod nazwą albigensów, od miasta Albi). Cechą wspólną i charakterystyczną tych prądów był jaskrawy dualizm, przyjmujący działanie we wszechświecie dwu pryncypiów: Dobra i Zła, uznanie świata za dzieło Demona (a więc odrzucenie Starego Testamentu), co prowadziło do skrajnego potępienia ciała i materii, a w dziedzinie moralnej — do surowej ascezy. Podłoże psychologiczne tych poglądów stanowiła fascynacja złem ple-

niącym się w ówczesnym świecie, łatwa do wytłumaczenia w epoce przełomów, gwałtów i wojen.

Gnostycy nie cieszą się dobrą opinią wśród wielu historyków filozofii, którzy radzi by ten rozdział usunąć z podręczników, na których kształcą się umysły chłodne i analityczne. Tych jednak, którym nieobca jest estetyczna satysfakcja w obcowaniu z konstrukcjami intelektualnymi, pociągać będzie zawsze teologia i teozofia gnostyków, ich zawrotna drabina hipostaz i eonów, łącząca niebo z ziemią.

Prawdziwym i poważnym konkurentem stał się dla chrześcijaństwa Manes, postać opatrzona dokładną datą urodzin i śmierci. Przyszedł na świat w Babilonii, ale z pochodzenia był Persem, wychowanym w środowisku gnostyków. Prorok o dużych wpływach na dworze królewskim, przekonany o swej mesjanistycznej misji, odbywa podróż do Indii, potem naucza zdobywając tłumy wyznawców, a w końcu ginie, przykuty łańcuchami do muru przez króla perskiego Barhama, po 26-dniowej agonii. Odkrycia w Turfanie i Fajum (a więc w miejscach odległych o tysiące kilometrów) udowodniły, że ten, który mienił się następcą Buddy, Zaratustry i Chrystusa, usiłował istotnie stworzyć synkretyczną religię, łączącą pierwiastki buddyjskie, mazdejskie i chrześcijańskie. Powodzenie religii Manesa było olbrzymie i obejmowało swoim wpływem Chiny, Azję Centralną, Afrykę Północną, Włochy, Hiszpanię i Galię.

Manichejczycy tedy, przez swoje rozległe wpływy, męczeńską śmierć Proroka i jeszcze mocniej niż u gnostyków akcentowany dualizm (walka kosmicznych sił Dobra i Zła przeniosła się w duszę człowieka, rozdzierając ją na połowy) stanowili główną opozycję wobec chrześcijaństwa. Ojcowie Kościoła nie szczędzili anatem lub ci bardziej filozoficznie nastrojeni podejmowali polemiki, jak np. Św. Augustyn (były manichejczyk) w traktacie *Contra Faustum*. Przyciska on swego oponenta do muru, chcąc mu udowodnić, że przyjęcie dwu zasad, Dobra i Zła, prowadzi do wielobóstwa. Faustus jednak odpiera dialektyczne ciosy. „Prawdą jest, że przyjmujemy dwie zasady, ale tylko jedną nazywamy Bogiem, drugą nazywamy *hyle* albo materią, lub też, jak to się pospolicie mówi, Demonem. Jeśli jednak twierdzisz, że jest to jednoznaczne z ustanowieniem dwu bogów, musisz również twierdzić, że lekarz, który ma za przedmiot zdrowie i chorobę, ustanawia dwa pojęcia zdrowia." Po dysputach przemówił miecz, i manicheizm w IV wieku utopiony został w morzu krwi. Tylko w Chinach przetrwał do XIII wieku, tj. do czasu inwazji Dżingis Chana.

Pasjonującym epizodem w dziejach powszechnych są paulicjanie, sekta dualistów, którzy w Armenii, na granicy Persji i Bizancjum, stworzyli w VII wieku krótkotrwałe państwo czy raczej na poły niezależną kolonię. Katolicki biskup Armenii zarzucał im kult słońca, co jest wyraźnym rysem manichejskim, ale sami paulicjanie, przez polityczny rozsądek zapewne, podkreślali swoją więź z chrześcijaństwem. Ich mała, ale dzielna armia dochodziła aż do Bosforu i dopiero Bazyli I rozgromił ich w bitwie pod Bartyrhax w roku 872. Ze zwyciężonymi obszedł się jak na owe czasy po ludzku, deportując ich na Bałkany, co jest szczegółem, jak się okaże, dość istotnym.

Jest rzeczą dyskusyjną, w jakim stopniu wyżej opisane dynastie heretyków miały świadomość kontynuowania tej samej w zasadzie myśli religijnej. Ale

tu dochodzimy do momentu, gdy związki i filiacje są już wyraźne. Otóż w Bułgarii zjawiają się w X wieku bogomilcy, nierównie żarliwsi od paulicjan wyznawcy dualizmu, głoszący, że świat zmysłowy jest kreacją szatana, a człowiek, mieszanina wody i ziemi, ma duszę, którą stworzyło tchnienie szatana i Boga. Bogomilcy występują zarówno przeciwko Rzymowi, jak i Bizancjum. Rozwijają imponującą działalność apostolską, docierając na Półwysep Apeniński do Toskanii i Lombardii, a także do południowej Francji. Napotykają grunt szczególnie podatny, na którym wyrasta potężna herezja katarów (od greckiego słowa czysty), którzy we Włoszech Północnych, Bośni i Dalmacji nazywają się patarynami, na południu zaś Francji — albigensami.

Źródła, jak powiedzieliśmy, są skąpe. Wyliczymy główne. *Interrogatio Johannis* (albo *Cène Secrete*), apokryf z XIII wieku, fałszujący, jak dopisała ręka inkwizytora, Ewangelię Św. Jana. Tematem jest rozmowa Jana z Chrystusem w niebie, która dotyczy takich problemów, jak upadek szatana, jego rządy, stworzenie świata i człowieka, zejście na ziemię Jezusa Chrystusa i sąd ostateczny. Tekst o wielu pięknościach jest wcześniejszy od kataryzmu łacińskiego, a jego treść wskazuje na wyraźne bogomilskie pochodzenie. Do naszych czasów dochowały się dwie wersje: jedna tzw. z Carcassonne, znajdująca się w znakomitym zbiorze dokumentów zwanym *Collection Doat*, i wersja wiedeńska.

Jedynym zachowanym dziełem teologicznym katarów jest *Liber de duobus principiis* pochodzący z końca XIII wieku. Tekst daleki jest od scholastycznej solidności wykładu ujętego w rygorystyczne rozdziały i paragrafy. Zawiera ważną doktrynalnie i najbardziej interesującą filozoficznie część o wolnej woli, a także kosmologię i polemiki. Te ostatnie świadczą o tym, że kataryzm nie był bynajmniej prądem jednolitym, ale rozpadał się na szkoły i co najmniej dwa skrzydła dualistów, umiarkowanych i bezwzględnych. Autor traktatu (uczeni domyślają się, że był nim Włoch, Jan z Lugio) stoi na stanowisku absolutyzmu bezwzględnego, przyjmującego, że Zło jest tak samo wieczne, jak Dobro, ontologicznie mówiąc: byt i nicość pojęte jako siły kosmiczne istniały zawsze. Wszelako, trzeba to podkreślić, polemiki katarów miały charakter sporów w rodzinie i oponenci rezygnowali z morderczej broni anatemy.

Wreszcie *Rytuał Katarów* — traktat liturgiczny, który dotarł do nas w dwu wersjach, tzw. lyońskiej w langue d'oc i florenckiej po łacinie. Historycy religii nie zawsze poświęcają należytą uwagę sprawom rytuału, a przecież w nim właśnie, a nie w koncepcjach teologicznych najwyraźniej odczytać można stopień spirytualizacji badanej religii. Otóż liturgia katarów przykuwa swą ogromną surowością i prostotą. Odrzucali większość sakramentów, np. małżeństwo, co było konsekwencją ich negatywnego stosunku do spraw cielesnych. Dopuszczali jednak coś, co nazwalibyśmy dzisiaj ślubem cywilnym, i stąd w rejestrach inkwizytorów pojawia się często słowo amasia, czyli konkubina (w odniesieniu do żony katara). Spowiedź była powszechna, a najważniejszym sakramentem było consolamentum — chrzest duchowy, udzielany tylko dorosłym osobom, i to po długim okresie przygotowania, modłów i postów. Ten, który go przyjął, przechodził z licznej rzeszy „Wierzących" do wąskiej i zdecydowanej na wszystko elity „Doskonałych".

Uroczystość odbywała się w domu prywatnym. Ściany bez ozdób malowane

były wapnem, parę prostych sprzętów, stół nakryty śnieżnobiałym obrusem, Ewangelia i zapalone świece. Kandydat na Doskonałego wyrzekał się wiary katolickiej, zobowiązywał się nie jeść mięsa ani innych pokarmów pochodzenia zwierzęcego, nie zabijać, nie przysięgać, wyrzekał się także wszelkich związków cielesnych. Dobra oddawał Kościołowi katarów. Odtąd całkowicie poświęcał się pracy apostolskiej i czynom miłosiernym, zwłaszcza niesieniu pomocy chorym, co jest pewnym rysem paradoksalnym u ludzi, którzy gardzili ciałem. Ślubował też uroczyście nie zaprzeć się nowej wiary i historia przekazała tylko trzy nazwiska Doskonałych, których przeraził ogień stosu.

W rytuale katarów nie znajdujemy żadnych rysów magii, inicjacji czy gnostycyzmu. Było to raczej, jak słusznie sądzi Dondaine, nawiązanie do starej tradycji pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Streszczenie doktryny katarów wymaga powołania subtelnego aparatu pojęć teologicznych, co znacznie przekracza zakres tej pracy. Ograniczyć się więc trzeba do popularnego opowiedzenia zasadniczych tez.

René Nelli — wydawca, tłumacz i komentator tekstów katarów — twierdzi, że główna różnica między kataryzmem a katolicyzmem polegała na tym, że dla Kościoła rzymskiego zło było karą za grzechy i pozostawało w pewnym sensie w dyspozycji Boga, podczas gdy dla katarów Bóg cierpi wskutek zła, ale nikogo nim nie karze. Dziełem szatana — upadłego, pierworodnego syna Boga — jest świat zmysłowy, a także człowiek, który jest aliażem bytu i nicości. Piekła nie ma, są natomiast reinkarnacje, w czasie których jednostka gubi swoją cielesność, wspina się do światła albo pogrąża w złej materii. Katarowie odrzucali Stary Testament (Sabaot był dla nich synonimem Demona) i uważali Ewangelię za jedyną księgę godną czytania i rozmyślań.

Ale Chrystus nie był dla nich wcielonym Bogiem, lecz emanacją Najwyższego, a ponieważ był bytem bezcielesnym, nie mógł cierpieć (katarowie odrzucali symbolikę krzyża jako dowód brutalnej materializacji spraw duchowych). Kościół katolicki uważali za instytucję szatańską, „babilońską wszetecznicę". Końcem świata miał być kosmiczny pożar. Dusze powrócą do Boga, a materia ulegnie unicestwieniu. Konsekwencją tej eschatologii było założenie, że wszyscy ludzie będą zbawieni, po odpowiednio długim okresie wcieleń — jedyny optymistyczny rys tej surowej herezji.

Czy herezji? Fernand Niel postawił śmiałą, ale prawdopodobną tezę, że katarowie nie byli heretykami, ale twórcami nowej religii, całkowicie odmiennej od rzymskiego katolicyzmu. Jeśli przyjmiemy to założenie, wyprawa krzyżowa przeciw albigensom staje w nowym świetle, a racje moralne krzyżowców muszą ulec poważnemu zakwestionowaniu.

Autor tego szkicu nie jest zawodowym historykiem, jest tylko opowiadaczem. To go zwalnia od naukowego obiektywizmu, dopuszcza sympatie i pasje. Zresztą nie są od nich wolni uczeni. Wystarczy porównać dwie głośne ostatnio prace na temat wyprawy krzyżowej przeciw albigensom, profesora Piotra Belperron i Zoe Oldenbourg — obie źródłowe przecież, ale całkowicie sprzeczne w ocenie i wnioskach. Nie tylko ci, którzy działają w historii, ale także ci, którzy o niej piszą, czują, jak za ich plecami staje czarny demon nietolerancji.

Pewnym usprawiedliwieniem będzie fakt, że mówimy o pokonanych.

*

W marcu 1208 roku papież Innocenty III uroczyście ogłasza wyprawę krzyżową przeciwko chrześcijańskiemu księciu Tuluzy, Rajmundowi VI — kuzynowi króla francuskiego, szwagrowi króla angielskiego i aragońskiego, jednemu z największych suwerenów ówczesnej Europy. Rozległe jego państwo, obejmujące także Prowansję i opierające się na południu o Pireneje, potężne było nie tylko z powodu aliansów i węzłów feudalnych. Miasta liczne i bogate były dziedziczkami ducha wolności i starej śródziemnomorskiej cywilizacji. Rządziły się prawem rzymskim, a demokratycznie wybierane organa władzy — rady miejskie i konsulowie — były faktycznymi suwerenami. Największe z nich stanowiły właściwie republiki autonomiczne z własnym sądownictwem i z taką ilością przywilejów, o jakich długo marzyć nawet nie mogły miasta Północy. Atmosfera wolności i równości panowała w życiu społecznym tych zbiorowisk ludzkich, żyjących poza przesądami religijnymi i rasowymi. Arabscy lekarze cieszyli się powszechnym szacunkiem, a Żydów spotykało się często we władzach miejskich. Nie tylko w stolicy kraju, „w różowym mieście" Tuluzie, która była trzecim miastem Europy po Rzymie i Wenecji, ale także w takich ośrodkach, jak Narbonne, Avignon, Montpellier, Béziers na długo przed założeniem uniwersytetów działały słynne szkoły medycyny, filozofii, astronomii i matematyki, i to w Tuluzie, a nie w Paryżu po raz pierwszy wykładano filozofię Arystotelesa, poznanego za pośrednictwem Arabów. Stan umysłów na tych ziemiach przywodzi na myśl czasy Renesansu i tu właśnie, a nie we Włoszech biło jego pierwsze źródło. Język południa Francji, langue d'oc, zanim po podboju kraju spadł do roli narzecza — był językiem poezji dla całej Europy i w XII, XIII wieku poeci niemieccy, angielscy, francuscy, włoscy i katalońscy z zapałem naśladują wielką lirykę trubadurów. Nawet Dante miał początkowo zamiar napisać *Boską komedię* w langue d'oc.

Jeśli jest rzeczą słuszną poszukiwanie w jednym słowie jakiegoś języka-klucza do zrozumienia zamarłej cywilizacji, to tym, czym dla Greków była *kalos kagatos,* a dla Rzymian *virtus,* tym dla Południa była *paratge,* słowo spotykane i odmieniane nieskończoną ilość razy w poematach trubadurów, a oznaczające i honor, i prawość, i równość, i potępienie prawa pięści, i szacunek dla osoby ludzkiej.

Można zatem śmiało mówić, że na południu obecnej Francji istniała cywilizacja odrębna i wyprawa krzyżowa przeciwko albigensom była starciem dwu kultur, a klęska, która spotkała księstwo Tuluzy, jest jedną z katastrof takich, jak zagłada cywilizacji kreteńskiej czy Mayów.

Jednym z paradoksów tej cywilizacji jest współistnienie epikurejskiego stylu życia, żarliwej poezji miłosnej — z weneracją katarów, którzy przecież gorszyli Kościół swym przesadnym ascetyzmem. Aby wyjaśnić tę zagadkę, uczeni domyślają się, że Dama w poezji trubadurów jest symbolem Kościoła katarów. Teza co najmniej ryzykowna. Niemniej badania wykazały, że niektórzy trubadurowie znajdowali się pod wpływem herezji (a także mistycznej poezji arabskiej) i miłość pojęta była nie jako pasja cielesna, ale jako metoda doskonalenia się duchowego i moralnego. *

* Jaufre Rudel pisze: „...mam przyjaciółkę, lecz nie wiem, kim ona jest, i na duszę nigdy jej nie widziałem... choć kocham ją tak mocno. Żadne szczęście nie jest dla mnie równie wielkie, jak posiadanie miłości dalekiej".

Jest faktem historycznym, że Langwedocja była obok Lombardii i Bułgarii jednym z krajów Europy najbardziej dotkniętych herezją katarów, przy czym adepci nowej wiary rekrutowali się ze wszystkich warstw społecznych, od wieśniaków do książąt. Przyczyn tego rozwoju nowej religii szukać należy w korupcji Kościoła katolickiego na południu Francji, w specyficznej sytuacji intelektualnej i uczuciowej oraz po prostu w atrakcyjności samego kataryzmu. W roku 1167 pod przewodnictwem biskupa bułgarskiego Nikinty odbywa się zjazd albigensów w Saint-Felix-de Caraman, na którym ustalono organizację, rytuał południowego Kościoła katarów.

Oczywiście Kościół rzymski czuł się zagrożony rozrostem herezji. Trzeba przyznać, że pierwsze próby opanowania sytuacji dokonane zostały środkami pokojowymi i intelektualnymi, a mianowicie wspólnymi dyskusjami z katarami na tematy dogmatyczne, licznymi misjami apostolskimi wielkich kaznodziejów, takich jak św. Bernard de Clairvaux, które jednak kończyły się niepowodzeniem z powodu jawnie manifestowanej wrogości do Kościoła. „Bazyliki są bez wiernych, wierni bez kapłanów, kapłani bez czci."

Sytuacja zmienia się, na tronie papieskim zasiada trzydziestoośmioletni Lotario Conti, który przybiera imię Innocentego III. Jego twarz na fresku w kościele w Subiaco tchnie spokojem i siłą, ale jego duchowe rządy w Langwedocji były, łagodnie mówiąc, nieporozumieniem, już to z powodu inercji miejscowego kleru, już to z powodu przesadnej gorliwości papieskich legatów. Odpowiedzialny moralnie za wyprawę krzyżową przeciwko albigensom, nie był przecież nowy papież fanatykiem, a listy jego pełne są troski o sprawiedliwość i odrzucając nawet stylistykę kancelarii — umiarkowane. Nie można tego powiedzieć o jego specjalnym delegacie — mnichu cysterskim Piotrze de Castelnau z opactwa Fontfroide, który udał się do Langwedocji z misją tłumienia herezji. Był to według wszelkiego prawdopodobieństwa fanatyk pozbawiony zmysłu politycznego, dyplomatycznych talentów i najprostszej delikatności. Mianowany zostaje delegatem papieskim i to ze specjalnymi uprawnieniami, a do pomocy dostaje smutnej pamięci Arnaud Amaury. Akcja ich jest łańcuchem nieporozumień i zadrażnień. Niewiele też dają płomienne kazania św. Dominika, którego zamiast korony męczeńskiej („błagam was, abyście nie zabijali mnie nagle, ale wyrywali mi członki jeden po drugim") spotyka śmiech i naigrawanie. Bez przerwy toczą się dyskusje, które są starciem różnych światów, tradycji i mentalności, a więc ich efekt jest nikły. Obrońcy wiary katolickiej nie zawsze mają cierpliwość, jak to wskazuje przykład św. Bernarda z Verfeil („niech was Bóg przeklnie, gruboskórni kacerze, wśród których nadaremno szukałem choć trochę subtelnej inteligencji") lub brata Etienne de la Minia, który starał się wykluczyć z filozoficznych dysput Esclarmonde, siostrę księcia Foix („Idźcie zająć się swoim kołowrotkiem, nie przystoi Wam, pani, zabierać głosu w tej materii").

Wreszcie Piotr de Castelnau dochodzi do wniosku, że tylko siłą będzie można potępić herezję, a że nie udaje mu się zorganizować koalicji panów prowansalskich, którzy by pod wodzą Rajmunda VI ruszyli na kacerzy — rzuca na księcia Tuluzy klątwę. „Ten, który was wydziedziczy, zrobi dobrze, a kto zabije, będzie błogosławiony." Tak zakończył swoją misję legat papieski i nie mając już nic więcej do roboty ruszył do Rzymu. O świcie 15 stycznia 1208 roku Saint-Gilles zostaje zamordowany przez nieznajomego. Podejrzenie spada

na ludzi Rajmunda VI. Skrwawioną koszulę męczennika obnoszą po zamkach i miastach północnej Francji wzywając wiernych na wyprawę krzyżową. Rajmund VI widząc zbliżające się niebezpieczeństwo postanawia poddać się woli papieża. W czerwcu 1209 roku w obecności trzech arcybiskupów, dziewiętnastu biskupów, dygnitarzy, wasali, duchowieństwa i ludu, nagi do pasa, ze sznurem na szyi i świecą w ręku, smagany rózgami, idzie do kamiennych lwów strzegących portalu pięknej romańskiej katedry w Saint-Gilles. Układ, jaki podpisano po tej ceremonii, jest właściwie poddaniem księstwa pod prawdziwą dyktaturę Kościoła. Na domiar Rajmund VI podejmuje decyzję zaskakującą wszystkich, a mianowicie przyjmuje krzyż i rusza połączyć się z armią krzyżowców, która spływa właśnie doliną Rodanu.

Potężny wąż ludzi, koni, żelastwa ciągnący się kilometrami samym swoim wyglądem budził przerażenie. W skład armii wchodzą Flamandowie, Normandowie, Burgundczycy, Francuzi i Niemcy. Prowadzą ich biskupi, arcybiskupi, diuk Burgundii Eudes II, książęta Nevers, Bar i Saint Pol, baronowie i rycerze cieszący się sławą wojenną, tacy jak Szymon de Montfort i Guy de Levis. Uzupełnieniem tej siły zbrojnej są sierżanci, pachołkowie, a także najemni żołdacy, siła przeraźliwa i bezwzględna, znana każdej średniowiecznej armii, rekrutująca się spośród rzezimieszków łaknących mordu i rabunku. Najbardziej cenieni najemnicy pochodzili z kraju Basków, Aragonii i Brabancji. Były to niziny w hierarchi wojskowej, ale militarnie czynnik często decydujący. Jeśli dodać do tego jednostki pomocnicze i rzesze pielgrzymów zwabionych nadzieją pobożnej kontemplacji stosów — cyfra 300 tysięcy podawana przez ówczesnych historyków nie wydaje się niemożliwa, zakładając, że armia samych rycerzy stanowiła w tej masie nieznaczny procent (jak stosunek czołgów do piechoty armii współczesnej).

Pierwszym seniorem wystawionym na miecze krzyżowców był wicehrabia Carcassonne i Béziers, 25-letni Rajmund-Roger z rodu Trancavel. Przerażony postępami krzyżowców usiłuje paktować z legatem papieskim. Bez skutku. Ciężka maszyna wojenna, „armia, jakiej nigdy nie widziano", raz wprawiona w ruch nie da się zatrzymać. Rajmund-Roger zamyka się w Carcassonne, a krzyżowcy dawną rzymską drogą zbliżają się do Béziers. Miasto położone jest na wzgórzu nad rzeką Orb. Ma solidne mury i dość żywności. Biskup Béziers próbuje układów z krzyżowcami, ale ci przedkładają listę 220 osób (lub rodzin) posądzonych o herezję i żądają wydania ich, na co konsulowie miasta odpowiadają z godnością, że wolą być „zatopieni w słonym morzu" niż wydać współobywateli. Zaczyna się tedy oblężenie. W dzień świętej Magdaleny (22 lipca), gdy akcje militarne nie zostały jeszcze rozpoczęte, sprawy biorą fatalny dla obrońców obrót. Grupa mieszczan zachęconych nieruchomością wielkiej armii wychodzi przed bramy „z wielkimi białymi chorągwiami i biegnie naprzód, aż do utraty tchu, myśląc, że napędzą nieprzyjacielowi strachu jak wróblom na łanie owsa". „Szalona nieostrożność", bo armia najemnych żołdaków od razu staje na nogi.

Są bosi, uzbrojeni w łomy i noże, a odziani tylko w koszule i spodnie, ale ich krwiożerczość nie ma sobie równej. Udaje im się dostać do miasta razem z uciekającymi uczestnikami nieopatrznej wyprawy. W mieście sieją nieopisany terror; atak na mury trwa zaledwie kilka godzin. W katedrze Saint Nazaire, w kościele św. Magdaleny i św. Judy gromadzi się ocalała ludność.

Drzwi zostają wyważone i żołdactwo wpada do środka mordując wszystkich — niemowlęta, kobiety, kaleki, starców i księży odprawiających w tym czasie nabożeństwo. Biją dzwony za umarłych. Zagłada jest totalna. Pierre de Vaux Cernay, mnich cysterski i historyk wyprawy przeciw albigensom, podaje, że w samym tylko kościele św. Magdaleny zabito siedem tysięcy osób, co jest zapewne przesadą, ale historycy obliczają, że w Béziers wymordowano trzydzieści tysięcy (niewinnych) ludzi. To, co czyni tę cyfrę jeszcze bardziej przerażającą, to fakt, że rozniesiono na mieczach prawdopodobnie prawie wszystkich mieszkańców. Arnaud Amaury, legat papieski, gdy mu w czasie walk zwrócono uwagę, że w liczbie masakrowanych znajdują się na pewno także katolicy, miał odpowiedzieć: „Zabijajcie wszystkich, a Bóg rozpozna swoich". Słynne to powiedzenie większość historyków uważa za apokryf, przytacza je bowiem kronikarz z XVI wieku, Cezary Heisterbach. Być może, Arnaud Amaury, człowiek tępy raczej niż cyniczny, wypowiedział tylko pierwszą połowę zdania. W każdym razie powiedzenie stanowi znakomity komentarz do wydarzeń. Z powodu sporu między żołnierzami najemnymi i armią regularną o podział łupów — miasto zostaje podpalone „wraz z katedrą zbudowaną przez Mistrza Gerwazego, która pod żarem płomieni z hukiem pękła na pół i rozpadła się na dwie części". Krzyżowcy z rozwiniętymi na wietrze znakami kierują się pod mury Carcassonne o trzydziestu wieżach, gdzie zamknął się wicehrabia Roger.

Dzisiejsze miasto, zrekonstruowane przez Viollet le Duca, daje słabe pojęcie o tym, czym była ta podwójnym murem opasana forteca. Pierwszą cechą, która się rzuca w oczy turyście, jest bardzo skąpa przestrzeń zawarta między murami (około dziesięć tysięcy metrów kwadratowych). Miasto w sierpniu 1209 roku stało się azylem kilkudziesięciu tysięcy ludzi, nie licząc bydła i koni. Mimo to walka jest zażarta, a młody Rajmund-Roger prowadzi ją z talentem i brawurą doświadczonego wodza. Sprzymierzeńcem krzyżowców staje się gorące lato. Nad Carcassonne unosi się chmura czarnych much i odór zarazy. Brak wody zmusza obrońców do kapitulacji po dwóch tygodniach obrony.

Wypadki, które nastąpiły potem, budzą kontrowersje uczonych, a relacje Wilhelma Tudèle i Guillaume de Puylaurens pełne są niedomówień i nie oświetlają tego kapitalnego zdarzenia do końca. Między Rajmundem-Rogerem a krzyżowcami nie zostaje podpisana żadna umowa i co gorsze — wbrew zasadom rycerskiego honoru wicehrabia zostaje uwięziony i niedługo potem umiera na dezynterię. Legat papieski naciska, aby wykorzystać okazję i wybrać spośród francuskich krzyżowców-seniorów następcę, co jest jaskrawie sprzeczne z feudalnym prawem, zwłaszcza że żył czteroletni syn Rajmunda-Rogera. Panowie i hrabiowie francuscy wielkodusznie odmawiają przyjęcia tytułu i schedy po tragicznie zmarłym. „Nie było nikogo, kto by nie czuł, że utraci honor przyjmując tę ziemię" — mówi Wilhelm de Tudèle.

Wtedy na scenę wkracza człowiek, którego postać przez wiele lat rzucała cień na Prowansję i Langwedocję. Nazywał się Szymon de Montfort i żył w pamięci ludzkiej długo jako symbol wojownika, który z garstką wiernych może wstrząsnąć cesarstwem. Ten prototyp konkwistadora, fanatyk, któremu hełm ograniczał horyzonty, człowiek twardej ręki, ambitny i energiczny, o wybitnych zdolnościach wodzowskich, był wymarzonym kandydatem na wice-

hrabiego Carcassonne i Béziers. W dodatku odznaczył się w IV wyprawie krzyżowej i był bezpośrednim wasalem króla Francji.

Upadek Carcassonne otworzył przed Montfortem bramy wielu zamków, ale 40 dni, w czasie których krzyżowcy ślubowali walczyć z heretykami, skończyło się i wojownicy odeszli na zachód. Szymon de Montfort został z garstką 26 rycerzy. Oczywiście w ciągu 8 lat nieustannych zmagań „lew wypraw krzyżowych" otrzymał posiłki. Kraj był sterroryzowany, ale bynajmniej nie podbity.

W lutym 1209 roku Montfort oblega Minerve, miasto położone między Carcassonne a Béziers, wśród głębokich przepaścistych wąwozów i pustego krajobrazu. Twierdza broni się dzielnie, ale maszyna oblężnicza niszczy mechanizm zaopatrujący zamek w wodę i obrońcy są zmuszeni negocjować. Zgodnie z dotychczasową zasadą przyjmuje się, że heretycy, którzy dostaną się w ręce krzyżowców i zaprą się swojej wiary, będą oszczędzeni. Jeden z kapitanów Montforta, Robert de Mauvoisin, protestuje. Przyszedł tu, aby niszczyć herezję, a nie ułaskawiać. Legat Arnaud Amaury uspokaja: „Nie bójcie się, Panie, niewielu będzie tych, którzy się nawrócą". Tak też się stało. Pierwszy wielki stos w zdobytym mieście pochłonął sto pięćdziesiąt mężczyzn i kobiet, „którzy zginęli z odwagą godną lepszej sprawy" — jak mówi melancholijnie benedyktyn Don Vaissete.

Zresztą wojna od dawna przestała być wyprawą przeciwko heretykom, a stała się wielką batalią Północy z Południem, wojną narodową, i chociaż liczba zamków zdobytych przez Montforta zwiększa się, kraj wcale nie jest podbity. Seniorzy czekają w swych orlich gniazdach na odpowiednią chwilę, miasta buntują się, a załogi francuskie, osadzone w zdobytych twierdzach, są często atakowane i wycinane w pień. Oblężenia są coraz dłuższe i cięższe. Béziers padło w ciągu kilku godzin, piętnaście dni trzeba było zdobywać Carcassonne, a Minerve padło dopiero po sześciu tygodniach.

Twierdzę Termes oblegali krzyżowcy cztery miesiące. Zamek był znakomicie położony i żeby się do niego zbliżyć, jak mówi naoczny świadek, „trzeba było się rzucić w przepaść, a potem, aby tak się wyrazić, czołgać się ku niebu". Wojska oblegające są zdemoralizowane, zmniejszone do połowy i głodne, a biskupi towarzyszący Montfortowi po trzech ciężkich miesiącach oblężenia chcą go opuścić. „Lew wypraw krzyżowych" błaga ich, aby pozostali jeszcze dwa dni. Wieczorem drugiego dnia dowódca obrony Termes zgłasza się, aby paktować. Cysterny w mieście są puste; jeszcze raz woda stała się sprzymierzeńcem krzyżowców. Ale w nocy spada gwałtowny deszcz i Rajmund, dowódca załogi, zamyka się w twierdzy. Walka jest zażarta i obfituje w wiele dramatycznych epizodów. W czasie mszy zostaje zabity kapelan Montforta, a przyjacielowi, z którym przechadza się pod rękę, maszyna ciskająca kamienie ucina głowę. Montfort jest załamany, myśli o zwinięciu oblężenia i wstąpieniu do klasztoru. Pewnego dnia twierdza milczy i krzyżowcy ze zdziwieniem stwierdzają, że jest pusta. Tym razem szczury zmogły oblężonych; w czasie posuchy dostały się do cystern i zatruły wodę.

Wojna coraz bardziej zbliża się do księstwa Tuluzy i hrabstwa Foix. Zgodnie z planem metodycznego podboju krzyżowcy oblegają Lavaur. Broni go Aimery de Montréal, dawny sprzymierzeniec Montforta, brat kasztelanki Guiraude de Laurac, córki Blanche de Laurac, znanej Doskonałej. Dama słynna jest

z przywiązania do Kościoła katarów i dzieł miłosierdzia. Po bohaterskiej walce trwającej przeszło dwa miesiące padają mury Lavaur. Obrońca i 80 rycerzy zostają powieszeni. Szubienica ustawiona w pośpiechu nie wytrzymuje ciężaru i wielu skazanych trzeba było po prostu dorzynać. Kasztelanka Lavaur zostaje wrzucona do studni i ukamienowana. Gigantyczny stos, największy w czasie tej wojny, pochłania czterystu albigensów, którzy wstępują w płomienie śpiewając *cum ingenio gaudio*.

Zbliża się nieuchronna rozprawa z księciem Tuluzy, jest bowiem dla krzyżowców jasne, że Rajmund VI to sprzymierzeniec niepewny. Ten ostatni wszelako czyni wszystko, aby uratować kraj od wojny, ale opór legata papieskiego jest nie do złamania. Montfort oblega serce kraju, stolicę Langwedocji — Tuluzę, ale z kolei zostaje sam nagle otoczony w Castelnaudary, pod murami którego przeciwnicy staczają krwawą, lecz nie rozstrzygniętą bitwę.

Ambicje Montforta niepokoją papieża, który nawet chwilowo zawiesza wyprawę krzyżową i nieoczekiwanie przyznaje swojemu legatowi, Arnaud Amaury, tytuł duca de Larmonne, co stało się przyczyną długoletniej niezgody tych dwu pracujących dotychczas ręka w rękę ludzi.

Teraz do gry wojennej wkracza król aragoński Piotr II, złączony więzami feudalnymi z Langwedocją, szwagier księcia Tuluzy, a zarazem dowódca wyprawy krzyżowej przeciwko Maurom i ich niedawny pogromca pod Les Navas de Toloza. Już kilkakrotnie, ale bez większych efektów, odgrywał on rolę mediatora w walce swoich sąsiadów z Francuzami, a i teraz korzystając z glorii wojennej usiłuje wytłumaczyć papieżowi, że wojna przeciw heretykom zamieniła się w barbarzyński podbój i kolonizację chrześcijańskiego kraju.

Gdy argumenty nie odnoszą rezultatu, Piotr II z najlepszymi rycerzami Aragonii i Katalonii przekracza we wrześniu 1213 roku Pireneje i staje u boku Rajmunda VI. Stosunek rycerzy jest 900 do 2.000 na niekorzyść Montforta, gdy obie armie szykują się do bitwy obok miasta Muret. Rajmund VI na radzie wojennej proponuje czekać na atak, potem kontratakować i zepchnąć przeciwnika do zamku, gdzie wkrótce będzie musiał skapitulować. Hiszpanom ten rozsądny plan wydaje się mało malowniczy i rycerski. Montfort z napoleońską szybkością i brawurą rzuca się na Aragończyków i obie armie zwierają się w śmiertelnym uścisku. „Słychać było jakby wielki las padał pod uderzeniem siekier." Piotr II, trzydziestodziewięcioletni, potężny i o tygrysiej sile wojownik, nie kieruje walką, ale jest w samym środku tego powszechnego chaosu, jakim była średniowieczna bitwa. Po zaciętej walce ginie, a wiadomość o śmierci króla sieje panikę. Nagły atak flanki Montforta rzuca przeciwników do ucieczki, w tej liczbie armię księcia Tuluzy, która nie zdołała wkroczyć do walki. Piechota langwedocka szturmująca już Muret zostaje zdziesiątkowana i dwadzieścia tysięcy ludzi pochłonęły głębokie i bystre wody Garonny. Półtora roku później Montfort nie tracąc ani jednego człowieka wkracza do Rzymu katarów — Tuluzy. Rajmund VI i jego syn chronią się na dwór króla angielskiego.

Montfort staje się panem ziemi większej niż domena króla Francji. Los Langwedocji wydaje się być przypieczętowany, ale Montfort ma właściwie tylko tyle ziemi, ile jest jej pod stopami francuskich żołnierzy.

16 lipca 1216 roku umiera papież Innocenty III i na wiadomość o tym dziewiętnastoletni Rajmund VII ląduje w Marsylii, entuzjastycznie witany przez

ludność. Natychmiast oblega Beaucaire i zmusza broniącego się tam brata Szymona de Montfort do kapitulacji. Mieszkańcy Tuluzy wznoszą na ulicach barykady i wypędzają Francuzów. Dążący przez Pireneje na czele Aragończyków Rajmund VI wkracza do swej stolicy witany łzami radości. Montfort, po raz pierwszy pokonany, oblega miasto bezskutecznie, mimo nadchodzących posiłków. Pobity „lew wypraw krzyżowych" nie jest już tym samym człowiekiem i kardynał-legat Bertrand zrzędzi, że wielki wojownik dotknięty nagłym bezwładem „prosi tylko Boga o spokój i aby z tylu cierpień raczył go wyleczyć śmiercią". W dziewiątym miesiącu oblężenia, w czasie rannej wycieczki tuluzańczyków zraniony zostaje Guy de Montfort, brat Szymona. Wódz wybiega z namiotu, w którym słuchał był mszy świętej, i wtedy wielki kamień lecący z maszyny wojennej obrońców godzi „hrabiego w stalowy hełm tak, że oczy, mózg, zęby, czoło i szczęka rozprysły się, a on sam upadł na ziemię martwy, skrwawiony i czarny".

Montfort
es mort
es mort
es mort
viva Toloza
ciotat gloriosa
et poderosa
tornan lo paratge et l'onor!

Taki okrzyk radości rozległ się od Alp aż do Oceanu. Syn Szymona, Amaury, jest tylko cieniem ojcowskich talentów. Dwukrotnie pobity, oddaje zdobyte ziemie królowi Francji. Stary porządek rzeczy wraca do Langwedocji. 15 stycznia 1224 roku Amaury de Montfort opuszcza na zawsze Carcassonne, zabierając ze sobą potężne ciało swego ojca, zaszyte w skórę byka.

Po tym pierwszym akcie dramatu następuje wyprawa krzyżowa Ludwika VIII, która była dziełem ambitnej jego żony, Blanki Kastylskiej, czyniącej wszystko, aby uniemożliwić porozumienie Rajmunda VI z papieżem. Nowa wyprawa była mimo bohaterskiej obrony Awignonu promenadą wojskową, ale armia krzyżowców nękana jest epidemią i w drodze powrotnej umiera król Ludwik VIII. Dzieło Montforta prowadzi dalej z energią Humbert de Beaujeu, nowy królewski namiestnik Carcassonne, który odbija utracone przez krzyżowców zamki i wprowadza nową broń przeciwko opornemu krajowi. „O świcie po wysłuchaniu mszy i zjedzeniu śniadania — mówi historyk Wilhelm de Puylaurens — krzyżowcy ruszali w drogę, poprzedzani przez łuczników... zaczynali niszczyć winnice położone najbliżej miasta, w czasie kiedy jego mieszkańcy spali jeszcze; potem wycofywali się na pole, wciąż niszcząc wszystko po drodze." Okolice nie zdobytej Tuluzy i innych miast zamieniały się w pustynię. Nieustannie trwa wojna zamków.

Napoleon Peyrad w swej *Historii albigensów* szacuje straty Południa w czasie 15 lat wojny na milion zabitych. Innym badaczom liczba ta wydaje się przesadzona, niemniej wszyscy mówią o ogromnym wykrwawieniu się kraju. Kroniki jak zawsze opisują śmierć rycerzy i bohaterów, ale zgodnie z homerycką tradycją obojętnie przechodzą koło stosów anonimowych ofiar.

Tylko perspektywa kompletnego wyniszczenia kraju i śmiertelne znużenie może wytłumaczyć, że Rajmund VII, zwycięzca Montforta i ten, który nie ugiął się przed królem Francji, podpisuje w roku 1228 traktat w Meaux, zawierający warunki, jakie zwykło narzucać się sromotnie pokonanemu przeciwnikowi. Suweren Langwedocji zaprzysiągł nie tylko wierność Kościołowi i królowi Francji, ale także zobowiązał się walczyć z herezją (szczególnie drastyczne jest zobowiązanie się wypłacania dwu marek srebra denuncjatorom heretyków). Postanowiono także zburzyć fortyfikacje Tuluzy i trzydziestu innych zamków oraz oddać królowi większość twierdz obronnych. Zaakceptowano nowe granice księstwa, przy czym z dawnego terytorium została jedna trzecia. Swoją córkę Rajmund VII oddawał bratu Ludwika IX, Alfonsowi z Poitiers, a ponieważ książę Tuluzy nie miał syna, przesądzało to ostatecznie los Langwedocji.

Uroczyste zaprzysiężenie traktatu odbyło się w nowo odbudowanej katedrze Nortre Dame, w Wielki Czwartek 1229 roku. Po zwycięstwie nad cesarzem niemieckim pod Bouvines Kapetyngowie zaczęli wierzyć w swoje posłannictwo. Ceremonia miała wszelkie cechy upokorzenia zwycięzcy Montforta, a odbyła się w obecności młodego króla Ludwika IX, królowej, prałatów i ludu paryskiego. Rajmund VII w koszuli, ze sznurem na szyi, prowadzony przez legata Polski i Anglii, idzie do ołtarza, gdzie czeka go kardynał-legat z rózgą. „Żal było patrzeć — pisze Wilhelm Puylaurens — jak tak wielki książę, który długo zdzierżył siłę tylu narodów, teraz prowadzony jest boso, tylko w koszuli i spodniach, aż do stopni ołtarza." Tradycja mówi, że kiedy książę ukląkł przed prałatem, wybuchnął śmiechem szaleńca. Być może pomyślał wtedy o ironii historii, która dwadzieścia lat temu prowadziła pod rózgami jego ojca do ołtarza w Saint-Gilles. Kiedy wraca do Tuluzy, działają już tam komisarze króla i Kościoła, rozpoczynając rządy na ziemi, której nigdy nie stracił w walce. Trubadur Sicard de Marvejols biada:

Ai Toloza et Provensa
e la terra d'Argensa
Bezers et Carcassey
Quo vos vi quo vos vei

Kardynał-legat Romain de Saint-Ange, doradca i jeden z inspiratorów traktatu w Meaux, zwołuje radę w Tuluzie, która ma zająć się metodami walki z albigensami. Ustalono czterdzieści pięć zasad tropienia, przesłuchiwania i karania heretyków. W ten sposób narodziła się inkwizycja, która stała się bronią znacznie skuteczniejszą od mieczy krzyżowców, a jej rozwój i wpływ na inne instytucje w przyszłości znacznie przekraczają opisywane wydarzenia.

Capitula ustanowione przez Zjazd w Tuluzie warte są przynajmniej w części przytoczenia:

„W każdej parafii biskupi wyznaczą kapelana i trzech świeckich (albo jeszcze więcej, jeśli zajdzie potrzeba) o nienagannej opinii, którzy zobowiążą się wytrwale i wiernie poszukiwać heretyków żyjących w parafii. Będą oni drobiazgowo przeszukiwali podejrzane domy, pokoje i piwnice, i zakamarki nawet najbardziej ukryte, które winny być zniszczone. Jeśli zaś odkryją heretyków albo osoby dające im poparcie, mieszkanie lub opiekę, powinni przedsięwziąć

odpowiednie środki, aby nie dopuścić do ucieczki podejrzanych, a jednocześnie jak najszybciej zawiadamiając biskupa, seniora lub jego przedstawiciela.

Seniorzy powinni poszukiwać troskliwie heretyków w miastach, domach i lasach, w których spotykają się, i niszczyć ich kryjówki.

Ktokolwiek pozwoli heretykowi przebywać na swojej ziemi czy to za pieniądze, czy to z jakiegoś innego powodu, jeśli wyzna swoją winę albo zostanie o niej przekonany, straci na zawsze swoją ziemię i zostanie ukarany przez seniora zależnie od stopnia winy.

Również ukarany będzie ten, na którego ziemi spotykają się często heretycy, nawet jeśli to się zdarza bez jego wiedzy, lecz na skutek niedbalstwa.

Dom, w którym odkryty zostanie heretyk, zostanie zburzony, a ziemia skonfiskowana.

Zastępca seniora, który nie przeszukuje gorliwie miejsc podejrzanych o to, że zamieszkują w nich heretycy, straci swoje stanowisko bez odszkodowania.

Każdy może poszukiwać heretyków na ziemi swego sąsiada... Także król może ścigać heretyków na ziemiach księcia Tuluzy i na odwrót.

Hereticus vestitus, który porzuci spontanicznie herezję, nie może pozostawać w tym samym miejscu zamieszkania, jeśli okolica uchodzi za dotkniętą herezją. Przeniesie się go do miejscowości znanej jako katolicka. Ci nawróceni będą nosić na swoich ubraniach dwa krzyże, jeden po prawej, drugi po lewej stronie, innego koloru niż ubranie. Nie będą oni zdolni do sprawowania funkcji publicznych ani zawierania aktów prawnych aż do czasu rehabilitacji otrzymanej z rąk papieża lub jego legata, po stosownej karze.

Heretyk, który chce powrócić do społeczeństwa katolickiego nie spontanicznie, ale z obawy śmierci lub dla jakiegoś innego powodu, będzie osadzony przez biskupa w więzieniu, aby tam odbyć karę, i to z całą wymaganą ostrożnością, aby nie mógł innych namówić do herezji. Wszyscy dorośli wierni zobowiążą się wobec biskupa pod przysięgą zachować wiarę katolicką i tropić heretyków wszystkimi środkami, jakimi rozporządzają. Przysięga ma być ponawiana co dwa lata.

Świeccy nie mogą posiadać ksiąg Starego i Nowego Testamentu z wyjątkiem Psałterza, Brewiarza i Żywota Św Panny; zabrania się stanowczo posiadać te księgi tłumaczone na język ludowy.

Ktokolwiek jest obciążony lub podejrzany o herezję, nie może być lekarzem. Kiedy chory otrzyma od swego proboszcza Świętą Komunię, należy go troskliwie strzec i nie pozwolić, aby zbliżył się do niego heretyk lub podejrzany o herezję, ponieważ te wizyty pociągają za sobą smutne konsekwencje."

Zrazu inkwizycja stanowiła resort biskupa i lokalnego kleru, ale okazało się, że miejscowe duchowieństwo ociąga się z wprowadzeniem okrutnej maszyny w ruch. W roku 1233 papież Grzegorz IX oddaje dominikanom władzę inkwizytorów. Od tego czasu podlegali oni wyłącznie papieżowi, a ich wyroki tylko przez niego mogły być uchylane, co stanowiło zmianę o kapitalnym znaczeniu i czyniło z inkwizycji siłę autonomiczną o ogromnych prerogatywach.

Następne akty prawne zaostrzają jeszcze przepisy Zjazdu w Tuluzie z roku 1229. Kanony z Synodu w Arles stanowią między innymi, że ciała zmarłych heretyków będą ekshumowane i palone na stosie. Fala pozornych nawróceń zmusza inkwizytorów do stosowania coraz ostrzejszych środków zaradczych. Buduje się więzienia, w których do końca swoich dni zostają zamknięci ci

wszyscy, którzy symulowali nawrócenie. Zjazd w Narbonne w roku 1243 postanawia, że nikt nie może być zwolniony z więzienia z powodu swego stanu cywilnego (obowiązki rodzinne, dzieci) ani także z powodu wieku czy stanu zdrowia. Jawnym odstępstwem od procedury przyjętej w prawie rzymskim jest postanowienie, że nazwiska świadków nie będą podawane do wiadomości oskarżonemu. W sprawach o herezję dopuszcza się świadectwo kryminalistów, ludzi skazanych na infamię i wspólników przestępstwa. Także nie zostaje odrzucony jako środek dowodowy zeznanie, którego motywem była chęć szkodzenia i jawna wrogość w stosunku do podejrzanego.

Historia przekazała nazwiska dwóch pierwszych inkwizytorów. Byli to brat Piotr Seilla, syn bogatego mieszczanina z Tuluzy, jeden z pierwszych towarzyszy św. Dominika, i Wilhelm Arnaud, rodem z Montpellier. Obaj inkwizytorzy zabrali się do dzieła z niezmierną energią, co wyrażało się w tym, że zaraz po nominacji uwięzili i niemal natychmiast spowodowali egzekucję Vigorasa de Baconia, uchodzącego za przywódcę heretyków w stolicy Księstwa. Wilhelm Arnaud wyjeżdża w teren rozwijając aktywność, która powoduje przerażenie ludności i niepokój księcia. Rajmund skarży się papieżowi na bezprawną procedurę inkwizytorów: przesłuchiwanie świadków przy drzwiach zamkniętych, odmawianie pomocy adwokackiej, wyznaczanie procesów osobom nie żyjącym i sianie takiego terroru, że przerażeni świadkowie denuncjują niewinnych. „Niepokoją kraj i przez te nadużycia ludność zwraca się przeciw klasztorom i duchowieństwu."

To, co wyżej powiedziano, może wzbudzić przypuszczenie, że inkwizytorzy dysponowali ogromną siłą, w rzeczywistości zaś ci dwaj dominikanie nie posiadali własnych środków i ludzi, a opierali się wyłącznie na pomocy kleru i władzy świeckiej. Dopiero później otrzymali pozwolenie na zbrojną eskortę, pomocników sądowych, notariuszy i asesorów, przy czym liczba tych osób nie mogła przekraczać osiemdziesięciu na inkwizytora. A zatem tylko ogromną energią, głębokim przeświadczeniem o własnym posłannictwie, wyzywaniem śmierci męczeńskiej można tłumaczyć rozwój tej instytucji. W liczbie wielu dzieł poświęconych walce zakonu dominikanów z herezją jednym z najbardziej zastanawiających jest fresk Andrea de Firenze znajdujący się w kaplicy Hiszpanów w Santa Maria Novella we Florencji. Bracia kaznodzieje przekonywują kacerzy, którzy zawstydzeni drą swe bezbożne księgi. Ale jest to eufemistyczna wersja historii. Prawda jest na dole obrazu ubrana w symbole zwierzęce: psy (Domini canes) zagryzają wilki (kacerzy).

Stan umysłów ilustruje afera tuluzańczyka Jana Tisseyre. Był to człowiek z przedmieścia i według wszelkiego prawdopodobieństwa katolik. Przemierzał on ulice miasta i zwracał się do ludzi ze słowami, w których nietrudno odczytać strach: „Panowie, słuchajcie mnie! Nie jestem heretykiem, ponieważ mam żonę, z którą śpię, a także synów, jem mięso, czasem kłamię i przysięgam, więc jestem dobrym chrześcijaninem. Nie wierzcie także, jeśli wam powiedzą, że nie uznaję Boga. Można równie dobrze wam zarzucać to, co mnie się zarzuca, ponieważ ci przeklęci chcą prześladować porządnych ludzi i ukraść miasto naszemu Panu". Mimo ogromnego oburzenia mieszkańców stolicy Langwedocji Tisseyre został pojmany i szybciutko spalony na stosie.

Liczba podejrzanych jest tak wielka, że Arnaud i Seilla nie są w stanie przesłuchiwać wszystkich zatrzymanych. Zasądzeni na noszenie krzyża,

grzywnę czy obowiązek odbycia pielgrzymki, żyją w ciągłej niepewności, gdyż jedynymi wyrokami definitywnymi są wyroki śmierci. Ale nawet zmarli nie mają spokoju. Cmentarze pełne są otwartych grobów, z których wyciągnięto szczątki zmarłych kacerzy, aby oczyścić je w ogniu. Okrucieństwo dominikanów jest tak wielkie, że wzbudza to oburzenie w innych zakonach. Mnisi z Belleperche udzielają w swoim klasztorze schronienia heretykom i nie jest to zapewne wypadek odosobniony.

Wilhelm Pelhisson opowiada w swojej *Chronicon* historię, która wydawałaby się opowieścią idioty, pełną hałasu i wściekłości, gdyby nie to, że kronikarz był naocznym świadkiem, a jako zwolennika inkwizytorów trudno posądzić go z zamiar oczerniania. Otóż 4 sierpnia 1235 roku po uroczystej mszy biskupowi Tuluzy Rajmundowi du Fauga doniesiono, że w pobliskim domu umierająca staruszka otrzymała consolamentum. Biskup w towarzystwie duchownych udaje się do pokoju konającej damy (teściowej katara Peytavi Borsière), która nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje, i przekonana o tym, że odwiedza ją biskup katarów, czyni wyznanie wiary. Wezwana nagle do nawrócenia się na katolicyzm — odmawia, po czym przeniesiona zostaje z łóżkiem na pospiesznie zmontowany stos i spalona. Dokonawszy tego biskup i jego świta wracają do refektarza, „gdzie z radością spożyli to, co zostało podane, zanosząc dziękczynienie do Boga i świętego Dominika".

Takie i podobne praktyki powodują w mieście zamieszki, które dochodzą do szczytu, gdy inkwizytorzy stawiają trzech konsulów pod zarzutem popierania heretyków (w rzeczy samej władza świecka robiła wszystko, aby uchronić od wyroku czy ułatwić ucieczkę skazanym obywatelom). W wyniku otwartego starcia dominikanie i biskup Fauga usunięci zostają z Tuluzy. Ale po wymianie gwałtownych listów między księciem a papieżem inkwizytorzy wracają do miasta i wszystko zaczyna się od nowa. Jeden z Doskonałych, nawrócony na katolicyzm, denuncjuje szereg osobistości, co powoduje także wielką ilość „procesów pośmiertnych". Cmentarze są rozorane a śmiertelne szczątki zawiesza się na płotach z okrzykiem: *„Qui atal fara, atal pendra"*.

W 1233 roku w Cordes padają pod razami tłumu pierwsi męczennicy spośród inkwizytorów i od tego czasu akty oporu mnożą się. Na domiar w miastach żyjących przedtem w przykładnym pokoju wewnętrznym mnożą się walki między grupami katolików i kacerzy.

Byłoby rzeczą niesprawiedliwą twierdzić, że wszyscy, którzy wpadli w sieci braci kaznodziei, szli na stos. Dokumenty mówią o znacznej ilości ułaskawionych, i tak na przykład w roku 1241 w jednym tylko tygodniu udzielono 241 kanonicznych rozgrzeszeń. Protokoły przesłuchań jednakże stanowiły źródło bardzo precyzyjnych kartotek (opinia „oni wiedzą wszystko"). Historia (nie tylko średniowieczna) uczy, że naród poddany metodom policyjnym demoralizuje się, kruszy wewnętrznie i traci zdolność oporu. Nawet najbardziej bezwzględna walka mężczyzn zmagających się twarzą w twarz nie jest tak zgubna jak szepty, podsłuchy, strach przed sąsiadem i zdrada w powietrzu.

Warto porównać ówczesną procedurę kryminalną z procedurą inkwizycji. Kodeks Justyniana, na którym opierał się proces karny, zabezpieczał oskarżonemu szereg praw, nakładał na oskarżyciela ciężar dowodu i wykluczał szereg świadków, którzy mogli być posądzeni o stronniczość, a także nakazywał

konfrontację denuncjatora z oskarżonym. W kraju jednak, który przeżył 20 lat wojny i prześladowań, obywatele nabywali zdolność zmieniania skóry zależnie od okoliczności i niełatwo było legalnymi środkami wytropić kacerzy. Aby ich ściganie stało się skuteczniejsze, należało rozszerzyć klauzulę dopuszczalności świadków. Obrona adwokacka była w zasadzie dopuszczalna, ale ten, kto się jej podejmował, był automatycznie narażony na zarzut herezji, tak że w praktyce pomoc ta nie odgrywała żadnej roli. Nowością w stosunku do normalnego postępowania sądowego było przesłuchiwanie świadków przy drzwiach zamkniętych, co stało się podstawą sukcesów inkwizycji i niszczyło zaufanie najbardziej nawet spójnych grup społecznych.

Poprzedzony stugębną plotką wkracza w mury miasta spory orszak ludzi z piórem — notariuszy, kancelistów, skrybów, i ludzi z żelazem — żołnierzy, pachołków, dozorców więzienych, skupionych wokół inkwizytora. Przyjezdni zajmują miejsce w pałacu biskupim lub klasztorze i ogłoszony zostaje „czas łaski", trwający zwykle jeden tydzień. Wszyscy, którzy w tym okresie zgłoszą się dobrowolnie, nie mogą być karani śmiercią, więzieniem ani konfiskatą mienia. Ale w zamian za to dostarczają informacji, z których splata się sieć podejrzeń.

Ludzie zgłaszający się w tym czasie do inkwizycji oskarżają się zwykle o przestępstwa mało istotne lub urojone, jak ów młynarz w Belcaire, który oświadczył, że nie ufał w pomoc świętego Marcina przy budowie młyna. Ale taki bredzący człowiek w zlepionej potem koszuli na grzbiecie wie na pewno o wiele więcej i można się na przykład od niego dowiedzieć, kto 20 lat temu pozdrawiał Doskonałego na ulicy. Nazwiska denuncjatorów zachowuje się w sekrecie i wystarczą zeznania dwóch anonimowych świadków, aby rozpocząć śledztwo. Inkwizytor łączył w swym ręku funkcje z zasady oddzielone od siebie w normalnym procesie: był sędzią śledczym, prokuratorem i sędzią wyrokującym. Nawet inni duchowni asystujący przy rozprawach nie mieli prawa głosu. O winie decydowało sumienie jednej osoby.

Do rąk własnych podejrzanego przychodziło wezwanie zgłoszenia się przed trybunał inkwizycji. Przesłuchiwany nie znał aktu oskarżenia, co miało tę zaletę, że obwinieni wyznawali często więcej, niż się spodziewano. Po przesłuchiwaniu trafiali do więzienia lub obdarzano ich „strzeżoną wolnością". Więzienia (w tym czasie rozwinęło się niepomiernie ich budownictwo) były ciężkie, o czym można przekonać się z wyglądu cel w Carcassonne i w Tuluzie — czarnych, przepaścistych jam, gdzie nie można było ani leżeć, ani stać wyprostowanym. Głód, pragnienie i kajdany kruszyły najbardziej niezłomnych.

Jeśli jednak podejrzany okazał się twardym człowiekiem, stosowano tortury. Ten system wydobywania zeznań miał szerokie zastosowanie w sądownictwie świeckim, jeśli chodziło o przestępstwa ciężkie, sądy duchowne natomiast raczej od niego stroniły, w każdym razie respektowana była zasada, że tortury nie mogą powodować ani kalectwa, ani rozlewu krwi. Od dawna stosowany był system chłosty, czego dokonywano z wprawą i wiedzą o zadawaniu cierpień (istnieli w tej dziedzinie cenieni specjaliści). Bulla Innocentego IV z dnia 15 maja 1252 roku czyni wreszcie torturę środkiem legalnym.

Przyznanie się obwinionego było zresztą formalnością, bo do skazania kogoś wystarczył donos dwóch osób. Ci ostatni nie mieli łatwego życia. Denuncjator siedmiu Doskonałych został zabity w łóżku, a sierżant Laurac Dou-

menge za podobny czyn został powieszony na suchej gałęzi. Toteż denuncjatorzy woleli podawać nazwiska nieżyjących lub tych, którzy mogli schronić się w niedostępnych twierdzach Montségur lub Queribus.

Stosy, trzeba to przyznać, przeznaczone były tylko dla Doskonałych albo dla zatwardziałych wiernych Kościoła katarów. Reszta otrzymywała kary kanoniczne, które nie były bynajmniej bez poważnego wpływu na życie skazanych. Noszenie krzyża, zarezerwowane dla tych, którzy spontanicznie wyznali swoje winy, powodowało bojkot w środowiskach, gdzie herezja miała przewagę, i posądzenie o szpiegostwo na rzecz inkwizycji. Obowiązek pielgrzymek (wybierano celowo odległe miejscowości, co było poważnym wstrząsem finansowym dla całej rodziny) trwał od kilku miesięcy aż do pięciu lat, gdy chodziło o rycerzy wysyłanych do Ziemi Świętej czy Konstantynopola. Kary te spaść mogły na kogoś, kto w czasie podróży na okręcie zamienił parę słów z kacerzem lub jako 11-letnie dziecko na rozkaz rodziców pozdrowił na ulicy Doskonałego.

Ktokolwiek sądzi, że protokoły inkwizycji zawierają wstrząsający materiał, łatwy do wykorzystania pod względem literackim — myli się. Dialog — o czym można przekonać się czytając obszerny zbiór zwany *Collection Doat* — nie opiera się na gwałtownych replikach, pasji, groźbach, oporze i załamaniu, ale na przeraźliwej monotonii. Trzeba jednak w inwentarzu izby tortur odczytać autentyczną grozę.

Cóż znajdujemy w protokołach? Nazwiska, daty, miejscowości i niewiele więcej. „W Faujeaux w czasie consolamentum udzielonego Augerowi Isarowi byli obecni Bec z Faujeaux, Wilhelm z La Ilhe, Gaillard z Feste, Arnaud z Ovo, Jourdain z Requefort... Atho Arnaud z Castelverdun zażądał consolamentum w domu swoich kewnych Covars w Montgradail. Hugo i Sicart z Durfort poszli szukać Wilhelma Tournier i jego towarzyszy... diakoni Bernard Caldefi i Arnaud Guirand mieszkali stale w Montréalu i na ich zebrania przychodzili Rajmund z Senchas, Peteria, żona Maura z Montréalu..." i tak przez całe stronice.

Bernard Gui, inkwizytor o wiek późniejszy, bo z XIV stulecia, jest autorem pouczającej pracy, której tytuł brzmi *Libellis de Ordine Praedicatorum*, a jest ona podręcznikiem dla inkwizytorów, dającym pojęcie, jak wyglądało przesłuchiwanie albigensów.

„...Pyta podejrzanego, czy widział lub znał gdziekolwiek jednego lub wielu heretyków; gdzie widział, ile razy i kiedy...

item, czy miał jakieś stosunki z nimi, gdzie, kiedy i kto go polecił;

item, czy przyjmował w swoim mieszkaniu jednego lub wielu heretyków; kogo mianowicie i kto ich przyprowadzał; jak długo u niego pozostawali, gdzie poszli, kto ich odwiedzał, czy słyszał ich kazania i czego dotyczyły;

item, czy oddawał cześć lub wiedział, że ktoś inny oddaje cześć heretykom;

item, czy jadał chleb poświęcony z nimi i w jaki sposób poświęcali ten chleb...

item, czy pozdrawiał lub widział, jak inne osoby pozdrawiały heretyków...

item, czy wierzył, że osoba przyjąwszy wiarę heretycką może być zbawiona..."

Inne pytania dotyczyły poglądów, przeszłości i ludzi, z którymi stykał się podejrzany.

Tylko z pozoru ten sposób indagacji wydaje się mało elastyczny, tępy i nie prowadzący do niczego. W istocie jego chłodna, bezosobowa logika zwalniała prowadzącego śledztwo od uwzględniania psychologicznej gry, wnikania w motywy i okoliczności, a osobę podejrzaną porażała lękiem ogarniającym zawsze, kiedy stykamy się nie z żywą istotą, ale z surową koniecznością. Oba porządki: porządek moralno-psychologiczny i porządek faktów, są od siebie idealnie separowane. Zresztą nawet z punktu widzenia estetycznego monotonia może być daleko silniejszym środkiem ekspresji niż gwałtowne kontrasty.

Poezja trubadurów staje się przedmiotem gwałtownej ofensywy, jakby nie dość było, że dwory i mecenasowie znaleźli się w rękach żołnierzy z Północy. „Tak bardzo zmienił się świat, że poznać go nie można" — biada Bertram d'Alamanon. Biskupi i dominikanie nawołują, aby porzucić *chants de vanité*, a legat papieski odbiera przysięgi rycerzy, że nigdy już nie będą składali wierszy. Miejsce liryki (zjawisko znane zresztą z innych epok historycznych) zajmują ciężkie kolubryny ideologiczne, składane przez pobożnych rymarzy. Jeden z zachowanych poematów jest po prostu wykładem katechizmu i nie byłby utworem literackim, gdyby nie to, że po każdej z wyłożonych prawd następował taki refren:

> Jeśli nie wierzysz zwróć oczy na płomienie w których palą się twoi towarzysze
> Odpowiedz więc jednym lub dwoma słowami
> Albo spłoniesz w tym ogniu albo połączysz się z nami.

Poezję prowansalską przenika idea „miłości grzesznej", którą wykłada się w nudnych poematach. *Bréviaires d'amour* mistrz Malfré Ermengaud liczy 27 445 wierszy. Scholastyka zaczyna wkraczać do poezji i wzmiankowany poemat zawiera także rozdział *O nikczemności ciała*. „Szatan chcąc zadać cierpienie mężczyźnie zaszczepił mu bałwochwalczą miłość kobiety. Zamiast wielbić z całego serca i z całej mocy umysłu płomienną miłością Stwórcę, oddaje on kobiecie to, co winien Bogu... Wiedzcie, że ktokolwiek uwielbia niewiastę, zaiste uwielbia szatana i czyni Bogiem nieprawego demona."

Oczywiście istnieją jeszcze autentyczni trubadurowie i, być może, odbywają się ich konspiracyjne zjazdy i spotkania. Ostatni zawodowy śpiewak, Guiraut Riquier, umiera w 1280 roku, a więc blisko w 40 lat po stosach w Montségur. Jego głos jest smutny jak głos pasikonika na ruinach. Był wierny tradycji i przez 20 lat idealnie kochał się w żonie wicehrabiego Narbonne, a dzięki delikatności uczuć staje w rzędzie najlepszych przedstawicieli gatunku. Pod koniec życia ulega nowemu prądowi i pisze wyłącznie hymny maryjne, przy czym konfuzja przedmiotu miłości ziemskiej i niebieskiej jest tutaj aż niepokojąca. „Do niedawna śpiewałem miłość, lecz prawdę mówiąc nie wiedziałem, co to jest, biorąc próżność i szaleństwo za uczucie, lecz teraz prawdziwa miłość zniewoliła mnie, abym oddał swoje serce damie, której nigdy nie potrafię kochać i uwielbiać tak, jak na to zasługuje... Nie jestem wcale zazdrosny o nikogo, kto pragnie jej serca, i modlę się za wszystkich jej wielbicieli, aby prośba każdego z nich wysłuchaną została."

Na przykładzie dekadenckiej poezji trubadurów można jak na preparacie anatomicznym studiować zjawisko formalizmu. Nie oznacza on wcale przerostu ozdób językowych czy metafor, ale sytuację, w której dawne środki

wyrazu zaczynają obsługiwać nową, zmienioną atmosferę uczuciową i historyczną. Dodajmy, że byłoby naiwnością sądzić, iż cała poezja trubadurów jest odbiciem kryształowej czystości i miłości platońskiej. Historia przekazała nazwiska sławnych poetów-libertynów, znanych z awantur i bardzo wolnomyślnych wierszyków, takich jak Sordel i Bertram d'Alamanon.

Poezja trubadurów zawsze była mieszaniną ognia, błękitu i miłosnych westchnień, ale może to nie jest najgorszy aliaż dla poezji. Całe canto XXVI *Boskiej* ma kolor ciemnej purpury i chłodnego blasku. W Czyśćcu dusza dobrego poety Arnolda Daniela czeka na dzień wyzwolenia. Dante wystawia swemu mistrzowi piękny pomnik. Pieśń kończy się w języku prowansalskim i ma to czar oddalającej się piękności.

Ale wróćmy do przerwanej historii. Jesteśmy po traktacie w Meaux i zjeździe w Tuluzie, który rozciągnął nad krajem władzę inkwizycji. Nie nad całym, bo w niedostępnych zamkach tli irredenta. Poza tym inne kraje, a zwłaszcza Lombardia, z którą heretycy Księstwa Tuluzy i Prowansji mieli zawsze bliski kontakt, od dawna były względnymi oazami pokoju i udzielały pomocy bratniemu Kościołowi.

Cóż robić? Akcja apostolska katarów była napiętnowana wszelkimi nędzami konspiracji. Miasta były niepewne, więc Doskonali spotykali się z wiernymi w górach, na leśnych polanach, tropieni przez szpiegów i wydawani w ręce inkwizycji, nieustraszeni jednak i przemykający się pod osłoną nocy, pod spojrzeniem przyjaznym, spojrzeniem tropiącym, spojrzeniem obojętnym z przestrachu. Czasami udawało im się na jakiś czas przycupnąć nad szewskim kopytem lub w czepku piekarza na głowie, a w szczególności ulubiony był przez katarów zawód lekarza, odpowiadający postawie czynnego miłosierdzia.

Tymczasem Rajmund VII prowadzi politykę uległości wobec papieża, nie ukrywa natomiast, że chciałby się pozbyć inkwizytorów. Aby wykazać dobrą wolę, powoduje pojmanie i spalenie szeregu albigensów, w tej liczbie diaka, ukrywającego się w Montségur Johana Cambitor, i jego trzech towarzyszy. Na cztery lata, od 1237 do 1241, działalność inkwizytorów w Księstwie zostaje zawieszona. Wydawało się, że pokój wewnętrzny jest bliski.

Ale zupełnie niespodziewanie z szybkością wezbranych górskich strumieni schodzi latem 1240 mściciel — Rajmund Trancavel, syn zmarłego w więzieniu wicehrabiego Béziers. Są z nim wydziedziczeni przez Francuzów panowie okupowanych zamków i świetna aragońska jazda. Armia szybko posuwa się naprzód, biorąc po drodze zamki, które nie stawiają żadnego oporu. Ale zamiast uderzać zaraz na stolicę, Carcassonne, młody wódz kontentuje się błahymi zwycięstwami. Namiestnik króla Francji organizuje obronę, wysyła gońców do Paryża i zwraca się o pomoc do księcia Tuluzy, ten jednak niedwuznacznie odmawia. Atak młodego Trancavela na stołeczne miasto jest pełen furii, mury drżą i sypią się, ale nadciągająca z odsieczą pomoc Jana de Beaumont, senechala Ludwika IX, zmusza młodego wojownika do wycofania się. Drugi fatalny błąd tej kampanii polega na tym, że Trancavel nie wycofuje się tam, gdzie system gór i sprzymierzeńcy dają rękojmię długiej obrony, ale idzie na zachód wprost w paszczę wroga. Nic dziwnego, że zmuszony zostaje do zamknięcia się w Montréalu. Broni się tam jednak tak dzielnie, że otrzymuje honorowe warunki kapitulacji (pozwolenie wycofania się z armią i taborami do

Aragonii). Francuzi rozpoczynają odbijanie utraconych zamków, przy czym w akcję wchodzą nie tyle maszyny oblężnicze, ile negocjacje, chociaż nie brak także i tutaj okrucieństw i gwałtów.

Zachowanie się Rajmunda VII jest pełne niejasności. Wiadomo bowiem, że sprzyjał Trancavelowi, a jednocześnie obiecywał Ludwikowi VII zburzenie stolicy katarów, Montségur. Przystąpienie księcia Tuluzy do walki przeciwko Francuzom mogłoby zmienić obraz wydarzeń, ale on fatalistycznie zapatrzył się na klęskę swego sprzymierzeńca, tak samo jak ojciec jego apatycznie asystował klęsce Rajmunda-Rogera. *Historia magistra vitae*? Jeśli ktoś napisze kiedyś psychoanalizę postaci historycznych, warto tym wypadkom poświęcić osobny rozdział.

Jakby czując, że prześlepił znakomitą okazję, książę Tuluzy rzuca się w wir zręcznie i z rozmachem prowadzonych kombinacji politycznych, które dają podstawę do stworzenia wcale silnej koalicji antyfrancuskiej, bo jednoczącej królów Kastylii, Nawarry, Aragonii, a nawet Henryka III. Upewniony, że alianse są dostatecznie mocne, Rajmund VII wypowiada traktat w Meaux. Wypadki przyspiesza masakra w Avignonet.

Powiedzieliśmy, że Rajmund VII uzyskał u papieża Grzegorza IX zawieszenie działalności inkwizytorskiej braci kaznodziejów. Ale w kwietniu 1242 roku biskup rzymski umiera i dominikanie podejmują swą działalność. W grudniu tegoż roku płonie już wielki stos kacerzy w Lavour.

W maju 1242 roku w małej miejscowości Avignonet położonej w środku prowincji Lauraguais zjeżdżają inkwizytorzy. Cała kompania złożona z jedenastu osób trybunału; w tej liczbie były trubadur Rajmund Costiran, kanonik katedry św. Stefana w Tuluzie, notariusze i woźni. Zajmują oni pomieszczenia w zamku kasztelana Rajmunda d'Alfaro. Nikt z inkwizytorów nie spodziewa się, że mimo dobrego przyjęcia są właściwie w pułapce. Trudno odczuwać wielką sympatię dla instytucji zwanej inkwizycją, ale to nie powinno umniejszać podziwu dla odwagi ludzi, którzy zjawiali się bezbronni, w samym gnieździe herezji, w momencie faktycznej wojny. Rajmund d'Alfaro zawiadamia załogę Montségur i wkrótce 60 zbrojnych wysłanników pędzi drogą do Avignonet. Rebelianci zatrzymują się koło bramy miasta, t. ż koło domu trędowatych, gdzie wysłannik Rajmunda d'Alfaro wręcza im 12 siekier. Potem ponury pochód udaje się pod komnatę, w której śpią inkwizytorzy. Prowadzi ich sam Rajmund d'Alfaro. Kiedy pod ciosami siekier padają drzwi, 7 obudzonych mnichów klęczy na kolanach i rozpoczyna śpiewać *Salve Regina*. Rzeź jest pełna furii i okrucieństwa. Źródła mówią, że rozbitej czaszki jednego z inkwizytorów, Wilhelma Arnaud, morderca używał jako czary do wina.

Chwilowe sukcesy księcia Tuluzy kończą się, gdy armia francuska rusza w drogę i eliminuje z ogromną szybkością wszystkich sprzymierzeńców Rajmunda, w tej liczbie Henryka III, który pobity pod Taillebourc wycofuje się do Bordeaux.

Opuszczony przez wasali i sprzymierzeńców książę Tuluzy zostaje sam i nie ma innego wyboru, jak poddać się raz jeszcze Kościołowi i królowi Francji. W styczniu 1243 roku w Lorvis podpisany zostaje ostateczny układ. W sześć lat później umiera Rajmund VII nie pozostawiając męskiego potomka. Dziedziczką jego jest córka oddana za mąż Alfonsowi z Poitiers, bratu Ludwika IX. W ten sposób Langwedocja związana zostaje na zawsze z koroną francuską.

Oczy zwycięzców obracają się teraz na południe, ku dwom nie zdobytym zamkom, ostatnim twierdzom albigensów: Montségur, stolicy katarów, i Quéribus.

Święte miejsce katarów (dziś już tylko nazwa oznaczająca pustkę) znajduje się w środku dzikiego górskiego pejzażu. Góra z ruinami wygląda teraz jak kopiec olbrzymich mrówek. Od południowej strony opada ku dolinie niemal prostopadła zerwa litej skały. Położenie Montségur jest zagadkowe, gdyż zamek „nie króluje" nad niczym i nie zagradza żadnej drogi, tak jakby jego konstruktorom chodziło o względy inne niż praktyczne. Sam kształt ruin przypomina raczej podłużny sarkofag niż twierdzę. Dziwy mnożą się, kiedy wężową ścieżką dochodzimy do resztek budowli. Mury są nagie i pozbawione strategicznego charakteru — strzelnic, blank i wież. W dodatku ta tajemnicza konstrukcja nie zajmuje całej powierzchni szczytu. Ale co jest najbardziej uderzające, to dwie szerokie bramy, nie bronione przez żadne urządzenia fortyfikacyjne, co jest zupełnie nie spotykane w średniowiecznej architekturze obronnej.

Do wszystkich owych zagadkowych szczegółów doszło spostrzeżenie, że plan Montségur jest zupełnie wyjątkowy. Badania nad symboliką sztuki nie ograniczają się dzisiaj bynajmniej do studiowania kapiteli, tympanonów i innych szczegółów ornamentacyjnych, dzięki czemu pięciobok gołych murów może przemówić ukrytym sensem. Metafizyka architektury wyraża się także w module, proporcji brył, układzie okien, orientacji budowli, a nawet w rodzaju materiałów i zaprawy. Zamek w Montségur, jego plan i rzut poziomy pozwalają z dużą precyzją określić główne pozycje wschodzącego słońca w różnych okresach roku. Na tym opiera się śmiała hipoteza, że Montségur nie był zespołem obronnym, ale świątynią katarów, być może pozostałością kultu manichejskiego.

Wróćmy do faktów. Jest maj roku 1243. Hugues des Arcis, nowy senechal królewski z Carcassonne, i jego dziesięciotysięczna armia rozbijają namioty wokół Montségur, okrzykniętego „synagogą szatana". Za drewnianą palisadą i murem znajduje się wiele diakrów, znakomitych duchownych albigensów, i Doskonałych, z Bertrandem Marty na czele. Garnizon zamku składa się z 15 rycerzy i stu sierżantów. Nie więcej niż sto pięćdziesiąt ludzi pod bronią. Wojska francuskie otaczają Montségur półkolem, tylko południowa część góry wolna jest od oblegających (jest to owa prawie prostopadła zerwa skalna, opadająca w przepaść, w której obrońcy dojrzeć mogą obraz swego losu).

Zacząwszy oblężenie w maju, atakujący liczyli się, że słońce wypije w lecie cysterny. Po sześciu miesiącach, gdy sytuacja nie zmieniła się, nie liczono już na pomoc nieba. Także zapasy żywności były dostateczne, a kontakt ze światem przez cały czas utrzymany dzięki doświadczonym przewodnikom, spuszczającym się nocą na sznurach po prostopadłej ścianie. Znaczna różnica poziomów nie pozwoliła Francuzom użyć maszyn oblężniczych i wszystko wskazywało na to, że gniazdo katarów nie może być wzięte szturmem, lecz fortelem.

Obrońcy i mieszkańcy Montségur nie mogli spodziewać się chyba, że potężna armia francuska któregoś dnia zwinie namioty i odejdzie. Tak więc blisko pół tysiąca osób zamkniętych w twierdzy, których wspólny los czyni jedną rodziną, przez wiele miesięcy przygotowuje się do śmierci.

Francuzom udaje się przekupić baskijskich ochotników, doświadczonych

górali, którzy po ciężkich walkach usadawiają się na wąskiej platformie, w odległości osiemdziesięciu metrów od zamku. W listopadzie armia królewska otrzymuje znaczne posiłki. Do obozu przybywa biskup z Albi, Durand. Jest to pomoc bardziej fachowa niż duchowna, bowiem biskup jest znakomitym konstruktorem maszyn oblężniczych, które wkrótce wkraczają do akcji. Sytuacja nie jest jeszcze beznadziejna, bo oto nocą do twierdzy przybywa Bertrand de la Baccalaria, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli — inżynier wojskowy, dzięki któremu nawiązany zostaje dialog miotaczy kamieni.

Zima dla oblężonych jest bardzo ciężka, tracą wielu zabitych, a nieczęste posiłki nie wyrównują strat. Stłoczeni na niewielkiej przestrzeni kilkuset metrów kwadratowych, odczuwają znużenie wielomiesięcznym bojem. Dowódcy garnizonu wysyłają kilkakrotnie do księcia Tuluzy posłańców z zapytaniem, czy sprawy idą dobrze. Odpowiedź jest potwierdzająca, ale dokładnie nie wiadomo, o co idzie, czy o przygotowanie do nowego powstania, czy zorganizowanie odsieczy, czy też negocjacje.

Do walki wchodzi najniebezpieczniejsza ze wszystkich broni — podstęp. W czasie jednej z długich zimowych nocy grupa lekko zbrojnych ochotników, prowadzonych przez baskijskiego przewodnika znającego sekretne przejścia, przedostaje się przez niedostępną grań i myląc załogę przyjaznym nawoływaniem, niespodziewanym atakiem masakruje obrońców wschodniej wieży. Przejście jest tak niebezpieczne, że na drugi dzień zwycięscy Francuzi wyznają, że nigdy nie odważyliby się przebyć tej drogi w pełnym świetle. Odtąd sytuacja jest bardzo poważna dla oblężonych, zwłaszcza że biskup Durand montuje nową maszynę w pobliżu murów Montségur, która bez przerwy miota osiemdziesięciofuntowe głazy. Dowódca załogi, Pierre Roger Mirrepoix, zarządza ewakuację skarbów należących do Kościoła katarów. Dwaj albigensi, Mateusz i Piotr Bonnet, unoszą złoto, srebro, *pecuniam infinitam* i ukrywają w bezpiecznym miejscu.

Mimo sytuacji beznadziejnej dla zamkniętych w twierdzy, oblężenie trwa i obrońcy odpierają ataki Francuzów. Kronikarz krzyżowców, Guillaume de Puylaurens, pisze: „nie dawano oblężonym wypoczynku ani we dnie, ani w nocy". Dowódca załogi próbuje zorganizować pomoc z zewnątrz. Corbario, szef 25 aragońskich sierżantów, którzy stanowiliby w nowoczesnej armii korpus wyborowych komandosów, zobowiązuje się przeniknąć linie oblegających i odebrać zajętą przez Francuzów wschodnią wieżę oraz zniszczyć maszyny oblężnicze. Pierścień oblegających jest jednak tak potężny, że Aragończycy są zmuszeni zaniechać akcji. Dowództwo obrony decyduje się na desperacką wycieczkę w nocy. Walka toczy się nad przepaścią, w której wielu znajduje śmierć. O świcie bój przenosi się aż pod mury twierdzy, na których stają obok rycerzy siostry i córki obrońców. Kontratak jest krwawo odparty. Po tej nocy, pełnej krzyku rannych, tratowanych i spadających w przepaść z murów Montségur, rozlega się dźwięk rogu. Rajmund de Perella i Pierre Roger de Mirrepoix jadą do obozu wrogów negocjować. Po dziewięciu miesiącach oblężenia Montségur kapituluje.

Oblegający są tak wyczerpani, że przyjmują większość proponowanych warunków, które w efekcie okazują się korzystne. Obrońcy zatrzymują Montségur jeszcze 15 dni (chodziło o umożliwienie obchodzenia święta albigensów, wypadającego na połowę marca). Wybaczono załodze błędy przeszłości, w tym

nawet zbrodnie w Awingnonet. Żołnierze wycofają się z bronią w ręku i dobytkiem, przejdą jednak przesłuchanie inkwizycji, ale tylko kary lekkie mogą być wobec nich stosowane. Inne osoby znajdujące się w cytadeli pozostaną wolne, jeśli wyrzekną się herezji. W przeciwnym wypadku czeka je stos. Twierdza oddana zostanie królowi Francji.

Tak więc po podpisaniu układu 1 marca 1244 roku zapanował w twierdzy upragniony pokój, piętnaście darowanych dni wolności przed śmiercią twierdzy, piętnastodniowe pożegnanie tych, którzy zejdą w dolinę z wiosennym wiatrem, z tymi, których strawi na górze płomień stosu. Jest rzeczą budzącą najwyższy szacunek, że w czasie rozejmu poprzedzającego oddanie zamku 6 kobiet i 11 mężczyzn przyjmuje wiarę katarów, co równało się wyborowi męczeńskiej śmierci (mimo że męczennicy religii niszczonych nie bywają kanonizowani).

16 marca 1244 roku do Montségur wkraczają francuscy żołnierze, biskupi i inkwizytorzy. Rajmund de Perella, jeden z dowódców obrony, rozstaje się na zawsze ze swoją żoną i najmłodszą córką, które czeka ogień. Nie jest to zresztą jedyne pożegnanie rozdartych rodzin.

U podnóża góry, na miejscu, które nazywa się dziś Crematchs (od *les crematts* — spaleni), żołnierze wznoszą potężny stos. O tej porze roku suchego drzewa jest mało, więc zamiast rusztowania przetykanego gałęźmi i pali, do których przywiązywani bywali skazańcy, budują zwycięzcy palisadę, otaczającą sporą warstwę chrustu. Do tej makabrycznej zagrody wpędzają zakutych albigensów. Źródła podają cyfrę 200 osób — kobiet i mężczyzn. Palisadę podpala się z czterech stron. Rannych i chorych wrzuca się do środka. Żar jest tak wielki, że świadkowie muszą odejść od stosu. Śpiewy duchownych i krzyk umierających mieszają się ze sobą.

Nocą, kiedy na stosie żarzą się jeszcze ludzkie zwłoki, na sznurze, po prostopadłej południowej ścianie, wymyka się trzech albigensów ukrytych przedtem w podziemiach Montségur. Unoszą resztkę skarbów, święte księgi i świadectwo męczeństwa.

Ciężki, mdlący dym schodzi na doliny i rozwiewa się po historii.

Zbigniew Herbert

Janusz Sławiński

O POEZJI JANA BRZĘKOWSKIEGO

I

Zwracano ostatnio parokrotnie uwagę na krzywdzące zapomnienie, jakie otacza twórczość Jana Brzękowskiego.* Tym bardziej krzywdzące, że pisarz ten bynajmniej nie pozwala się traktować jako postać zamkniętego już rozdziału polskiej poezji, że wciąż zaznacza swą żywą obecność we współczesnej liryce, choć sygnały tej obecności, poza nielicznymi wyjątkami (mam na myśli utwory drukowane w *Twórczości),* w minimalnym tylko stopniu są znane naszej publiczności literackiej. W latach powojennych Brzękowski opublikował cztery tomy poetyckie: *Razowy epos* (1946), *Odyseje* (1948), *Przyszłość nieotwarta* (1959), *18 coplas* (1959). Ostatnio ukazały się jego *Poezje wybrane.* Książka ta stanowi podsumowanie trzydziestopięcioletniego okresu twórczości Brzękowskiego. Trzeba podkreślić: twórczości poetyckiej, i dodać: w języku polskim. Autor *Na katodzie* jest bowiem poetą dwujęzycznym, ma w swoim dorobku trzy książki wierszy francuskich: *Spectacle metallique* (1937), *Nuits vegetales* (1938), *Les murs du silence* (1956). I jest nie tylko poetą — uprawia twórczość powieściową, krytykę artystyczną i — co dla nas będzie szczególnie istotne — teorię poezji, której znaczenie wykracza poza krąg uzasadnień dla jego własnych dokonań.**

Poezje wybrane to doskonały powód do przypomnienia kolei twórczości Brzękowskiego. A raczej nie tyle powód, co pretekst. Głównym bowiem powodem krytycznego przypomnienia, powodem, który przecież nie teraz dopiero się pojawił, jest rola, jaką odegrały propozycje Brzękowskiego w kształtowaniu awangardowego wzorca liryki. W kształtowaniu owego wzorca zarówno wówczas, gdy dążenia współtworzących go poetów i teoretyków szły w zasadzie jednotorowo i grupowo (okres *Zwrotnicy),* jak i wtedy, gdy stały się zróżnicowane, gdy nabrały charakteru indywidualnych doświadczeń rozwijających, ale i negujących w wielu punktach, wspólne założenia wyjściowe. Zwłaszcza w tym drugim okresie (lata trzydzieste), gdy grupowe „my" awangardy krakowskiej ustąpiło miejsca dążeniom zindywidualizowanych

* Por. m. in. Z. Bieńkowski: *Przypomnienie metarealisty. Twórczość* 1959, nr 10; J. Przyboś: *Nowy Brzękowski. Przegląd Kulturalny* 1959, nr 39.

** Dwa lata temu *Przegląd Humanistyczny* opublikował obszerny szkic Brzękowskiego o Awangardzie.

„ja" poetyckich — twórczość Brzękowskiego oraz jego sformułowania teoretyczne znalazły się wśród najważniejszych zjawisk ówczesnej poezji nowatorskiej.

Od lat trzydziestu Brzękowski przebywa na stałe we Francji. Jest to okoliczność istotna nie tylko w życiowych kolejach pisarza, ale również w losach jego twórczości. W losach tej twórczości przed wojną, gdy Brzękowski — redaktor polsko-francuskiego pisma *L'Art Contemporain* (1929—30) był głównym pośrednikiem między awangardą polskiej poezji i plastyki a awangardowymi kierunkami na Zachodzie. I w losach jej późniejszych, które przebiegały w całkowitym niemal osamotnieniu, z dala od przemian i procesów zachodzących w polskiej poezji. O tym osamotnieniu twórczości autora *Razowego eposu,* o jej odcięciu od rodzimych dopływów, pisał trafnie i sugestywnie Bieńkowski. Propozycje Brzękowskiego nie mają żadnych kontynuacji w liryce powojennej. Jego poezja znajduje się w tej chwili poza wszelką konfrontacją w naszym życiu literackim. Nie ma naśladowców i nie ma oponentów. Nie ma publiczności i krytyki. W sytuacji, gdy stosunek do tradycji międzywojennej awangardy stanowi wciąż sprawę aktualną dla naszej poezji, wydaje się rzeczą konieczną przypomnienie twórczości, która w dziejach tej — wciąż żywej — formacji poetyckiej odegrała nienajmniejszą rolę.

II

Pierwsza książka poetycka Brzękowskiego — *Tętno* (1925) — jest bardzo symptomatyczna dla wstępnego okresu działań krakowskiej awangardy. Dla okresu, kiedy na czołowym miejscu Peiperowskiego programu znajdowało się hasło „uścisku z teraźniejszością", a więc hasło wspólne właściwie wszystkim orientacjom poetyckim w latach tuż-powojennych, nie tylko nie rozgraniczające dążeń, ale wręcz zacierające różnice i jednoczące fronty. Awangarda szła w tym względzie równolegle do Skamandra i futurystów. Hasło to bowiem nie wiązało się z jakimś określonym rodzajem języka liryki, było w sensie poetyckim — „ponadklasowe". Wytyczało sferę tematyki, zachowując neutralność wobec poetyki. Okres jego dominacji w poczynaniach awangardy zaznaczył się szeregiem utworów Peipera, Przybosia, Brzękowskiego, Jalu Kurka, które w perspektywie dalszych stadiów ich twórczości odegrały rolę raczej drugorzędną. Była to poezja o p i e w a j ą c a dzień dzisiejszy, zarówno w jego wymiarze niepodległościowo-państwowym, jak i nowoczesnocywilizacyjnym. Jeśli w poezji skamandrytów „uścisk z teraźniejszością" dokonywał się z jednej strony poprzez radosny dytyramb na jej cześć (zwłaszcza Tuwim i Wierzyński), z drugiej zaś poprzez poetycki obrazek nasycony realiami owej teraźniejszości (głównie miejskiej), to w utworach awangardzistów znalazł on równoważniki stylistyczne przede wszystkim o charakterze podniosłym i abstrakcyjnym.

Teraźniejszości — płonąc w prądzie nowych racji
Rozfaluj wielkością dwudziestego wieku tętno
I targając żyły tępą siłą egzaltacji
Niebo rozwal pięścią!

(Tętno)

Zarówno tematyka, jak i skłonność do patosu łączyła utwory tego rodzaju z wystąpieniami futurystów (Sterna czy Młodożeńca). Jednakże obok tych zbieżności, bardzo zresztą charakterystycznych dla okresu, gdy postulatom dotyczącym tematyki nie towarzyszyła jeszcze nowa — zdecydowanie przecież antyfuturystyczna — koncepcja języka poetyckiego awangardy, już wówczas zarysowały się pewne różnice. Poezja opiewająca futurystów dynamizowała retoryczny tok wypowiedzi, była krzykliwa, orgiastyczna, operowała zawołaniami, utrwalała w sobie jak gdyby zemocjonalizowaną gestykulację uczestników tłumu. Natomiast analogiczne utwory Peipera, Przybosia czy Brzękowskiego cechowały się wewnętrznym uporządkowaniem, dyscypliną frazy, retorycznym rozłożeniem napięć intonacyjnych. I tu, i tam niezwykłą popularność przeżywały dwa gatunki poetyckie: hymn i oda. Utwory zawarte w pierwszym tomiku Brzękowskiego w przeważającej części reprezentują te właśnie typy wypowiedzi:

Oddech nasz ciężki, przytłoczony mgławicami pyłu,
Barki do ziemi zgięte tęsknią do giętkości pionu,
Bladym wysiłkiem uderzeń odłupując czarność brył
Słuchamy zgrzytu stali i skał, jak bolesnych tonów.
(. . . . . .)
Dostarczamy blasku hutom i twardości żelazu,
Ogrzewamy ziemię ciepłym zalewem gorąca,
Jesteśmy motorem rytmicznych drżeń i wydarzeń,
Jesteśmy podziemnym Słońcem.

(Górnicy)

Wisząc ponad miastem, jak punkt jesteś piękny
Sierżancie-pilocie Józefie Bereto!
Gdy bomby rzucone twoją ręką pękną,
Będziesz bohaterem. Ja — twoim poetą!

(O Józefie Berecie mechaniku)

Hymn jest wypowiedzią zbiorowego podmiotu. Oda jest wypowiedzią, w której dominuje opiewana — druga osoba lub upersonifikowana abstrakcja (np. „Teraźniejszość"). W pierwszym wypadku „ja" liryczne roztapia się jak gdyby w „osobowości kolektywnej", w drugim — rezygnuje z siebie na rzecz jakiegoś „ty". Poprzez oba gatunki dokonywał się rozrachunek z romantycznym modelem intymności lirycznej. A mówiąc dokładniej: z modelem, jaki ze składników romantycznych zbudowała Młoda Polska. Podmiotowi poetyckiemu, pogardliwie izolującemu się od zbiorowości lub dramatycznie z nią skłóconemu futuryści i awangardziści przeciwstawili podmiot osadzony w społeczności, zdezindywidualizowany, przemawiający w chórze lub do drugiej osoby, zwrócony poza siebie, z aprobatą przeżywający swoją alienację. Pochwała przedmiotów nowoczesnej cywilizacji technicznej łączyła się tu z pochwałą jej społecznych i moralnych skutków. Uwielbienie miasta, masy i maszyny pociągało za sobą powstanie nowego „pozytywnego bohatera" liryki — człowieka, którego życie jest pozbawione sfery prywatności, określanego bez reszty przez działania i emocje zbiorowe.

Podkreślana wyżej odmienność futurystycznego i awangardowego stylu poezji opiewającej miała istotne uzasadnienie. Oba style były równoważnikami nastawień antyromantycznych, oba stanowiły negację romantycznej kultury uczuciowej i romantycznego gestu poety usytuowanego ponad zbiorowością. Zasadniczo różne jednak były wizje owej zbiorowości, która określała bohatera lirycznego. Dla futurystów był nią tłum świętujący niepodległość i nowoczesność, tłum uczestniczący jak gdyby w oszałamiającym przedstawieniu wśród scenerii miasta i tworów technicznej cywilizacji. Tłum niezorganizowany, ruchliwy, poddający się zmiennym emocjom, wybuchowy, nie zmierzający do określonego celu — przeżywający tylko własne podniecenie. Awangardzistów natomiast fascynowała zbiorowość zorganizowana, działająca celowo, wyrażająca swe uniesienia w sposób uporządkowany. Wzorcem jej była przede wszystkim grupa pracujących robotników (m. in. Peiper: *Chorał robotników*, Brzękowski: *Górnicy*, Przyboś: *Cieśle*), odgrywająca w poezji awangardowej równie charakterystyczną rolę jak motyw cyrkowego widowiska u futurystów. Z jednej strony — nieopanowanie, żywiołowość i błazeństwo, z drugiej — powaga, zdyscyplinowanie i odpowiedzialność. Jak wiadomo, Peiper zarzucał skamandrytom i futurystom, że potrafili jedynie powitać i świętować niepodległą teraźniejszość, nie umieli zaś współżyć z nią na codzień. Niewątpliwie i jego poezja, i poezja jego towarzyszy — w pierwszej fazie grupowej działalności — była próbą stworzenia konstruktywnego ideału przeżyć społecznych, związanych z pracą produkcyjną. Z tego ideału wywodzi się koncepcja poety jako rzemieślnika.

Cały czas mówię o zespołowych dążeniach awangardy, ale wszystkie te wyjaśnienia przylegają dokładnie do twórczości Brzękowskiego. Pierwszy bowiem okres istnienia ekipy krakowskiej — okres faktycznej grupowości — cechował się (głównie za sprawą wpływów Peipera) daleko posuniętym ujednoliceniem stylu poetyckiego. Był to okres programowej zgodności wszystkich członków grupy. Zgodności zwłaszcza w tych elementach, które złożyły się na poezję opiewającą.* Utwory z tomu otwierającego twórczość Brzękowskiego, tematycznie związane z sytuacjami nowoczesnego życia, rewolucją, techniką, głoszące pochwałę pracy maszynowej i trudu robotnika — są dość bliskie również w stylistyce hymnu i ody ówczesnym wierszom Peipera *(A)* czy Przybosia *(Śruby)*. Poeta nie uznaje ich za zbyt doniosłe w swoim dorobku, skoro w *Poezjach wybranych* ocalił od zapomnienia tylko trzy wiersze z *Tętna*, i to akurat zupełnie niereprezentatywne dla opisywanych tendencji.

Dzieje awangardy krakowskiej przeszły przez trzy etapy, z których każdy daje się metaforycznie nazwać słowami Peipera. Pierwsza faza — „uścisk z teraźniejszością" (miasto, masa, maszyna), a więc nowa tematyka. Drugie stadium — „poezja jest tworzeniem pięknych zdań", czyli koncepcja języka poetyckiego. Trzecie — „nowa radość wyobraźni" (tak sformułowany postulat wysunął wódz awangardy dopiero w latach trzydziestych), a więc uzasadnienie funkcji nowej poetyki w kategoriach *par excellence* „lirycznych". Począwszy od połowy drugiej fazy rozpoczynają się zindywidualizowane bio-

* W późniejszych latach ten rodzaj poezji uprawiał tylko Jalu Kurek *(Śpiewy o Rzeczypospolitej*, 1929).

grafie literackie poszczególnych awangardzistów, wyzwalających się coraz bardziej od wpływów Peipera, choć przecież nie porzucających principiów jego programu.*

Wydaje się jednak, że etap hymnicznego uścisku z teraźniejszością był dla późniejszych losów awangardy czymś więcej niż tylko odkryciem nowej tematyki. Stworzył zawiązki nowej osobowości poetyckiej. Umieszczenie „ja" lirycznego wśród zorganizowanej zbiorowości, narzucającej mu ograniczenia (odwrotnie niż u futurystów, gdzie tłum jak gdyby wyzwalał emocje jednostki), było pierwszym stadium jego zdyscyplinowania. Tego zdyscyplinowania, które, obejmując zrazu wyłącznie „zewnętrzną" sytuację podmiotu poetyckiego (miejsce w socjalnym kontekście), ogarnie następnie jego obszar „wewnętrzny" i stanie się zasadniczym wymiarem moralno-artystycznym wzorca intymności utrwalonego w liryce awangardowej. I które w poezji Brzękowskiego będzie dramatycznym partnerem dążeń prowadzących akurat w odwrotnym kierunku.

III

Powiedzmy tymczasem: w kierunku surrealistycznego niezdyscyplinowania, odkładając na później usunięcie niedokładności, jakie się w tym powiedzeniu kryją. Tak zresztą ów kierunek zidentyfikowano od razu, gdy tylko zarysował się w poezji Brzękowskiego. Recenzując jego drugą z kolei książkę — *Na katodzie* (1929) — Przyboś określił ją jako „pierwszy dokument surrealizmu w Polsce", uznając poszukiwania autora za bardziej w tym względzie zdecydowane od poszukiwań Ważyka.** Opinie o dwóch dalszych tomikach Brzękowskiego — *W drugiej osobie* (1933) i *Zaciśnięte dookoła ust* (1936) — konsekwentnie umieszczały jego twórczość w orbicie oddziaływania francuskiego nadrealizmu. Istotnie, wiele objawów za tym przemawiało. Ale był również szereg innych, które tamtym niejako zaprzeczały. Co przemawiało?

Przede wszystkim dążność do podważenia autonomii metaforycznego „pseudonimu". Peiper starał się z niego uczynić (i teoretycznie, i w praktyce pisarskiej) układ motywowany immanentnie, znak własnych wewnętrznych napięć, odcięty od pozapoetyckiego rodowodu i, co więcej, swoim zorganizowaniem negujący ów rodowód. Brzękowski (wcześniej od Przybosia i zupełnie inaczej) przeciwstawił się tej koncepcji tworu poetyckiego. Konsekwentnie z nią polemizował, a jego utwory wyprzedziły w czasie argumentację teoretyczną. Starał się w nich utrwalić ruch swobodnych skojarzeń, dynamikę zdarzeń wyobraźni, a więc uzależnić „pseudonim", uwidocznić jego motywację zewnętrzną. Bardzo często taką motywają dla znaków poetyckich staje się — senne marzenie.

było to wtedy gdy zmęczone miłością aligatory zasypiały
[w cieniu podróżujących kwiatów

* O tym szerzej w szkicu *Poetyka i poezja Tadeusza Peipera*, *Twórczość* 1958, nr 6.
** *Głos Literacki*, 1929, nr 11.

(strzegł je przed wielkością ich anioł stróż)
wiatr przysuwał pod powiekę drogi z rodzynków i orze-
[chów, które rozpuszczały się w niebo z aluminium
ludzie nosili serca na łańcuszkach jak zegarki
ludzie...
serca...

rybne sny wpływały przez otwarte usta.

(realność)

Sen występuje w utworach Brzękowskiego dwojako: jako temat i jako zasada kojarzenia przedstawień. *Prawa Newtona, Niedojrzały uśmiech, Przebudzenie, Kobiety moich snów, Kolory, Czerwień snów* — to tylko parę przykładów z długiej serii wierszy, które mogłyby być na tę okoliczność przywołane. Gdyby opracować słownik poezji Brzękowskiego (trzech omawianych obecnie tomików), okazałoby się niezawodnie, że bezkonkurencyjne co do częstotliwości występowania w niej były słowa: „sen" i „senny".

To rozległe „pole leksykalne" znajduje się niejako w centrum materii słownej, nie tylko w sensie ilościowego zagęszczenia, ale również w sensie jego zdolności przyciągania innych słów i zaborczego oddziaływania na inne „pola leksykalne". Motywy snu miały tutaj charakter wręcz obsesyjny, dominowały nad pozostałymi i określały je wobec siebie. Ale nie sama obecność tych motywów zwraca uwagę. I nawet nie ich rola jako dominanty tematycznej. Marzenie senne należy do tego zespołu odwiecznych tematów poezji, co do których stwierdzenie, że gdzieś występują, nic jeszcze nie orzeka o własnościach kontekstu, w jakim się to dzieje. W wypadku utworów Brzękowskiego istotne wydają się dwa momenty: to, że owe motywy pojawiają się w towarzystwie interpretacji nadającej im określone znaczenie, po wtóre zaś, że stają się wyznacznikiem sposobu poetyckiej wypowiedzi, że znajdują przedłużenie w samym toku lirycznej narracji.

Interpretację, o której mowa, wywiódł poeta z Freudowskiej psychologii marzenia sennego.

nocą
gdy widzisz we śnie piersi kobiece
otwierasz niebo przybrane pawiami

spadasz
w nie na mocy prawa ciężkości rządzącego światem
i snami

(prawa newtona)

jak gwóźdź
przybity męsko w żywe drzewo
rosnę wraz z nim, nabrzmiewam, rodzę,
tracę liście,
śpiewam.

(przestrach rośnięcia)

Te dwa wyimki z tekstów bardzo reprezentatywnych dla opisywanych skłonności starczą niemal za komentarz. Brzękowskiego zapisy snów były zapisami poddanymi już pewnej zasadzie porządkującej. Rolę czynników kompozycyjnych odgrywały w nich freudowskie symbole przedmiotów, czynności i sytuacji erotycznych, które stawały się jak gdyby ośrodkami krystalizacyjnymi śnionej „anegdoty". Fabuła snu została wtórnie zaszyfrowana, czyli: podszyta znaczeniami. Obraz nie był więc bierną reprodukcją sennego spektaklu, w jego ramach elementy tego przedstawienia poczynały spełniać funkcję znaków wskazujących poza siebie — na sferę „zajść" podświadomości. Poetycka wizja uzyskiwała wewnętrzną organizację dzięki swemu odwołaniu na zewnątrz — do systemu wyjaśnień psychoanalitycznych.

Szyfr psychoanalityczny, porządkujący sferę semantyki obrazów-snów, ustalający w ich obrębie dominanty znaczeniowe, sam był wszakże zanurzony w płynącym swobodnie potoku przedstawień. Działał pod powierzchnią, gdy tymczasem na powierzchni tłoczyły się, kłębiły i zderzały rekwizyty, pojawiające się i niknące pozornie na przekór wszelkim regułom. Brzękowski starał się upodobnić tok lirycznej narracji do kapryśnego biegu fabuły sennego marzenia. Stąd podstawowa rola składni eliptycznej. Obraz rozwijał się jak gdyby „porcjowo", nie w rytmie wynikania cząstek, lecz w rytmie takiego ich następowania, w którym „puste miejsca" spełniały funkcję sygnałów zmiany kierunku skojarzeń. Gdzie zatem punkty węzłowe całego przebiegu nie istniały aktualnie — zawierały się w potencjalnie naładowanym międzysłowiu. Autora *Na katodzie* nazwano „narratorem marzenia".* Mówi się często, że wyobraźnia człowieka marzącego „skacze" jak gdyby z przedmiotu na przedmiot. Składniowym ekwiwalentem takiego ruchu stała się w poezji Brzękowskiego — elipsa. Poświęcił on jej również dość obszerne rozważania teoretyczne w książce *Poezja integralna* (1933). Rozwijał tam myśl, że składnia eliptyczna jest siłą motoryczną „asocjacjonizmu, który stanowi podstawę większości prądów poetyckich dnia dzisiejszego".** Elipsa zderza obrazy, łączy je na zasadzie alogicznej, jest więc niejako „naturalnym" wykładnikiem dynamiki aktów wyobraźni. Ale to tylko jej jedna strona, związana z zewnętrznymi motywami wypowiedzi poetyckiej. Strona — by tak rzec — antypeiperowska. Elipsa ma też wymiar ściśle poetycki: jest wprawdzie równoważnikiem swobodnego biegu skojarzeń, ale równocześnie mu zaprzecza, wprowadza moment ograniczenia i konstrukcji. Tnie strumień obrazów, dokonuje wśród nich eliminacji, celowo zagęszcza przedstawienia. Jest formą języka odpowiadającą szybkości i intensywności nowoczesnego życia, wyraża potrzebę skrótów (peiperowska zasada ekonomii środków poetyckich). Ta dwustronność podejścia — zarówno w teorii, jak i w praktyce — do reguł mowy poetyckiej wydaje się zasadniczą właściwością dążeń Brzękowskiego. Przyjdzie jeszcze o niej za chwilę mówić.

Panująca w jego utworach zasada montażu asocjacyjnego wyzwala nieograniczoną niemal wieloznaczność następujących po sobie „klatek". Znaczenia są tu migotliwe, znajdują się w ciągłym ruchu, rodzą się i zani-

* Jan Kott: *Francuski Brzękowski*, *Płon* 1938, nr 26.

** s. 47.

kają jako funkcje momentalnych styczności między składnikami wizji. Wieloznaczność jawi się w rozmaitych planach i przekrojach wypowiedzi. Obrazy Brzękowskiego są „naturalistyczne" w elementach i „fantastyczne" w ich powiązaniach. Porównywano je z techniką fotomontażu operującego skrawkami dokumentalnego opisu jako budulcem dla konstrukcji metaforycznych. Wydaje się jednak, że obrazy te, łączące „realistyczną" dokładność i konkretność w podstawianiu detali z osobliwymi i nieoczekiwanymi ich kombinacjami, burzącymi związki przyczynowo-skutkowe, empiryczne uzasadnienia i przyzwyczajenia — ujawniają raczej pokrewieństwo z malarstwem (właśnie z malarstwem) surrealistycznym. Swoista stylizacja, która w nich występuje, coraz to zdradza to swoje pochodzenie:

kobiety o nogach wielkich jak u Braque'a
biegały dokoła pejzaży z lasów i palm
kobiety o twarzy pingwinów
kobiety brunatne z alp i z apenin
o piersiach jędrnych jak cytryny chinek
o krzaczastych pachach ptaków
o włosach zaczesanych w Grecję
i ustach pachnących ojczyzną
i miętą

(elephantiasis)

W świecie tym odbywa się nieustanna wymiana właściwości między zjawiskami nawzajem sprzecznymi, zdziwionymi swoistym sąsiedztwem. Pojęcia przechodzą w wymiar „rozciągłości", stają się ciałami o określonej barwie, ciężarze i zapachu. Przedmioty — zyskują lotność i niematerialność właściwym pojęciom. Egzotyczna fauna i flora sąsiadują ze swojskością. Wyszukane rekwizyty zgodnie współżyją z przedmiotami codziennego użytku. Ludzkie postacie stają się — niczym na obrazach Chirico czy Magritte'a — manekinami, kukłami, ujawniającymi swoją sztuczność, ukrytą pod pozorami żywej cielesności

tańczyła niebiesko anita hawajka
piersiami kołysząc me serce na rękach
dymiła ambrą płowowłosa fajka
mdła kadzielnica w wielkanocne święta

syczały na nogach złote bransolety
w uszach szumiały perły fluoryzujące
czarnawe kobry pełzały po dżetach
łaskotał powietrze gąszcz pach gorejący

patrzę jak święty drzemiący w pasztecie
anito — co ci to, ukalele — tak kwili
dziwnie się plecie na tym bożym świecie
nie odpinaj piersi anito...

(piersi anity)

Obsesyjnie natarczywym obrazom bujnych kształtów kobiecego ciała towarzyszą ujęcia sprowadzające je do kategorii mechanicznego zespołu składników. Powstają twory na poły organiczne, na poły sztuczne — poruszane sprężynkami, trzymane przez zawiasy, spinane na zatrzaski. Twory, które można rozkręcić i rozłożyć na cząstki. Zmysłowa erotyka przesycająca utwory Brzękowskiego uzyskuje w ten sposób wymiar groteskowy. Dwuznaczne istoty zaludniające jego poezję są bohaterami snów parodystycznych.* Ciało urzeczowione staje się parodią ciała żywego, elementy dekoracyjne („tancerka o sutkach z koralu; w jej oczach z fajansu metalowy demon" itp.) — parodią elementów funkcjonalnych, mechaniczna dezintegracja — parodystyczną repliką organicznej całości. Erotyczne uniesienia nabierają charakteru absurdalnego, i to tym bardziej, im „gęstsza" jest spowijająca je atmosfera zmysłowości.

Podobnie groteskowy wymiar mają motywy niesamowitości i makabry (np. *Gabinet zbrodni),* które często występują w wierszach Brzękowskiego. Zbrodnicze rekwizyty, sadyzm, mroczne zaułki przestępstw i narkomanii, cały ten świat upiorności i grozy ujęty jest również w kategoriach poetyki parodystycznego snu. Snu, układającego się wedle wzorów znanych z ekspresjonistyczno-kryminalnych powieści (np. Ewersa), niesamowitych filmów i brukowej prasy. Potok przedstawień niósł na powierzchni odpryski i fragmenty rozmaitych konwencji i schematów, które zderzając się ze sobą tworzyły układy, przypominające swą chwilowością kompozycje kalejdoskopu. Sen parodystyczny to u Brzękowskiego fantastyczna fabuła, której składnikami są znaki podwójnie znaczące: symbole podświadomych nastawień, a równocześnie znaki naśladujące pewne szablony i stereotypy wyobrażeniowe. Przedrzeźniające je i ujmujące w cudzysłów kpiny.

Wśród tych szablonów wyobrażeniowych zwłaszcza filmowe odcisnęły się na poetyce Brzękowskiego. W artykule *Film a nowa poezja*** zwrócił on uwagę na dwa momenty łączące te dziedziny. Na to, że i w filmie, i w nowej poezji ulegają zatarciu granice między myślą a jej spełnieniem i że obie sztuki usiłują oddać równoczesność wielu rzeczywistości. Nie trudno zauważyć, że wyróżnione zostały te cechy, które zbliżają film i poezję do sennego marzenia.*** Zatarcie granic między myślą a jej spełnieniem to — w planie poetyki — swoboda i dowolność w konstruowaniu fantastycznej anegdoty. Równoczesność wielu rzeczywistości — to w filmie równoległość kilku akcji, a w poezji — wieloznaczność. Zwielokrotnienie sensów, a za nim — zwielokrotnienie obrazów. Ruch w sferze semantyki: rozpychanie się i przenikanie znaczeń, paralelizm i jednoczesność różnych szeregów asocjacji. Ale nie cho-

---

* O „snach parodystycznych" pisze Tadeusz Bilikiewicz w nadzwyczaj interesującej książce *Psychologia marzenia sennego* (1948). Wydaje się, że kategoria ta mogłaby stać się zasadniczym kluczem do estetyki nadrealistów.

** *Wiadomości Literackie*, 1939, nr 28.

*** Analogie filmu i „nowej poezji" były najczęściej ujmowane nie tylko jako funkcja wzajemnych oddziaływań tych dziedzin, ale przede wszystkim jako następstwo tego, że obie miały wspólne korzenie, że wyrastały z zafascynowania swobodnymi kreacjami sennych marzeń i same usiłowały je fabrykować (*sny na jawie*). M. in. pisał o tym René Clair zastanawiając się nad stosunkiem filmu do surrealizmu; szereg analogii między sztuką filmową a dążeniami poezji wydobył na światło dzienne jako pierwszy Jean Epstein w głośnym swego czasu studium *La poésie d'aujourd'hui. Un nouvel état de l'intelligence. Lettre de Blaise Cendrars*, 1921.

dzi tu tylko o zbieżności generalnych zasad. W utworach Brzękowskiego znajdujemy również świadectwa wykorzystywania zupełnie określonych środków wypowiedzi filmowej. Posługiwał się on chwytami niemego filmu detektywistycznego i stylem „groteskowego reportażu" (*Walka policji z bandytami, Dramat o willi Daisy* i in.).* W poematach, które były próbą utrwalenia dynamiki działań społecznych, manifestacji, rozruchów, robotniczego mityngu, strajku (*Bławatne sklepy i* — zwłaszcza — *Leforest*), zwraca uwagę technika gorączkowego montażu, swoisty rytm narracji oparty na przemienności ujęć liryczno-dramatycznych (przyśpieszonych) i epickich (powolnych), operowanie dalekimi planami i gwałtownymi zbliżeniami, przechodzenie od obrazu zbiorowości do przedstawienia charakterystycznych sytuacji i zachowań uczestników tłumu, przerywanie ciągu przez włączanie doń obrazowo-symbolicznych skrótów o charakterze publicystycznym, wreszcie — aktywna rola rozczłonkowania wersyfikacyjnego w organizowaniu potoku obrazów, w zwalnianiu i przyśpieszaniu biegu fabuły, w różnicowaniu członów fabularnych i dramatyzowaniu ich stosunków.**

Niektóre wiersze z lat ostatnich (*Technicolor, Maroko, Kokaina* z tomu *Przyszłość nieotwarta*) świadczą, że fascynacja filmem jest wiernym towarzyszem poezji Brzękowskiego. Fabuły sensacyjno-melodramatycznych filmów spełniają tu dość osobliwą funkcję. Są ujęte parodystycznie, ale jednocześnie — w kategoriach lirycznych. Wyraża się poprzez nie tęsknota za światem naiwnym i jednoznacznym, światem uporządkowanym, podlegającym prostym zasadom i sprawdzianom moralnym. Tęsknota ta stała się ostatnio dominantą liryki Brzękowskiego, co pociągnęło za sobą poważne przekształcenia w jego poetyce. Nie wyprzedzajmy jednak biegu zdarzeń.

Wieloznaczność w planie przedstawionych przedmiotów, sytuacji i postaci, w „anegdotycznym" przekroju utworów, zdradzająca ich powinowactwo z obrazami nadrealistów — jest równoległa wobec wieloznaczności ujawniającej się we wzajemnych stosunkach samych znaków językowych. Spośród wszystkich awangardzistów Brzękowski niewątpliwie najdalej zapuścił się w poszukiwaniach nowych zasad brzmieniowej przyległości słów. Poszedł więc w kierunku, który jego kolegom nie był wprawdzie obcy, ale też nie pociągał ich nadmiernie; być może działała tu m.in. niechęć do krzykliwych eksperymentów futurystycznych. Rola kompozycji brzmieniowych była w jego utworach tak wyrazista, że mogła wręcz narzucać przekonanie o „uwarunkowaniu znaczeniowej strony obrazu mechanizmem dźwiękowym".***

W odróżnieniu od pozostałych awangardzistów Brzękowski posługiwał się na szeroką skalę regularnym wierszem (sylabicznym i sylabotonicznym), tradycyjnymi typami budowy stroficznej, bliskimi rymami. Wszystkie te środki pozostawały w konflikcie z zawartością utworów, zwłaszcza zaś z rodzajem obrazowania. W konflikcie, ponieważ tradycyjnie zrosły się one z wypowiedzią poetycką, mającą jednolity rdzeń tematyczny, rozwijającą się „lo-

* Zwrócił na to uwagę Anatol Stern w szkicu *Film w poezji*, *Wspomnienia z Atlantydy*, 1959; s. 240—241.

** Brzękowski uprawiał również formę scenariusza filmowego; próbki drukował w *Zwrotnicy* i *Linii*.

*** Z. Bieńkowski: *O Janie Brzękowskim*, *Nasz Wyraz*, 1938, nr 7—8.

gicznie", uporządkowaną — zarówno w planie obrazu, jak też w toku lirycznego wynurzenia. Tu zaś znalazły się w okolicznościach akurat odwrotnych. Zostały paradoksalnie zderzone z obrazem wieloznacznym, opartym na skojarzeniach coraz to zmieniających kierunek, eliptycznym, z natury swojej niedefinitywnym. Gładkie formy regularnego wiersza spełniały w utworach Brzękowskiego rolę analogiczną do techniki naturalistycznego opisu w malarstwie surrealistów. Podobnie jak ta technika, także ów wiersz miał znaczenie konstrukcyjne, ale równocześnie podlegał jak gdyby zaprzeczeniu. Odcięty od swych tradycyjnych przyzwyczajeń i osadzony w materiale obrazowym, który zadawał kłam tym przyzwyczajeniom — ukazywał się w oświetleniu parodii.

ta młoda panna o paznokciach z karminu
pod jej pachami wygolony anioł
palcami giętką gra cavatinę
i ciało w watę spowija i staniol.

płoniesz aniele w tym młodym ciele
skrzydłami muskasz włosy we falach
krzyk dławisz męsko, żeńsko zieleń ścielesz
i lękasz się lękasz — w księżycu oszaleć
(przebudzenie)

Druga z cytowanych zwrotek — nawet niewprawne ucho to dosłyszy — odwołuje się do ograjej „melodii" sylabotonicznego dziesięciozgłoskowca (dwa pierwsze wiersze), który odgrywa tu wyraźnie rolę parodystycznego „cytatu" wersyfikacyjnego.* Bardzo często takie odwołania metryczne występują w połączeniu z aluzjami do utartych (w poezji i w mowie potocznej) zestawień słownych: banalnych powiedzeń, przysłów, zwrotów itp. Utwory Brzękowskiego stwarzały dla regularnego wiersza sytuację dwuznaczną. Tok obrazów wytrącał go z konwencjonalnego bezwładu i ustawicznie podawał w wątpliwość, ale jednocześnie sam był zmuszony układać się grzecznie w ustalonych koleinach metrum. Te tradycyjnie wyżłobione koleiny rytmu wnosiły do wypowiedzi wymiar pewnej „naturalności", uzwyklały jak gdyby najbardziej dziwaczne sąsiedztwa słów. Struktura wierszowa była więc ważnym uczestnikiem w sporze dowolności i rygoru. Jak w tym oto utworze, gdzie nonsens uzyskuje pozory oczywistości dzięki zwartemu i zamkniętemu układowi wersyfikacyjnemu, który jednoczy słowa niejako wbrew ich semantyce:

wysoko szumiały myśli kwitnące na dłoniach
i płakał syfilityk marzący nad wodą

---

* Pierwszy z brzegu przykład identycznego toku trocheiczno-amfibrachicznego pochodzi z *Marii* Malczewskiego:

Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

krzyczał rozlany pod sercem krwi koniak
w godzinach pachnących niemęsko jak odol
(psalm)

Utwory Brzękowskiego miały niezwykle bogatą instrumentację, niekiedy równie „fantastyczną", jak układy przedstawionych przedmiotów. Brzmienie stawało się często samodzielnym partnerem gry poetyckiej: działało nie tyle jako nosiciel sensu, co przede wszystkim jako znak wskazujący na swoje nieoczekiwane pokrewieństwo lub skłócenie z innymi brzmieniami. Wyszukane słowa pochodzenia obcojęzycznego, „specjalistyczne" i egzotyczne nazwy, rymy pełne i przybliżone, aliteracje — wszystkie te środki współtworzyły społeczność brzmień, która zdawała się żyć własnym życiem. Słowa osadzone w tej społeczności odrywały się jak gdyby od ewokowanej przez nie fabuły lirycznej i stawały się składnikami nowej równoległej „akcji" — akcji współbrzmień.

odpływamy z gęstniejącym sztandarem elektryczności
la Coupole
couper — pôle — polonais — coupole
(montparnasse)

palące krzyki reklam
i *kwiaty Fiatów*
i
blada jak *lilia*
Liliana Gish
po samych skibach miasta szumią *kłosy słów*
(paryż po wakacjach)

jesteś *sam samotny samiec* w wielkim mieście*
(new york)

Wybieram te przykłady dosłownie na chybił trafił. Podobne można by cytować dziesiątkami. Zwraca uwagę podobieństwo kompozycji brzmień do techniki montażu filmowego, opartej na p r z e n i k a n i u obrazów. Kolejne słowa nachodzą jak gdyby na siebie mniejszymi lub większymi cząstkami. Ulegają zatarciu granice — słowo zostaje „przedłużone", nie ustępuje całkowicie miejsca swemu następcy, lecz współistnieje z nim na pewnym obszarze. To pokrywanie się brzmień wyzwala potencjalną wieloznaczność pierwiastków słowa. Powstaje napięcie pomiędzy równoczesnymi znaczeniami tych samych (lub podobnych) cząstek w odmiennych pozycjach. Napięcie pomiędzy tożsamością brzmienia i różnorodnością sprzężonych z nim sensów. Czyli — pomiędzy brzmieniem jako „rzeczą" i brzmieniem w funkcji znaku.

Tak więc działanie zasady połączeń wieloznacznych podlega obserwacji przynajmniej w trojakim przekroju utworów Brzękowskiego. W poetyckim świecie, którego budulcem są rekwizyty sennego marzenia. W płaszczyźnie

* Wszystkie podkreślenia moje, *J. S.*

napięć pomiędzy owymi rekwizytami a znakami językowymi, ułożonymi w konwencjonalnym szeregu wersyfikacyjnym. Wreszcie w planie samych znaków słownych, których brzmieniowe zetknięcia wybłyskiwały całymi wiązkami skojarzeń znaczeniowych.

Można już z grubsza określić kierunki „odejść" Brzękowskiego od ortodoksji peiperowskiej z okresu *Zwrotnicy*. Rehabilitacja wyobraźni jako sprawcy poetyckiego przekazu i uznanie „antyreguł" asocjacjonizmu. Próby poetyckiego uruchomienia motywów podświadomości. Chwyty groteskowo-parodystyczne, elementy nonsensownego dowcipu, kpina — programowo niemal wykluczone z poezji awangardowej w imię jej powagi jako „najwyższego rzemiosła". Takie były owe kierunki. I nie tylko kierunki — również obszary, o które Brzękowski poszerzył zakres dokonań grupy krakowskiej. To, co oddalało jego odkrycia od doktryny Peipera, zbliżało je równocześnie do surrealizmu. Ale to zbliżanie odbywało się w ramach ogólnych założeń awangardy. Przeciwstawiając się poetyce „konceptu", teorii „pięknych zdań", polemizując z „talmudystami Peipera"*, Brzękowski respektował w całej rozciągłości założenie, że głównym celem poezji jest ona sama i że twór poetycki to układ skonstruowany na przekór zobowiązaniom zewnętrznym. Stąd pochodzi wspomniana już dwustronność podejścia do zasad mowy poetyckiej. Są to zasady równocześnie — „wyobraźniowe" i „konstrukcyjne". W swoich artykułach teoretycznych, drukowanych w latach 1931—1933 w krakowskiej *Linii*, następnie w *Poezji integralnej*, a jeszcze później w bardzo ważnych jako świadectwo ewolucji awangardy pracach ogłaszanych w *Pionie*** Brzękowski zmierzał konsekwentnie do równoległych ustaleń na tych dwóch torach. Z jednej strony poezja jako funkcja ruchu wyobraźni, z drugiej — jako działanie poddane idei rygoru. Dla nadrealistów słowo poetyckie było wyzwoleniem skrępowanych złóż podświadomości. Dla Peipera, odwrotnie, było świadomym ograniczeniem. Natomiast Brzękowski usiłował wyprowadzić „poetyckość" właśnie z tej ambiwalencji słowa. Z tego, że jest ono jednocześnie i wyzwoleniem, i ograniczeniem. Jego koncepcja mowy poetyckiej miała więc podstawę dramatyczną. Ujmowała poezję jako ustawiczny konflikt między niekonsekwencją przeżycia i konsekwencją wypowiedzi, między swobodą fantazji i dyscypliną jej poetyckich równoważników, między nielogicznością asocjacji i logiką artystycznego obiektu, między czasem aktu wyobraźni i statycznością jego słownych utrwaleń. Dla Brzękowskiego nie do przyjęcia był automatyzm nadrealistów. Technice *écriture automatique* zarzucał wyeliminowanie napięć poetyckich i przeciwstawiał jej elipsę jako środek konstrukcyjny. Warto przypomnieć, że w pierwszym manifeście surrealizmu Breton zdecydowanie odrzucał sztukę eliptyczną. Brzękowski był teoretykiem „wyzwolonej wyobraźni", ale był także teoretykiem budowy poetyckiej. Postulował celowość i równomierność rozmieszczenia w utworze napięć; wprowadzał w pole uwagi motywy zew-

* *Talmudystom Peipera*, *Gazeta Artystów* 1935, nr 1.

** *Integralizm w czasie*, *Pion* 1937, nr 39; *Wyobraźnia wyzwolona* 1938, nr 18; *Czas poetycki* 1939, nr 10.

nętrzne, ale podkreślał bardzo mocno rolę immanentnej motywacji wypowiedzi. Za tymi postulatami (i dokonaniami) kryła się koncepcja osobowości poetyckiej zasadniczo odmienna od nadrealistycznej.

Nieuregulowany przepływ skłębionych obrazów i skojarzeń w poezji surrealistycznej wskazywał na niewyczerpalność „ja" lirycznego, na jego — by tak rzec — bezgraniczność. Było to „ja" pozbawione socjalnych konturów, osobowość, z której opadły obręcze społecznych umów i zobowiązań, a więc nie osobowość w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz anonimowe źródło energii psychicznej.

Brzękowski położył wprawdzie większy nacisk niż inni awangardziści na moment nieskrępowania twórczej wyobraźni, ale — zgodnie z ideałami etycznymi awangardy („wstydliwość uczuć") — wolność tę rozumiał jako funkcję odpowiedzialności. W przeciwieństwie do nadrealistycznej — jego koncepcja „ja" poetyckiego opierała się na przyjętych ograniczeniach. Było to „ja" poddane dyscyplinie moralnej, definiowalne w kategoriach określonego systemu wartości, społecznie zorganizowane. Ważną rolę w tym ograniczeniu podmiotu lirycznego odegrała „druga osoba" poezji Brzękowskiego, owo „ty" obecne w wielu jego utworach, narzucające „pierwszej osobie" konieczność przystosowania się do sytuacji dialogu, a więc zmuszające ją do częściowej przynajmniej rezygnacji ze swobody ekspresji na rzecz zobowiązań podjętych wobec partnera.

Doktrynę poetycką osadzoną na takim fundamencie, mającą u podstaw dynamiczną równowagę wolności i organizacji tworzonego świata — określił Brzękowski mianem m e t a r e a l i z m u. Jeśli program Peipera (w kształcie znanym w *Tędy)* był formułowany w opozycji do romantycznego modelu poezji, to metarealizm stanowił próbę rehabilitowania romantycznej tradycji. Brzękowski parokrotnie pisał o „klasycznych zahamowaniach" ruchu awangardowego, a jego szkic *O klasycznym i romantycznym widzeniu poezji** jest niezwykle istotnym dokumentem świadczącym, że stosunek awangardy do przeszłości kulturalnej ulegał ciągłej ewolucji. Poprzez zbliżenie do surrealizmu dokonywał się równocześnie zwrot do dziedzictwa początkowo całkowicie zaprzeczonego przez naszych nowatorów. Wystąpienia Brzękowskiego uznać wypadnie za pierwszy akt dialogu, jaki awangarda nawiąże potem, za sprawą szkiców Przybosia,** z tradycjami liryki romantycznej.

IV

Dialog ten znalazł utrwalenie w samej twórczości, a nie tylko w enuncjacjach teoretycznych. Wspomniany już poemat *Leforest* zawierał wielce charakterystyczny w tym względzie motyw, który potem jeszcze parokrotnie przewinie się w tekstach Brzękowskiego. Motyw niewspółmierności słowa i społecznego działania. Pojawił się on — jak wiadomo — w poezji surrealistów w okresie społecznej radykalizacji ich postawy, ale u Brzękowskiego miał dodatkowe znaczenie jako podjęcie żywotnego problemu polskiej tra-

* *Wymiary* 1938, nr 6.

** Nie można przeoczyć także prac Ważyka o wersyfikacji Mickiewiczowskiej.

dycji romantycznej. Zwłaszcza że ów konflikt między słowem i możliwością czynu społecznego oznaczał w konstrukcji poematu napięcie między elementami lirycznymi i epickimi („fabuła"), a więc wyrażał się poprzez synkretyzm gatunkowy znamienny dla poetyki romantycznej. Na plan pierwszy wysuwa się jednak inna sprawa. Oto począwszy od tomu *Zaciśnięte dookoła ust* poezja Brzękowskiego nabiera charakteru mitotwórczego; nadal jest funkcją „wyzwolonej wyobraźni", ale w nie znanym jej poprzednio wymiarze — nazwijmy go — parabolicznym. Myślę przede wszystkim o dwóch książkach, opublikowanych już po wojnie: o *Razowym eposie*, grupującym wiersze powstałe w latach 1937—41 i o *Odysejach*. Także niektóre wiersze z *Przyszłości nieotwartej* uznać można za reprezentatywne dla opisywanych teraz dążeń.

To, co określiliśmy jako „wymiar paraboliczny", odnosi się do materiału wyobrażeniowego, który wypełnia ramy poetyckiego obrazu. Odnosi się jedynie do *texture*, nie zaś do *structure*, żeby użyć przeciwstawienia, które zrobiło karierę w amerykańskiej „nowej krytyce". Pojawiają się mianowicie w utworach Brzękowskiego, w dość dużym zagęszczeniu, elementy biblijne, mitologiczne, wątki baśniowe, metaforyka operująca rekwizytami odległych formacji geologicznych. Splątany tok marzenia sennego coraz częściej zaczyna się układać we wzory odwiecznych schematów. Krystalizuje się wokół mitycznych sytuacji i bohaterów (Mojżesz, Jakub, Odyseusz). Miejsce symboli freudowskich zajmują teraz — przeakcentujmy nieco tę ciągłość problematyki psychoanalitycznej — archetypy, symbole „podświadomości kolektywnej".

Towarzyszy temu skłonność do ujęć epickich. Zasadniczą formą wypowiedzi staje się rozległa, wolno płynąca fraza narracyjna, która reguluje natłok obrazów, spiętrza je, a równocześnie — nie pozwala wypaść z szyku, przeciwstawia się rozpadowi, integruje wizję:

z dolin ujętych w klamry wylały się stada spiętrzone i groźne
w smugach dymu — wstępowało w obłoki runo spienione pędzonych baranów
słonie żyjące samotnie zeszły z płaskowyżu nowe wieszcząc objawienia
a kły ich białe w czerwień zachodu wkładały pioruny i błyski
w burzy czarno zwełnionej rzadkie wiatraki w mrok się gubiły pełen lasu
jak pióra walczących gołębi w zmierzch mąkę sypały i mak.
w chrzęście sit poruszanych piany wodospadów
głucho tonęły a uśpione zatoki podchodziły aż po szczyty trzeciorzędu
w głąb lasu purpurę wpuszczały i lak.
w wąwozach tłoczył się naród brodaty w skóry przybrany i hełmy
włochate piersi mężczyzn słońcem wykute w miedziane pancerze
błyskały wśród łuków i strzał.
na skarogniadym koniu
wódz — księżycowi wygrażał
złotą tarczą na wzgórza wyjechał i jak posąg
trwał.

(Wizja trzeciorzędu)

Charakterystyczna dla dawniejszych utworów Brzękowskiego atmosfera groteski zostaje całkowicie wyeliminowana. Dominuje teraz jej zaprzecze-

nie — tonacja patetyczna. Groteska jest narzędziem dekompozycji, wykwita na gruzach mitu. Patos — odwrotnie — stanowi elementarną formę mitotwórstwa. Odpowiada takiej sytuacji, gdy „ja", przekonane o doniosłości swego punktu widzenia i swych racji — czuje się w prawie, by je uspołecznić, by nadawać zajmowanej postawie wzniosłość właściwą wartościom powszechnym. Identyfikuje się wówczas z jakimś — domyślnym — „my", które ma stanowić ponadosobisty równoważnik jego „roli". Styl patetyczny jest świadectwem owego sięgnięcia podmiotu poza siebie, wyjścia z ograniczeń „prywatności", próbą skonstruowania mitycznej osoby przeżywającej i wypowiadającej się w imieniu jakiejś zbiorowości. Jest to ekspresja poddana jak gdyby społecznej cenzurze, ale nie z zewnątrz, lecz przez owo mityczne *alter ego* podmiotu.

Nowa wersja stylu patetycznego — nowa, ponieważ inna jego odmiana wystąpiła już w okresie „uścisku z teraźniejszością" — pojawiła się w poezji Brzękowskiego w latach bezpośrednio poprzedzających wojnę, a pełną wyrazistość uzyskała w latach wojny. W atmosferze nadciągającego, a potem spełniającego się kataklizmu. W sytuacji, gdy poczucie wspólnego zagrożenia połączyło nierozdzielnie jednostkę ze zbiorowością. Ta elementarna solidarność w zagrożeniu, splecenie losu jednostkowego z losem całych zbiorowisk ludzkich — musiały nieuchronnie znaleźć wyraz w twórczości, gdy podejmowała ona próbę sprostania niepokojom swojego czasu. Utwory Brzękowskiego dostarczają w tym względzie charakterystycznych świadectw. Jego liryczne fabuły — o czym była już mowa — apelują ustawicznie do biblijnych i legendarnych okoliczności, mieszają elementy rozmaitych kultur, łączą znaki, z których każdy jest otoczony aureolą społecznie utartych skojarzeń. Świat wzniesiony z takich składników co chwila eksploduje katastrofalnymi zdarzeniami. Jest to świat rozdzierany wojnami, nawiedzany przez klęski żywiołowe, wypełniony po brzegi okrucieństwem różnych epok i różnych cywilizacji. Świat, któremu zagrażają nieustannie rozpad i zagłada. *Wędrówka ludów, Wizja trzeciorzędu, Odyseje* — wymieniam najwybitniejsze przykłady utworów wizjonerskich, o epickim zakroju frazy, w których materiał wyobrażeniowy skupia się wokół mitologicznych postaci, przypadków i katastrof. Stwarzają one jak gdyby pozaosobistą motywację dla aktów poetyckiego fantazjotwórstwa. Przygoda wyobraźni, odwołując się do tych utrwalonych wzorców, w których zastygły odwieczne dążenia, niepokoje i przeczucia, ulega uspołecznieniu, zyskuje perspektywę ponadindywidualną, właśnie przypowieściową. Na takim podłożu wyrasta styl patetyczny w sformułowanym wyżej rozumieniu. Czas historyczny stał się w ten sposób komponentem poetyki Brzękowskiego. Uzyskał równoważniki w ruchu obrazów i w kształcie języka. Znalazł również bardziej bezpośredni wyraz. W tytułowym wierszu tomu *Odyseje*, jednym z najdoskonalszych w jego dorobku, wprowadził poetą j a w n ą paralelę między sytuacją mitologiczną i przeżywaną wojną:

jeśli kiedykolwiek, w chwili jak w bursztynie zamarłej, zapytają cię o zmroku
jakim wysłannikom dalekim zamykasz usta przynoszące wieści
porzuć kołysanki w dzieciństwie słyszane nadzieją jak nocą się otul
i odejdź w nieznane czasy odległe i zżółkłe odpłyń jak jesienny liść.
dnie i noce kamienne ponad rokiem siwym, od krwi słonym, chorym

mijają bezlitośnie jak kot stąpając wśród listowia bezszelestnie pierzchły
trzaskiem pocisków ogień nad dachami nowej rozlany Gomory
otwiera wezbrane aleje światła toruje głębokie studnie zmierzchu.
(. . . . . .)
dziś
chwila z żelaza jak kij ciężka pielgrzymi w dłonie niezwyczajne ujęty zbyt
[wcześnie
przygniata ramiona. przyszłość horyzont zasłania w ogniu rudo-krwawym
gdy jak okręty Odysa spod Ilionu wrócić nie możem do domostw i od września
co noc nas do snu kołyszą syreny — Syreny odległej Warszawy.

Do obrazu poetyckiego wchodzą bezpośrednio realia lat wojny (np. w wierszu *Maquis)*, łącząc się z realiami odległych kultur i cywilizacji. Mitologia przerasta w historię, staje się elementem biografii ludzi żyjących w określonej epoce. I odwrotnie: czas historyczny, konkretne sytuacje — nabierają charakteru mitologicznego.

Brzękowski — uczestnik francuskiego Ruchu Oporu — wypracował w *Razowym eposie* i *Odysejach* styl bardzo bliski dążeniom generacji poetów, która zadebiutowała w latach okupacji w kraju. Bliski dążeniom pokolenia Krzysztofa Baczyńskiego i Tadeusza Gajcego. Pokrewny również poezji, z której ci ostatni wyrastali — liryce katastroficznej drugiego dziesięciolecia okresu międzywojennego. Ogólnie biorąc, styl ów odpowiadał po stronie twórczości tym postulatom teoretycznym, jakie Brzękowski wysuwał mówiąc o „klasycznych zahamowaniach" awangardy.

Jednak nie formuły teoretyczne (choć zawartej w nich świadomości poszukiwań nie można bagatelizować), lecz czas wojny, czas związanych z nią przeżyć i doświadczeń, stworzył płaszczyznę dla porozumienia jego poezji z tradycją romantyczną. Porozumienia w dziedzinie ogólnych zasad, w mniejszym zaś stopniu w sferze stylizacji. Konstrukcja podmiotu lirycznego jako osoby sięgającej w swoich wypowiedziach poza krąg „prywatności", pragnącej podnieść swe „ja" do rangi „my"; tonacja patetyczna i utrwalona w niej sytuacja poety-wizjonera, który wyprawom wyobraźni przydaje perspektywę społecznej doniosłości; zatarcie granicy pomiędzy przeżywaną historią i mitologią; traktowanie słowa poetyckiego jako mitycznej formy działania (por. bardzo charakterystyczny utwór *Słowa)* — takie były główne paragrafy owego porozumienia, z którego w latach wojny Brzękowski wyprowadził reguły swej poetyki. Miało ono jeszcze klauzule dodatkowe, związane z osobistym losem poety. W wierszach jego pojawiają się w niezwykłym zagęszczeniu odwieczne sytuacje i rekwizyty wygnańczego życia. „Kij pielgrzymi", tęsknota za krajem lat dziecinnych, gorzka świadomość odłączenia od zbiorowości narodowej w momentach dla niej przełomowych, idealizowanie ojczystego krajobrazu, symbolika zaczerpnięta z polskiej poezji romantycznej *(Anhelli, Król-Duch* etc.).

Wchodząc w układy z tradycją, Brzękowski pozostał przecież wierny swym dawniejszym założeniom, nade wszystko zaś temu, które wymaga od poezji, aby była ona opowieścią wyobraźni. Opowieścią-niespodzianką i ciągłym

zaskoczeniem. Opowieścią nieobliczalną, o nie dającym się przewidzieć biegu, wyprowadzającą w pole wszelkie oczekiwania, a więc wyłamującą się również z proponowanych przez tradycję schematów, nawet wówczas, gdy są one — naturalnym sojusznikiem. Można powiedzieć więcej: w *Odysejach* ta nieobliczalność (jako *sui generis* „zasada") święciła triumfy, jakie dotąd nie były udziałem twórczości Brzękowskiego. Nigdy jeszcze jego świat poetycki nie zadziwiał takim bogactwem i wielostronnością. Takim rozmachem i rozległością — chciałoby się rzec: epickich — horyzontów. W utworach tych kłębią się pejzaże odległych epok geologicznych, „pierzaste zarodnie dewonu" i „noce antracytowe głębokie jak studnie", spełniają się apokaliptyczne proroctwa, przewalają się masy wędrujących ludów, mieszają się kontynenty, pory roku, cywilizacje, narody, tłoczą się zwierzęta i biblijnych ogrodów zoologicznych,

lwy żarłoczne płowogrzywe które ogień z dawnych wypłoszył herbarzy
palące opuszczają drzewostany
opieszałe salamandry jak straż pożarna w rubieży nocy w płomień jak w chmurę
[wchodzą niezapalną
węże syczące wśród iskier deszczem spadają z opuszczonych świątyń
a białe niedźwiedzie w starych zamknięte elementarzach —
na górach lodowych w zorze wpływają nierealne.
wieloryby śnięte w niezmierzonych kadziach
szarańcza biblijna na ziarnistym niebie
jastrzębie oprawione w krwawnik orły heraldyczne
sowy brzuchate i mądre, puchacze, puszczyki złowieszcze
nietoperze we włosy dziewicze wplątane na nowiu,
planety niebo drążące wśród figur Zodiaku
Baran złotorogi i Panna, Rak i Ryby złociste utopione w lunie,
anioły rozbestwione z rozchełstaną piersią o szatach rozpuszczonych w chmury
sodomici na klaczach ciężarnych uchodzący w lasy etc.

(Zwierzyniec)

Poezja ta ma dwie strefy: strefę kataklizmu i strefę łagodności. Ma dwa czasy: czas spełniającej się katastrofy i czas baśni, w której „wstępują w niebo czerwone kapturki" a „białe anioły wznoszą się znad drabin śpiewaniem hamują buchające ognie" (*Kiermasz*). Ma dwa rodzaje krajobrazu: scenerię apokaliptycznych zdarzeń i sielankowy pejzaż, w którym „sarna włosista i miękka w ciemności wpływa powolnie księżyc trzymając u pyska" (*Bukowiec*). U podstaw tej dwoistości znajduje się przeciwstawienie przeżywanego czasu i wspomnień dziecięcej przeszłości. Świata zamętu i zagrożenia — światu prostoty i zabawy. Indianie, skalpy, podchody, oszałamiające przygody nieśmiertelnych bohaterów Maya — wszystko to urasta do roli mitu, będącego lirycznym zaprzeczeniem i protestem wobec doświadczeń zgotowanych przez historię.

Ma zupełną rację Julian Przyboś, gdy nazywa Brzękowskiego ojcem naszych dzisiejszych „fantazistów", nieświadomych zresztą swego synostwa.*

* *Przegląd Kulturalny*, 1959, nr 39.

Jego poezja, zwłaszcza z lat wojny, jest prekursorką ich dążeń. Jest prekursorką owego specyficznego „nadrealizmu", który kwitnie w liryce młodej generacji. Dzisiejszego „wyzwalania wyobraźni", poetyckiego fantazjotwórstwa i baśniowości. Pokrewieństwa są niekiedy wręcz uderzające. Gdy czytamy:

Opat porosły w purpurę i klucze
burmistrz z łańcuchem złotym jak milczenie
i ławnik omszały od czasu jak gąsior...
(. . . . . .)
miasto wrzucone między dwa błękity
w zapomniane minuty opadają wąsy zjeżone od mrozu
atak anielskiej konnicy
św. Jerzy na koniu szarym od wieczoru i św. Marcin na koniu siwym od szronu
i św. Michał lancą godzący w smoka
smok smołą pryska i ogniem —
z witraża, wśród skał zawieszonych i wśród średniowiecza
między niebem i morzem St.—Michel ujarzmia moce piekielne w górę zakute
[i w chmury
(Mont St.-Michel)

— to wizja bretońskiego miasteczka kojarzy się nam nieuchronnie z Muszyną, stolicą harasymuszków, ochrzczonych tak przez Kazimierza Wykę. Geografia wyobraźni dopuszcza takie sąsiedztwa i dlatego wiarygodność opracowywanych na jej podstawie map bywa przez niektórych kwestionowana.

W dokonującej się wciąż jeszcze (dowodów nie zliczysz) konfrontacji teraźniejszości poetyckiej z tradycją międzywojennej awangardy nazwisko Jana Brzękowskiego nie jest przez nikogo przywoływane. Wielka szkoda. Świadectwa, których dostarcza jego twórczość, mogłyby wiele zaważyć na tym krytycznym (ze strony młodych) rozrachunku. Przede wszystkim z powodu ich osobliwej dwuznaczności. Brzękowski bowiem reprezentuje awangardę wobec jej dzisiejszych — zbuntowanych — wnuków, ale reprezentuje także tendencje bardzo pokrewne tym, które owi wnukowie przeciwstawiają swoim literackim dziadkom. Jest trzecią siłą — w odkrytym przez Jerzego Kwiatkowskiego sporze „wizji" i „równania".

A raczej: był tą siłą. Dokonująca się w latach ostatnich ewolucja poetyki Brzękowskiego prowadzi w kierunku dość odległym od tamtego sporu. Jeszcze w *Przyszłości nieotwartej* znajduje się szereg utworów *(Ścieg, Podziemia, Mury ciemności, Twarze przyjaciół)*, które kontynuują linię *Razowego eposu* i *Odysei*. Ale już tu pojawiają się teksty (głównie *Wiersze elementarne*, choć nie tylko one) świadczące o jej porzuceniu. Brzękowski rezygnuje z owej „nieobliczalności", która cechowała dotąd jego lirykę. Zaczyna uprawiać poezję programowo prostą i ascetyczną. Przywraca tradycyjny dualizm obrazu i refleksji. Eliminuje rozwichrzoną metaforykę, upraszcza tok lirycznej fabuły, stara się uzyskiwać efekt „sprawdzalności", a więc widocznej odpowiedniości obrazu i bezpośredniego wyznania. Podaje w wątpliwość nie tylko dotychczasową własną poetykę, ale samą koncepcję „poetyckości" w rozumieniu awangardowym. W szkicu teoretycznym pt. *Literatura anty-*

walorów tłumaczy tę konieczność wprowadzenia do poezji „elementów antypoetyckich", dowodząc, że właśnie one „pozwalają pisarzowi utrzymać kontakt ze środowiskiem". Wysuwa więc Brzękowski na plan pierwszy komunikatywną funkcję mowy lirycznej, podporządkowuje jej cele swoiste — celom społecznego porozumienia, opartego na wypróbowanych już normach i zasadach. Jego poezja zwróciła się w kierunku elementarności zarówno w sferze tematycznej, jak i w języku. Dążenie do nieskomplikowania i jednoznaczności znalazło krańcowy wyraz w tomiku *18 coplas*, który jest w istocie szkicownikiem poetyckim. Zawarte w nim utwory mają charakter jak gdyby wstępnych notatek do poematów, właśnie szkiców, formuł i definicji, utrwalonych w najprostszym kształcie, przekazywanych od razu — nim jeszcze stały się pseudonimami. Tak więc Brzękowski powrócił do punktu zerowego. Do tego punktu, od którego czterdzieści lat temu rozpoczynała awangarda budowanie własnej problematyki poetyckiej. Miał odwagę zamknąć z pełną świadomością wieloletni okres rozwoju swojej sztuki. Jaką drogę dalej wybierze? Z miejsca, w którym się znalazł, biorą początek wszystkie możliwe drogi.

Janusz Sławiński

Janusz Odrowąż-Pieniążek

Z PARYSKIEGO ARCHIWUM ADOLFA JANUSZKIEWICZA

Archiwum Adolfa Januszkiewicza, a szczególnie olbrzymi zbiór jego listów, przechowywany w Bibliotece Polskiej w Paryżu [1], przebadany — po stu latach — na nowo, stanowić będzie nader interesujące źródło dla dokładnego poznania życia zesłańców syberyjskich po Powstaniu Listopadowym, powie też niewątpliwie wiele o ich życiu literackim i kulturalnym. Adolf Januszkiewicz (1803—1857), ongi student wydziału literackiego Uniwersytetu Wileńskiego, zbliżony do filaretów, żarliwy propagator poezji Mickiewicza, a potem jego przyjaciel i towarzysz podróży po Włoszech wiosną 1830 r.[2], uwieczniony wreszcie przez poetę w III Części *Dziadów* jako Adolf z Salonu Warszawskiego, żywot miał prawdziwie bohaterski. Podczas Powstania organizator Legii Litwy, Wołynia, Podola i Ukrainy, on właśnie namówił pono Słowackiego do napisania *Pieśni Legionu Litewskiego*. Wyszedłszy, jako podporucznik, na linię, siedmiokrotnie ranny, wzięty był do niewoli. Wysłany w pieszą drogę do Wiatki, powrócił do Kijowa i tu przez feldmarszałka Sakena skazany został na utratę szlachectwa, majątku i „posielenie" na Syberii, oświadczył bowiem, że uczynił wszystko „z niezmiennego przekonania".

[1] Archiwum to obejmuje: a) sygn. 472, t. II. Listy z Syberii do rodziny, głównie do matki, Tekli z Sokołowskich, z lat 1832—1840. b) sygn. 473. Listy z Syberii do rodziny, głównie do matki i brata Januarego, z lat 1840—1844. c) sygn. 474. *Idem*, z lat 1845—1852. d) sygn. 475. Listy z Syberii do Rodziny, z lat 1851—1856. Spis listów z oznaczeniem treści i wyciągami z ważniejszych ustępów. Materiały do życiorysu oraz wyciągi z listów nie użyte do tekstów biografii. Listy drukowane w Bibliotece Warszawskiej 1859 (kopia). Materiały do korekty *Wspomnienie o Adolfie Januszkiewiczu i jego listy ze stepów kirgiskich*. e) sygn. 476. *Dziennik podróży po Syberii od 13.V.1846 do 10.X.1846*. Kopia tegoż dziennika zrobiona przez Kurzątkowskiego. Spis papierów po Adolfie Januszkiewiczu.

[2] Pamiątką owej wspólnej podróży są egzemplarze I i II tomu *Poezji* Mickiewicza (Wilno. 1822), ofiarowane zapewne Januszkiewiczowi w chwili rozstania po spędzonej wspólnie wyprawie z Rzymu do Albano, o czym wspominają później Januszkiewicz i Odyniec, a także autor *Pana Tadeusza*. Tomiki te oglądała mgr Halina Natuniewicz, kier. biblioteki Muzeum Mickiewicza w Warszawie; przed kilku laty, gdy antykwariat na Rynku Staromiejskim prowadził p. L. Fiszer, nieznana osoba pozostawiła je na kilka dni i szybko je wycofała. Może w ten sposób trafi się na ich ślad — noszą Exlibris Spokornych. Mickiewicz napisał tu nazwę (prawdopodobnie hotelu) „Alba-Longa" i datę „7 maja 1830 r.". Na sąsiedniej stronie A.E. Odyniec wpisał swój wiersz na rozstanie z Adolfem Januszkiewiczem.

Początkowo mieszkał w Tobolsku, potem w Iszymie, gdzie był niejako przywódcą przebywającej tam licznej kolonii polskich zesłańców. Nie zaniechał i tu działania. List, poniżej publikowany, mówi o tym okresie jego życia. Wraz z Onufrym Pietraszkiewiczem i Gustawem Zielińskim, późniejszym autorem *Kirgiza*, organizował wśród Sybiraków czytelnictwo, próbował tłumaczyć dzieła historyczne, prowadził niezwykle rozległą i ciekawą korespondencję i ona właśnie — a w dużej mierze listy samego Adolfa do rodziny — przechowywana jest w paryskiej Bibliotece Polskiej. Pamiętał i o dawnym towarzyszu włoskich wędrówek, choć kontakt z Paryżem był niezmiernie trudny. Władysław Mickiewicz zanotował w *Żywocie*[3]: „Eustachy Januszkiewicz [brat rodzony Adolfa — *J.O.P.*] znów zajrzał do Domont 8 września [1836 r.]. „Odwiedziłem — pisał on — Adama w Domont. Pokazywał mi przesłany od Adolfa widok Iszyma, mieściny syberyjskiej, do której zesłany. Kiedyś podróżowali po Włoszech. Jakby to dać wiedzieć w Dzieszynie [zapewne Dziahylni, majątku Januszkiewiczów na Litwie — *J.O.P.*], że rysunek ten doszedł rąk Adama?"

Mickiewicz pisał do Adolfa 28 czerwca 1837 r., ale list jego utknął zatrzymany przez wileńskiego pocztmajstra[4]. W r. 1841 przeniósł się Januszkiewicz do Omska, gdzie został pracownikiem Kancelarii Rządu Kirgizów. Odbywa podróże w stepy Kazachstanu, w r. 1846 uczestniczy w półrocznej wyprawie, która dotarła w okolice gór Ała-Kuł. Pisze wówczas swój *Dziennik podróży*, przechowywany w jego papierach paryskich, a wydany po śmierci autora dwukrotnie, wraz z wyborem listów, w latach 1861 i 1875[5]. Januszkiewicz był świetnym pisarzem, jego relacje odznaczają się znakomitym językiem; interesują go obyczaje Kazachów, sprawy społeczne, folklor; zupełnie usprawiedliwiony wydaje się projekt, rzucony swego czasu przez prof. Juliana Krzyżanowskiego, aby wybór ich przypomnieć współczesnym w „Bibliotece Narodowej". Archiwum paryskie uzupełniłoby znacznie materiały drukowane. „Główna nasza petersburska kantora — donosi Januszkiewicz 14 lutego 1856 r. z Niżni Tagilska — uwiadomiła tutejszego Rządcę, że wskutek prośby p. Demidowa i p. Karamzinowej ma być przeniesiony na mieszkanie, a jeśli zechce, i na służbę, niejakiś p. Ehrenberg, który kilkanaście lat temu zesłany był do Wschodniej Syberii i teraz podobno znajduje się w Irkucku. Nie znam go wcale, ale słyszałem tylko, że jest rodem z Krakowa, że ma matkę i że człowiek z dobrym wychowaniem"[6].

W Niżni Tagilsku na Uralu przebywa Adolf od r. 1852 i tu w trzy lata później doczekał się śmierci Mikołaja I, który osobiście interesował się jego karą. Aleksander II podpisał ułaskawienie. Śmiertelnie chory na płuca, ostatkiem sił wrócił Adolf do kraju i tu 18.VI.1857 r. zmarł w rodzinnej Dziahylni.

Przyjaźń Adolfa Januszkiewicza z Gustawem Zielińskim (1809—1881), zapoczątkowana w Tobolsku w r. 1835, przetrwała aż do śmierci Adolfa. Pozostała po niej obszerna i bardzo ciekawa korespondencja czekająca na publikację, obejmująca 33 listy Januszkiewicza do Zielińskiego z okresu 24/12.IX.1841 — 7/19.XII.1844 (listy Zielińskiego do Adolfa niestety zaginęły), przechowywana w archiwum autora *Kirgiza* w Bibliotece im. Zielińskich w Płocku.

[3] Władysław Mickiewicz: *Żywot Adama Mickiewicza*, wyd. II, tom II, Poznań, 1931, s. 394.
[4] *Ruch Literacki*, 1936, s. 11. Przedruk: A. Mickiewicz: *Dzieła*, Wyd. Jubileuszowe, Warszawa 1955, t. XV, s. 189—190.
[5] [F. Wrotnowski i E. Januszkiewicz]: *Żywot Adolfa Januszkiewicza i jego listy ze stepów kirgiskich*. Paryż, 1861, 2 tomy; wyd. II — Berlin, 1875, 2 tomy.
[6] Sygn. 475, s. 441—42.

Dwa listy ze zbiorów paryskich, które publikuję niżej, skierowane są przez Gustawa Zielińskiego do brata Adolfa, znanego wydawcy i księgarza emigracyjnego, Eustachego Januszkiewicza. Pierwszy [7], bez daty, nie podpisany, przesłany zapewne przez okazję, zawiera obszerne relacje o losach Adolfa na Syberii, ma duże znaczenie jako relacja współtowarzysza niedoli, nie skrępowana względami cenzuralnymi, jak cała zachowana korespondencja między Adolfem a Gustawem. List drugi, mniejszej wagi, dorzucam przy okazji [8]. Pisany w dwa lata po śmierci Adolfa, towarzyszył przesyłce *Dziennika podróży* do Paryża, prawdopodobnie też całość archiwum Adolfa została przesłana z Dziahylni Eustachemu za pośrednictwem Zielińskiego.

Teksty listów podaję modernizując pisownię i interpunkcję według obowiązujących zasad.

1

Papier listowy bardzo cienki (bibułka), koloru żółtawego, formatu 20,8 cm × 13,4 cm, na s. 4 w lewym rogu wytłoczony znak „BATH". Na s. 4 adres:

A Monsieur
Eustache Januszkiewicz [1]
Rue de l'Echaudé
No 9. faub. S. Germain

List bez stempli pocztowych, na złożeniach mocno przybrudzony.

(bez daty) [2]

Szanowny Panie Eustachy. Dzieląc z bratem jego Adolfem kilkoletnie wygnanie [3], złączony z nim ścisłą przyjaźnią, zobowiązałem się podać do wiadomości braci [4] obraz teraźniejszego jego położenia, który z wielu względów interesującym dla nich być musi. Wiadome już zapewne jego wzięcie do niewoli pod Maciejowicami, skąd, ranny, odesłanym został do Wiatki, a stamtąd pod sąd do Kijowa — stawiony przed komisją śledczą zeznał, że co uczynił, uczynił rozmyślnie, albowiem uważał, że obowiązkiem dobrego syna Ojczyzny jest poświęcić wszystko w jej obronie. Wskutek podobnego tłumaczenia się sąd go skazał na utratę majątku i szlachectwa i posłanie do Syberii

[7] Sygn. 475, s. 657—660.
[8] Bibl. Polska. *Papiery Emigrantów*, sygn. 542.
Por. artykuł autora: *Dzieje Mickiewiczowskiego Adolfa*, *Kwartalnik I.P.R.*, nr 1/14/1956 (i odbitka), tamże bibliografia.

na posielenie. Wspominam o tym jedynie dlatego, aby pokazać, dlaczego wszystkie starania czynione przez matkę i familią w celu oswobodzenia go stamtąd były bezskuteczne — przybywszy do Tobolska (za staraniem znajdującego się tam Moszyńskiego [5]) zostawiony został na mieszkanie w Tobolsku. Była to właśnie epoka, w której Syberia zaczęła się zaludniać naszymi wygnańcami różnego stanu, różnego wieku, różnych wyobrażeń, oświecenia itd. Wielu było młodych ludzi, niedokończonych, a zapalonych, którym marzyło się, że i na Syberii można uczynić powstanie — bez znajomości narodu, wpośród którego się znaleźli, bez pojęć prostych geograficznych, sądzili, że marzyć a spełnić jest jedno i toż samo. Na próżno Adolf i inni doświadczeni wystawiali im szaleństwo podobnego zamiaru — perswazje, dowodzenia, najprostsze fakta nie miały żadnego skutku — korespondencja na różnych punktach Syberii zawiązała się niezmiernie czynna, która raz dostawszy się w ręce rządu ukazała plan jakiegoś szeroko rozgałęzionego spisku — przeszło sto osób dostało się do więzienia, a wysadzona na wyśledzenie spisku komisja wojenna w Omsku, zamiast wystawienia tej rzeczy w właściwym świetle, to jest płochości młodego wieku, przedstawiła ją Najwyższej Władzy w rażących kolorach. Cała sprawa toczyła się lat kilka, a jej rezultat niezmiernie smutny [6]. Sześciu najwinniejszych pędzano przez rózgi po 6000 — i ci skończyli pod pałkami (Drużyłowski [7], Wróblewski [8], Meledin [9], Ks. Sierociński [10] itd. Sokalski [11] doktor — ten przeżył), wielu posłano do kopalni, najmniej winnych w sołdaty na Kaukaz. Adolfa i kilku jeszcze, na których pokazało się ze śledztwa, że nie byli nic winni, w ostatniej pomieszczono kategorii, zupełnie od winy oswobodzonych. Ad[olf] wprawdzie nie był aresztowany, odpowiadał z wolności, ale po dwakroć w jego mieszkaniu robiono rewizję. Ta sprawa znacznie pogorszyła dolę sybirskich wygnańców politycznych. Rząd ostrzejsze wydał przepisy, mocą których wielu zamieszkujących w samym Tobolsku wysłano do miast powiatowych na mieszkanie, wskutek czego i Adolf w końcu roku 1838 przeniósł się do Iszyma.

Uważam tu potrzebę objaśnić, co to jest posieleniec na Syberii i jaka zachodzi różnica pomiędzy posielećem prostym, posłanym np. za złodziejstwo lub coś podobnego, a posieleńcem politycznym. Pierwszy, przybywszy na miejsce, to jest do włości, do której Zarząd Wygnańcami (*prykaz o ssylnych*) go naznaczył, może natychmiast wziąć paszport od miejscowej władzy i w swoim obwodzie z miejsca na miejsce się przenosić dla zarobkowania, może wziąć rolę w swej włości 15 dziesięcin, z której do lat trzech nie opłaca. Po trzech latach płaci osobisty podatek i jeśli się dobrze sprawuje, może brać paszport do jeżdżenia po całej guberni. Po 10 latach dobrego sprawowania się może zapisać się w chłopy lub mieszczany, zostać kupcem i brać paszport po całej Syberii. Prócz tego, jeśli zostawił majątek i familię, wolno mu korespondować wprost przez pocztę i odbierać od familii tyle pieniędzy, ile mu tylko będzie nadesłane. Prawa służące politycznym wygnańcom są zupełnie inne: nie może się oddalać od miejsca, do którego został naznaczonym, albowiem jest ciągle pod obserwacją policji — jeśli ma fundusze od familii, nie może w gotowiźnie więcej na rok odbierać, jak 1000 rubli asygnacyjnych, w posyłkach (np. bieliźnie, sukniach itp.) może odbierać, ile mu będzie nadesłane. Może wziąć rolę 15 dziesięcin, lecz z tej nawet po 3 latach nie jest obowiązany do płacenia podatku. Dzieci jego (prawe) nie wciągają się do spisów ludności

(*rewizskie skazki*), korespondować może tylko za pośrednictwem policji, której składa swoje listy i pisane do siebie odbiera. Choćby i 100 lat mieszkał, nie może brać paszportu, ale jeśliby chciał przenieść się do innego miejsca, musi podawać prośbę o to do gubernatora. Pozwolenie zaś na przejazd do Tobolska może uzyskać od gubernatora w dwóch razach: niebezpiecznej słabości i spowiedzi. Nie może mieć żadnej broni, chyba za Najwyższym pozwoleniem.

Wracając się do Adolfa. Kiedy przybył do Iszyma, mieszkał tamże ciągle lat siedem, zaprowadziwszy sobie małe gospodarstwo przez kupienie domku, gdzie całą zimę pracował nad literaturą (przetłumaczył *Historię zawojowania Anglii przez Normandów* Augustyna Thierry [12]), latem zaś polował na stepach okolicznych (zrobił się bowiem zapalonym myśliwym). Towarzystwo jego prócz książek, których m[u] nigdy nie brakło, składali współwygnańcy następujący: Seweryn Krzyżanowski, podpułkownik, który 1839 umarł w Tobolsku dostawszy okropnego pomięszania zmysłów, Anzelm Iwaszkiewicz, posłany za 1825 rok, powrócił do kraju; Michał Moraczewski, Paweł Ciepliński, Kacper Szaniawski — Litwini dotąd na Syberii, posłani r. 1831 za chęć ucieczki i przyłączenie się do powstańców; Grodecki Cyprian, Grocholski Leon — za powstanie 1831, obadwa zmarli w Iszymie; Gustaw Zieliński, Eugeni Łempicki, Józef Nowak — z Królestwa, za emisariuszów 1833 r. Dwaj pierwsi wrócili do kraju. Tomasz Kiciński, Kacper Babski [13] — ze szkoły podchorążych powróceni; Aleksander Ratuld, Michał Łempicki, Karol Baliński [14] — za związek demokratyczny 1839, wszyscy trzej powróceni.

Tyle osób, z tylu spraw rozlicznych na jednym punkcie zgromadzonych, stanowiło towarzystwo bardzo przyjemne, a dźwięki rodzinnej mowy nieraz zapominać kazały, że się było śród obcych i w kraju wygnania. Jedność i dobra harmonia nadawały siłę, o którą rozbijały się wszelkie zamachy miejscowych urzędników, aby zakłócić naszą spokojność — i nareszcie przywiedliśmy ich do tego, że z największym byli szacunkiem i dla naszego postępowania, i dla naszego położenia. Ta chwała w największej części należy się Adolfowi, który był przykładem dla wszystkich i taktem swego postępowania, i niezachwianą mocą swego charakteru.

Taki stan rzeczy trwał aż do roku 1841, w którym, w miesiącu czerwcu, ogłoszono manifest Cesarski, in gratiam zaślubin Następcy Tronu, mocą którego Adolfowi i 10 innym, jako Łaskę ogłoszono, że mogą wejść do służby cywilnej i wojskowej, do pierwszej w stopniu kancelarzysty, do drugiej w stopniu prostego żołnierza, ale tylko w granicach Syberii. Łatwo sobie wyobrazić, co cierpiał Adolf, gdy mu podobną łaskę ogłoszono, on, który jednym nawet słowem nie zdradził zasad, jakie przed 10-ciu laty przy indagacji objawił — była nawet chwila, gdy myślał o jej odrzuceniu, ale zastanowiwszy się, że to jest jedna jeszcze deska ocalenia, po której wyjść można z Syberii, ujrzeć Ojczyznę, uściskać matkę i rodzinę, że odrzucając ją, musiałby się na wieki wieków pożegnać się ze wszystkimi najmilszymi nadziejami, przyjął służbę cywilną, i dziś pracuje w biurze Zarządu Sybirskimi Kirgizami w Omsku w wydziale sądowniczym. Dzisiejsze jego położenie o wiele jest pomyślniejszym od tego, jakie było w Iszymie. Nauka, szlachetny sposób myślenia, godność w postępowaniu otworzyły mu wstęp do pierwszych w Omsku towarzystw. (Omsk jest centralnym punktem zarządu Zachodniej Syberii —

ma Jenerał Gubernatora Księcia Gorczaków,[15] 8 innych generałów, wiele znaczniejszych urzędników, którzy przybywają na służbę z Rosji, oświeceniem i ogładą obyczajów nie ustępują najoświeceńszym ludziom Petersburga). Adolf posiada prócz tego wielkie względy u swoich naczelników (magistratura bowiem, w której służy, dziwnym zbiegiem okoliczności, chociaż z kilkudziesiąt osób złożona, jest może jedyna w Rosji, w której wziątki nie popłacają). Te stosunki z wyższymi osobami posłużą mu do tego, że prędzej, niż kres jest naznaczony, będzie mógł otrzymać rangę, a raz otrzymawszy, będzie mógł wybrnąć z Syberii.

Podając Panu te szczegóły, proszę w imieniu Adolfa, aby ten list nie był publikowany, mniejsza o mnie, co to piszę, ale chodzi tu o Adolfa, jego spokojność i może całą przyszłość. Adolf Mickiewiczowi, Jełowickiemu[16] i wszystkim swoim znajomym kazał dołączyć ukłony.

2

Papier listowy cienki, niebieskawy, formatu 26,5 cm × 21,7 cm, w rogu wytłoczony znak „BATH" pod koroną, na s. 4 adres:

A Monsieur
Monsieur Eustache Januszkiewicz
a Paris
Rue des Saussaies nr 3
ci joint les pacquets

Szanowny Panie Eustachy! Na list Jego z dnia 18 czerwca[1] do mnie pisany śpieszę z odpowiedzią i przesłaniem rękopismu śp. Adolfa, który mi powierzył January[2] — sądzę, że tu kilka słów objaśniających z mojej strony zbyteczne nie będzie.

W roku 1846 Adolf, jako urzędnik Pogranicznego Zarządu Średniej Hordy Kirgiskiej, miał udział w ekspedycji, jaka z miasta Omska nad brzegi rzeki Lepsy wysłaną została pod dowództwem Pogranicznego Naczelnika generała Wiszniewskiego. Cel tej ekspedycji był, przyjęcie w poddaństwo rosyjskie sułtanów Wielkiej Hordy i wyparowanie Kenesarego, który się w wąwozach Ała-tau usadowił. Ten Kenesary ma bardzo wiele podobieństwa z Abdel-Kaderem[3], od lat kilkunastu, przed 1846 niepokoił swoimi napadami władze rosyjskie, coraz głębiej w stepy kirgiskie zapuszczając się; Kenesary jako jeden z możniejszych sułtanów dobrowolnie lub siłą gromadził około siebie liczne plemiona kirgiskie i z nimi napadał rosyjskie forpoczty, w pień je wycinał i rzucał przerażenie aż w granice Syberii. Pozbycie się takiego przeciwnika, który w niefortunnym dla siebie razie rozpierzchał się w ogromie jakiej piaszczystej, bezludnej pustyni i znowu się na drugim końcu stepu koncentrował, było ciągłym zadaniem komend rosyjskich w Orenburgu i Omsku. Ekspedycja w r. 1846 miała stanowczą tamę napadom Kenesarego położyć, jaki zaś odniosła rezultat, to nam właśnie dziennik Adolfa objaśnia. Dziennik ten, pod wrażeniem chwili kreślony, zawiera najdrobniejsze szczegóły, każdodziennie zapisywane. Są to notaty, z których, kiedy Autor miał

zamiar porządny opis podróży wypracować, jak mi o tym jeszcze z Omska donosił — zdaje się, że odstąpił od tego zamiaru, a podróż swoją chciał zamknąć w korespondencji Jacquemonta o Indii [4].

Dziennik jego rozpoczyna się od karty 20, bo poprzednie kart 19 jako już niepotrzebne zniszczył, utworzywszy z nich szereg listów, które drukowane były w Bibliotece Warszawskiej [5] — listy te obejmują część podróży, to jest od Omska do Ajaguzy. Najciekawsza zaś część tej podróży, to jest z Ajaguzy do rzeki Lepsy, tylko w małej części obrobiona, rzecz ta z dorywczych składająca się notat.

Jest to jedyny rękopism, jaki po Adolfie pozostał. Sądzę więc, że z listów zamieszczonych w Bibliotece Warszawskiej, następnie z dziennika, który przesyłam, i z korespondencji z rodziną, którą posiadasz, p. Eustachy, można interesującą całość utworzyć. Przy wydaniu należałoby następujący zachować porządek: wydrukować tam porządkiem, jak to uczyniła Biblioteka Warszawska, wszystkie listy oprócz dwóch ostatnich, z których pisany do matki z Ojdżaj-tau należy przenieść do dziennika i zamieścić go pod dniem 5 lipca, drugi pisany z Ak-bacz-tau, pisany do mnie, zamieścić pod dniem 15 sierpnia [6].

Początek dziennika, zacząwszy od dnia 13 czerwca, w którym wyruszyła ekspedycja z Ajaguzy, do dnia 7 lipca, w którym zabierała się już do powrotu, przeze mnie napisany i dopełniony z listów Adolfa, do użytku przesyłam, obejmuje on z oryginału od karty 20 do 31. Brak czasu i osłabienie coraz mocniejsze wzroku nie dozwoliły mi więcej zrobić wypisów. Dopełniwszy ten wypis i wypuściwszy to, co mniej godne uwagi, miałem zamiar przesłać go do Biblioteki Warszawskiej, ale uważam, że daleko właściwsze dlań miejsce w wydaniu, które, p. Eustachy, dopełnić zamierzasz.

Dziennik Adolfa niewyraźnie pisany, ale można się wprawić w czytanie, ponieważ jednak zamieszcza wiele wyrazów rosyjskich i kirgiskich, niektórych nie byłem w stanie odcyfrować lub tylko domyślne dałem im znaczenie. Dziennik ten składa się z kart liczbowanych in folio począwszy od karty 20 do 90 włącznie, następnie, in 4-to, od 1 do 23 — miejsca wykreślone uczynione były ręką Autora, zbierającego w jedną całość rozrzucone po dzienniku materiały.

Tyle co do rękopismu śp. Adolfa.

Co do naszego Domu Zleceń w Płocku [7], ten jeszcze otworzony nie został, ale zdaje się, że to niedługo nastąpi. Nie wiemy jeszcze, jak się ta instytucja rozwinie, ale przy pomyślnym jej obrocie możemy korzystać z propozycji, jakąś nam, Szanowny Panie Eustachy, uczynił.

Przyjm, p. Eustachy, serdeczne uściśnienia od nieznajomego, który od wielu lat przywykł Waszą Rodzinę jakby swoją własną uważać. Załączając przy tym ukłony Godnej Jego Małżonce [8] zostaję

z prawdziwym szacunkiem
G. Zieliński

Skępe, d. 6 lipca 1859 r.

Przypisy do listu 1:

[1] Eustachy Januszkiewicz, młodszy brat Adolfa (1805—1874), student Uniwersytetu Wileńskiego, uczestnik powstania na Litwie w r. 1831, w r. 1835 otworzył w Paryżu, wspólnie z A. Jełowickim, księgarnię i drukarnię, którą potem prowadził sam. Bliski Mickiewiczowi, stykał się z nim często. Po śmierci brata Adolfa zajął się publikacją jego *Dziennika podróży*, o czym w liście 2.

[2] Gustaw Zieliński powrócił z Syberii do Królestwa w listopadzie 1842 r. (po drodze zatrzymał się kilka dni u najmłodszego z braci Januszkiewiczów, Januarego, i ich matki, Tekli z Sokołowskich, w majątku Dziahylnia na Litwie). Publikowany list pisany był zapewne niedługo po przyjeździe, pochodzi więc z r. 1842 lub 1843.

[3] Zieliński przybył do Iszyma, gdzie przebywał już Adolf Januszkiewicz, w końcu lipca 1835 r.; Januszkiewicz wyjechał z Iszyma do Omska w końcu sierpnia 1841 r.

[4] Prócz Eustachego przebywał na emigracji trzeci brat Adolfa, Romuald Januszkiewicz (1808—1865), później jeden z czołowych towiańczyków.

[5] Piotr Moszyński (1800—1879), marszałek wołyński, zesłany za organizowanie powiązanego z dekabrystami Towarzystwa Patriotycznego, więziony początkowo w twierdzy pietropawłowskiej, potem zesłany na Syberię; najpoważniejszy pomiędzy wygnańcami w Tobolsku, założył tam bibliotekę dla zesłańców, pomagał im materialnie. Przeniesiony później do Woroneża, w r. 1840 powrócił do kraju; zamieszkał w Krakowie, gdzie odegrał rolę w wypadkach 1848 r.

[6] Tak zwana „sprawa omska"; opisuje ją Michał Janik w książce *Dzieje Polaków na Syberii*, Kraków, 1928, ss. 148—159. Spiskowcy pragnęli zorganizować powstanie zbrojne na Syberii, połączyć się z Kirgizami (Kazachami) i przez Persję lub Indie przedostać się do Europy. Spisek liczył kilka tysięcy sprzysiężonych i wykryto go wskutek denuncjacji kilku zdrajców, wedle jednych źródeł na długo przed projektowanym wybuchem, wedle innych w przeddzień wybuchu powstania. Uwięziono 464 Polaków. Egzekucja odbyła się 2 marca w fortecy w Omsku i trwała od 9 rano do 4 po południu. O wyroku i jego wykonaniu zachowało się kilka nieco różniących się od siebie relacji; wedle tej, którą przytacza Zieliński, najbardziej prawdopodobnej, czterech oskarżonych skazano na 6000 kijów, drugą kategorię skazanych — na 4000 kijów i katorgę; trzecią — na 2000 kijów i roty aresztanckie; czwartą — na 4000 rózeg; piątą — na 500 kijów i roboty aresztanckie w guberni orenburskiej; szóstą — na dożywotnie „sołdaty" na Kaukazie.

[7] Władysław Drużyłowski (albo Drużołowski), akademik i wierszopis.

[8] Jan Wróblewski okazał podobno „w ostatniej chwili słabość charakteru" (wedle pamiętników Knolla).

[9] Meledin albo Melodini czy Melodyni. Wedle jednych źródeł powstaniec 1831 r., wedle innych Rosjanin i dekabrysta, zmarł zaraz po wykonaniu wyroku.

[10] Ks. Jan Henryk Sierociński, przeor bazylianów w Owruczu, skazany „w sołdaty" za Powstanie Listopadowe, poeta-mistyk. Był on przywódcą, głównym organizatorem i ideologiem spisku, w procesie uznany za najwinniejszego. Wyrok na nim wykonano na końcu, zmarł zaraz po egzekucji (wedle innych źródeł — pod pałkami).

[11] Dr Franciszek Ksawery Szokalski (nie Sokalski), lekarz, jedyny przeżył okrutną karę, więziono go potem w Nerczyńsku, następnie w okolicy Akatui, wreszcie w Niżnej Tarze. Popadł w obłąkanie i popełnił samobójstwo w r. 1847.

[12] Augustyn Thierry, głośny w owym czasie francuski historyk-mediawista (1795—1856).

[13] Od r. 1845 Kacper Babski został oficjalistą w dobrach Gustawa Zielińskiego Skępe w pow. lipnowskim (Korespondencja Zieliński — Babski zachowała się w archiwum Zielińskiego).

[14] Karol Baliński (1817—1864), poeta, autor popularnego *Farysa-Wieszcza*, skazany za udział w Stowarzyszeniu Ludu Polskiego. Więziono go od r. 1838 w Cytadeli warszawskiej, w rok później, pod koniec r. 1839, przybył do Iszyma, uwolniony w r. 1842.

[15] Ks. Piotr Dymitriewicz Gorczakow, jenerał-gubernator Syberii Zachodniej od r. 1836.

[16] Aleksander Jełowicki (1804—1877), uczestnik Powstania Listopadowego i poseł na Sejm z powiatu hajsyńskiego. Na emigracji księgarz i wydawca III Cz. *Dziadów*, *Ksiąg Pielgrzymstwa* i *Pana Tadeusza*. W r. 1841 został księdzem i wstąpił do Zmartwychwstańców.

Przypisy do listu 2:

[1] List Eustachego Januszkiewicza nie zachował się w archiwum Zielińskiego.

[2] January Januszkiewicz, najmłodszy brat Adolfa, por. przypis 2 do poprzedniego listu.

[3] Słynny emir arabski (ok. 1807—1883), walczył w latach 1832—1847 przeciw Francuzom w Algierii i Maroku, próbując zorganizować cesarstwo arabskie, po zwyciężeniu go przez Francuzów i długoletnim internowaniu we Francji stał się jej zwolennikiem.

[4] Victor Jacquemont (1801—1832), słynny podróżnik francuski, autor odkrywczych w swoim czasie listów z Indii i Tybetu.

[5] *Biblioteka Warszawska*, r. 1859, t. I i II (zeszyty za styczeń, marzec i kwiecień).

[6] Tak postąpiono w wydaniu.

[7] W r. 1859 Gustaw Zieliński założył wraz z Kleniewskim i Jackowskim Dom Zleceń Rolników Płockich idąc za radami znanego wówczas ekonomisty Falkenhagen-Zaleskiego. Dom rozwiązano w r. 1865.

[8] W r. 1851 E. Januszkiewicz ożenił się z baronówną Eugenią Lariss z Osieka.

Janusz Odrowąż-Pieniążek

Andrzej Kijowski

ARCYDZIEŁA ZŁEGO SMAKU CZYLI O SZKOLE HEMINGWAYA *

Pięćdziesięcioletni pułkownik amerykański przyjeżdża do Wenecji. Je, pije, gada, kocha, umiera.

Pułkownik zna Włochy i zna Wenecję. Walczył tu podczas pierwszej wojny światowej nad Piave i Isonzo. Jako ochotnik armii włoskiej bronił Wenecji przed „szkopami", którzy „w kubłowatych hełmach i z cielęcą skórą na tornistrach" pchali się całymi masami w błota koło Treviso i tam marli pod ogniem artylerii. Były to co prawda nie tyle „szkopy", ile nasi biedni chłopcy spod Krakowa, Gorlic, Tarnowa i Lwowa, tak, tam właśnie poszły galicyjskie pułki.

Od czasów kontrofensywy nad Piave pułkownik walczył na Filipinach, w Normandii, pod Paryżem, w Ardenach, w Niemczech. Przyjeżdża do Wenecji zaraz po zakończeniu drugiej wojny. Jedzie śladami obydwu wojen, aby poprzez wspomnienia pierwszej uwolnić się od koszmaru drugiej. Albowiem druga była gorsza. Okrutniejsza, zapewne, ale nie tylko na tym polega wyższość pierwszej w pamięci pułkownika. Nie wiem dokładnie, w jakiej to komedii francuskiej pewna dama głośno chwali Karola X. „To był wspaniały król" — powiada z emfazą. „Cóż on takiego zrobił?" — pyta ktoś zdziwiony. „Jak to co? On zrobił to, że za jego panowania miałam szesnaście lat."

Pierwsza wojna była wspaniała dla pułkownika Ryszarda, ponieważ walczył w niej jako dwudziestoletni porucznik. Druga była znacznie gorsza, gdyż poszedł na nią człowiek, co już przekroczył ostatni próg dojrzałości. Wszystko to próbuje wytłumaczyć swemu szoferowi w drodze do Wenecji. Próbuje mu także wbić w głowę historię Wenecji i przekonać go do jej piękna. Prosty amerykański chłopiec nic z tego nie rozumie, pułkownik daje mu spokój, wysiadając z wojskowego samochodu opuszcza niejako swoją barbarzyńską Amerykę, osamotniony daje nura we Włochy, w „swoje" Włochy. Pułkownik jest dobrze znany w Wenecji, jest weneckim Amerykaninem, oswojonym barbarzyńcą, których w zasadzie Włosi nie lubią. Pułkownik wie o tym, czuje na sobie nieprzyjazne spojrzenia ponurych młodzieńców. Pułkownik ma dość przyjaciół w Wenecji, od czasów wojny odwiedzał ich często i obdarzał kaczkami

* Ernest Hemingway: *Za rzekę w cień drzew*. Tłumaczył Bronisław Zieliński. Klub Interesującej Książki. Warszawa, PIW, 1961; str. 273, 3 nlb.

upolowanymi w błotach zroszonych niegdyś krwią dwóch armii. Do kaczek jeszcze powrócimy. Pułkownik ma tych swoich przyjaciół wśród kelnerów, tragarzy, gondolierów, spośród których wyróżnia natychmiast wszelkiego stopnia inwalidów. Z inwalidami dogaduje się najszybciej — to jego towarzysze broni. Z tymi swoimi przyjaciółmi prowadzi zabawne rozmowy, w języku zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych członków „zakonu". Bo pułkownik pośród tych swoich przyjaciół założył „Zakon Wojskowy Szlachecki i Duchowny", porozdawał w nim godności, ustalił formuły powitalne etc. Jednym słowem wprowadził do swego hotelu nad Wielkim Kanałem kombatancki humorek.

Pośród tych swoich zaprzyjaźnionych inwalidów i kombatantów pułkownik przeżywa miłość do młodej pięknej wenecjanki. Dziewczyna jest „comtessą", pochodzi z weneckiego rodu, z rodu dożów, kondotierów i kupców. Bardzo bogata i „bardzo szalona". Na przywitanie ofiarowuje pułkownikowi szmaragdy, w miłości lubi trochę gwałtu, nie pozwala pułkownikowi zdejmować bluzy, ponieważ chce, aby ją „guziki ugniatały". Uczy się także od pułkownika slangu i cieszy się na samą myśl, że będzie nim epatować swoich weneckich przyjaciół, oczywiście hrabiów.

Wszystko to jest w straszliwie złym smaku. Straszliwie płaskie i straszliwie banalne. Niepodobna, by tego sam Hemingway nie widział. Widzi z całą pewnością, gdyż banału nie próbuje nawet ukrywać, przeciwnie, rozciąga go z całą dezynwolturą, drażni nim czytelnika, stwarzając sytuacje jakby z oleodruku odbite. Czuje się jednakże zupełnie bezkarny. Żadnemu pisarzowi oprócz Hemingwaya nie wolno by było napisać serio takiej powieści o przedśmiertnej wycieczce po miłość do Wenecji. Dlaczego uchodzi Hemingwayowi to, co nie uchodzi nikomu innemu? Dlaczego patos i sentymentalizm, banał i zły smak, naiwność i prostactwo — wszystkie grzechy literatury, dają się wybaczyć temu pisarzowi i składają się na jego styl własny, nawet na jego urok szczególny?

Albowiem Hemingway umiał sobie wyrobić specjalne przepustki do banału. Przepustka barbarzyńska. Pułkownik nie przyjeżdża do Wenecji po to, by oglądać Tintoretta. Przyjeżdża na kaczki. Wszyscy („wszyscy") w mieście znają go z tej strony. Jego przyjaciele gondolierzy i kelnerzy otrzymają po polowaniu w prezencie kaczki, które potem będą wspominać całymi latami. Nieczęsto zdarza się biednemu Włochowi jadać kaczki, musi je upolować amerykański pułkownik. Amerykański pułkownik zyskuje w zamian za to szczególne prawa: wolno mu powiedzieć absolutnie każde głupstwo na temat malarstwa i architektury, wybaczalne stają się snobizmy, popisy kulinarne, sentymentalizm i zły smak. W Paryżu poznałem pewnego młodego Polaka, który w braku innych zajęć wspina się na skałki w lasach Fontainebleau. Pomysł uprawiania wspinaczek w Paryżu jest tak oryginalny, że młody Polak nie musi już inaczej uzasadniać swojego pobytu w najpiękniejszym mieście świata. Tak samo z pułkownikiem, który do Wenecji przyjechał na kaczki. Wszystko to polega na przybraniu egzotycznej maski barbarzyńcy, aby pozbyć się balastu *lieux communs* kultury. Owe *lieux communs* ciążą tysiącem asocjacji na każdym kroku. Można je atakować frontalnie albo od tyłu. Każdy przyzna, że niełatwo opisać przejażdżkę gondolą, aby nie popaść w styl oleodruku. Tomasz Mann w *Śmierci w Wenecji* atakuje frontalnie ów zestrój asocjacji nazywany „gondolą". Porównuje ją do trumny, co jest bardzo słuszne, bo łódź ta rzeczywiście żywo

przypomina trumnę, i czyni ją jednym ze znaków w narastającym klimacie śmierci. Jednocześnie metaforę tę rozładowuje poprzez historię tajemniczego gondoliera, który jest wprawdzie wystylizowany na Charona, ale który rychło odkrywa swe realne oblicze: jest gondolierem „dzikim", bez koncesji, stąd jego dziwne zachowanie. W ten sposób czytelnik wraz z bohaterem dostaje się w nożyce symbolu i anegdoty, jest wodzony za nos, nie wie, czy śmiać się z bezpodstawnych trwóg bohatera, czy też poddać się zabobonnym symbolom. Hemingway każe się bohaterowi „kochać" na gondoli i opowiadać żołnierskie historie. „Trzyma fason" wobec tej całej Wenecji. Rzecz jasna, sprawa nie dotyczy samej Wenecji, lecz tak samo miłości, tak samo wszystkich innych spraw, które materiałem sztuki stają się pod warunkiem ich absolutnego odnowienia. Fason ten — kaczki, żołnierstwo, amerykańskość — służy Hemingwayowi zamiast oryginalności, i to właśnie nazywam barbarzyńską przepustką do banału.

To samo dotyczy traktowania literatury. Przezwyciężenie jej wytartych konwencji dokonuje się poprzez zstąpienie w głąb rzeczywistości, poprzez wyszukiwanie nowych symboli i nowych znaczeń, poprzez konstruowanie wciąż nowych systemów wyjaśniających mechanizm rzeczywistości ludzkiej. Hemingway postępuje wręcz odwrotnie: rozkłada się na powierzchni rzeczywistości zagarniając to wszystko, co odrzucili inni. Oryginalność tego pisarza polega na tym, że tworzy swą sztukę z odpadów. Są takie pomysłowe artystki, które umieją szyć kilimy z obrzynków, klecić naszyjniki z okrawków, każdy śmieć wykorzystają, aby stworzyć materię nową, ciekawą przez swą zgrzebność. Tak powstają powieści Hemingwaya. Z nastrojów wygnanych, prawd ośmieszonych, chwytów ogranych. Hemingway rozporządza potężną odwagą igrania banałem. Nie wstydzi się go bynajmniej, robi z nim, co zechce. Sentymentalny dialog, którego zawstydzi się pisarz słabego ducha i postara się go jakoś ukryć, u Hemingwaya zabłyśnie wszystkimi barwami, pisarz wyniesie go w górę z całym tupetem, z wdziękiem przekornego barbarzyńcy.

Istnieje społeczny mit Hemingwaya polegający na tym, iż kapryśny ten starzec żył i myślał jak chciał, przez nikogo nigdy do niczego nie przymuszony. Polował, gdy chciał, i w kraju, który sobie wybrał, mieszkał tam, gdzie mu się podobało, jechał na wojnę, gdy go zainteresowała, opuszczał ją, gdy przestawała być interesująca, gdy mu się spodobało, wstępował do armii, gdy nie — prowadził wojnę na własną rękę. Mit ten silniejszy jest od oddziaływania twórczości pisarza — tak mi się przynajmniej wydaje. Istnieje jednak także podobny mit Hemingwaya w samej literaturze, polegający na tym, że ten przekorny starzec pisał jak chciał, nie zwracając uwagi na mody i style przebrzmiałe. Mit ten olśniewa naiwnych pisarzy, który sądzą, że wolno tak czynić każdemu. Stąd swoista szkoła Hemingwaya, która objęła najbardziej średnie talenty. Mit ten olśniewa także leniwych czytelników, którzy trzymając się kurczowo tradycji, dzięki Hemingwayowi odzyskują wiarę, że w literaturze nic się nie stało. Stąd ciepłe przyjęcie, jakie ten rewolucyjny z ducha pisarz znalazł u mieszczańskiej publiczności (mieszczańskiej co do gustów, oczywiście). Można więc powiedzieć, że ze wszystkich buntowników, jakich widziała literatura, Hemingway jest najbardziej konformistyczny.

Tak więc konformizm przez przekorę jest drugą przepustką, która temu pisarzowi pozwala rozgościć się w krainie banału, czyli złego smaku.

Istnieje jeszcze przepustka trzecia, to jest eschatologia. Amerykańskiemu

pułkownikowi wszystko wolno nie tylko dlatego, że ma w odwodzie swoje myśliwskie amerykańskie strzelby. Wolno mu także dlatego, że umiera. Śmierć ma u Hemingwaya postać biologiczną. Nie kończy się nic oprócz ciała. Znaki śmierci narastają nie poprzez odpadanie, obojętnienie spraw, nie przychodzą poprzez ową martwicę moralną, która sens śmierci objawia, zanim ona przyjdzie. Śmierć u Hemingwaya przychodzi w pełni życia, kiedy ma ono smak najcudowniejszy, i sygnalizuje swą bliskość poprzez znaki na ciele — ból serca, duszność, nadmierne znużenie — znaki odganiane wspólnymi siłami przez pułkownika i jego kochankę (zażywanie pastylek w równych interwałach jest czymś w rodzaju erotycznego obrzędu).

Ze swego strachu pułkownik czyni swoistą religię. W samotnych rozmyślaniach i w rozmowach z kochanką śledzi wątek śmierci w swoim życiu, stwierdza jej nieustanną wszechobecność, oblicza jej ofiary, każdym wspomnieniem oddając się jej coraz bardziej na służbę. Wojna, która na początku powieści ma jeszcze urok awantury, w miarę jak rozwija się choroba pułkownika, w miarę jak obecność tej choroby uświadamia mu miłość, wojna ta więc, skonfrontowana z wyczerpującą miłością, zostaje odczytana prawidłowo jako wyłączne dzieło śmierci. W opowieściach swoich pułkownik wymienia wielkich bohaterów ostatniej wojny — Montgomery'ego, Eisenhowera, Leclerca, nieomal po imieniu, razem z Rommlem, i wszystkich razem puszcza w groteskowy taniec śmierci. To marionetki w rękach owej siły przepotężnej, która i jego teraz zagarnia w tym najpiękniejszym z miast. Urok tego miasta i urok miłości pracują na rzecz śmierci — wspomnienie wojny dzielnych chłopców krzepi. Wobec śmierci trzeba zachować postawę żołnierską, dlatego pułkownik nie pozwala się jej zaskoczyć w hotelowym łóżku, lecz na polowaniu właśnie, w wojskowym samochodzie, po wydaniu ostatniego rozkazu...

*

Za rzekę w cień drzew jest niewątpliwie najsłabszą powieścią Hemingwaya. Demaskuje ona jednocześnie słabe strony pisarstwa Hemingwaya, te zwłaszcza, które w pisarstwie jego ukryły się niejako pod ochroną niezawodnego mistrzostwa technicznego, które jednakże na jaw wychodzą u pisarzy naśladowców. *Za rzekę w cień drzew* jest bardziej powieścią ze szkoły Hemingwaya niż samego Hemingwaya. Toteż mówiąc o słabościach tej powieści, mamy na myśli raczej wypaczenia szkoły. Co do autora *Pożegnania z bronią*, którego droga twórcza została tragicznie przecięta, nie obawia się on ani krytyk, ani nie potrzebuje obrony. Dwie powieści *(Pożegnanie z bronią* i *Komu bije dzwon)* oraz kilka opowiadań wejdą na zawsze do skarbca literatury światowej. Często bowiem tak bywa, że arcydzieła złego smaku są rzeczywiście arcydziełami.

Andrzej Kijowski

PIEŚNI ODMIEŃCA

Jan Bolesław Ożóg: *Gdzie powój woła*. Warszawa, PIW, 1961; str 49.

Może dobrze byłoby pisząc o Ożogu sprzeniewierzyć się pewnej od dawna ustalonej tradycji, do której utrwalenia przyczynił się zresztą w niemałym stopniu sam poeta, a która wymaga, żeby jego nazwisko traktować jako pewnego rodzaju magiczne zaklęcie. Mówimy: Ożóg, a natychmiast zjawia się autentyzm, *Okolica Poetów*, Stanisław Czernik jako prawodawca i teoretyk kierunku. Dlaczego jednak autor *Wyjazdu wnuka* i jego twórczość nie mogłyby zostać uznane za zjawiska samoistne, ważne same w sobie, godne rozpatrywania nie tylko w perspektywie swoich związków z autentyzmem? Przecież w ostatniej instancji o znaczeniu pisarza decydują zawsze nie wyznawane przezeń założenia programowe, lecz jego osiągnięcia artystyczne.

O Ożogu mówi się zwykle jako o poecie wsi, co wprawdzie nie mija się z prawdą, ale wymaga dokładniejszego sprecyzowania. Poeta ten poszedł bowiem dalej niż ci, którzy w sposób najbardziej nawet mistrzowski wieś opisywali. Taki opis — zarówno u Kochanowskiego, jak u Szymonowicza, zarówno u Konopnickiej, jak u Staffa, a nawet u Ela-Laskowskiego — określony jest w swoim charakterze przyjętą przez autora a związaną ściśle z całością jego programu pisarskiego i z charakterystycznymi właściwościami jego osobowości twórczej koncepcją widzenia i artystycznego przedstawienia wsi. Zarówno w świecie jego myśli, jak i w dziedzinie najbardziej dlań typowych elementów wizji oraz emocji artystycznej motywy wiejskie występują obok innych, powiązane z nimi tkanką wzajemnych uzależnień. Nie one, a przynajmniej nie wyłącznie one wyznaczają pisarzowi kierunek i styl jego pracy — nawet gdy pisarz sięga po tematykę wiejską.

Inaczej jest z Ożogiem. Należy on do tych, którzy ze skarbca wiejskiego życia i wiejskiego krajobrazu czerpią nie tylko zagadnienia i tematy, nie tylko inspiracje formotwórcze, ale i to, co Leśmian określa jako tworzywo poezji („Ważną jest dla nas treść, koncepcja utworu, czyli to, co autor pisze. Ważną jest forma, czyli to, jak pisze. Lecz chyba najważniejszym jest materiał, tworzywo, czyli to, czym pisze — jakim zasobem wrażeń, uczuć i rytmów przyrodzonych, jakimi wzruszeniami ciała i ducha wypełnia swą treść i formę (...). Żadne wymagania kierunków, mody, znaków porozumiewawczych dnia ostatniego nie zdołają ani odmienić, ani przysporzyć, ani ująć owego tworzywa. Treść i forma mogą przeminąć, przebrzmieć, zestarzeć się (...). lecz to, co jest tworzywem danego utworu, trwa na zawsze jako zdobycz konkretna, nieprzemijająca i niepowtarzalna").

Otóż wiejskość poezji Ożoga nie jest wiejskością tematu, kształtu artystycznego (jak np. stylizacje Konopnickiej), problematyki. Jest wiejskością samego tworzywa. O czymkolwiek będzie on mówił: o śmierci czy historii, o miłości czy wojnie, o mieście czy filozofii, o poezji czy technice, zawsze sięgnie przy budowaniu swoich wizji po materiał czerpany z życia wsi, z elemen-

tów wiejskiego krajobrazu, z motywów ludowej pieśni i baśni:

To imię liścia z młotem spadło,
to młody liść, przecinający kraty.
Zielony kuję taki liść. Kowadło
od tego jest, by zeń płakały liść i kwiaty.

To liść. Zielony liść się do kowadła klei,
to znaczy — ach, co znaczy, nie wiem.
To wiśnia w lesie, białość w głębi kniei.
To drozda krzyk, to jastrząb pod
modrzewiem.

Tam, gdzie autor próbuje uciec od tej swojej wiejskości, gdzie temat i sceneria utworu wykluczają daleko posuniętą supremację motywów wiejskich w budowaniu wizji poetyckiej, jawią się one jako przeciwwaga dla motywów gatunkowo odmiennych (jak np. jarzębina w wierszu *Ryby*), jako elementy metaforyzacyjne (irys, fiołki, malwa — „malwa spódnicy" — w wierszu *Śmierć*), czy choćby jako zdobiące inkrustacje („szal wody zielony jak miedza" w *Balladzie z abstrakcją*). Gdzie indziej znów inspirujący wpływ owego tworzywa zaznaczy się w specyfice językowo-składniowej utworu i w jego konstrukcji (*Dukla*), w nadawaniu utworowi charakteru ludowej pieśni-opowieści (*Odepchnięty, Stary człowiek*) czy też pieśni-ballady (*Strumyk w kniei, Wieczorna ballada*) albo też da znać o sobie w ufantastyczniającym obraz poetycki pozalogicznym kojarzeniu jego elementów:

W zielonej trawie w południe
zielony miesiączek się pasie.
W zielonej trawie staw złoty,
koń biały, zielone karasie.

Tego rodzaju luźność kojarzeń spotykamy często w pieśni ludowej, przeważnie jednak w utworach o charakterze żartobliwym:

Płynie kaczor po olszynie,
kaczka za nim w kożuszynie.
Postój, kaczko, dam ci cacko.
Nie postoję, bo się boję.

U Ożoga odnajdziemy ją również w wierszach o tonacji poważnej, nawet tragicznej. Liryk *Znad stawu*, którego pierwszą strofę zacytowałem wyżej, zamyka się obrazem o całkowicie odmiennym nastroju:

O słońce, o mgło przerażenia,
o chwilo w zielonej trawie,
nadbiega, nadbiega z daleka
koń czarny w czerwonej kurzawie.

„Ja liryczne" Ożoga dalekie jest bowiem od sielankowości i pogody. Jego stosunek do bieżącego życia jest stosunkiem chronicznego konfliktu, którego przyczynę stanowi uniemożliwiający zgodne współżycie z otoczeniem stan niedopasowania. Arcytematem poezji Ożoga co najmniej od czasów *Jej Wielkiego Wozu* (1947) jest dramat alienacji, wyobcowania ze swego środowiska. Jeśli zaś o ostatni tomik chodzi, to trzy czwarte zawartych w nim wierszy podejmuje ów arcytemat — przeważnie wprost, czasem w formie zakamuflowanej (epitafia, elegie o tematyce wspomnieniowej).

U źródeł tego dramatu leży zasadnicza niemożność przystosowania się do środowiska, które uważa się nie tylko za macierzyste, ale za jedyne, w którym można by żyć swobodnie, rozwijać się w sposób jak najbardziej pełny i bogaty. Lirycznemu bohaterowi Ożoga obce jest miasto i miejski styl życia. Dla niego wieś to nie tylko „kraj lat dziecinnych, o którym wspomina się czasem ze łzą rozrzewnienia, mocno i bezpowrotnie wżywszy się w nowe warunki. Dla niego jest ona zarazem i rajem utraconym, i Ziemią Obiecaną, do której wędruje się przez obcą, jałową pustynię cudzych krain, lat przeżywanych poza jej granicami. Oto jeden z coraz rzadszych ostatnio w liryce Ożoga momentów ukojenia i pogody, jakie niesie ze sobą chwilowy choćby powrót do jedynego naprawdę własnego kraju, anteuszowe wparcie się stopami w glebę wiejskich zagonów:

Znowu robota. Stawiam brogi
i z żerdzi zbijam koromysła
w skwarze południa pod żniwami,
i chodzę boso, tak jak bogi.

Tu tli więziołka i pokrzywa,
tam ziemia. Twarda. Ścisła.
Przeszedłem przez Czerwone Morze.
Tu brzeg. I tu się odpoczywa.

Nieczęsto przeżywa takie stany wewnętrznego uciszenia bohater Ożoga, udręczony nierozwiązywalnością dręczących go konfliktów. O nierozwią-

zywalności tej decyduje zaś sama struktura psychiczna bohatera, który oczom tego środowiska jawi się jako „odmieniec", a więc ktoś, kto niejako z natury rzeczy niezdolny jest przystosować się do stylu życiowego swego otoczenia, spełniać jego wymagania, przyjąć i zaakceptować jego świat pojęć i norm postępowania.

„Odmieniec" w pierwotnym i zasadniczym rozumieniu tego określenia to dziecko podrzucone przez boginki na miejsce skradzionego dziecka ludzkiego. Dziś wprawdzie pojęciem tym określa się wszystkich dziwaków, oryginałów, amatorów chodzenia własnymi drogami, ale skoro mowa jest o poecie, warto przypomnieć i dawne znaczenie tego słowa. Sytuacja jest tym dramatyczniejsza, że „odmieniec" sam zdaje sobie sprawę ze swojej „odmienności", ze swojego niedopasowania do wzorców osobowościowych uznawanych przez środowisko, z którym czuje się związany nie tylko pochodzeniem, ale i aktem dobrowolnego wyboru. Dlatego tak często wciela się w postaci kalek, nieszczęśliwców, dlatego odnajduje braterstwo swego losu z losem beznadziejnie skrzywdzonych, wypchniętych bezlitośnie poza obręb ludzkiej wspólnoty (*Jak idą perszerony, Kadłub z okaryną, Śmierć, Ulica, Odepchnięty, Stary człowiek*).

Wejście w sytuację psychiczną odrzuconego przez własne środowisko „odmieńca" decyduje, że wieś staje się dla Ożoga tym cenniejsza. To nie upodobanie do sielanki ani jakiekolwiek założenia programowe popychają go w tym kierunku. To determinacje najautentyczniej własnego tworzywa oraz potrzeba budowania mitu kompensacyjnego, który przyniósłby zastępczą realizację nie spełnionych marzeń i pragnień. Stąd bierze się owa uniwersalizacja konwencji pisarskiej opartej na wykorzystywaniu motywów wiejskich przy realizacji najbardziej różnorodnych tematów, przy zmaganiu się z najbardziej różnogatunkowymi typami zagadnień i zjawisk.

Jak najmocniej pragnę podkreślić to właśnie, że u Ożoga mamy do czynienia z uniwersalizacją, a nie z redukcjonizmem. Ten poeta nie pomniejsza świata i jego spraw, aby zmieściły mu się w wiejskich opłotkach. On — na odwrót — „zwiejszcza" to, co pozawiejskie. Chce wieś, tę swoją imaginacyjną wieś własnej liryki rozszerzyć na cały *orbis terrarum*, a nawet poza jego granice. Przecież nawet Bóg Ożoga, jego Madonny i święci ulegają prawu poetyckiej mimikry: stają się postaciami z ballad i baśni nawiązujących do schrystianizowanej mitologii ludowej, obcy są natomiast zupełnie wszelkim skodyfikowanym teologiom i metafizykom. Jeden z najciekawszych wierszy tomu, *Nowi*, mówi nie tylko o zabłąkanych i zgubionych w miejskim środowisku przybyszach ze wsi. To jest operujący właściwymi dla poezji Ożoga środkami ekspresji poemat o wszelkim zabłąkaniu się i zgubieniu, liryczna opowieść o tragizmie alienacji, o wyłączeniu ze wspólnoty, dającej poczucie bezpieczeństwa, siły i równowagi.

Nie mogąc nigdzie znaleźć wsi-Edenu, wsi-Ziemi Obiecanej, Ożóg ją pisze, kreuje ją słowem. Magią liryzmu wywołuje z niebytu świat, który p o w i n i e n istnieć. Jego poetycka fantastyka to wyznaczanie odległości między będącym a pragnionym, to odszukiwanie w rzeczach i zdarzeniach potencjalnej poetyckości, integrującej na nowo świat rozbity na okruchy i atomy, oddany na łup śmierci, brzydocie i zniszczeniu:

Ścięli drzewa, ścięli brzozy,
jabłonie dzikie i czereśnie
i przeszły przez jaśminy wozy
może za dnia, może we śnie.

Cmentarz, cmentarz z czasów moich,
gdy z Panem Bogiem chodził śnieg
i krzyż we wianku biegł i biegł,
i jodłowy pachniał chojak.

Sielankowość liryki Ożoga to złudzenie wywoływane wyglądem najbardziej zewnętrznej warstwy poetyckiego kształtu jego utworów. Złudzenie to pryska, gdy tylko wgłębimy się w materię tych wierszy. Za impresjonistyczną pastelowością ich faktury kryje się twardy, żmudny wysiłek przezwyciężania rozprzęgających wewnętrzny ład ludzkiej osobowości i niweczących jej energie twórcze oddziaływań poczucia alienacji. Jest to konstrukcja, do której budowania zużyte zostają elementy destrukcji. Obsesje! Wszystko niemal, co pisze Ożóg, aż kipi od rozmaitych obsesji. I nieraz poeta ulega ich dyktandu — z nienajlepszym

dla swoich utworów wynikiem (*Śmierć, Ulica*), ale jednak daleko częściej ujarzmia je, przeobraża w siłę napędową swojego pisarstwa. A przecież o to właśnie chodzi, bo eliminacja tych obsesji przez przemilczenie równałaby się przerwaniu związków między twórczością a własnym życiem i musiałaby prowadzić do jałowego, bezpłciowego akademizmu.

Poetów sięgających po tematykę wiejską było u nas bardzo dużo. Takich, w których wypadku jej wybór determinowałyby zasób i specyfika ich najściślej własnego tworzywa oraz własna sytuacja psychiczna — niewielu. Można by wśród nich wymienić Lenartowicza, Kasprowicza, Orkana, Piętaka. Do nich należy również Ożóg. I zajmuje wśród nich miejsce całkowicie odrębne. Jego twórczość nie da się rozłożyć na elementy znane już z dorobku innych, wcześniejszych autorów. Jedyny pisarz, który oddziałał silnie na Ożoga, to Jesienin. Ale i między nimi nie zachodzi ten stosunek zależności, jaki łączy mistrza z uczniem, raczej stosunek pokrewieństwa typu psychicznego i struktury wyobraźni. Jesienin pomógł naszemu poecie odnaleźć samego siebie, trafić na własny, odrębny ton i styl wypowiedzi. To raczej Ożóg odegrał rolę prekursora, od niego niejeden z nowszych poetów niejednego się nauczył, prekursora wciąż jeszcze nie docenianego i przemilczanego.

Nie piszę tego po to, aby domagać się dla Ożoga dyplomu na wielkość. Wiemy, z jak różnych względów i w jak różnych okolicznościach intronizuje się i detronizuje literackie wielkości. Ważne wydaje mi się przede wszystkim to, że autor *Wyjazdu wnuka* stał się w naszej liryce kimś jedynym, kimś, kto wyraził w swojej twórczości określony typ osobowości ludzkiej i znamienną dla niej sytuację psychiczną, a wyraził na swój sposób, zgodnie z charakterem i miarą własnego talentu:

Żyto nad bruzdą się rumieni,
chleb kwitnie, bukwią sypie buk,
i ot — z krwią wodę pije kruk
i w wodę kapią łzy płomieni.

Wojny, pogrzeby, śluby, święta,
trumny i zastawione stoły,
głód i opasłe jak cielęta
wory wciśnięte w kąt stodoły.

Ślepnę powoli od jasności,
lecz patrzę jeszcze w cztery strony.
Tam dymi świat, tu fajka kości
i stołu wrak, i dół bielony.

Wiersz ten nosi tytuł *Synteza*.

Stefan Lichański

„CREDO NAJMNIEJSZE"

Anka Kowalska: *Credo najmniejsze*, Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1960; str. 50.

O tym *Credo najmniejszym* może należałoby nawet napisać nie najmniejszą recenzję. Jeśli mimo to ta recenzja będzie krótka, nie znaczy, że rozmiar jej pozostaje w stosunku prostym do wagi zjawiska, jakim jest ten mały tomik. Mówiąc „wagi zjawiska" nie mam tu na myśli głośnej rewelacji, nie mam zamiaru lansować w tym wypadku jakiegoś objawienia poetyckiego.

Chodzi po prostu o to, że tomik jest wyjątkowo udany. Wyjątkowo, to znaczy, że odcina się od przeciętnej produkcji młodych poetów, którzy debiutują lub wydają swój drugi czy trzeci tomik.

Wiersze Anki Kowalskiej uderzają niepodejrzaną autentycznością. Dalecy tu jesteśmy od wszelkiego, nawet, jak to się nieraz zdarza, najzręczniej zakamuflowanego mistyfikatorstwa. Autentyczność tej poezji polega nie tylko na możliwym do wyśledzenia przebiegu nurtu lirycznego, czystego i bardzo osobistego, ale na stosowaniu środków wyrazu poetyckiego, najtrafniej użytych w zastosowaniu właśnie do tego rodzaju wrażliwości lirycznej. Ta traf-

ność doboru środków, ta umiejętność znalezienia adekwatnych do charakteru przeżycia obrazów, właściwie jak najdalej nieraz posunięta jednorodność dwóch warstw tworzywa artystycznego — stanowi o jakiejś daleko sięgającej spoistości, skondensowaniu tej poezji.

Wobec występującego nierzadko zjawiska rozgadania (nieraz wbrew składniowym czy konstrukcyjnym pozorom) wiersze Kowalskiej uderzają rzeczywistą lapidarnością, umiejętnością operowania skrótem, umiejętnością oderwania się we właściwej chwili od narastającej fali obrazów, od żywiołu własnej wyobraźni.

Inną cechą zasługującą na podkreślenie jest prostota. Oczywiście prostota — nie nieporadna i naiwna. Prostota w zakresie przyjętej poetyki, prostota wynikająca z trafności wyboru i umiejętności wyrzeczenia. I skrótu. Skrótu, który nie jest stosowany dla epatowania enigmatycznością.

Tomik ma dość zdecydowany charakter nie tylko formalny, ale także problemowy. Można by go właściwie traktować jako jeden poemat rozpisany na poszczególne wiersze. Są tu głosy ludzi, w których imieniu nie tyle przemawia sama poetka, ile raczej im samym pozwala mówić. Mówić za pośrednictwem swej poezji. Dialog miłosny, jaki toczy się na kartach tej książeczki, jest dialogiem osobliwym i niebanalnym, mimo konwencjonalnego z natury rzeczy samego charakteru sprawy.

Kowalska ma własną rekwizytornię poetycką. Chętnie ucieka się do melodii jakby podwórzowej, do rytmu piosenki, do obrazów, w których są lusterka, pierścionki, kwiaty w doniczkach, księżyce, karety, srebro, krew i wiatr... Ale te wszystkie rekwizyty żyją własnym życiem przez szczególne nieraz ich zastosowanie, przez odświeżenie na skutek nieoczekiwanego sąsiedztwa i głęboko skrytych aluzji, a także ironicznego zestawienia. Ta podwórzowa balladowość miłosnej rekwizytorni nagle rozbijana jest przez ostre i twarde cięcie, przez wprowadzenie momentu rzeczywistości tragicznej i jednoznacznej *(Kurtyna, Święto ważek)*.

Jednolitość klimatu tej poezji nie nuży dzięki naprawdę nieraz bardzo ładnym i świeżym pomysłom w zakresie obrazowania, metaforyki, kruchego tworzywa aluzji, niepostrzeżenie jakby tworzących delikatną siatkę wiersza. Tych obrazów własnych jest dużo. Sam układ niektórych wierszy dowodzi, że autorka potrafiła oderwać się od natrętnego szpikowania tekstu metaforami i posiada umiejętność tworzenia rozbudowanej metafory z całego wiersza.

Trochę może jest tu gdzieniegdzie, jak np. w *Wielkiej Niedźwiedzicy* czy w *Piosence na srebrne flety* — Pawlikowskiej, ale przeniesionej w inny wymiar poetycki, we współczesność. Nb. uderza mnie właśnie w tym ostatnim wierszu bardzo typowe ujawnienie specyficznej wrażliwości na rytm taneczny: „rdzeń rytmu niosę na biodrach..."

Za najbardziej ciekawe i najładniejsze wiersze uważam *Koniec połowu, O luna luna* — jakże osobliwa gra „księżycowego" tematu miłosnego — we współczesności lotów kosmicznych.

Aż
osiągną tę swoją lunę
aż
upadną czołem na jej srebro
okradzeni tysiączny raz
każdy niemy jak żebrak...

Czy takie, jak *Popiel, Święto ważek*, czy piękny, trochę czechowiczowski *Wiersz z łasicą*.

A na skraju tego lata gwiazda
skośnie spadła i padła u pyszczka
łasi pyszczek łasi łasi marzenie
w łasich łapkach
patrz jak gwiazda błyszczy
wąskie oko nad gwiazdą w pazurkach
co za lato ożenione z rozpaczą...

Cytaty nienajlepiej mogą prezentować walory całości utworu. Mimo wszystko chciałbym zwrócić jeszcze uwagę na efekty obrazowania, swoistego i niezwykłego: „ropiejące pragnienie", „I jest jak gdyby wielki poeta z rozpaczy podpalił cmentarz...", „Jak psy będą przylot swój węszyć lunatycy o świetlnych oczach...".

Wydaje mi się, że poetka znalazła najlepszy sposób do wyrażenia tych treści lirycznych, jakie są właściwe dla jej osobowości twórczej — i że jej nie próbująca epatować, ale żywa, świeża i własna poezja stanowi zjawisko, koło którego szkoda byłoby przejść obojętnie.

Bogdan Ostromęcki

Antologia poezji łużyckiej. Wyboru dokonał, wstępem i przypisami opatrzył Wilhelm Szewczyk. Katowice, „Śląsk", 1960; str. 363.

Antologię poezji łużyckiej potraktowano jako druk bibliofilski. Opracował ją graficznie Bogusław Górecki, który z tego względu powinien być wymieniony jeszcze przed redaktorem tomu i tłumaczami. Mówią, że nie szata zdobi człowieka, a i o randze dzieła literackiego nie szata też decyduje, ale dzięki właśnie owej szacie cenna i pożyteczna książka, która w innym wypadku byłaby wydarzeniem tylko dla dość ciasnego kręgu slawistów, polonistów, literatów i miłośników poezji, trafi może — jako bibliofilski rarytas — także do rąk szerszego grona czytelników. I oby szlachetna uroda jej zewnętrznego kształtu była w tym wypadku jak najbardziej pomocna! Oby zachęciła jak najwięcej odbiorców do zapoznania się z zawartością dzieła.

Szata graficzna tej książki nie pozostaje bowiem w sprzeczności z jej opracowaniem edytorskim i treścią. Obszerny wstępny szkic Wilhelma Szewczyka stanowi obok wydanej w 1938 r. *Literatury serbsko-łużyckiej* Józefa Gołąbka najobszerniejszą i najstaranniej przygotowaną pracę naukową o piśmiennictwie jedynego narodu zachodniej Słowiańszczyzny, który zwycięsko oparł się naporowi germanizacji. Studium to uzupełniają zamykające tom noty bio- i bibliograficzne o autorach uwzględnionych w antologii. Wkład Szewczyka w przygotowanie tak obszernego i cennego zbioru poezji łużyckiej trudno przecenić. Już samo opracowanie tej antologii zapewnia jej redaktorowi miejsce w historii literatury obu zainteresowanych narodów.

Co najbardziej uderza w otwierającym tom szkicu Szewczyka, to sumienność i rzeczowość. Bardzo trudno ustrzec się w tego rodzaju pracach popularyzatorskich tomu apologetyczno-propagandystycznego. Trudno oprzeć się pokusom różnego rodzaju wyolbrzymiających i gloryfikujących przedmiot naszego zainteresowania paralel, w których chętnie sypie się nazwiskami największych geniuszów, wynajdując dla nich rozmaite a przeważnie nader wątpliwe odpowiedniki wśród tych, na których pragniemy zwrócić uwagę.

Szewczyk nie stosuje takich praktyk. Stawia sprawę trzeźwo i realistycznie. „Poezja łużycka — pisze — jest jedną z żywotnych funkcji narodu łużyckiego. Dzięki niej język łużycki nie podzielił losu języka połabskiego. Dzięki niej naród łużycki posiadł literaturę, wyposażoną w dojrzałe narzędzia poznawcze, w pamięć dziejowych doświadczeń, a także w system norm estetycznych, odpowiadających historycznemu rozwojowi Łużyczan i ich życia umysłowego. (...) Stworzył ją naród w niewoli i chyba raz tylko zawrzała w niej walka o pełną polityczną niezawisłość (...) albowiem w ciągu swego rozwoju zajmowała się ona odmiennymi funkcjami, bardziej realistycznymi, w położeniu Łużyczan mogącymi uchodzić za rudymentalne, lecz w tym znaczeniu za jedyne do przyjęcia: pamięć tradycji narodowej, walka o język, troska o umiłowanie ziemi ojczystej i jej ludu. Przez blisko dwa wieki była to niejako p o e z j a i n t e r w e n c y j n a (podkreślenie aut.). Zjawiała się ona na ratunek, utrwalała świadomość narodową, obudzoną przez działaczy, bogaciła język podnosząc go do rangi języka wykształconego, sumowała straty i nawoływała do opamiętania."

Ta zwięzła charakterystyka poezji łużyckiej ustala w sposób ścisły nasze spojrzenie na nią i wybór kryteriów oceny. Poezji tej nie można zestawiać mechanicznie np. z poezją polską doby rozbiorów, gdyż ta ostatnia miała za sobą tradycje narodowej kultury i sztuki z wielowiekowego okresu niepodległości państwowej, podczas gdy piśmiennictwo łużyckie wyrażało życie duchowe narodu pozbawionego już przed stuleciami niezależności politycznej. Dlatego też, gdybyśmy nawet wyodrębnili z naszej poezji wyłącznie ten nurt obywatelsko-patriotyczny, jaki reprezentują np. *Pieśń o spustoszeniu Podola przez Tatarów, Satyr, Pieśń o Frydruszu,* satyry Opalińskiego, *Wojna chocimska,* to i tak nie będzie miało sensu porównywanie dorobku poetów łużyckich z tym fragmentem naszego piśmiennictwa. Już choćby z tego względu,

że jest to właśnie fragment, fragment ściśle związany z odmiennymi tematycznie i zagadnieniowo nurtami naszej poezji, kształtowanymi przez specyficzne, całkowicie inne od łużyckich warunki historyczne i kulturowe.

Znaczenie i wartość poezji naszych pobratymców zza Nysy Łużyckiej oceniać można tylko przez analizę jej roli w życiu narodu. Nie znaczy to, abyśmy chcieli odmawiać jej walorów ściśle estetycznych. Znaczy tylko, że godzimy się z faktem, iż w warunkach łużyckich inna musiała być stosowana miara owych walorów, że nie wynalazczość, oryginalność, komplikacja kształtu artystycznego decydowały o uznaniu odbiorców dla poety, ale właśnie prostota wyrazu, komunikatywność, umiejętność budzenia i organizowania uczuć najbardziej ważkich z punktu widzenia interesów zbiorowości narodowej. Poezja ta — aż po czasy najnowsze — czerpie ze skarbca poezji ludowej. Dzięki temu też zespala się ona z pieśniarstwem ludowym, staje się jego utrwalonym w druku przedłużeniem, naturalnym i bezpośrednim wyrazem życia duchowego całego społeczeństwa, a nie tylko jego elity. Ona nie potrzebuje „trafiać pod strzechy", gdyż żyje w kręgu idei, uczuć i wyobrażeń dobrze pod strzechami znanych.

Jedyna formacja literacka, z którą zestawić ją można nie na zasadzie odległych analogii, lecz bliskiego pokrewieństwa charakteru i funkcji społeczno-narodowej, to nasza poezja Warmii i Mazur, tak żywo i mocno zrośnięta ze swoim regionem, tak doniosłą rolę grająca w jego walce o polskość.

Poezja łużycka, która dopiero po ostatniej wojnie zyskała szansę rozszerzenia zakresu swego działania, wydawać się może w przeważającej swej części staroświecka i prowincjonalna. Takie jednak jej potraktowanie byłoby wielkim uproszczeniem, wynikającym z nieuwzględnienia wielorakości funkcji społecznych i kulturowych, jakimi twórczość artystyczną każdego narodu obarcza jego konkretna sytuacja historyczna. Sytuacja Łużyc była wyjątkowo ciężka i to narzucało ich literaturze obowiązek służebności, pojmowanej czasem zbyt ciasno, co stało się przyczyną dramatu życiowego największego poety tego kraju, Jakuba Ćišińskiego, któremu zarzucano niezrozumialstwo, estetyzm, sprzeniewierzenie się tradycjom narodowym. Te warunki stałego zagrożenia egzystencji narodu zdecydowały jednak równocześnie o tym, że niemal każdy poeta łużycki to jednocześnie działacz naukowy lub społeczny. Ten ścisły związek między życiem praktycznym a sztuką, krępujący ją niejednokrotnie w czasach dawniejszych, dziś — dla młodej literatury nowych Łużyc, zyskującej w ramach państwowych NRD możliwości pełnego i swobodnego rozwoju — okazuje się spadkiem nader cennym. Literaturze tej nie grozi oderwanie od związków z rzeczywistością społeczną, elitaryzm i eskapizm. Żadna chyba literatura europejska — poza radziecką — nie jest tak mocno związana z ziemią i ludem swego kraju, jak właśnie łużycka. To, co niegdyś było jej ograniczeniem, dziś staje się — w zmienionych warunkach — wielką szansą rozwojową. Dlatego też zainteresowania nasze nie powinny ograniczyć się do dawnego dorobku literatury łużyckiej; na jak najbaczniejszą uwagę zasługują również jej aktualne poczynania i osiągnięcia.

O przemianach, jakie w literaturze tej zachodzą, dają zresztą pewne pojęcie zamieszczone w antologii utwory Jurija Brězana czy Kito Lorenca. Dla poetów tych staje się wreszcie rzeczywistością to, o czym mogli tylko marzyć Jakub Bart-Ćišiński, Mató Kósyk czy Jan Skala, zmarły tragicznie w 1945 r. już po wyzwoleniu Łużyc przez armię radziecką. Za mało trochę informacji otrzymujemy o tym, jak przedstawia się dzisiejsza twórczość poetów starszego pokolenia (Józef Nowak, Mina Witkoje, Jan Lajnert), którym prześladowania hitlerowskie na długi czas wytrąciły pióro z ręki, a których indywidualności pisarskie ukształtowały się i wykrystalizowały ostatecznie w czasach międzywojennych.

Tak, interesuje nas dzień dzisiejszy literatury łużyckiej i jej przyszłość, ale interesuje także przeszłość. I tu wypadnie mi przyłączyć się do głosu Anny Kamieńskiej, która omawiając antologię Szewczyka w *Nowych Książkach* jak najbardziej słusznie zwraca uwagę na niedostateczne uwzględnienie w tym wydawnictwie łużyckiej poezji ludowej. Brak ten wydaje się tym bardziej dotkliwy, że — jak podaje sam Szewczyk — w dwutomowym wy-

borze literatury dolnołużyckiej znajdują się pieśni pochodzące z X wieku. Na pewno wiele cennego materiału pozostawili po sobie również bezimienni pieśniarze Górnych Łużyc. Przy następnym wydaniu antologii warto będzie pomyśleć o dopełnieniu jej szerzej rozbudowanym działem liryki ludowej.

Dobrze stało się, „że wydawcy uwzględnili w możliwie najszerszym zakresie prace dawnych tłumaczy, jak Roman Zmorski czy Melania Parczewska, siostra Alfonsa Parczewskiego, który niemałe zasługi położył dla rozwoju kultury naszych pobratymców, jak Julia Dickstein-Wieleżyńska, która w 1939 r. przygotowywała do druku opracowany przez siebie wybór poezji łużyckiej. Chodzi tu nie tylko o literacką wartość tych przekładów: ważne są one również jako świadectwo dawnych i trwałych zainteresowań Łużycami ze strony naszej literatury. Że zainteresowania te nie tylko nie osłabły obecnie, ale — przeciwnie — bardzo się wzmogły, o tym świadczą nazwiska współczesnych pisarzy polskich, dających swój wkład do antologii jako tłumacze. Znajdujemy wśród nich Szewczyka, Brzozę, Osmańczyka. Widerę, Baumgardtena, Golińskiego. Kijonkę, a przede wszystkim Jana Baranowicza, który swoimi przekładami dał dowód, że nie tylko tęgi z niego liryk, ale i świetny tłumacz poezji.

Stefan Lichański

KATASTROFIZM NA WESOŁO

Aleksander Wat: *Bezrobotny Lucyfer*. Biblioteka Dwudziestolecia. Warszawa, „Czytelnik", 1960; str. 135.

Lata dwudzieste — a zwłaszcza ich druga połowa — nabrzmiałe są, w nie spotykanej dotąd formie, świadomością katastrofy. Świadomością nieuchronnie zbliżającego się końca dotychczasowego świata. *Nienasycenie* Witkacego, *Palę Paryż* Jasieńskiego czy *Koniec świata* Gałczyńskiego — to literackie konsekwencje tej świadomości. Do nich też — a chronologicznie należałoby go wysunąć na pierwsze miejsce — należy *Bezrobotny Lucyfer* Wata.

Na „katastrofę" można reagować w różny sposób. Można ją sławić, solidaryzować się z jej siłami i pomagać im w obaleniu starego świata; wierzyć w nowy świat, który powstanie po katastrofie. Klasycznym przykładem takiej postawy jest *Palę Paryż* Jasieńskiego. Można także — traktując katastrofę jako jeden z elementów absurdalnego świata — zachować wobec niej dystans, nie solidaryzując się jednak ze starym światem jako słusznie skazanym na zagładę. Reakcją wówczas pozostaje śmiech, kpina: ze świata i z samej katastrofy. Tak reagowali Witkacy i Gałczyński. Wreszcie można traktować katastrofę jako rzeczywistą groźbę, przed którą trzeba ostrzegać, przed którą należy się bronić; jako czynnik obcy i nienawistny. Z takiego stosunku zrodził się katastrofizm w poezji lat trzydziestych, szczególnie wyraźny w wileńskiej grupie żagarystów.

Ostatnia postawa nie była znana katastrofistom poprzedniego dziesięciolecia. W latach trzydziestych bowiem „katastrofa" groziła ze strony faszyzmu i wojny. Przed nimi ostrzegali pisarze, tej groźby się bali. W latach dwudziestych natomiast „katastrofę" niosła przede wszystkim rewolucja proletariacka. A tej bał się mieszczuch. Artysta lat dwudziestych natomiast (o ile nie był zarazem politykiem lub dziennikarzem na usługach partii burżuazyjnych) nie mógł się z tym strachem solidaryzować. Już naturalizm i modernizm nauczyły go czuć i myśleć odmiennie — co więcej: nienawidzić „filistra". Niezależnie od tego, czy pochwalał, czy nie, samą zasadę rewolucji.

A mieszczuch katastrofy grożącej jego światu bał się żałośnie, głupio i śmiesznie. Nie odróżniał zjawisk istotnych od drugorzędnych, wszystko mu się mieszało, jawiło w kategoriach Apokalipsy. Wszędzie widział spisek na swe istnienie. Podejrzliwie patrzył nie tylko

na socjalizm, ale i na rozmach rewolucji technicznej, w którym się gubił, na rozwój nowoczesnego urbanizmu i anonimowość kapitału, na wielkie kosmopolityczne mody, które zacierały odrębności kultur narodowych. „Katastrofa" jawiła mu się nie tylko w strajkach robotniczych, ale także w warkocie aeroplanów, w rytmie foxtrotta i charlestona. A nie znany mu, anonimowy kapitał mógł — jak baron Gold z *Żyda Wiecznego Tułacza* — w równym stopniu sfinansować światową rewolucję, jak i plan opanowania Watykanu przez Żydów.

Mieszczanin wszędzie widział groźbę. Ale nie umiał i nie chciał zobaczyć prawdziwych jej przyczyn. Godziły one bowiem w samo jego istnienie. Tworzył więc mity — groźne, jak wykazał późniejszy rozwój wypadków — ale przede wszystkim absurdalne i w swej absurdalności śmieszne. Pełna ich była ówczesna prasa, pełna publicystyka, kawiarniane dyskusje i towarzyskie rozmowy.

Wat podejmuje się kompromitacji tych mitów. Kompromituje je poprzez groteskę. Podnosi ich absurdalność do potęgi, aby dostrzegł ją nawet ich twórca. Do najpopularniejszych mitów należała np. wiara w spisek międzynarodowego żydostwa, zorganizowany na zgubę „świata chrześcijańskiego", a łączący bolszewików ze szczytami finansjery amerykańskiej. Wiara, która najwyższe swe ucieleśnienie znajdzie w hitleryzmie, ale nieobca była i polskim „warstwom średnim" głosującym na Dmowskiego. Wat doprowadza rzecz do absurdu. W jego noweli Żydzi przy pomocy finansów multimilionera, barona Golda, opanowują Watykan a przezeń cały Kościół katolicki i narzucają światu nową teokrację, zamykając do getta i prześladując nielicznych wytrwałych „antysemitów-antykatolików". Kompromituje Wat przez dowcipne zestawienia schyłkowej cywilizacji mieszczańskiej, przez potęgowanie wrażenia chaosu, sprowadzając współczesny świat burżuazyjny niemal do gombrowiczowskiej „kupy". „Rozwaliwszy monistyczne formy społeczne—peroruje jeden z bywalców kawiarnianych w noweli *Czyście nie widzieli ulicy Gołębiej?* — rozbiwszy monizm, monogamię, monoteizm, monarchię, skruszywszy łańcuchy rodzin, wywróciwszy w opętaniu dancingowym niewzruszone na pozór normy społecznej moralności, wywlókłszy potworne skomplikowanie człowieka, zmieszawszy ze sobą rasy, płci, pojęcia, religie, cywilizacje, napoje, rozpętawszy jazz-band obyczajowości, skąpawszy poezję w pederastii i neokatolicyzmie, odsłaniając się w ekshibicjonistycznym porywie całej swej wszechobecnej, wszechogarniającej nagości, podmywając współczesność perwersją i psychozą — zrewoltowane libido szuka nowej równowagi, tym razem pluralistycznej, względnościowej".

Tworząc wrażenie chaosu, ośmieszając poszczególne mity burżuazji Wat nie podważa jednak samego przekonania o zbliżającej się katastrofie. Przeciwnie, jego groteska podkreśla nieuchronność śmierci mieszczańskiej cywilizacji, podkreśla fakt wielkiego bankructwa dotychczasowych wartości. Najlepszym tego ucieleśnieniem są wędrówki bohatera tytułowej noweli w dżungli współczesnego świata. Wypuszczony wprost z chrześcijańskiej mitologii Lucyfer, śmiesznie staroświecki i bezrobotny, na próżno stara się oferować swe usługi współczesnemu światu. Nie chcą korzystać z nich ateiści ani spirytyści, finansjera czy socjalizm. Katolicy nie chcą jego nawrócenia, gdyż to sprzeciwiałoby się dogmatom, a proletariat w ogóle nie chce z nim rozmawiać, uważając go za wytwór burżuazji. W końcu zostaje aktorem filmowym: Charlie Chaplinem. I w tym zakończeniu tkwi przymrużenie oka i autorski uśmiech pobłażania rzucony jednak „staremu" światu, w gruncie rzeczy niegroźnemu, a przecież w końcu też ludzkiemu.

Bo za groteską Wata tkwi w gruncie rzeczy optymizm. Przejawia się on nie tylko w przekonaniu, że wszystko dobrze się skończy, gdyż katastrofa niesie pierwiastki odświeżające, jak dżuma Jasieńskiego, oczyszczające pole dla społeczeństwa przyszłości. Także w tym, że przestraszony mieszczuch wydaje mu się tylko śmieszny, absolutnie nieszkodliwy. Dopiero historia pokazała, że potrafi on być także groźny.

■

Groteska może być kierunkową (w celu wykpienia lub groźnego wyolbrzymienia) deformacją określonych instytucji, stosunków, grup społecz-

nych — określonych postaw ludzkich. Jest wtedy groteską satyryczną, wymierzoną w wady czy schorzenia ludzi lub ustrojów. Tą, którą posługiwali się Rabelais, Wolter czy Gogol. Może także autor przy pomocy obrazu groteskowego (który staje się wówczas swego rodzaju metaforą) wyrażać pewne treści humanistyczne, pewne prawdy o człowieku, które w ten sposób, obrazowo (a zarazem skrótowo) narzuca nam silniej, niż gdyby użył metody dyskursywnego wykładu czy — siłą rzeczy rozbudowanej — naturalistycznej ilustracji. Taką groteską-metaforą (z wyjątkiem paru scen należących do typu groteski satyrycznej) jest *Ferdydurke* Gombrowicza. Może wreszcie być groteska zabawą, królestwem czystego nonsensu — takim, jak niektóre „facecje" i pieśni ludowe (np. o Janie, co „siekierą się opasywał, podpierał się workiem"). Zna ten typ groteski wyrafinowana literatura epoki Oświecenia (Diderot, Jan Potocki), odradza wiek XX, a do rozkwitu doprowadza nadrealizm.

Najbardziej dostojne parantele w literaturze ma pierwszy typ groteski. Patronuje on też książce Wata. Niepodzielnie panuje wprawdzie tylko w takich nowelach, jak *Żyd Wieczny Tułacz, Bezrobotny Lucyfer, Królowie na wygnaniu,* ale utwory te autor świadomie wysuwa na czołowe miejsce w tomie. Nam (zwłaszcza w zupełnie „wolterowskiej" noweli *Królowie na wygnaniu*) wydaje się on nieco staroświecki. Ale zważmy, że w latach dwudziestych samo nawiązanie do groteski (zanim Witkacy i Gombrowicz przywrócili jej na nowo prawo obywatelstwa) — odrzuconej przez wiek XIX — było czynem świadczącym o nowatorstwie.

Ale nowoczesną groteskę cechuje przełamywanie typu „wolterowskiego" w kierunku groteski „purenonsensowej" lub „metaforycznej". Wat jest także świadectwem tego procesu. *Ostatnia rewolucja w Anglii, Czyście nie widzieli ulicy Gołębiej? Hermaafrodyta* — spełniają w mniejszym lub większym stopniu satyryczne funkcje, ale są zarazem „zabawą literacką", generalną, choć pogodną kpiną z wszystkiego, co ludzkie. Humor — śmiech „filozofa" umiejącego się zdobyć w stosunku do spraw człowieka na mądry dystans i pobłażanie — buduje się tu poprzez wykrywanie i wydobywanie z rzeczywistości elementów absurdu, elementów nonsensu. Tu Wat — najbliższy z naszych futurystów dadaizmowi, autor *Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka* — antycypuje wyraźnie ten typ groteski, który zapanuje w literaturze dzięki nadrealizmowi. Antycypuje zresztą znacznie więcej charakterystycznych dla prozy dwudziestowiecznej zjawisk. Jest w *Bezrobotnym Lucyferze* nowela *Czyście nie widzieli ulicy Gołębiej?* Została ona zbudowana na „koncepcie" autorskim, polegającym na skonstruowaniu nieprawdopodobnej, alogicznej sytuacji. Fabuła noweli ma wszelkie cechy sennego przywidzenia, z jego charakterystyczną budową i „prawami". Autor traktuje rzecz niby serio. Nic nie wyszydza, nie wyśmiewa. Oddaje — tragiczne dla głównego bohatera — dzieje poszukiwań zaginionej ulicy, na której ów bohater mieszkał, na której pozostawił żonę i dziecko. (Jedynie zakończenie noweli — przypominające *Łgarzy pod Złotą Kotwicą* Szaniawskiego — stanowi „przymrużenie oka", podaje w wątpliwość całe dotychczasowe „serio" noweli, wszystko, co w niej — posługując się terminem Witkacego — moglibyśmy odebrać w wymiarach „bebechowatości".)

Sytuacja fabularna noweli nie jest jednak autonomiczna literacko. Staje się tylko pretekstem, kanwą dla humanistycznej refleksji autora. Już jeden z pierwszych krytyków Wata, Leon Pomirowski, zauważył: „Bohaterem wszystkich nowel Wata w *Bezrobotnym Lucyferze* jest rozbujała, czasem przypadkowa refleksja, w której dorywczym tylko wcieleniem staje się człowiek i jego sprawa życiowa". * I wydaje się, że w omawianej noweli mamy do czynienia z najtypowszym dla tej obserwacji przykładem. Stosunek świata literackiego do pozaliterackiej rzeczywistości jest budowany nie na zasadzie fotografii (choćby zdeformowanej), ale przekładu na inny język chwytów literackich, funkcjonalnych w stosunku do członu środkowego: autorskiej refleksji. Tu już jesteśmy u progu groteski-metafory: tej, której najlepszą realizacją stanie się *Ferdydurke.*

* Leon Pomirowski: *Nowa literatura w nowej Polsce;* str. 183.

I podobnie dzieje się z wszystkimi „purenonsensowymi" nowelami Wata, nowelami opartymi na wyrafinowanej pomysłowości w szukaniu sytuacji nieprawdopodobnych lub jaskrawo kontrastowych (*Prima aprilis, Tom Bill — champion ciężkiej wagi*). Od czystego nonsensu przechodzimy tu do nonsensu sfunkcjonalizowanego intelektualnie. I takie są prawidłowości groteski — jeśli jest groteską ambitną. Może oczywiście być groteska czystej wyobraźni, groteska aintelektualna. Taka, jaką np. współcześnie uprawia Afanasjew. Ale główny nurt groteski idzie inną drogą: wymaga wyobraźni intelektualnej, rygoru i precyzji myślowej.

*

Prozę wieku XX cechuje odrodzenie wielu zarzuconych przez romantyzm i realizm chwytów powieści przedziewiętnastowiecznej. Był u zarania rozwoju powieści czas, gdy autor podkreślał jawnie umowność dzieła i swą rolę kreatora. Gdy kształtując ufwór „dekonspirował" ustawicznie jego fikcyjność — jak Sterne w *Tristramie Shandy* czy Diderot w *Kubusiu fataliście*. Gdy bawił się z czytelnikiem w akcję powieści, nie zważając na możliwości prawdopodobieństwa czasowego, wplatał długie opowieści spotykanych na gościńcu bohaterów, wznosząc misterne budowle szkatułkowe.

Z praktykami tymi skończył romantyzm. Powieść od czasu Balzaka stała się — na wzór dramatu — zwartą konstrukcją. Jeszcze w pierwszej połowie wieku zaznaczał czasem autor swą obecność owym karykaturalnym, gawędziarskim „szanowny czytelniku", jakie czasem wtrącał do toku narracji. Ale i tę „poufałość" wyrugował realizm. Zapanowała — jak w teatrze naturalistycznym — reguła absolutnej iluzji.

I w tym momencie rozpoczął się bunt. Do powieści znów wkracza autor jako jawny kreator. Na miejsce „wczuwania się" wraca dystans, prawo do nieliczenia się z prawdopodobieństwem czasowym, zabawa i eksperyment literacki. Odradza się triumfalnie groteska.

U nas pierwszy sygnał tej ewolucji dał Irzykowski. Ale przez cały okres modernizmu pozostał sam. Dopiero w dwudziestoleciu nastąpi zasadniczy przełom. A pierwszą jaskółką tego przełomu jest *Bezrobotny Lucyfer* Wata.

Wśród utworów zawartych w tomie najbardziej pod tym względem nowatorskie są niewątpliwie nowele takie, jak: *Prima aprilis, Czyście nie widzieli ulicy Gołębiej? czy Hermaafrodyta*. Zwłaszcza ostatnia (uważam ją za najlepszą obok *Ulicy Gołębiej*) stanowi tu typowy przykład. Całe opowiadanie jest subtelną parodią stylu i rozważań psychologicznej powieści realistycznej, pełną uroczej przekory w stosunku do uznanych mieszczańskich wartości a także modnego wówczas freudowskiego panseksualizmu. Dwa wplecione w tok fabuły opowiadania Hamilkara — tak świetnie grające z całością noweli — są pierwszym bodaj u nas przykładem renesansu „szkatułkowej" budowy utworu.

W stosunku do literatury dwudziestolecia ciągle jesteśmy odkrywcami. W ostatnich latach coraz wyraźniej zmienia się nasza ocena okresu na korzyść nowatorskich tendencji lat dwudziestych, takich, jak formizm czy futuryzm polski, które do tej pory pozostawały nie docenione, w cieniu wielkiego sporu, jaki rozegrał się między Skamandrem a Awangardą. Przypomnienie *Bezrobotnego Lucyfera* Wata jest tego dowodem. Dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, jak dalece Wat wyprzedzał kierunki rozwoju późniejszej prozy polskiej.

Janusz Maciejewski

PAMIĘTAJ O ODNOWIENIU PRENUMERATY „TWÓRCZOŚCI"

Teodor Parnicki: *Twarz księżyca*. Powieść z wieków III — IV. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax"; str. 404.

Tytuł równie zagadkowy, jak poprzedniego dzieła Parnickiego *Koniec „Zgody Narodów"*. Wyjaśnia nam go częściowo, a raczej naprowadza na jego uzasadnienie, motto z *Marii Stuart* Słowackiego: „...Dziecko! Chciałby z wody dostać twarz księżyca". Uzasadnienie raczej *à rebours*: marzenie i złuda tworzą tu, podobnie jak w dziele Juliusza, motor działania, źródło zapładniające czynami. Istotnie, cała koncepcja rodu Ragonidów, na której bohaterka *Twarzy księżyca*, Mitroania, buduje świetną przyszłość swoich prawdziwych i rzekomych potomków, okazuje się fikcją, co nie przeszkadza im bynajmniej w osiągnięciu najwyższych stanowisk państwowych rzymskiego imperium. Popycha ich ku temu nie tylko wrodzony instynkt władzy, ale i zasugerowane im przez założycielkę rodu przeświadczenie o królewskim jej pochodzeniu.

Bo przecież, dowodzi nam autor myślami Sykoriusza Probusa, nie ma istotnej różnicy „między tym, za co człowiek się podaje, a czym naprawdę jest (...) jeśli na przykład ktoś, będąc naprawdę Lucjuszem, chce, by go świat miał za Publiusza, może sobie owszem za Publiusza uchodzić, pod warunkiem przecież, by stać było Lucjusza na zachowanie się w sposób, w jaki Publiusz byłby się zachował — bez zarzutu; jeśli nie zdoła, popełnia wielki błąd, nawet przestępstwo, próbując się za Publiusza podawać".

A zatem widzimy tu zgodę na fakt mistyfikacji, byleby jej wykonanie było bezbłędne, mistrzowskie.

Celem życia Mitroanii było pielęgnowanie wielkości Ragonidów i choć po dokonanym przez nią samą fatalnym odkryciu „Ragonidzi zapadli się w niebyt... istnieć jednak muszą, skoro w dalszym ciągu istnieje ona sama. A więc trzeba ich powołać z niebytu w bytowanie, innymi słowy... musi ona w żywych ludzi cielesnych przetworzyć własne marzenie o rodzie Ragona i o rodu tego wielkości".

Wysiłki jej w tym kierunku identyczne są z twórczością artystyczną, bowiem celem mistrzostwa w sztuce jest właśnie marzenie przekuć w wiarę niezachwianą innych". Tą wiarą powodowani, prawdziwi i rzekomi potomkowie Mitroanii i Ragona schylają się kolejno nad odbiciem w wodzie „twarzy księżyca", życio- i mocodajnej złudy.

Jej realnym fundamentem jest obsesyjna teoria Parnickiego o wyjątkowej naturze „mieszańców".

Warto ją przytoczyć *in extenso*, zarówno z uwagi na treść, jak na jej oryginalne sformułowanie stylowe.

„... mieszaniec z samej swej natury góruje umysłem nad ludźmi do jednego jakiegoś plemienia przynależnymi, jak również wywodzącymi się z różnych stanów.

Wyobrażał sobie dotąd — dowodów zaś miał na to pod dostatkiem — mieszańców takich — stanem, nie plemienną przynależnością — jako istoty kształtowane zarówno w nawykach swoich, jak w pojęciach przez samo prawo tylko; ono zaś... kształtuje jednolicie, jednoznacznie; rodzi senatorowi syna albo córkę niewolnicą; albo ojciec całą pełnię uprawnień własnych na takie dziecko przenosi, albo nie; jeżeli nie przenosi — dziecko z senatorską krwią po ojcu uchodzić będzie w mniemaniu nie tylko świata, ale i własnym za niewolnika, jak gdyby i ojca także, a nie samą matkę miało przynależną do stanu niewolników; władne jest takie dziecko, oczywiście, zbuntować się przeciw swemu losowi, ale bunt to byłby właśnie niewolnika, a nie mieszańca".

Ten zawiły, bardzo dla Parnickiego charakterystyczny, jakby z obcych wzorów językowych pochodzący styl nie ułatwia bynajmniej czytelnikowi włączenia się w tok rozumowania, powracającego niejednokrotnie w rozmaitych ujęciach i kontekstach jak leitmotiv muzyczny. Drobne nieraz szczegóły rozwijającej się akcji służą za udowodnienie tezy naczelnej autora. Ułatwił mu zadanie szczęśliwy wybór jako tła epoki, kiedy zbiorowe najazdy barbarzyńców poprzedzone zostały jednostkową inwazją utalentowanych i bezwzględ-

dnych w działaniu mieszańców na najwyższe stanowiska państwowe. Ich postępowania nie hamowały ani szlachetne tradycje dawnych Kwiratów, ani późniejsza ideologia „Pax Romana", ani wreszcie — symbolicznie zatopionej nawy „Zgoda Narodów".

Mnogimi wątkami, odnoszącymi się do poszczególnych odrośli rodu Ragonidów, prowadzi nas autor od problematu do problematu. Można by tu o nim powtórzyć jego własne słowa, charakteryzujące beztroskę Mitroanii „w stosunku do zagadnienia ciągłości opowieści; urwanie nagłe wątku dla skojarzenia czegoś w nim z wątkiem zupełnie innym miało przeważnie otoczenie jej za wadę w budowie opowiadania, ale dla niej jakże oczywiście logiczne było przeskakiwanie od wątku do wątku, o ile coś z wątku następnego bogaciło i pogłębiało treść myślową tego czy owego szczegółu w wątku poprzednim. Ludzie z rzymskim sposobem myślenia czy choćby tylko z rzymską szkołą poza sobą zdawali się nie rozumieć doniosłości tego rodzaju zbogaceń czy pogłębień".

Przyznaję ze skruchą, że mój sposób myślenia miał widać „rzymską szkołę poza sobą", bo i dla mnie ta metoda splatania i plątania wątków utrudnia ich rekonstrukcję. Uwikłani w ich sieć, docieramy do następnego problematu, do zagadnienia władzy, tak szybko wówczas i w sposób nieobliczalny przechodzącej z jednych do drugich, zazwyczaj okrwawionych rąk owych mieszańców, coraz to głębiej i mocniej wrastających w rozkładający się organizm antycznego Rzymu.

Wreszcie czynnik nowy, uwzględniany w toku narracji zrazu tylko nawiasowymi i przypadkowymi wzmiankami „ o klubach chrześcijańskich i o Militia Christi, a urastający w miarę rozwoju wypadków do problematu naczelnego. Chrześcijaństwo, widziane nie od wewnątrz, ze środka gminy chrześcijańskiej, ale od zewnątrz, oczami obojętnych świadków jego rozrostu, wręcz jego zaciętych wrogów czy przewidujących mężów stanu, zamierzających posługiwać się gminami chrześcijańskimi jako czynnikami państwowego ładu. Mówi się tu już wyraźnie o międzymiastowym i międzyplemiennym ich zjednoczeniu. Wspomina się „... ni to urząd, ni to nie znany dawnym czasom wolny zawód ze szczególnymi i uprawnieniami, i obowiązkami: biskupa chrześcijańskiego", potem o dążności Sykoriusza Probusa „do obsadzenia chrześcijanami coraz to większej liczby urzędów w służbie cesarskiej".

To znów, przeciwnie, chrześcijanie wyłaniają się w momentach chaosu i załamania się ekonomicznego jako czynnik buntowniczy. „Oto mrowie straganiarzy..." w takich chwilach przechodzi nagle z greki na łacinę, by ryczeć w twarze żołdakom: „CHRISTUS VINCIT, CHRISTUS REGNAT, CHRISTUS IMPERAT". Dalej Chrystus urasta w pojęciu władz do roli inspiratora ruchów rewolucyjno-terrorystycznych: „... wyrzynanie możnych z celem mianowania się ojcem maluczkich, władzą upośledzonych, Chrystusem więc, czyli pomazańcem z łaski rąk, które ciężki od lat wielu, ba — od wielu pokoleń całych wykoślawił trud".

Nic dziwnego zatem, że w Dioklecjanie umacniało się „przeświadczenie, iż powinien rządy swe... chrześcijańskich klubów zamknięciem — jako ofiarą najmilszą bogom wiecznym wiecznego Rzymu — uwieńczyć". Z tym przeświadczeniem łączy się świadomość, że „będzie lała się krew... mniej znacznie obficie, niż zostanie to zapisane przez samych chrześcijan, gdy będzie już po wszystkim... Czyli będą istnieli chrześcijanie, więc próba przywrócenia światu, czy choćby Pokojowi Rzymskiemu, oblicza takiego, jakie miał przed przyjściem Chrystusa na ziemię, z góry skazana jest na niepowodzenie".

Umacnia się przekonanie o trwałości instytucji chrześcijaństwa. „... Żeby zapewnić na stałe Rzeczypospolitej Rzymskiej już nawet nie światowładztwo, ale samo istnienie — powinni władcy rzymscy rozwiązać dawniejsze przymierza z bogami starożytnymi i zawrzeć nowe z Chrystusem, moc całą Ojca, Stwórcy świata, mającym za sobą... żeby ostała się Rzeczpospolita Rzymska, powinna jako władcę mieć — chrześcijanina..."

Z właściwą bankrutującym formom rządzenia metodą ich wyraziciele gotowi są przerzucić się z jednej ostateczności w drugą. Niektórzy z nich uparcie „... zdążają do mety sobie wytkniętej, jaką to metą było dla nich ponowne postawienie chrześcijan poza prawem". Jak wygląda sprawa męczeństwa za wiarę, fakty prześladowania wysuwane

zwykle na czoło opowieści o pierwszych wiekach chrześcijaństwa pod panowaniem rzymskim"?

„Nadal brzydzę się przetwarzaniem spryciarzy w męczenników — mówi jeden z Ragonidów — zdążam ku odwrotności: by się męczennicy przetworzyli — właśnie w wyniku wielkich łowów na siebie — w spryciarzy".

Dodać należy, że jedyny w książce męczennik, Euecjusz Georgiusz, pada ofiarą nie swojej wiary, której w chwili zadawania mu nieludzkich mąk gotów jest się wyprzeć, ale karygodnego w obliczu prawa rzymskiego przestępstwa zerwania plakatu z edyktem cesarskim przy jednoczesnym wydawaniu okrzyków ubliżających majestatowi cesarzy. Do okropności tych mąk, których świadkami są trzy kobiety z rodu Ragonidów, z Mitroanią na czele (łamanie kości młotami, wlewanie do gardła roztopionego ołowiu) powraca się w toku akcji kilkakrotnie, między innymi w drugiej scenie sądu pośmiertnego Mitroanii na Przeciwziemi.

Fantastyczny opis Przeciwziemi, czyli planety, na której odbywają się nad duchami zmarłych sądy pośmiertne z całym aparatem sądów ziemskich, jest niesłychanie ciekawą próbą tego rodzaju uzdolnień autora. Obraz tej planety, wędrówka Mitroanii i przeżywane tam przez nią doznania wzroku, słuchu i świadomości — należą do najoryginalniejszych fragmentów książki. Nie wiadomo jednak, dlaczego Parnicki każe swojej bohaterce odbywać tę podróż dwukrotnie, raz podczas jej pozornej śmierci, po której wraca do życia realnego, wzbogacona jednak zaziemskimi doświadczeniami, i po raz drugi, również zakończony powrotem na ziemię, gdzie po długich latach sędziwego wieku umiera, mając lat dziewięćdziesiąt dwa.

Tymczasem stanowisko Rzymian wobec chrześcijan i chrystianizmu przechodzi znamienną ewolucję, której główny przebieg powtórzyliśmy za autorem. Zrazu są to tylko luźne wzmianki o istnieniu klubów (gmin) chrześcijańskich. Stopniowo drogą pogłosek, plotek i bezpośredniego zetknięcia się władz z wyznawcami nowej religii (czyli Trzeciej Rasy) krystalizuje się pojęcie chrześcijaństwa nie tyle jako kultu jedynego Boga, ile jako zrzeszenia dość potężnego, aby zarówno obalić, jak utrwalić potęgę Rzymu. Stąd z jednej strony nienawiść, prześladowania, z drugiej — próby zaangażowania tej nowej siły w najistotniejsze sprawy wewnętrzne Rzymu, użycia jej jako odradzającego zastrzyku świeżej krwi w zwapniałe żyły zwyrodniałego organizmu państwowego.

A jednak ciągle niezgłębiona przepaść dogmatów i imperatywu moralnego dzieli chrześcijaństwo od uznawanych dotąd za nietykalną świętość wierzeń antyku. Wielu jeszcze, nawet wśród najinteligentniejszych Rzymian, uważa chrześcijan za „garbatych". Temu pogardliwemu pojęciu towarzyszy jednak obawa, że „garbaci zmogą wszystkich tych, co garbu nie mają; wtedy by, rzecz jasna, posiadać garb — stanowiło oznakę natury zdrowej..."

„— A jeśli chrześcijanie nie są kalekami? — pada pytanie.

— Są szybkobiegaczami, wprowadzającymi zamieszanie w ruchu o tempie, które zgodne jest z właściwościami naturalnymi planety, do istnienia rozumnego na której jasność ciepłonośna Słońca Życiodawcy powołała rodzaj ludzki..."

Chrystusa utożsamia się niekiedy z Jowiszem, z Mitrą i z innymi bóstwami starożytności. Gdzie indziej „symboliczne znaczenie wiązania kopuły ze szczytami filarów czy cokołów" tłumaczy się „wiarą w Chrystusa Zbawcę wypromieniowanego z siebie przez Stwórcę VISIBILIUM OMNIUM ET INVISIBILIUM..." Docieramy do granicy metafizyki chrześcijańskiej.

Słowa Chrystusa: „Królestwo moje nie jest z tego świata", interpretowane są jako pojęcie Przeciwziemi, „planety, na której od dwu milionów wieków władzę naczelną sprawuje mechanik, którego na ziemi, odkąd tam bawił, zowią wcielonym w Jezusa Nazareńczyka Chrystusem". Jego pochodzenie? Jest on najdoskonalszym tworem Słońca, a nie Słońce jest dziełem boskiego rozumu twórczego, „który to właśnie rozum najwyższy jakoby i nazywał się Chrystus".

Motyw wcielenia rozszerza się i na zwykłych śmiertelników. „Czy wasz pan nie istnieje już w ciele, ale tylko duszą niewidzialną, wyzwoloną z wszelkiej powłoki przez Chrystusową śmierć na krzyżu?... Żyje w nim nie on sam, lecz pod powłoką cielesną — Chrystus".

Po wyczerpaniu zagadnień chrześcijaństwa zjawia się problemat wolności. Czy wolność jest do czegoś czy od czegoś? Wolność do swobodnego wykonywania obowiązków czy od przymusu. „Każdy obowiązek, zaś w szczególności tak zwany publiczny, jest właśnie przymusem." I tu następuje paradoksalne wyciągnięcie wniosków praktycznych z tej definicji.

„Chwała buntującym się przeciw przymusowi, bo oni to jedynie prawdziwymi czcicielami są wolności, lecz że wolność w tym właśnie wieku nie jest pożądana, chwaląc szermierzy jej ciszą serca, głośno przyklaskujemy... strażnikom przymusu, gdy szermierzom wolności głowy ścinają."

Względność zastosowania wolności, jej uzależnienie od aktualnych warunków politycznych, jest przedmiotem dalszych rozważań. Wobec tego, że na ziemię wrócił wiek żelaza, dla ludzi tego wieku „przymus stanowi obronę konieczną społeczności, odwrotnie — wolność jest dla niej nieszczęściem".

Książka kończy się głosem nadziei na powrót Złotego Wieku. Niestety, czas wolności musi być krótki i tych, których nazywają „szybkobiegaczami", czeka skok ze złudnego (jak księżyc w wodzie) królestwa wolności w królestwo rzeczywiście (jak księżyc na niebie, nie w wodzie) istniejące — konieczności, „więc takie, gdzie nic nie jest, nic nie może się dziać SPONTE SUA..."

A zatem *Twarz księżyca* to obraz złudy, złudy wolności przede wszystkim. Do tego wniosku dochodzą uczestnicy dyskusji ziemskich i pozaziemskich, których świadkiem jest Mitroania w życiu i swoim śnie transcendentalnym. Te roztrząsania stanowią istotny trzon dzieła, w którym sprawozdanie z losów Mitroanii i rodu Ragonidów jest tylko pretekstem do rozciągnięcia skomplikowanego łańcucha zagadnień filozoficznych, historiozoficznych i metafizycznych, luźno ze sobą związanych, a niejednokrotnie przeplatających się wzajemnie.

Ich należyte rozplątanie i rozplanowanie utrudnia konstrukcja dzieła, nasuwająca skojarzenie z dżunglą, przez którą nie zaopatrzony w odpowiednie narzędzia myślowe czytelnik przedziera się z trudem, niejednokrotnie myląc kierunek na zakrętach i rozdrożach spekulatywnych, powracając do punktu wyjścia, nigdy nie pewny, czy ma do czynienia z mędrcem czy sofistą, czy też z obydwoma jednocześnie.

A może to właśnie było zamiarem autora? Stylem samym dać obraz schyłkowości epoki, w której kazał egzystować osobom powieści.

Dziwne to zaiste osoby, pozbawione osobowości, megafony pewnych haseł, idei, systemów, tak bardzo abstrakcyjne, że oprócz zielonych oczu Minerwiny i jej sceptycznego nastawienia do ludzi i faktów niczego nie znamy, nie możemy przylepić do żadnej z nich oprócz imienia jakiejkolwiek etykietki charakterystycznej. Stąd może ta bezcielesność akcji, ta jej swoista bezpłciowość, pomimo dominującej roli, jaką w niej odgrywają kobiety, i to nie tylko w sensie erotycznym.

A może to celowo wprowadzone ślady matriarchatu, na Wschodzie, w ojczyźnie Semiramidy i Kleopatry?

Stefania Podhorska-Okołów

SPOD PYŁU WIEKÓW

Andrzej Niemojewski: *Ludzie rewolucji i inne opowiadania.* Wybrał i wstępem opatrzył Julian Krzyżanowski. Warszawa „Czytelnik", 1961; str. 303.

Wybór opowiadań Andrzeja Niemojewskiego jest trzecią już książką tego pisarza, przypomnianą w ostatnich paru latach. Poprzednie to *Listy człowieka szalonego* i *Wybór poezji.* Wznowienia dokonane zostały rozsądnie, gdyż w sumie stanowią interesujący przegląd całokształtu twórczości autora *Legend,* wydobywając na światło dzienne i otrzepując z pyłu zapom-

nienia to, co w jego dorobku zachowało do dziś blask urody.

Ramy chronologiczne omawianego tomu obejmują lat dwadzieścia — od momentu debiutu prozatorskiego w 1891 roku aż do ostatniego utworu literackiego, jakim był *Planetnik* (1911). Daty te są wielce symptomatyczne. Pierwsza z nich wprowadza przecież w modernizm, przynosząc młodzieńcze zbiorki Kasprowicza i Tetmajera oraz teoretyczne studium Miriama o Maeterlincku i symbolizmie francuskim, druga, debiutem Kadena, zapowiada już nową epokę. Sugestia dat jest jednak w tym wypadku zawodna, gdyż modernistyczne koncepcje sztuki tylko w niewielkim stopniu przyczyniły się do ukształtowania literackiego profilu Niemojewskiego. Programowe założenia tego kierunku były mu zawsze obce i dalekie. Był jednym z tych, którzy, z pozycji społecznego i ideowego zaangażowania, protestowali przeciwko elitarnemu rozumieniu funkcji literatury.

Warto przypomnieć, że jego książka pt. *Listy człowieka szalonego*, wydana w 1899 roku i wkrótce wznowiona (1903), była jednym z pierwszych pamfletów na styl myślenia i życia ówczesnej cyganerii artystycznej. Poczuł się nią mocno dotknięty sam Mistrz Przybyszewski, który jeszcze po latach, w *Moich współczesnych*, wspominał z przekąsem, jak to stał się „bohaterem powieści". Mało tego, że powieść ta wyprzedziła w krytyce wystąpienia Chmielowskiego, Zdziechowskiego, Wolskiego czy Nowińskiego, ale w dodatku zaprezentowała dużą przenikliwość i ostrość sądu. Zdemaskowała bowiem nie tylko pustkę haseł, ale także, kryjącą się za nimi, pustkę moralną środowiska, tę pustkę, którą, w późniejszych o kilka lat satyrach, tak bezlitośnie obnażył i wykpił Boy.

Sprzeciw wobec teoretycznych sformułowań modernizmu nie wykluczał jednak częstego sięgania do stworzonych przez ten prąd środków ekspresji literackiej. Proza Niemojewskiego nasycona jest refleksją intelektualną, przechodzącą nieraz w odautorski komentarz i pozwalającą na odejście od tradycyjnej kompozycji pozytywistycznego obrazka. Elementem organizującym fabułę bywa nastrój umiejętnie wywołany nie tylko przy pomocy odpowiednio spreparowanej warstwy stylistycznej, ale także przez wprowadzenie emocjonalnej relacji z doznań psychicznych bohatera. Nastrojowi podporządkowane są impresjonistyczne w tonacji opisy przyrody, bliskie temu widzeniu świata, które reprezentuje w młodzieńczych nowelach Żeromski. Zresztą technikę impresjonistyczną stosował autor *Listopada* także w samym obrazowaniu, przyjmując jako zasadę przedstawienie ciągu sensualistycznych wrażeń i spostrzeżeń wibrujących dźwiękiem, kolorem i ruchem, a podporządkowanych prawom subiektywnego uogólnienia. Technika ta, łatwa do wykrycia w różnych kierunkach sztuki fin-de-siécle'u, najmocniej jednak związana była z naturalizmem. I w tym właśnie zestawieniu występuje w prozie Niemojewskiego, pełniąc funkcję nastrojowego komentarza, utrzymanego w ciemnej, molowej tonacji.

Naturalistyczny charakter tej prozy podkreślano już od dawna, ale dopiero teraz Julian Krzyżanowski w swoim wstępie zwrócił uwagę na jej wysoką rangę: „Niemojewski, jak dowodzi i tematyka, i jej ujęcie w *Poezjach prozą*, był typowym naturalistą, znakomitym obserwatorem pospolitej biedy ludzkiej i urodzonym rzecznikiem jej krzywd, wywoływanych przez czynniki bądź społeczne, bądź indywidualne. Drapieżnością spojrzenia nie ustępował on ani Dygasińskiemu, ani Zapolskiej, ani Niedźwieckiemu, tak że omawiany tomik pretenduje do bardzo niepośledniego miejsca wśród okazów nowelistyki naturalistycznej".

Podstawę artystycznego sukcesu Niemojewskiego stanowiła umiejętność obserwacji. Jak u każdego rasowego naturalisty, dotyczyła ona przede wszystkim faktu oraz traktowania go w kategoriach dokumentaryzmu. Nie to jednak wyznacza jej główne zalety. Autor *Listopada* stanowi w dziedzinie małej formy interesujący przykład kontaminacji koncepcji Zoli z tradycją pozytywistyczną, która, zwłaszcza na naszym gruncie, tak wiele uwagi przykłada do zrozumienia społecznej genezy obserwowanych zjawisk. Stąd też w *Poezjach prozą* i *Listopadzie* postrzeganie dotyczy nie tylko warstwy zewnętrznej, nie jest obserwacją naskórkową, ale przynosi też materiał pozwalający wyjść poza faktografię, umożliwiający przedstawienie faktu w jego wielostronnym uwarunkowaniu. Przy-

kładem może być doskonałe opowiadanie pt. *Stara wariatka*, w którym autor sugestywnie i z dużą dozą dramatyzmu maluje tragiczne przeżycia kobiety, której mąż zginął w kopalni. Analiza przyczyn wypadku nie sprowadza ich do momentów biologicznych czy też technicznych, lecz jest oskarżeniem systemu, w którym troska o bezpieczeństwo pracy zepchnięta została na daleki plan.

Bogactwo obserwacji w prozie Niemojewskiego ma tym większe znaczenie, że dotyczy obszaru dotychczas słabo spenetrowanego przez literaturę, a mianowicie życia i pracy klasy robotniczej. Przerwanie przez naturalizm, zarówno w skali europejskiej, jak i u nas, tego kręgu milczenia, jaki zataczała sztuka wokół proletariatu, wprowadzenie problematyki robotniczej na forum dyskusji publicznej, było, niezależnie nawet od sposobu ujęcia i proponowanych rozwiązań, poważnym osiągnięciem. Trzeba do tego dodać, że, ze względu na charakter kierunku, twórczość naturalistów do dziś stanowi godny uwagi dokument socjologiczny.

Ten walor dokumentu mają też niektóre opowiadania Niemojewskiego. Materiał do *Żmii*, *Maszynisty*, *Rozdwojenia* i innych utworów zbierał autor w drodze autopsji, pracując przez długi czas jako sekretarz Towarzystwa Kopalni Węgla w Sosnowcu i poznając bezpośrednio życie robotnicze. Spojrzenie wyostrzał fakt jego sympatii dla socjalizmu, z którym zetknął się podczas pobytu w Galicji w latach 1890—91, biorąc czynny udział w ruchu organizowanym przez Daszyńskiego.

Jednakże najpełniej dokumentaryzm doszedł do głosu dopiero w tomie opowiadań pt. *Ludzie rewolucji*. Książka ta podejmuje problematykę walki rewolucyjnej proletariatu w latach 1905 —1906. Niemojewski po powrocie z podróży na Wschód staje się jednym z bardziej znanych i czynnych działaczy w Warszawie. W swoich wystąpieniach publicystycznych i literackich zdecydowanie potępia wojnę rosyjsko-japońską, czym zdobywa sobie sympatię publiczną. W przededniu rewolucji, wespół z grupą radykalnej inteligencji warszawskiej, która wydawała we Lwowie swoje pismo pt. *Kuźnica*, rozpoczął, głośną w tym czasie, akcję zwoływania tzw. „wieców społeczności polskiej". Wiece te objęły swoim zasięgiem prawie całą inteligencję warszawską. Uczestniczyli w nich tacy ludzie, jak Świętochowski, Wł. Smoleński, St. Krzemiński, St. Kępner, Balicki i wielu innych. Frekwencja na wiecach dochodziła do 550 osób. Wszystkich wieców odbyło się około 30—40. Akcja ta rozpoczęła się 4 grudnia 1904 roku, a zakończyła 28 stycznia 1905. Jej wynikiem było powstanie w stolicy partii pod nazwą Demokracja Postępowa. Program wysuwany na wiecach i później przejęty przez DP ograniczał się do burżuazyjno-demokratycznych postulatów, których realizację postanowiono osiągnąć przy pomocy „powszechnego bojkotu rządu i bomby". A więc w zakresie środków działania był to poważny krok naprzód w stosunku np. do pasywnych petycji, takich, jak *List otwarty Polaka do ministra rosyjskiego* napisany przez Henryka Sienkiewicza, memoriał o położeniu Polaków pod panowaniem rosyjskim złożony przez hrabiego Władysława Tyszkiewicza ministrowi Świętopełk-Mirskiemu, czy też najpoważniejszy, podpisany przez 23 przedstawicieli kół przemysłowo-handlowych i ziemiańskich, memoriał złożony na ręce tegoż Świętopełk-Mirskiego. Na użycie bomby nigdy się co prawda DP nie zdobyła, ale akcję protestacyjną prowadzono bardzo energicznie. Największą zasługą tej grupy było przygotowanie i przeprowadzenie masowego strajku młodzieży szkolnej i studentów, który objął Królestwo w lutym 1905 roku. Jednym z przywódców i organizatorów tego strajku w Warszawie był Andrzej Niemojewski. Wbrew stanowisku Dmowskiego oraz ignorując odezwę arcybiskupa Popiela wygłosił on, na zebraniu młodzieży i rodziców, w obecności kuratora szkolnego okręgu warszawskiego, Szwarca, płomienne przemówienie w obronie polskiej szkoły. W związku z tym musiał opuścić na kilka miesięcy Warszawę. Wyjazd na prowincję pozwolił mu na zorientowanie się w skali ruchu rewolucyjnego, obejmującego również i masy chłopskie. Po powrocie do stolicy oddaje się pracy dziennikarskiej, jako korespondent kilku pism prowincjonalnych, a zwłaszcza *Kuriera Lwowskiego*. Po niedługim czasie, w 1906 roku, zakłada sam pismo pod nazwą *Myśl Niepodległa*.

W tymże roku ukazują się *Ludzie*

rewolucji. Książka ta wyrasta bezpośrednio zarówno z doświadczeń osobistych, jak i z obserwacji poczynionych przez autora w trakcie rozwoju wypadków rewolucyjnych. Pisana na gorąco, jest ona jednym z pierwszych dokumentów literackich swego czasu.

Niemojewski uprawia w *Ludziach rewolucji* dwa rodzaje relacji. Pierwszy z nich ma charakter faktograficzny i utrzymany jest w tonacji publicystyczno-reportażowej. Punktem wyjścia bywa tu zwykle opis autentycznego zdarzenia, prowadzący do pewnych uogólnień natury społeczno-politycznej. Należy podziwiać trafność, z jaką autor dokonuje selekcji materiału, i umiejętność wyłuskiwania z gąszczu problematyki rewolucyjnej zagadnień prowadzących i istotnie ważkich.

Już w pierwszym, otwierającym tomik, opowiadaniu, zatytułowanym *Ptak*, ta zdolność autora dochodzi w pełni do głosu. Fabuła utworu, oparta zresztą na autentycznym wydarzeniu — a mianowicie zbrojnej obronie przed policją partyjnej drukarni SDKPiL przez Marcina Kasprzaka, służy do wyeksponowania tej cechy charakteru rewolucjonisty, którą możemy nazwać bohaterstwem. Mimo tego, że przed „rewolucyjną hagiografią" niedwuznacznie przestrzegał Irzykowski, warto się przyjrzeć, jaki jest w tym wypadku jej mechanizm i funkcja. Bohaterstwo Ptaka jest bohaterstwem wyrzeczeń: „Nie masz matki, nie masz ojca, nie masz dziecka, nie masz przyjaciela, nie pragniesz szczęścia, nie ulegasz pokusom sławy, nie wierzysz w żadne nagrody przed grobem i za grobem, żyjesz anonimowo, pracujesz anonimowo, cała moralność twoja jest etyką anonima rewolucyjnego". To nieprawdopodobnie czyste w swej surowości bohaterstwo spotyka się w zakończeniu opowiadania z podwójną oceną: „Dwie ekscelencje w czapkach na głowie i w wykładanych futrem płaszczach cesarskich patrzyły w tę twarz ptasią, niepospolitą, a jedna ekscelencja rzekła do drugiej: — Szalony człowiek! Druga zaś odparła pierwszej: — Spytać by Lombrosa: geniusz czy obłąkanie? Wachmistrz, który klęczał u zwłok i głowę Ptaka podtrzymywał, aby się jej ekscelencje lepiej mogły przypatrzeć, wykrzywił twarz do idiotycznozalotnego uśmiechu i rzekł: Świnia rewolucyjna, wasza świetność..."

Niemojewski podjął w *Ptaku* walkę o moralną rangę rewolucjonisty, o nieskazitelność jego imienia. Potrzebne to było i ważne tym bardziej, iż w okresie opadania fali rewolucyjnej namnożyło się, zwłaszcza w dramacie, wiele utworów mających w stosunku do ruchu wyraźnie charakter paszkwilów. Funkcja patosu nabiera w opowiadaniu cech funkcji ideowej, szczególnie w zestawieniu z polemicznym kontekstem utworu — chociażby ze sztuką Krechowieckiego pt. *My*, która, wystawiona we Lwowie w 1906 roku (co wywołało zresztą głośny skandal), tak oto reklamowana była w afiszach: „Walka toczącą się z górą od roku między patriotycznym społeczeństwem a rozwydrzonym odłamem bandytyzmu internacjonalnego, który, wykreśliwszy ze swego programu mrzonki o ojczyźnie, patriotyzmie itp., unicestwia drogą rozbojów i pospolitych mordów uczciwą pracę nad połączeniem się wszystkich dodatnich czynników, przedstawiona jest w dramacie z całą realną prawdą i wprowadza słuchacza w owe tajnie niskich motywów, którymi posługuje się terror do zdobycia jak najwięcej mamony dla osobistej korzyści bojowców".

W opowiadaniach poświęconych rewolucji wykazał Niemojewski nieprzeciętną, jak na owe czasy, ostrość spojrzenia. W interesujący sposób zwraca na to uwagę J. Krzyżanowski we wstępie, podkreślając śmiałe zaatakowanie przez pisarza „dwu dogmatów w katechizmie nacjonalistycznym ówczesnego Polaka, niechęci do Rosjan oraz antysemityzmu". Stąd też w *Ludziach rewolucji* tyle sympatii dla programu i działalności SDKPiL.

Drugi rodzaj relacji uprawiany przez Niemojewskiego w *Ludziach rewolucji* ma charakter introspekcji psychologicznej. Psychologizm to jednak płytki i powierzchowny oraz będący stale w kolizji z refleksją publicystyczną. Wyrasta on, wydaje się, bardziej z konwencji literackiej epoki niż z potrzeby wewnętrznej pisarza. Artystycznie chybiony, do dziś drażni werbalizmem i rzutuje ujemnie na czystość rysunku partii dokumentarno-reportażowych.

W omawianym wyborze znalazło się też miejsce, i słusznie, na utwory będące świadectwem zainteresowań pisarza problematyką religioznawczą i starożytnym Wschodem. Warto, być

może, upomnieć się tu o wydanie *Legend* w całości, jako że nie straciły one do dziś swej aktualności, a ich świetna forma zwróciła uwagę nie tylko polskiego czytelnika (por. sąd Gorkiego przytoczony w pracy Jerzego Lenarczyka pt. *Śladami nieurzeczywistnionych zamierzeń* — „Slavia Occidentalis", 1960, nr 4).

Ostatnie lata przyniosły sporą liczbę wznowień utworów tych pisarzy, których przywykliśmy uważać za drugorzędnych. Rozumna polityka wydawnicza pozwala nam ogarnąć szerzej narodową tradycję literacką, zbliża do klimatu minionych epok, prowokuje do bogatszych lektur. W tym kontekście przypomnienie prozy Niemojewskiego było tym bardziej celowe, że nie zajmuje on na pewno wśród pisarzy „drugiego rzutu" ostatniego miejsca.

Janusz Rohoziński

FELIETON I DUCH EPOKI

Andrzej Kijowski: *Miniatury krytyczne.* Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 257.

Książka Andrzeja Kijowskiego posiada kilka bardzo szczególnych i rzadkich pozytywów, pozwalających w każdym razie rozpocząć recenzję od zastrzeżeń. Pisano o książce w *Trybunie Ludu*, że jest pełna sprzeczności, że na stronie drugiej znaleźć można stwierdzenie wręcz odwrotne do tego, które podano na stronie pierwszej, że krytyk sam wobec tego nie wie, czego chce, i nie wiadomo, jaki jest właściwie jego pion. Spostrzeżenia te są niewątpliwie uzasadnione, jest w książce wiele wywodów tak dalece sobie zaprzeczających, że nie sposób o tym nie wspomnieć. Prawo felietonu, czyli prawo do inteligentnej i nie popartej żadnym argumentem impresji krytycznej lub historyczno-literackiej jest tutaj wykorzystane do granic czytelniczej wytrzymałości, nieraz tę wytrzymałość przekracza. Są uwagi po prostu nieprawdziwe. Wywód felietonu jest krótki, nie ogląda się na konsekwencje spostrzeżeń wcześniejszych, jeszcze się czytelnik nie zdążył przyzwyczaić do twierdzenia, że literatury młodych właściwie nie ma, że to są zlewki po starych konwencjach artystycznych, a już pięć stron dalej rozwodzi się autor nad historyczną odrębnością pisarzy dojrzewających po roku 1956. I tak jest ciągle.

To nie tylko o sprzeczność chodzi. Kijowski do żadnej swej tezy czytelnika nie przywiąże, przy niczym nie zatrzyma go dłużej, przy niczym nie pozwoli mu się uspokoić, odetchnąć z ulgą: no, wreszcie coś wiem o literaturze, o pisarzu, wreszcie zaczynam się orientować. Autor jakby się właśnie uparł, aby się czytelniczemu dążeniu do porządku sprzeciwiać, aby go drażnić, drwić z niego. Myślałeś, że ja myślę, że młodej literatury nie ma? Ale ja myślę także przeciwnie. Myślałeś, że ja jestem czarny? A ja także jestem różowy. Myślałeś, że ja z literatury i pisarzy kpię? A ja ich także szanuję, a nawet ubóstwiam. Myślałeś, że ja uważam, że nie ma żadnych bezwzględnych i obiektywnych stwierdzeń, norm i kryteriów w życiu literatury? Otóż ja właśnie w nie wierzę, chciałbym wierzyć, tęsknię do takiej wiary. Ale gdybym ją w końcu zdobył, uczyniłbym natychmiast wszystko, aby ją w sobie zniszczyć.

Czytelnik, nie lubi na ogół pisarzy, którzy myślą „także przeciwnie" i ma rację: w historii myślenia liczą się tezy jednoznaczne, wierzące we własną słuszność, tezy uparte i z uporem lansowane, tezy właściwie maniackie. Ktoś przyznaje się do własnej niepewności, próbuje być szczery? Tego się nie premiuje. Ktoś próbuje pisać tak, jak mu to wypadnie z bieżącego spostrzeżenia, świeżej lektury, bez przykrawania nowej myśli do poprzednich, bez wiązania wszystkiego w system? To przecież szarlataneria. Czytelnik ma prawdopodobnie rację. W myśleniu jak w każdej ludzkiej robocie obowiązuje solid-

ność. Solidne jest to, co za takie stara się uchodzić. Nie może być szanowany ktoś, kto przyznaje się otwarcie do bezsilności.

Co zatem obronić może książkę w tych warunkach? Inteligencja? Dowcip? Piękności stylu? Wszystkie te zalety zaprezentowane są w dostatecznych ilościach, aby książka, mimo że nużąca tą wieczną mieszaniną, tym swoim bałaganem, była jednak interesującą a czasem pasjonującą lekturą. Kijowski chętnie i umiejętnie korzysta z konwencji stylistycznych różnych starych mistrzów polemiki, felietonu, groteski (hej, tonie mój, tonie lekkiego felietonu!), do jednych się przyznaje, innych sobie prawdopodobnie nie uświadamia. Czuje się zawsze napastowany, zaczepiony, posiada w dostatecznym stopniu ów nader cenny kompleks krytyka, który nie głosi, nie wyrokuje, tylko się nieustannie odgryza, broni, kluczy, myli ślady. Ktoś tam powiedział autorowi, że jest w felietonach zbyt arbitralny. Ale jest to arbitralność przekornego, zagrożonego, który każdą swoją prawdą sam się niepokoi. W gruncie rzeczy nic z pewności siebie, nic z samozadowolenia krytycznego, które najczęściej czytelnika bardziej zdenerwuje niż wszystkie w zaniepokojonej niepewności wykonywane akrobacje intelektualne.

I właśnie tutaj, jak mi się wydaje, należy szukać klucza do książki, a raczej nie do książki, bo ta jest zbiorem z tygodnia na tydzień pisanych felietonów i nie ma zamkniętej kompozycji — ale do postawy krytycznej Kijowskiego. Jest to postawa krytyka zrozpaczonego. Zrozpaczonego rozbiciem kryteriów, pomieszaniem miar, zrozpaczonego niemałym zasobem inteligencji, wrażliwości, spostrzegawczości, których nie da się zestrzelić w jedno ognisko, w jeden konsekwentnie powiązany tok myślowy (chyba za cenę zamknięcia oczu na niesprzyjające racje), których nie da się po prostu wykorzystać na rzecz poznania, na rzecz — być może — postępu intelektualnego, o którym krytyk nie wspomina ani razu, ale który tkwi gdzieś głębiej jako ukryta tęsknota. Raz wyrwało się krytykowi zdanie o daremnym pragnieniu autorytetu. Byłbym skłonny poważnie traktować to wyznanie. Tymczasem nie ma autorytetów, wszystko się miesza i przelewa, nie wiadomo, co jest ważne i podstawowe, a co drugorzędne i pochodne. Wszystkie teorie dynamiki literackiej znajdą przykładowe uzasadnienie, wszystkie modele teoretyczne się sprawdzają — wspomina gdzieś autor. Co ważniejsze: programy czy kontynuacje? Eksperyment czy szkoła? Co rozstrzyga o kierunku rozwoju literatury? Nie wiadomo. Raz jedno, raz drugie. Kijowski z aprobatą mówi w jednym miejscu, że teorie humanistyczne są zawsze nigdy nie sprawdzoną propozycją. W tym ich siła, ich inspirująca świeżość. Ale w gruncie rzeczy ciągle go ta niesprawdzalność drażni. Męczy go ten domysł, ten luz poznawczy, który zawsze zostaje. Krytyk jest wystarczająco inteligentny, aby wykorzystywać tę niesprawdzalność na rzecz kpiny, przekory, czasem prowokacji. Ale jak długo tak można, jak daleko? I po co? Kijowski tęskni do konstansów duchowych, których wymaglowana rzeczywistość nie jest mu w stanie dostarczyć.

Są tacy, których to uspokaja. Ale nie Kijowskiego. Zalety umysłowe, o których wspomniałem, działają obustronnie: przyjemnie przy ich pomocy rozbierać silnie na pozór zbudowane konstrukcje. Ale co później? Porozbierać wszystko i babrać się w rupieciarni? Więc krytyk z tych fragmentów, z tych resztek, z tych niedopasowanych części próbuje lepić twory cząstkowe. Nie są one mocniejsze. Ale są robione ze świadomością tego, że zawsze będą niepełne i wątpliwe.

Aby teraz dokonać zupełnego usprawiedliwienia, należałoby odwołać się do kontekstu historii. Takie odwołania brzmią zawsze patetycznie i dlatego należy ich w miarę możności unikać. W tym wypadku jednak nie sposób się im oprzeć. Kijowski jako krytyk jest bowiem dzieckiem epoki, epoki przełomów i rewizji, dramatów wewnętrznych i zaprzeczeń. Jego felietony krytyczne odbijają w miniaturze, w pomniejszeniu a jednocześnie w pewnym skoncentrowaniu ten klimat duchowy, którym żyje nasza literatura od lat co najmniej dwudziestu. Skomprymowane na przestrzeni jednej książki wygląda to śmiesznie, wiem o tym. Ale analogia jest wyraźna, jakkolwiek trzeba trochę dobrej woli, aby ją dostrzec. Jednego w każdym razie krytykowi zarzucić nie można. Nie można powie-

dzieć, że jest to pisarz niewrażliwy na dzień bieżący, na krzyk upływających lat i wydarzeń. Kijowski reaguje na nie bardzo silnie, czasem reakcja ta dotyka granicy swoistego kompleksu. Uważam to za największą zaletę jego krytycznej praktyki. W jego tekstach jest stale obecne poczucie końca i początku, poczucie przechodzenia przez granicę, której znamieniem jest chaos i niejasność pojęć. Przepraszam za trochę niezręczną metaforykę, ale nie umiem tego inaczej określić.

Krytyk ma zresztą kilku inspiratorów. Najszlachetniejszym wśród nich jest historia, meandryczne pląsy ducha epoki, który literaturę unosi i raz umieszcza ją pośród bogów, a następnie strąca ją na dno upadku. Ten taniec, ta swoista walka literatury o istnienie, o godność, o zainteresowanie dają Kijowskiemu najciekawszy materiał obserwacyjny. Jest jednak i inny inspirator w jego książce, znacznie mniej szlachetny, któremu jednak krytyk bardzo ulega, który go zadręcza i dając łatwy materiał do pisania, nie daje jednakże ciekawszej problematyki. Ten inspirator — to tzw. środowisko literackie stolicy, czyjś tam towarzyski sukces, czyjaś tam opinia, która gdzieś tam obowiązuje i w związku z tym budzi niepotrzebną przekorę felietonisty, tego felietonisty na serio, jakim jest Kijowski.

Powinno być oczywiście całkiem przeciwnie. Środowisko „powinno" dawać bardzo dobrą inspirację, bo osobistą, powinno zmuszać do ostrości, do krytycznego jadu. Ale nie zmusza. Nie tylko nie zmusza, ale w dodatku podsuwa przekornemu z istoty rzeczy krytykowi stanowiska jałowe, których zajmować nie powinien. Środowisko uznało Sartre'a za nudziarza. Więc krytyk czuje zagrożenie, które skądinąd doskonale rozumiem, i broni tego pisarza, że głęboki, że współczesny, że stworzył całą terminologię filozoficzną naszych dni. Środowisko dało więc przekorę malutką, a odebrało wielką, przekorę skierowaną przeciw dorobkowi poważnemu, skierowaną przeciw wielkości. Bo wolałbym po stokroć, aby felieton o Sartrze był napisany przeciw Sartre'owi, a nie w jego obronie. Na pewno byłby wtedy ciekawszy, lepszy, wyzbyty stołecznego partykularyzmu. Ale może przesadzam? Może w krytycznym lekkim felietonie właśnie o to chodzi?

Włodzimierz Maciąg

PAMIĘTNIKI DEKABRYSTÓW

Pamiętniki dekabrystów. T. 1—2. Przełożyli Krzysztof Radziwiłł, Janina Zeltzer, Andrzej Męczyński (i inni). Wstęp i przypisy Wiktorii Śliwowskiej. T. 3. *Sprawy dekabrystowskie w pamiętnikarstwie polskim*. Wyboru dokonał i przypisami opatrzył Wacław Zawadzki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1960; tom I — str. 482, tom II — str. 663, tom III — str. 909.

O trzy grube woluminy powiększyła się ostatnio Biblioteka Pamiętników Polskich i Obcych, powszechnie ceniona seria Państwowego Instytutu Wydawniczego, której zawdzięczamy obcowanie z najlepszymi piórami memuarystyki i wartościowe, nierzadko wzorowe edytorskie ich opracowania. Dla przykładu wystarczy przypomnieć znakomite *Pamiętniki czasów moich* Niemcewicza, pełne wdzięku i niezrównanych anegdot *Kilka lat młodości mojej w Wilnie* Stanisława Morawskiego lub przypisy do wspomnień Wilkońskiej, z których można by złożyć dobre studium epoki. Na chwałę serii od strony subiektywnej wspomnijmy tę specjalną przyjemność, jaką daje kontakt z autentycznym świadectwem przeszłości — stronniczym i omylnym, bo ludzkim, a jednak z filmową sugestywnością mówiącym, „jak to było naprawdę". A że w czasach dekabrystów rzeczywistość rosyjska co któryś krok splata się z rzeczywistością polską, a że imiona rosyjskich spiskowców owiała w Polsce legenda żywa do dziś — o to „jak było" pytamy ich samych ze szczególnie ostrą uwagą.

Odpowiedzi dostarczają wspomnienia sześciu dekabrystów i towarzyszących im na Sybir najbliższych; uzupełniają je liczne przekazy polskie.

Relację najbardziej pełną, choć zwięzłą, daje Iwan Jakuszkin (tom II, str. 1—145), współzałożyciel pierwszej tajnej organizacji dekabrystowskiej — Związku Ocalenia, czynny następnie w Związku Dobra Publicznego i w Związku Północnym. Kreślony przez Jakuszkina obraz jest syntezą dziejów wewnętrznych Rosji lat 1812—1840, przekazaną w pozornie spokojnej gawędzie, lekko i po prostu, z wiernym wyczuciem funkcji szczegółu obyczajowego. Trudno powstrzymać się od zacytowania pointy, zamykającej rozdział o powszechnym około roku 1820 pragnieniu poprawy sytuacji chłopów: „Nawet w Radzie Państwa zastanawiano się nad gorszącym zwyczajem sprzedawania chłopów... Wskutek tego zmieniono tekst ogłoszeń w gazetach o sprzedaży ludzi; przedtem ogłaszano po prostu: sprzedaje się taki to chłop pańszczyźniany lub dziewczyna pańszczyźniana; obecnie zaczęto ogłaszać: zwalnia się na służbę takiego to chłopa pańszczyźnianego lub dziewczynę..." Pamiętnik, zdradzający dużą kulturę autora i nie pozbawiony walorów literackich, rysuje genezę i stopniowe narastanie w społeczeństwie rosyjskim tendencji do radykalnej zmiany istniejącego porządku rzeczy, do naprawienia ciężkich krzywd, sankcjonowanych przez skostniały ustrój. W części poświęconej dziejom tajnych towarzystw w Rosji centralnej bardzo ciekawe są partie dotyczące kwestii polskiej, m. in. ustosunkowania się Związku Północnego do liberalnych poczynań Aleksandra I w Królestwie. Rozdział ostatni mówi o przebiegu śledztwa i o karze; autor, zaliczony do kategorii najbardziej winnych, był więziony w twierdzy i skazany na ciężkie roboty w kopalniach nerczyńskich.

W dniu 14 grudnia 1825 roku, kiedy na petersburskim placu Senackim dekabryści podjęli swoją tragiczną próbę powstania, Jakuszkin przebywał w Moskwie. Stąd opisu wypadków w jego relacji brak. Sięgnąć po nie trzeba do tomu I, do wspomnień bezpośrednich uczestników, braci Mikołaja i Michała Bestużewów (str. 56—61 i 78—119).

Działalności konspiracyjnej na terytorium Kijowszczyzny i powstania wznieconego przez pułk czernihowski dotyczy obszerny pamiętnik Iwana Horbaczewskiego (tom II, str. 146—351), jednego z czołowych działaczy radykalnego rosyjsko-polskiego Stowarzyszenia Zjednoczonych Słowian. Wchłonięci w 1825 r. przez Związek Południowy, „Słowianie" musieli zrezygnować z szeregu ważkich założeń. Tak np., respektując umowę z polskim Towarzystwem Patriotycznym, Związek nie przyjął do swych szeregów licznych w Stowarzyszeniu Polaków; nadto — tezie „Słowian" o konieczności wciągnięcia do przyszłej rewolucji mas ludowych przeciwstawił postulat akcji prowadzonej wyłącznie przez wojskowych.

Horbaczewski rzetelnie, choć z dużym krytycyzmem, podporządkował się dyrektywom „Południowców", ale do końca życia pozostał wierny ideałom organizacji macierzystej i przekonaniu, że droga przez nią wskazywana była jedynie słuszna, taktyka zaś Związku — zgubna. Stąd opowiadanie jego dalekie jest nawet od pozorów obiektywności. Mimo śmierci wielu dawnych towarzyszy, mimo wielu lat, które upłynęły od opisywanych wydarzeń, każda karta tchnie tu oburzeniem, protestuje i potępia.

Czy Horbaczewski ma rację? Porównanie programów obu towarzystw powinno wypaść na korzyść Stowarzyszenia Zjednoczonych Słowian, nawet jeśli uwzględni się to, że autor mógł je świadomie czy nieświadomie upiększyć. We wstępie do *Pamiętników dekabrystów* Wiktoria Śliwowska pisze o Horbaczewskim: „Sądy tego wybitnego przedstawiciela Stowarzyszenia Zjednoczonych Słowian na temat przewrotów społecznych, kwestii udziału w nich ludu itp. nie zawsze odzwierciedlają stanowisko, jakie zajmowali »Słowianie« w okresie przygotowań powstania na południu; doświadczenia poniesionej porażki wyraźnie wycisnęły na nich swe piętno. Takiej dojrzałości poglądów społeczno-politycznych, jaką odnajdujemy na stronicach wspomnień Horbaczewskiego, nie mieli nawet najbardziej radykalni spośród dekabrystów. Była ona wynikiem późniejszych rozważań nad przyczynami poniesionej klęski. Wyciągane z niej wnioski nieraz przenoszono na okres miniony, zatracając częstokroć różnice pomiędzy przeszłością a teraźniejszoś-

cią, marzeniami młodości a później nabytym doświadczeniem".

Zarówno w powyższej charakterystyce, jak i w przypisach do tomu II W. Śliwowska nie wchodzi w ocenę negatywnego stosunku Horbaczewskiego do poszczególnych ludzi, korygując tylko faktyczne błędy jego relacji. Innego rozwiązania być nie może: konkretne orzeczenia, interpretacja każdego posunięcia są przecież nieosiągalne. Pytanie, czy Bestużew-Riumin, Sergiusz Murawiew-Apostoł i ich zwolennicy byli w istocie tacy, jakimi opisał ich Horbaczewski, czytelnik powinien rozwiązać sam, świadom stronniczości autora i wiedząc, że szlachetność dążeń i osobistą ofiarność powstańców są ponad jakiekolwiek wątpliwości.

Pokucie za spisek — syberyjskiemu życiu dekabrystów, poświęcone są pamiętniki ich żon. Ze specjalnym, nie łatwo zresztą zdobytym pozwoleniem cesarza „damy najpierwszego rodu, jako to: żona Sergiusza Trubeckiego [hrabianka Laval], żona Nikity Murawiewa — hrabianka Czernyszew, Maria Rajewska, żona Sergiusza Wołkońskiego, porzuciwszy syna, którego jedynie kochała, wszystkie powlokły się do Nerczyńska, pomimo próśb familii i gróźb niby łaskawszego na nie rządu! Wszystkie, wiedząc, że je czeka podział losów ich mężów, to jest taczkowa robota i siermięga niewoli!"* Wśród kilku jeszcze innych, za Ural udała się także francuska emigrantka, Paulina Gueuble, narzeczona i niebawem żona Iwana Annienkowa; pobrali się po jej przyjeździe, Annienkowa do ślubu doprowadzono z więzienia, kajdany zdjęto dopiero na progu cerkwi.

Wspomnienia Marii Wołkońskiej, Pauliny Annienkowej i jej córki, Olgi Iwanowej, pisane były w różnym czasie i niezależnie od siebie. Porównane, pozwalają ustalić zgodność z prawdą historyczną. Relację weryfikują także cytowane przez pamiętnikarki dokumenty urzędowe, jak np. przepisy o prawach (a właściwie pozbawieniu praw) żon zesłańców lub regulamin „posielenja", na które skierowywano dekabrystów po odbyciu robót przymusowych i które według słów Olgi Iwanowej czasem było gorsze od katorgi, gdyż uzależniało od samowoli najniższych urzędników.

* T. III, str. 72. Z pamiętników Olizara.

Rzecz oczywista, że dola każdego z dziesiątków skazanych była inna. Ktoś się powiesił, nie zniósłszy męki, ktoś popadł w obłąkanie, kilku czy kilkunastu udało się nie tylko przetrwać, lecz uzyskać warunki nieco lżejsze i wreszcie ułożyć swój byt całkiem znośnie. Zdrowy, silny Michał Bestużew, wojskowy z zawodu, w celi Szlisselburga w pełni zachował animusz; w Hucie Petrowskiej i w Czycie, gdzie *de iure* miał pracować jak zwykli katorżnicy, *de facto* nie był do tego zmuszany i wraz z towarzyszami miał możność dowolnego uprawiania rzemiosł, sprowadzania książek, urządzania wieczorków literackich — czytano wtedy na głos „własne utwory literackie lub ostatnie nowości, które ukazały się w Rosji" (tom I, str. 298). Losy rodzin Annienkowych i Wołkońskich nie były ani szczególnie tragiczne, ani zbytnio pomyślne. We wspomnieniach kobiet oprócz trudów, poniżeń i biedy mają swoje miejsce rozrywki, radości, zdobyte po latach ubogie „przywileje" i — arcyciekawy opis kraju i spotykanych ludzi. Byli wśród nich także Polacy, od ociemniałego więźnia Sasinowicza i zesłańca-filarety Rukiewicza do... generał-majora Stanisława Leparskiego, pana niemal życia i śmierci zatrudnionych w kopalniach kajdaniarzy, a zarazem człowieka o gołębim sercu, o nieskazitelnej prawości. Pamiętniki dekabrystów z rycerską lojalnością przekazują wiadomość, że dla tych właśnie cech Leparskiego Mikołaj I powierzył mu władzę nad skazanymi. Stosunek do cara jest w ogóle bardzo charakterystyczny. Maria Wołkońska pisze, że mąż jej „nie żywił nigdy urazy do cesarza Mikołaja za swą krzywdę, przeciwnie, oceniał sprawiedliwie jego zalety", „często zaznaczał, że w każdym innym państwie spotkałaby go równie surowa kara". Z jedynym wyjątkiem Michała Bestużewa, który złośliwie nazywa Mikołaja I „Niezapomnianym", „Nieodżałowanym" itp., wszyscy inni nie wyłączając Polaków, z szacunkiem mówią o nim „cesarz", rzadziej — „car", i unikają jakiejkolwiek krytyki czy oskarżeń w stosunku do osoby panującego. Można było bowiem spiskować przeciwko swemu suwerenowi, byłoby wolno nawet pozbawić go życia, ale godność własna nakazywała być wobec wroga poprawnym. Postawa, znamienna dla epoki i jej elity, pozwalająca być

może lepiej zrozumieć zarówno Puszkina jak i Mickiewicza.

Odmienny od przyjętego przez wydawcę porządek, w jakim rozpatrzono tu recenzowane pamiętniki, stanowi propozycję dla czytelników, ponieważ wydaje się, że lekturę lepiej jest zacząć od tomu II, uzupełniając ją następnie danymi tomu pierwszego. Zawiera on pełny przekład materiałów, pozostałych po braciach Bestużew i ogłoszonych w 1951 r. przez Akademię Nauk ZSRR. „Firma" Akademii rosyjskiej uprzedza z góry, że publikacja ma dużą wartość badawczą i — z drugiej strony — że przeznaczona jest raczej dla specjalistów-naukowców niż dla szerszego kręgu odbiorców, chociaż nie wyklucza ich także. Dla czytelnika polskiego interesująca i w pełni dostępna jest właściwie tylko połowa tomu I, a i ta bez uprzedniego zapoznania się z treścią relacji Jakuszkina, Horbaczewskiego i syberyjskich wspomnień żon dekabrystów nie będzie zrozumiana należycie. Reszta — luźne, czasem skrótowe, czasem nadmiernie rozwlekłe, drobiazgowe, powtarzające się zapiski Michała Bestużewa — mogą być przydatne jedynie historykom.

Na tom III składają się wypowiedzi, pochodzące od autorów polskich, zestawione i zaopatrzone przypisami przez Wacława Zawadzkiego, redaktora PIW-owskiej serii pamiętników, znawcę ich i miłośnika.

Gromadzenie materiałów do pracy o tematyce historycznej oznacza dni i miesiące poszukiwań czy to pominiętego przez bibliografów tytułu, czy to brakującego w bibliotekach numeru starego tygodnika czy broszurki, która po pożodze wojennej awansowała do rangi białego kruka. Ten, kto zaznał podobnego mozołu, w pełni doceni gotowy, spory, skomentowany zbiór dokumentów. Spis rzeczy obejmuje nazwiska pięćdziesięciu ośmiu autorów i wykracza poza wskazówki *Bibliografii pamiętników polskich* Maliszewskiego i *Bibliografii historii Polski XIX w.* Płoskiego. Z rękopisów ogłoszono tu fragmenty wspomnień Adama Bućkiewicza, Prota Lelewela, Józefy Szembekowej, listy Ludwiki Śniadeckiej. Wskrzeszono też teksty, nie czytane już prawie nigdy, bo trudno dostępne, rzadkie, czasem unikatowe. Pamiętnik J. K. I. Rulikowskiego pochodzi z kijowskiego czasopisma *Nasza Przyszłość* z r. 1908; *Białoruś* Aleksandra Rypińskiego w niewielkim nakładzie własnym wydana była w 1840 r. w Paryżu; równie rzadkie i mało znane są wspomnienia Ksawerego Korczak Branickiego, dotyczące m. in. generała Witta i jego szpiega od spraw konspiracji w południowej Rosji, Boszniaka, osławionych towarzyszy i „opiekunów" krymskiej podróży Mickiewicza.

Znaczną część tomu zajmują relacje o kontaktach z dekabrystami z czasów przed ich jawnym wystąpieniem i z okresu późniejszego, już na zesłaniu. Spotkania syberyjskie — to przede wszystkim braterska pomoc Rosjan, serdeczna opieka nad nowicjuszami zesłańcami polskimi, ofiarami represji za spisek Konarskiego i za inne akcje patriotyczne z powstaniem styczniowym włącznie. Bardziej skomplikowany obraz faktów i wzajemnych stosunków dają relacje, odnoszące się do lat 1820-tych. Powodem tego jest brak odpowiednich danych źródłowych. Wtajemniczeni — działacze Towarzystwa Patriotycznego, zwłaszcza ci z nich, którzy prowadzili pertraktacje z Pestlem i Murawiewem-Apostołem — potomnym zdołali przekazać bardzo mało. Szperacze wiedzą, że istniały w posiadaniu prywatnym (i może nawet istnieją gdzieś jeszcze) pamiętniki Tomasza Padurry, Piotra Moszyńskiego, Michała Römera. Jakieś dokumenty musiały zaginąć bez takiego nawet po nich śladu. Ocalały i w tomie III zostały przedrukowane ułamki wspomnień Łagowskiego i Sabińskiego oraz lakoniczna, ostrożna autobiografia Juliana Lublińskiego, jednego z założycieli Stowarzyszenia Zjednoczonych Słowian. Dużą wartość ma pamiętnik Rulikowskiego: *Rokosz pułku czernihowskiego;* wydarzenia, które w tomie poprzednim opisał aktywny ich uczestnik, Horbaczewski, oglądamy tu oczyma postronnego świadka. Reszta skrzętnie odszukanych materiałów polskich o dekabrystach sprzed roku 1826 — to różnorodne, nieraz przypadkowe wzmianki, luźne, nierównej wagi obserwacje osób, najczęściej dalekich od głównego nurtu prac konspiracyjnych, *silva rerum* wrażeń i faktów, ścisłych informacji i pogłosek, potrzebna dla uchwycenia nastrojów i kolorytu lokalnego.

Przedmiotem końcowej części tomu III jest polski ruch narodowo-wyzwo-

leńczy i rewolucyjny przed powstaniem listopadowym, ze szczególnym uwzględnieniem okresu Sądu Sejmowego, a tym samym kwestii powiązań konspiracji polskiej z rosyjską. Mówią o tym Maurycy Mochnacki, Prądzyński, Niemcewicz (w wyjątku z rękopiśmiennych *Pamiętników z lat 1820—1829*), Tymoteusz Lipiński i inni. Zacytowano oczywiście tylko odpowiadające tematowi fragmenty, ale udany ich dobór sprawia to, że bodajże przy każdym pragnie się postulować ogłoszenie pełnego tekstu. W pierwszym rzędzie dotyczyłoby to Mochnackiego, cieszy więc zapowiedź PIW-u, że reedycja *Powstania narodu polskiego w r. 1830 i 1831* jest już w przygotowaniu. W odniesieniu do dekabrystów (i nie tylko) rozważania Mochnackiego mają najszersze horyzonty i za nim też powtórzyć trzeba sformułowanie podstawowego problemu: „Kilkakrotnie i nie bez powodu żalili się Pestel i Bestużew na niepojęte w Polskim Towarzystwie [Patriotycznym] przewłoki, na niepotrzebne i niepolityczne przy zasadach monarchicznych obstawanie, na niedbalstwo w utrzymywaniu ciągłych z komitetem tulczyńskim [Związku Południowego] stosunków, na małą wiarę w szczerość spiskowych Rosjan. Winę z tego względu samym Polakom przypisać trzeba. [...] Czemu Krzyżanowskiemu, czemu Jabłonowskiemu lub komu innemu [komitet polski] wyraźnej nie dał instrukcji, jak mają mówić z Rosjanami, do czego się zobowiązać imieniem Polski, imieniem wojska polskiego, które by w każdej chwili stanęło pod bronią? Tego wszystkiego nie pojmuję". Jedno z hipotetycznych rozwiązań tej zagadki wysuwa Prądzyński w swym anty-brązowniczym i miejscami nawet nieco cynicznym pamiętniku. Sądzi on, że w tym czasie, kiedy Związek Południowy wyciągał rękę do Polaków, nie mogli oni postępować inaczej, niż postępowali, ponieważ „związek tajny polski nie był wcale sprzysiężeniem", ponieważ „gorączka tajemnych związków przez niewiele lat przeleciała całą Polskę, ale w niej się nigdy nie mogła zakorzenić, bo nie znalazła dla siebie stosownego gruntu w charakterze narodowym", który nie był odpowiednio „skrytym, chytrym, zaciętym, wytrwałym". Innymi słowy, nie było organizacji zdolnej do skutecznych działań rewolucyjnych. W tej sytuacji powściągliwość Towarzystwa Patriotycznego i niepodejmowanie przezeń żadnych zobowiązań byłyby zrozumiałe.

Być może nie tak atrakcyjnym, jak pamiętniki, ale bardzo cennym dokumentem jest umieszczone w aneksie sprawozdanie Komitetu Śledczego przed Sądem Sejmowym. Wiąże się z nim podana w przypisach lista imienna Polaków pociągniętych do odpowiedzialności w związku ze sprawą dekabrystów. Obejmuje ona nazwiska Polaków należących do organizacji dekabrystowskich (jak Zjednoczeni Słowianie i Towarzystwo Przyjaciół Wojskowych), do Towarzystwa Patriotycznego i do stowarzyszenia „Zorzan".

Zdań parę o edytorskim opracowaniu całości. Zwięzły i przejrzysty wstęp Wiktorii Śliwowskiej dobrze przygotowuje do lektury. Ułatwiają ją też znacznie przypisy. W tomach rosyjskich gros stanowią w nich informacje biograficzne (imię, nazwisko, daty roczne życia, ranga i miejsce pracy, przynależność do rewolucyjnej organizacji, poniesiona kara); w sumie komentarz jest trochę uboższy niż w tomie polskim. Przyczyna jest łatwa do odgadnięcia: sporządzanie przypisów wymaga szerokiej bazy źródłowej, zaglądania do zasobnych w kompendia bibliotek i do archiwów, czasem zasięgnięcia języka od jakiegoś fachowca. Dla objaśnienia tekstów obcych baza jest w naszych warunkach skromna, w grę wchodzić mogą tylko druki, i to nowsze, starszych w Polsce jest niewiele. Wobec tego trudno uniknąć oparcia się w dużym stopniu na komentarzu wydania oryginalnego. Ryzykuje się przy tym zawsze przeoczenie realiów czy zwrotów, niejasnych dla czytelnika polskiego. I tak użyte już w pierwszym przypisie określenie „skazany poza kategoriami" można zrozumieć dopiero po przeczytaniu dość dużej partii książki; niezrozumiała pozostaje wielokrotnie powtarzana formuła „po konfirmacji wyroku skazany" na tyle a tyle lat; nie jest jasne, dlaczego Rylejew miał podkreślać związek swego wiersza *Do faworyta* z tłumaczeniem Miłonowa, a nie wprost z satyrą Persjusza (tom I, przypis 6). Podobnych przykładów można by cytować sporo, co nie zmienia faktu, że w przypisach tych jest dużo uwag, sprostowań i wiadomości, niezbędnych do właściwego przyswojenia tekstu.

Prawdziwie w stylu serii Pamiętników PIW-u opracowane zostały komentarze do tomu III. Zręcznie uzupełniają one i ożywiają tekst narracji, wmontowują jej epizody w tło historyczne, odcyfrowują aluzje pamiętnikarza, poprawiają jego gaffy czy przeoczenia, w petitowych mikrobiografijkach ukazują „dziwne życia Polaków i Polek" i uroki historycznej anegdoty.

Mniej pochwał należy się niestety pracy redakcji. Szkoda, że tak ważna i bogata w treść pozycja otrzymała dość pośpieszne wykończenie. Pozostały niewygładzone pewne chropowatości przekładu; w kilku wypadkach brak tzw. fussnotek (co to jest np. „blaszana perpetuelka", której można urwać skrzydełko?), czasem do sformułowania ich wkradło się jakieś nieporozumienie (migdałowiec — to minerał „podobny z kształtu do migdału"); nie zajęto się skoordynowaniem przypisów dotyczących tych samych osób lub faktów i nie wszędzie sprawdzono poprawność lokalizacji przypisu w stosunku do tekstu (np. w t. I na str. 209 pamiętnikarz wzmiankuje Iwana Puszczina, przypis natomiast mówi o Michale Puszczinie; nieco dalej przypis 230 prostuje błąd, mający się znajdować na str. 215, choć go tam nie ma); przeoczono omyłki w indeksie. Są to drobiazgi techniczne, nie mogące obniżyć istotnych walorów wydawnictwa, ale PIW przyzwyczaił miłośników swej serii do większej pieczołowitości.

Literatura o dekabrystach była dotąd u nas reprezentowana zaledwie kilkoma szerzej znanymi pozycjami i informowały one raczej o pewnych wycinkach zagadnienia. *Pamiętniki dekabrystów* wypełniają poważną lukę, dając — cytujemy za wstępem — „pełny obraz wypadków związanych z ruchem dekabrystowskim zarówno od strony polskiej, jak i rosyjskiej, na terenie Rosji, Królestwa Polskiego i następnie Syberii".

Czytelnik, pragnący poznać bliżej historię i tło spisku, wzbogaci się przy tej lekturze o konkretną i wielostronną wiedzę, amator pamiętników jako gatunku znajdzie wiele kart, które na długo pozostaną mu w pamięci. Chciałoby się, by uwadze jednego i drugiego nie uszedł bodajże zupełnie u nas nie znany, a wywołujący głębokie wrażenie, pisany z Sybiru do całej Rosji list dekabrysty Michała Łunina w obronie Polaków zesłanych po powstaniu listopadowym (tom II, str. 360—365).

Ksenia Kostenicz

LITERATURA A RISORGIMENTO

Włochy obchodzą w tym roku setną rocznicę połączenia. Jedność stworzyła z Italii młode państwo — ale swojemu stuletniemu istnieniu państwo to przeciwstawić może tysiącletnią kulturę. Swoją wspaniałą literaturę!

Właśnie ostatnie zebranie Communità Europea degli Scrittori, które odbyło się w Turynie, poświęcone było zagadnieniu stosunku literatury do „risorgimento". Pisarze włoscy, znużeni podobnymi obchodami i uroczystościami, wzięli minimalny udział w tym zebraniu. Przypuszczam, że będą oni żałowali, gdyż słyszeliśmy na nim przemówienia i referaty, jakie rzadko zdarza się słyszeć na podobnych spotkaniach.

Myślę, iż temat tego sympozjonu powinien był pasjonować właśnie pisarzy. W chwili, kiedy się konstatuje często fakt, iż literatura niewielki wpływ ma na bieg dziejów, podkreślenie ścisłego związku literatury z faktem zjednoczenia Włoch i oznaczenie wpływu, jaki mieli pisarze na przebieg zdarzeń we Włoszech, powinny by raczej nastrajać optymistycznie.

Słusznie powiedział w Turynie członek Akademii Francuskiej, znakomity pisarz, wspaniały mówca, André Chamson: zjednoczenie Włoch wpierw było „pomyślane" przez literaturę, przez pisarzy, począwszy od epoki humanizmu. Coś, co ma być urzeczywistnione, powinno być przedtem pomyślane. W dziejach politycznych pojęcie zawsze poprzedza konkret.

W przemówieniach turyńskich podkreślono fakt, iż właśnie w epoce poprzedzającej ostateczne połączenie Italii istniała prawdziwa „wspólnota europejska pisarzy". Takie postacie, jak Mazzini, Mickiewicz, Hercen, Kossuth — tworzyły prawdziwą wspólnotę europejską! I jakże wiele oni właśnie, obok wielkich mężów politycznych, jak Cavour a przede wszystkim Garibaldi, uczynili dla świadomości, dla „propagandy" idei połączenia.

Z drugiej strony „risorgimento" miało ogromny wpływ na literaturę europejską. Pięknie wspominał o tym obecny na Kongresie Konstanty Paustowski, opowiadając o odnalezieniu w głębi lasów rosyjskich litografii, przedstawiającej Garibaldiego z autografem włoskiego bohatera. Ofiarował on tę litografię, która stała się jego własnością, Wspólnocie Europejskiej Pisarzy.

Jak daleko sięgają wpływy literackie „risorgimenta"? Trudno jest to nawet określić. Mówcy polscy podkreślali głęboki związek, jaki istnieje pomiędzy zjednoczeniem Włoch a nieszczęsnym powstaniem 63 roku w Polsce. Ile wspólnych ideałów, ile wspólnych bohaterów! A ostatecznie w takich dziełach, jak *Nostromo* Conrada, nie wiadomo, jakich reminiscencji jest więcej: czy wspomnień z „risorgimento", czy też opowiadań, jakie słyszał mały Konradek od swojego ojca, jednego z organizatorów powstania. W ten sposób tradycje „risorgimenta" i tradycje powstania polskiego splatają się w dziele literackim zupełnie niespodziewanie.

Niewątpliwie zjednoczenie Włoch było jednym z najbardziej znamiennych procesów historycznych XIX wieku. Niestety, stuletnia historia zjednoczonych Włoch skażona była dwudziestoleciem faszyzmu. Proces dziejowy „risorgimenta" zawierał w sobie dwuznaczne elementy.

Zjednoczenie Italii może być wzorem i przykładem dla przyszłego zjednoczenia Europy, które jest koniecznością dziejową. W rozpatrywaniu sprawy, której był poświęcony kongres w Turynie, najważniejsze było właśnie to, co było przykładem i ostrzeżeniem *.

* Ta myśl była nicią przewodnią referatu jednego z wiceprezesów Communitá, poety ukraińskiego Bażana.

Rola literatury w procesach dziejowych, podkreślona na kongresie turyńskim, nie może być tylko rolą z czasu przeszłego. Dzień dzisiejszy wymaga od pisarzy tworzenia prawdziwej „jedności europejskiej", takiej, jaka istniała w latach poprzedzających „risorgimento". Z tej odpowiedzialności pisarze nie zawsze zdają sobie sprawę.

Jarosław Iwaszkiewicz

PRZEGLĄD PRASY

W nowym numerze *Studiów Filozoficznych* kolejny szkic teoretyczny Henryka Markiewicza pt. *Fikcja w dziele literackim.* Autor daje wpierw krytyczny przegląd stanowisk teoretycznych wobec problemu fikcji, po czym proponuje następującą definicję: „...Przez fikcję rozumiemy zdania, które z domniemanej perspektywy autora nie są wyrazem sądów o uznanej prawdziwości albo hipotez mocno uzasadnionych, ani też sądów fałszywych; ich nieasertoryczność jest albo rozpoznawalna z treści, albo też została czytelnikowi w jakiś sposób zasygnalizowana"... Dalej autor przeprowadza subtelną analizę i klasyfikację zdań występujących w utworze literackim ze względu na ich „asertoryczność". Dochodzi do przekonania, że „zdania prawdziwe", „zdania o charakterze asertorycznym, czyli sądy" występują w ograniczonym zasięgu w utworze literackim. „Wniosek taki — pisze dalej Markiewicz — nie podważa jednak tezy o swoistych funkcjach poznawczych literatury. Funkcje te bowiem spełniane są nie tylko przez sądy prawdziwe. W utworach narracyjnych i dramatycznych spełniane są przede wszystkim przez zdania fikcjonalne i nieasertoryczne zdania fałszywe o przedmiotach rzeczywistych. Zdania te wyznaczają lub sugerują wyższe układy znaczeniowe (postaci, przedmioty, zdarzenia, procesy i stany, związki przyczynowe i funkcjonalne charakteryzujące świat przedstawiony w utworze literackim), które przeważnie pretendują do reprezentatywności wobec odpowiednich klas zjawisk rzeczywistości obiektywnej". Odmiennie nieco traktuje Markiewicz zdania wchodzące w obręb utworów lirycznych, których „asertoryczność" jest znacznie silniejsza, np. w liryce filozoficznej, religijnej, patriotycznej czy społecznej.

„Nieasertoryczność" przeważnej ilości zdań składających się na utwór literacki stanowi o jego „fikcyjności". „Dzięki fikcji — pisze Markiewicz — składniki świata przedstawionego mogą stać się wyraźniejsze w swoich cechach i funkcjach, ich przyczynowe i funkcjonalne zależności kształtują się bardziej prawidłowo i konsekwentnie niż w rzeczywistości. Należy też pamiętać, że fikcja jest warunkiem analizy psychologicznej osób trzecich — ukazania ich od wewnątrz jako przeżywających podmiotów".

Zastanawia mnie wyrażenie Markiewicza „z domniemanej perspektywy autora". Sugeruje ono, iż o „nieasertoryczności" zdań użytych w utworze dowiadujemy się od samego autora. Sygnalizuje on czytelnikowi moment, w którym wprowadza go w świat fikcji. Autor dysponuje wielką ilością owych umownych sygnałów; nadając imię swemu bohaterowi uwalnia się od więzów z rzeczywistością, uzyskuje wolność w kreacji charakteru, w jego analizie psychologicznej, w kształtowaniu jego losu. Czy jest to jednak wolność rzeczywista? Z badań genetycznych nad utworami literackimi wiemy, że postaci fikcyjne pochodzą w prostej linii od postaci rzeczywistych, których

istnienie łatwo wykaże biograf na podstawie dokumentów pisanych, pozostawionych przez samego pisarza, lub też świadectwa współczesnych. Ich analiza psychologiczna „jako przeżywających podmiotów" jest elementem fikcji, składają się na nią supozycje psychologiczne autora, których materiałem jest jednak najczęściej jego własne doświadczenie. Doświadczenie niekoniecznie faktyczne, lecz potencjalne. Henryk Markiewicz obruszy się zapewne: owo potencjalne doświadczenie jest właśnie pracą wyobraźni, czyli fikcją. Czy na pewno tak? Autor kreując postać daleką od własnego charakteru i los odmienny od jego własnego losu (np. Balzac tworzący postać młodego karierowicza, Słowacki tworzący postać młodego spiskowca), ubiera w kształt quasi-realny własne marzenia, które stanowią nurt jego życia wewnętrznego nie mniej ważny i realny niż przeżycie autentyczne. Fikcyjny nurt życia psychicznego nie jest przywilejem pisarzy. Wyodrębnia się on w psychice każdego człowieka, jak to stwierdza psychologia nazywając go różnie: konfabulacją, zabiegiem kompensacyjnym czy po prostu mitomanią. Przywilejem twórcy jest umiejętność wydobycia na zewnątrz owego nurtu ukrytego, który w życiu jednostek aktywnych, o skłonnościach „ekstrawertywnych" zostaje zepchnięty na dno świadomości. Jednostki „intrawertywne" żyją ową fantazją psychologiczną często bardziej niż to zdarza się twórcom, dochodząc nieraz do patologicznych schorzeń. Wydaje mi się, że talent literacki polega na umiejętności zobiektywizowania owych ukrytych tendencji psychologicznych; mitomania czy konfabulacja chorobliwa nieraz jest właśnie brakiem zdolności do ich zobiektywizowania (dowodem na to, iż zjawisko talentu i mitomanii chorobliwej idą w parze, jest często występująca u chorych psychicznie chęć do zapisywania i tworzenia utworów fikcyjnych).

Krótko mówiąc, w świetle psychologicznym „nieasertoryczność" zdań dotyczących losu czy charakteru fikcyjnych postaci nie daje się chyba pojąć w sposób tak jasny, jak tego chce autor cytowanego szkicu. Bardzo trudno odróżnić w utworze literackim to, co jest fikcją służącą do „nadania szczególnej dobitności reprezentatywności symbolicznej", od tego, co w nim jest wyznaniem i co — wbrew zasygnalizowanej przez autora „nieasertoryczności" — jest jak najbardziej „asertoryczne" w stosunku do niego samego, do jego doświadczenia psychologicznego. Zdania, które wypowiada Gustaw wobec Dziewicy czy Księdza, sytuacja, w jakiej się znajduje, nie odpowiada żadnej prawdzie faktycznej, ponieważ Mickiewicz nie zwariował z miłości. Przeczuwał jednakże ów obłęd — na takim czy innym tle — inaczej nie potrafiłby mu nadać kształtu. I nie ma powodu do tego, aby owemu przeczuciu psychologicznemu — czy dotyczyć ono będzie miłości, czy męstwa, czy zbrodni — przypisywać wartość mniej realną niż np. zwierzeniom Russa z okresu zachwiania jego równowagi umysłowej. Ta jest różnica między autorem *Dziadów* a autorem *Wyznań samotnego wędrowca*, że pierwszy zachowuje jeszcze zdolność przybierania swych obsesji w kształt estetyczny, obiektywny, podczas gdy drugi już tej zdolności nie posiada. Zdaniom Russa dotyczącym jego manii prześladowczych przypisujemy pełną asertoryczność na planie patologicznym (zgadzają się one ze świadectwem współczesnych, z zachowaniem Russa, z diagnozą lekarzy). Dlaczego mamy odmawiać tej asertoryczności autokreacji poety — tylko dlatego, że anegdota opowiedziana w utworze sprzeczna jest z wiedzą biograficzną, jaką o nim posiadamy?

Materiału do podobnych wątpliwości dostarczają nam porównania wielu utworów literackich z równoległymi dokumentami autobiograficznymi. Z *Pamiętnika egotysty* Stendhala wiemy np., że doświadczył on impotencji. W świetle epizodu opowiedzianego z całkowitą szczerością w tym dokumencie, który jesteśmy obowiązani brać za dobrą monetę, ponieważ autor nie „zasygnalizował" nam jego fikcyjności, wręcz przeciwnie, uczynił wszystko, aby czytelnik zawierzył jego autentyczności, wszystkie przeżycia Oktawa z *Armancji* mają dla nas wartość absolutnego autentyku, chociaż historia bohatera tej powieści jest niezmiernie daleka od historii Henryka Beyle. „Gorączkowo przebiegał w wyobraźni wszystkie szczeble działania ludzkiego, by następnie jeszcze boleś-

niej opaść z powrotem na dno rozpaczy najgłębszej"... Zdanie jest „nieasertoryczne", jego „prawdziwość jest wyłączona ze względu na występowanie w nim postaci nie istniejącej." Zdanie identyczne mogłoby się jednakże znaleźć w *Pamiętniku egotysty*, czy będziemy je traktować inaczej tylko dlatego, że autor „nie zasygnalizuje" jego „nieasertoryczności"? Jest to punkt widzenia metodologicznie wygodny, wydaje mi się jednak, że nadmiernie upraszcza strukturę utworu literackiego, który składa się z rozmaitych przecież intencji autora. Odważam się mówić o „intencji", skoro autor studium sam pojęcie to do swego języka wprowadził mówiąc o „domniemanej perspektywie autora". Zaznaczam, że dwuznaczność intencji odnosi się nie tylko do „ja" pisarza, intencje autobiograficzne, konfesyjne, nie są jedynymi, które zaciemniają obraz utworu literackiego. Zdania *Sławy i chwały* Jarosława Iwaszkiewicza dotyczące postaci Edgara Szyllera zaliczyłoby się również do tych, których „prawdziwość jest wykluczona ze względu na występowanie w nim postaci nie istniejących". Co zrobić jednak z tymi fragmentami wspomnień pisarza, które nie pozostawiają żadnej wątpliwości co do tego, że modelem Edgara Szyllera był Karol Szymanowski? To samo dotyczy politycznej warstwy utworów literackich, w których fikcyjne kraje i fikcyjni mężowie stanu scharakteryzowani są w sposób nie pozostawiający żadnej wątpliwości co do intencji pisarza. Dotyczy to w równej mierze *Faraona* Prusa, *Pustelni Parmeńskiej* Stendhala, czy nawet *Nienasycenia* St. I. Witkiewicza. To samo wreszcie dotyczy fantastycznych nieraz hipotez naukowych, które bądź to odpowiadają współczesnemu stanowi wiedzy (np. etnograficzne lub językoznawcze fantazje romantyków), bądź też stanowią dowód autentycznej ignorancji autora w danej dziedzinie wiedzy. Ani w jednym, ani w drugim wypadku nie można mówić o świadomym traktowaniu własnych zdań jako „nieasertorycznych". Wręcz przeciwnie.

Krótko mówiąc, wydaje mi się, że analiza fikcyjności utworu literackiego poprzez klasyfikację zdań, które wchodzą w jego skład, posiada tylko pozorną precyzję, nie uwzględnia bowiem sprzeczności, z których rodzi się utwór, sprzeczności, z których rodzi się talent względnie po prostu intencja pisania utworów fikcyjnych.

Andrzej Kijowski

SKARBY MEKSYKU W WARSZAWIE

Otwarta w Warszawskim Muzeum Narodowym wystawa sztuki prekolumbijskiej to nie tylko olbrzymie, jak to się mówi, magistralne wydarzenie w naszym życiu kulturalnym. To rzadka, jedna z najrzadszych okazji spojrzenia na sztukę jako taką, sztukę nagą, rozebraną z kostiumów i otoczek interpretacyjnych. Tu sztuka nie jest ilustracją historycznych procesów, socjologicznym czy mitologicznym odnośnikiem. A w każdym razie nie jest przede wszystkim. Stojąc przed prekolumbijską rzeźbą, architekturą, ceramiką, polichromią jesteśmy maksymalnie nieprzygotowani do ich przyjęcia. Jedynym kluczem jest nasza wrażliwość. Cóż wiemy o tych narodach, o tych kulturach, które tę sztukę wydały? Nic lub prawie nic. Cóż wiemy o Olmekach, Teotihuakanach, Totonakach, Majach, Toltekach, Aztekach? To tylko, co ich sztuka nam objawi. Wszystkie domysły są dopuszczalne, wszystkie legendy prawdopodobne, z legendą pochodzenia pozaziemskiego włącznie. Jedna z najrzadszych, może jedyna okazja spojrzenia na sztukę gołym, nieuprzedzonym okiem. Taki zerowy punkt wyobraźni współcześnie jest niemal nieosiągalny. Patrząc na rzeźbę egipską, asyryjską, grecką, jesteśmy mimo woli, mimo wysiłku, jaki w doznanie wkładamy, immunizowani winkrustowanym w naszą wrażliwość komentarzem historycznym, socjologicznym, mitologicznym na walor sztuki. Chcąc nie chcąc patrzymy na rzeźby grecką czy egipską jak na ilustrację zdarzeń,

obyczajów, wierzeń. To nam oczywiście ułatwia zbliżenie, pierwszy kontakt. Anegdotyczna warstwa dzieła sztuki może dać nawet namiastkę przeżycia artystycznego. Ale jakżeż często wszystko na tej namiastce się kończy. Czymże jest artystyczna kariera watykańskiego Laokoona, jeśli nie przeżyciem anegdoty? Bo komentarze, anegdota przykuwają uwagę do tego, co przypadkowe, do tego, co było jedynie pretekstem sztuki. Trzeba niemałego wysiłku oka, wyobraźni, aby temat dzieła sztuki wrócił do właściwych proporcji we wzruszeniu, do swojej rzeczywistej funkcji, funkcji pretekstu. Dopiero wtedy, kiedy stanie się przezroczystą konwencją, dzieło sztuki wyjawi oku swoje tajemnice. Oczom ukaże się, jakby toczona widomie, walka intencji, myśli, jasności z oporem tworzywa. To, co jest rezultatem tych zmagań, forma, otrzyma wtedy swój rodowód. Ujrzymy logiczność i konieczność takiego, a nie innego rozwiązania kompozycji, takich, a nie innych układów brył i płaszczyzn. I wtedy możemy powrócić, musimy powrócić do tematu. Bierze on udział w naszym przeżyciu, jest jednym z jego bodźców, tak jak był jednym z czynników organizujących dzieło sztuki. Patrząc na rzeźbę, obraz musimy się z tematem tak samo zmagać, jak zmagał się z nim artysta, który ze schematu, konwencji podniósł go do rangi wzruszenia. Ileż przykładów na to! Dopiero wtedy, kiedy osiągnęliśmy stan olśnienia barwą, linią, harmonią, możemy z dziesiątków Zwiastowań, które nam przekazały Trecento i Quattrocento, odczytać ewolucję tematu i jego oddziaływanie formalne. Od mistycyzmu Simone Martiniego do kwietyzmu Tycjana między Madonną i Aniołem w ramach tego samego przecież tematu odgrywa się misterium formy o jakżeż dramatycznym napięciu. Ten sam anioł ze zwiastuna tajemnicy przeobraża się poprzez wieki ewoluującej sztuki w świeckiego, uskrzydlonego już tylko ceremonialnością, zwiastuna zmysłowej radości. Nabrzmiały zwiastowanym szczęściem, agresywny anioł Botticellego i surowy zwiastun niepokoju Leonarda to dwie — a ileż ich było — wizje tej samej sprawy, tego samego wtajemniczenia. Ewoluując forma rozsadza ramy konwencji, przeobraża temat, dając mu nowy, niezależny od niego walor.

Obcowanie ze sztuką prekolumbijską jest trudniejsze, ale i istotniejsze, od razu, od pierwszego rzutu oka. Brak anegdoty usuwa pierwszą płaszczyznę porozumienia. Przeżycia ułatwionego, namiastki wzruszenia ta sztuka nie dostarczy. Wyobraźnia musi pracować od razu, od pierwszego zbliżenia. A tworzywo do tej pracy jakże zróżnicowane! Mamy przed oczami trzydzieści wieków kultur zazębiających się wzajemnie, skłębionych, walczących z sobą, dopełniających się i zaprzeczających sobie. Od roku 1500 przed naszą erą do roku 1521, daty pogromu Azteków i zwycięstwa konkwistadorów hiszpańskich, Meksyk jest terenem wielokrotnych rodzeń się, rozkwitów i upadków sztuki. Na przestrzeni tych trzydziestu wieków obserwujemy kilkakrotnie całe życie sztuki, od surowych form pierwszego naiwnego wzruszenia do przesytu naturalizmu i jego konsekwencji, stylizatorstwa. Kilkakrotnie możemy prześledzić proces rodzenia się i umierania, proces przebiegający tak samo, jak przebiegał w Egipcie, Grecji, Italii. Pierwsze archaiczne formy we wszystkich kulturach mają sens ten sam, sens symbolu. Ekspresja jest czysta, nie skrępowana niewolą, żadną niewolą podobieństwa. Artysta nie naśladuje natury, ale rywalizuje z nią, interweniuje, tworzy wbrew niej, przeciwko niej. Jego sztuka jest oddziaływaniem. Jego wzruszenie jest energią, przerażeniem, siłą. Wszystko, co z jego rąk wychodzi, jest próbą zmierzenia się ze światem, przeciwstawienia się światu, obrony przed światem. Forma jest surowa, naga, ekspresyjność jej jest spontaniczna, nie zapożyczana i nie hamowana wzorcem realności obiektywnej. Śledząc ją widzimy, jak przez wieki zdobywa coraz większą świadomość siebie, jak tężeje, nabiera ciała, jak schodząc z pierwszych, własnych, spontanicznych pozycji zaraża się naturą i z upodobnienia się do niej czyni swój ideał. Wznosi się ku niemu. Naga, czysta ekspresja sprzymierza się z naturą, deformuje ją, przeobraża. Świat staje się wtedy wspaniałym tworzywem. Sztuka się wciąż wznosi. Dopóki nie osiągnęła ideału, dopóki idzie ku niemu, jest wzniosła, czysta, sakralna. Kryzys następuje wtedy, kiedy ideał podobieństwa zostaje osiągnięty. Co dalej? Jak się oderwać, jak się wyzwolić z własnej sprawności? Pozostaje wirtuozeria, zdobnictwo, stylizatorstwo i wreszcie nieuchronny rozpad. Sztuka utraciwszy

ideę lotu, ideę swojej wzniosłości, wyrodnieje, rozkłada się, aż inna kultura ją wchłonie i rozpocznie proces od początku. W sztuce prekolumbijskiej ten proces wznoszenia się i upadania obserwujemy kilkakrotnie. Sztuki Olmaków, Totonaków, Teotihuakanów przechodzą wszystkie stadia, by się odrodzić w sztuce Majów, Huasteków, Zapoteków, Azteków i wreszcie zginąć w potopie najazdu.

Warszawska wystawa ukazuje ten dramat, jeden z największych dramatów kultury naszego globu. Na naszych oczach trzydzieści wieków życia jednej z najbardziej fascynujących wyobraźni zostaje nagle unicestwione, wypalone ogniem, zamordowane żelazem. Gdy z sali sztuki Azteków przechodzimy do salki XVII-wiecznego meksykańskiego ultrabaroku, mróz przebiega przez kości. Jakbyśmy byli świadkami dokonanej zbrodni. Tutaj był potop. Skończył się świat. Skończył się całkowicie, ostatecznie, tak ostatecznie, jakby go w ogóle nigdy nie było. Ten nowy, który się zaczął, nawet ruin, gruzów tamtego nie uszanował, chociażby adaptacją. Nie wziął nic, ani skali, ani tworzywa. Zwycięski chrystianizm wtargnął w pokonany świat tym, co było w nim najbardziej oczywiste, mieczem i przepychem, pychą i barokiem.

Warszawska wystawa ukazuje ten dramat w sposób dojmujący. Salka sztuki okresu kolonizacji, salka ultrabaroku lśni jak elegancja oficerów armii okupacyjnej w podbitym kraju. Reszta jest milczeniem. Europa mizdrzy się całą skalą swoich importowanych uroków. Epatuje podbitą wyobraźnię oleodrukowym liryzmem Madonn, patosem akademizmu. Zaczęły się wieki banału, ultrabanału.

Cywilizacja, język, obyczaje, wierzenia narodów Meksyku zostały starte z powierzchni ziemi. Miecz i ogień były kategoryczne. Ale czy wyobraźnię można unicestwić? Historia kultury Meksyku to jeszcze jeden, może najjaskrawszy dowód niepokonania sztuki. Tylko ona, ona jedna jest wiecznotrwała. Tylko ona jest pamiętliwa. Tylko jej czas się nie ima. Cywilizacje, ustroje, religie ogień strawił. Nowa Hiszpania otrzymała nowy model kultury. Był obowiązujący, był oficjalny. Ale wyobraźnia ludu spod gruzów wykopała formy wyrażenia Majów i Azteków i nimi wypowiada swoje własne, prywatne, skryte uczucia. W sztuce ludowej Meksyku, jarmarcznej. jaskrawej, żywiołowej zgiełkiem barw i form, odżywa zamordowana wyobraźnia. Między tą sztuką ludową a starą pogrzebaną sztuką prekolumbijską istnieje porozumienie. Jedna przyzywa drugą, czerpie z niej natchnienie, ożywia ją nową spontanicznością. Sztuka nie umiera, wyobraźni zamordować nie sposób.

Zbigniew Bieńkowski

W RZESZOWSZCZYŹNIE

Zjazd Pisarzy Ziemi Rzeszowskiej w dniach 12 i 13 czerwca przebiegał pod znakiem pniaka i ptaka. Dwa te wyrazy, przeciwstawiane sobie, towarzyszące dyskusji i rozmowom podczas przerw i wycieczki w Bieszczady, stały się osobliwym porzekadłem Zjazdu. Powiedzenie to, charakteryzujące i poniekąd w symboliczny sposób określające zebranych, wyszło najpierw od docenta Franciszka Kotuli, głównego chyba przedstawiciela pniactwa, zostało pochwycone i następnie „rozćwierkane" przez sejmik pisarskich ptaków wylęgłych na Rzeszowszczyźnie. Przeciwstawienie pniaka ptakowi pojmowane tu było w znaczeniu przenośnym i na ogół dogadzało wyobraźni, jakby rzecz gry fantazjotwórczej, po prostu ludowej baśni o dwóch braciach-intelektualistach, z których jeden pozostał w gnieździe i nazwał się nie bez pewnej przekory pniakiem, a drugi, po wykorzenieniu się z rodzinnej gleby, przedzierzgnął się z pniaczka w przelotnego ptaka i wyfrunął z jakiejś swojej Komborni w świat (że nawiążę do świetnego tytułu wspomnieniowej książki Pigonia, wybitnego, choć nieobecnego na zjeździe rzeszowszczyka).

Przypuszczam, że powodzenie porzekadła wynikało z jego ludowej, wiejskiej, po prostu chłopskiej genealogii, co znakomicie przystawało do ogólnego „klimatu" Zjazdu, który stał się niejako doskonałą ilustracją klechdy o bracie pniaku i bracie ptaku. Zjazd był niezamierzonym zlotem pisarzy pochodzenia chłopskiego. Okazało się, po pierwsze: że nieomal wszyscy (nieomal — to znaczy, że chodzi o różnicę dwóch, trzech nazwisk) pisarze Rzeszowszczyzny należą do pierwszego pokolenia tych synów chłopskich, którzy po zdobyciu uniwersyteckiego zazwyczaj wykształcenia wyrwali się „w świat", każdy ze swej wiejskiej rzeszowskiej chałupy. Okazało się, po drugie: że właśnie Rzeszowszczyzna była chłopską kolebką wybitnych przedstawicieli współczesnej literatury w prozie i poezji; że wymienię choćby Jana Wiktora z Radomyśla nad Sanem, Juliana Przybosia z Gwoźnicy, Stanisława Piętaka z Wielowsi, Jana Bolesława Ożoga z Nienadówki, Wilhelma Macha z Kamionki koło Dębicy, Józefa Bieniasza spod Łańcuta. A jeśli cofniemy się krok wstecz, do dwudziestolecia, nasunie nam się pionierskie nazwisko Mariana Czuchnowskiego z Łużnej (którego oczywiście na tym Zjeździe nie było). Dodajmy do tej podstawowej serii nazwiska młodszej generacji pisarskiej, np. Bogusława Koguta, Jana Zycha i in., a otrzymamy wyraźny zarys trzonu: oto mamy archontów pisarstwa wywodzącego się, tak czy inaczej, mimo wszystkich przeobrażeń indywidualnych, spod strzechy, właśnie spod strzechy rzeszowskiej. Okazuje się więc, po trzecie: gdyby na Zjeździe w Rzeszowie zjawiło się jeszcze kilku pisarzy tej samej „proweniencji", powiedzmy, choćby w charakterze gości-sympatyków, jak przypadło piszącemu te słowa, areopag byłby w komplecie. Ten szczegół dostatecznie określa prymat Rzeszowszczyzny w omawianym zakresie.

Chłopskość tych ziem, tak dobitnie zaznaczająca się w literaturze, ciągle pozostaje i, sądzę, jeszcze przez dłuższy czas będzie pozostawać znamienną cechą Rzeszowszczyzny mimo ciekawych i ważnych postępów pod względem uprzemysłowienia jej w okresie Polski Ludowej. Bo tu nie tylko literatura sprowadza się do pierwszej generacji pisarzy „po-chłopskich", ale całokształt życia kulturalnego, a także — co najważniejsze — gospodarczego. A te dziedziny nie na ptakach, co zrozumiałe jest w literaturze, a na pniakach muszą się opierać. W tym kierunku biegła też wymiana myśli, więcej sterująca ku sprawom ekonomicznym niż literackim. Najciekawszy wydał mi się głos prof. Stefana Inglota: propozycja intensywnego rozwoju oświaty rolniczej. Prof. Inglot barwną tezę zapalił przed wyobraźnią zebranych: by co dziesiąty chłop poprzez odpowiednio zorganizowane wyższe kursy rolnicze, zaoczne i nie zaoczne, stał się inżynierem rolnictwa i hodowli. Nie o tytuł oczywiście chodzi, chociaż też może stanowić przynętę. Należy wykorzystać pęd do wiedzy i specjalizacji, wzmacniać sprawność rolniczą, nie odrywając ludzi od ziemi, wsi. Tak postawiona została, może najwłaściwiej, sprawa pniaków.

Ale wracam do zagadnień literackich. Jeszcze o pniakach. Zaproszony przez prezydium, mówiłem o pisarzach ludowych Rzeszowszczyzny. Próbowałem wprowadzić inne porównanie: korzeni i kwiatów, mniej oderwane od rzeczywistości. Skądże ten nagły rozkwit poezji rzeszowskiej, wyrafinowane pióra Przybosia, Piętaka, Ożoga, a więc to, co nazwałem kwiatami czy kwitnącą gałęzią? Wyprowadzałem je z „korzeni", z tych właściwości podglebia chłopskiego, które, zwłaszcza w Rzeszowszczyźnie, odznacza się specjalnym uczuleniem na sprawy pisarskie. Nigdzie w Polsce nie było tak wielkiego potencjału samorodnej chłopskiej twórczości, jak właśnie w Rzeszowskiem. Tu, w Hussowie pod Łańcutem, żył i pisał w ukryciu najstarszy i najwybitniejszy poeta chłopski, pańszczyznę galicyjską i rabację pamiętający jeszcze, Jan Rak. Mógłbym wymienić dwudziestu jego następców, ale w tej liczbie nie mieściliby się wstydliwi „kryjacy", którzy nie chcieli a może nie mieli sposobności ujawnić się w druku. Rzeszowszczyzna może być śmiało nazwana ziemią samorodnego pisarstwa chłopskiego w poezji i prozie. Można do tego faktu ustosunkować się jak kto chce: niechętnie lub życzliwie, można ganić lub chwalić, poniżać lub wywyższać, kpić lub wzruszać się. Jakakolwiek byłaby słuszna czy niesłuszna reakcja, nie zmieni właściwości podglebia, tych właśnie korzeni świadczących o predyspozycjach twórczych chłopstwa rzeszowskiego.

Warto zwrócić uwagę na ów naturalny związek między korzeniami a kwiatami na Zjeździe Rzeszowskim, tym bardziej że na sali widać było przedstawicieli podglebia. Skromnie krył się wśród tłumu autor *Ciernistych ścieżek literatury ludowej*, Józef Kapuściński, najstarszy spośród tzw. pisarzy ludowych. Jak ważną rzeczą jest mecenat, opiekuństwo, inspiratorstwo, dowodzi przykład Mieczysława Grada, znanego socjologa i eseisty, który zajął się prozą pamiętnikarską dwóch pniaków rzeszowskich i doprowadził do wydania książkowego wspomnień Jana Stryczka, nagrodzonych następnie przez redakcję *Polityki*, oraz pamiętnik Romana Turka. Z zazdrością i goryczą spoglądał na wyróżnionych szczęśliwców ich sąsiad wiejski, Walenty Kunysz, który nie mógł dotychczas znaleźć protektora.

Walenty Kunysz mówił o sobie. Mówił z autoironią i odważną szczerością. Ten sześćdziesięciotrzyletni chłop z Kraczkowej nakosiwszy o świcie koniczyny, zdążył przybyć ze swej wsi na otwarcie Zjazdu. Nerwowo szukał opiekuna, mecenasa, jakiegoś oparcia, bo przecież „taki Turek miał szczęście, chociaż..." Tak, Kunysz czuje się zawiedziony, ma pretensje do świata i do siebie. Mówił o tym po prostu, bezceremonialnie, dobrze, że bez obłudy, a jego autoironia i pewien humor osłabiły znacznie pretensjonalność wypowiedzi. Trzydzieści lat minęło, odkąd ogarnęła go „mania wielkości". Tak to nazwał. Ale w istocie rzeczy chodziło o manię pisania, więc nie omylmy się w nomenklaturze. Zaniedbywał Kunysz gospodarkę, pisanina odciągała go od pługa, kosy i cepów. Zbierał pieśni ludowe, opisywał zwyczaje, zestawiał starodawne wspominki wiejskie, dopracował się jeszcze przed wojną grubej księgi, którą przesłał prof. Franciszkowi Bujakowi. Ale rękopis zginął w czasie zawieruchy wojennej, czego autor nie może przeboleć. Ten cios nie osłabił jego „manii". Kunysz pisał nadal, wierszem i prozą, opracowywał widowiska ludowe itd. Po sześćdziesiątce zsumował dorobek, zważył rękopisy, okazało się, że było tego 33 kilo. Za dużo! Przeprowadził selekcję, niewątpliwie surową: zostało tylko 11 kg. Śmieliśmy się słuchając opowieści jak humoreski zaprawionej goryczą. A przecież w tych jedenastu kilogramach mieści się niewątpliwy dramat życiowy. Czy znajdzie się protektor i doradca, ten sam czy inny Grad, i weźmie ciężar do ręki?

Nie odosobnione zjawisko. Takich Kunyszów w Rzeszowszczyźnie wiecej, może w każdej wsi. Jeśli nie ukrywający się, to ukryci. Literaci podczas spotkań autorskich stronią od nich, redaktorzy uciekają, wydawcy milczą. Spotkałem kilku w czasie trzydniowej wędrówki po bibliotekach i świetlicach wiejskich. Dla przykładu taka rozmowa. Obydwaj byliśmy zażenowani. Autor z powodu nie pozorowanej zdaje się skromności i ja wobec kłopotliwej sytuacji. Przedzielała nas teczka z rękopisami. Nie sięgnąłem po nie od razu, ale wypytywałem autora. Trzy sztuki dramatyczne, bądź wierszem, bądź prozą. Co więcej? Jeden poemat wykończony, drugi zapoczątkowany. Poemat o czasach przedwojennych, liczy 270 stron. Wydawało mi się, że jestem okrutny, gdy łagodnie wywodziłem, że dzieła te nie mogą mieć większej wartości literackiej, jako że twórczość dramatopisarska jest najtrudniejszą specjalnością i wymaga wielkiego znawstwa teatru, a tej wiedzy nie można nabyć w Dębicy lub Gorlicach. Więc? Nie powiedziałem wprost, ale ostateczny wniosek wynikał z przytoczonych przesłanek. A poemat? Epikę dziś odnowić mógłby chyba geniusz. I znów nie odpowiedziałem, lecz przeraźliwie jasno (i okrutnie) wynikało, że klient mój nie jest geniuszem i nie powinien pisać poematu. Rozmówca mój przeważnie milczał. A ja radziłem, zdawało mi się, przekonywająco: jeżeli poddaje się pasji pisarskiej, niech uprawia prozę, opowiadania, pamiętnik czy powieść swego życia. Nie wiem, czy klient odszedł przekonany, może czuł się dotknięty, że nie zbadałem rękopisów (a jakże mogłem to zrobić w ciągu niecałej godziny), że z góry odmówiłem mu genialności, że nie uwierzyłem ani na chwilę w wartość jego epiki i dramatu. Może pomyśli, że potraktowałem go jako bezwartościowego grafomana, tym gorzej, że spod Sanoka czy Krosna, bo tak bez wglądu, bez przejrzenia tekstu. Było przykro. Ale uwierzyłem w jego inteligencję, nie w emocję (którą również cenię), lecz w umysł, który wyprowadził go już ze stanowisk niemal średniowiecznych, jeżeli chodzi o zainteresowania literackie, i osadził na razie na pozycjach romantycznych.

Czy zdoła przełamać to zahamowanie i pójść dalej?

Tuż przed Zjazdem Julian Przyboś ogłosił w *Przeglądzie Kulturalnym*, nr 24, piękny esej *Droga do wsi rodzinnej*, do tej Gwoźnicy, którą odwiedził niedawno po szesnastu latach nieobecności. Jest to znakomity przyczynek do dziejów „literatury rzeszowskiej", jako po-chłopskiego rozdziału poezji współczesnej. Oto co przyniosła poecie droga powrotna: „Nie ma zaczasu, nie ma żałosnego raju, jest zaczęty świat cywilizacji, ten sam, co tak czarował przez kontrast do tamtej znikłej szczęliwie pierwotności (...) Oto nareszcie te dwie baśnie zetknęły się jak dwa ładunki elektryczne o przeciwnych znakach! Nie widziałem złocistszego pioruna i harmonijniej grającego grzmotu niż to wspaniałe, uderzające wrażenie w ciągu pierwszej mojej po 16 latach podróży do rodzinnej wsi!"

Ale nie emocjonalna droga powrotu, pozwalająca na konfrontacje dwóch światów, wydaje mi się tu ważna. Stwierdzenie, że „jest zaczęty świat cywilizacji", nabiera dopiero pełnego znaczenia w zestawieniu z punktem wyjścia tej drogi prowadzącej z Gwoźnicy w świat. A więc droga ze wsi, a jeszcze inaczej i może lepiej, używając właśnie określenia Przybosia — z zaczasu, który jest nie tyle baśnią, co jakimś rodzajem średniowiecza, okresem spóźnionego, zahamowanego czasu, który sprawił, że przybliżona data punktu wyjścia niewiele różniła się od daty cofniętej o pół tysiąca lat. Innym czasem należy mierzyć drogę przebytą przez te nieliczne jednostki ze wsi (których najwyższym zapewne przykładem okaże się Julian Przyboś) i jakość ich dojść i niedojść. Odrabianie opóźnionego czasu, próba szybkiego przejścia przez ów „zaczas" kilkusetletni, naturalne zahamowania na tej drodze, częściowe nieraz wyniki, mnóstwo błędów i jeszcze więcej trudności — oto okoliczności warunkujące sytuację tych różnych ptaków i pniaków w literaturze, tak osobliwie zarysowujących się podczas Zjazdu rzeszowskiego.

Stanisław Czernik

MONACHIJSKIE KŁOPOTY STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

Sekretarz Fundacji im. Schillera w Weimarze, znany pisarz Klaus Hermann, porządkując materiały archiwalne, odnalazł kilka listów Stanisława Przybyszewskiego z r. 1916, tj. z okresu, kiedy autor *Homo sapiens* przebywał w Monachium. O ile mi wiadomo, listy te nie były nigdy publikowane w języku polskim, a i o samej sprawie nikt dotychczas u nas nie pisał. Ponieważ jestem w posiadaniu odpisu korespondencji Stanisława Przybyszewskiego, chciałbym przypomnieć całą tę historię, w przekonaniu, że zainteresuje ona niewątpliwie zarówno historyków literatury, jak i w szczególności badaczy twórczości wspomnianego pisarza.

Najpierw jednak parę słów o samej Fundacji im. Schillera. Powstała ona w r. 1859 z datków i składek społeczeństwa, a stałą jej siedzibą jest znany dom Schillera w Weimarze. Celem tej Fundacji, jak głosi regulamin, jest udzielanie pomocy materialnej pisarzom względnie rodzinom pisarzy, którzy zasłużyli się dla rozwoju niemieckiej literatury narodowej, a w danym momencie znajdują się w trudnych warunkach.

Z wydanej w stulecie istnienia Fundacji (1959) książeczki pamiątkowej wynika, że lista pisarzy, którzy doznali tej pomocy, jest długa i obejmuje wiele znakomitości. Na liście tej figurują tacy na przykład pisarze, jak Theodor Fontane, Ludwig Feuerbach, Wilhelm Raabe, Edward Möricke, Carl Hauptmann (brat Gerharta), Richard Dehmel i inni, a także wdowa po Franku Wedekindzie. Fundacja im. Schillera udzieliła również pomocy pisarzom austriackim, wśród których znaleźli się Peter Altenberg, Adalbert Stifter i Anton Wildgans. Stanisław Przybyszewski był jedynym cudzo-

ziemcem, który w latach wojny ubiegał się o pomoc z Fundacji im. Schillera i otrzymał ją.

W chwili wybuchu wojny Stanisław Przybyszewski przebywał w Rothenburgu, a wkrótce osiedlił się w Monachium przy Ruffinistrasse 12. Jak widać z całej tej korespondencji, wiodło się Przybyszewskim w latach wojny jak najgorzej. Już w r. 1915 otrzymał z Fundacji im. Schillera zasiłek, ale o tym dowiadujemy się pośrednio: z próśb o powtórne przyjście mu z pomocą, składanych w czerwcu 1916 roku. Poprzednie listy najniechybniej zaginęły, gdyż w archiwach weimarskich nie natrafiono na ich ślady. Stanisław Przybyszewski nie od razu zwrócił się do centrali weimarskiej. Napisał najpierw do znajomego profesora Petzeta, który zasiadał we władzach zarządu oddziału Fundacji im. Schillera w Monachium (Zweig-Schillerstiftung). Oto jego pierwszy list w tej sprawie, pisany naturalnie w języku niemieckim, który przytaczam w tłumaczeniu polskim w całości.

„Wielce Szanowny Panie,

Już przeszło rok minął od chwili, gdy zwróciłem się do Pana o łaskawe poparcie Pańskie w Fundacji im. Schillera. Wojna zdawała się wówczas zbliżać ku końcowi, a ja miałem pełną nadzieję, że już nie będę więcej potrzebował pomocy — przeciwnie, że mój dług honorowy wobec Fundacji dawno będzie spłacony. Wydarzyło się inaczej — i nigdy, nawet w początkach mojej twórczości, nie przygniatał mnie taki niedostatek, jak obecnie, kiedy na zdewastowanych całkowicie przez Rosjan obszarach okupacyjnych »Polski« upadła jakakolwiek działalność wydawnicza, już choćby z przyczyn technicznych: nie ma papieru, a maszyny drukarskie i drukarzy wywieziono w głąb Rosji.

Okres ostatniego roku przebrnąłem z najwyższym wysiłkiem, ale teraz znalazłem się z moimi lekcjami łaciny u kresu, ponieważ grozi mi eksmisja, jeśli nie spłacę części zaległego czynszu. A to byłoby dla mnie kompletną ruiną.

Tak więc pozwalam sobie zwrócić się do Szanownego Pana Profesora osobiście z zapytaniem, czy mógłbym raz jeszcze złożyć w Fundacji im. Schillera prośbę o pożyczkę w kwocie 200 marek i czy prośba taka byłaby uwieńczona jakimś rezultatem. Pańska wielka uprzejmość i łaskawość, okazane mi już parokrotnie — a nie doznałem nigdy nic innego od moich niemieckich kolegów, jak tylko życzliwości — ośmielają mnie do napisania niniejszego listu i prośby o rychłą odpowiedź.

Przy niniejszym pozwalam sobie przesłać Szanownemu Panu Profesorowi opublikowaną niedawno moją broszurę, która, być może, zainteresuje Pana.

Z wyrazami najwyższego szacunku
Stanisław Przybyszewski

Ruffinistr. 12
München, 19 czerwca 1916"

Broszura, o której wspomina Przybyszewski, składała się z wypowiedzi publicystycznych, wydanych pod tytułem *Polen und der heilige Krieg*. Zajmował w niej autor stanowisko przychylne dla Niemiec, co naraziło go na konflikty z prasą i opinią polską. (Informacje szczegółowe podaje Stanisław Helsztyński w monografii pt. *Przybyszewski*, Wyd. Literackie, Kraków 1958.) Prof. Petzet doradził mu, aby złożył podanie do Kasy Zapomogowej Fundacji w Weimarze ,ale na jego ręce. Drugie pismo jest treści następującej:

„Ośmielony przyjacielską poradą Pana Prof. Petzeta, zwracam się jeszcze raz, po upływie roku, do Fundacji im. Schillera o łaskawą pomoc w trudnej dla mnie sytuacji. Od dwóch lat odcięty jestem od wszelkich moich źródeł zarobkowania w Polsce i w Rosji; praca polskich wydawnictw została w obecnym okresie okupacji całkowicie sparaliżowana.

Ja i moja rodzina przebijaliśmy się dotychczas przez najcięższe niedostatki, ale obecnie grozi mi eksmisja z powodu zaległego komornego, a to oznaczałoby dla mnie zupełną zgubę. W tej trudnej sytuacji przymusowej kieruję na Pańskie ręce, Wielce Szanowny Panie Profesorze, prośbę do Fundacji im. Schillera o pożyczkę w kwocie 200 marek.

Nie ważyłbym się zwracać z tą prośbą do Fundacji im. Schillera, gdybym przez swoją pracę literacką w nie-

mieckim języku nie przynależał, przynajmniej w pewnej mierze, również do piśmiennictwa niemieckiego — a także, gdybym nie posiadał tej pewności, że dług mój z największą wdzięcznością będę mógł spłacić po wojnie. W nadziei, że Fundacja im. Schillera zechce łaskawie spełnić moją prośbę i w oczekiwaniu rychłej odpowiedzi

pozostaję z najgłębszym szacunkiem
Stanisław Przybyszewski

München, 21 czerwca 1916
Ruffinistr. 12"

List powyższy przesłał prof. Petzet do Weimaru wraz z własnym pismem, w którym czytamy: „Otrzymałem załączoną tu prośbę Przybyszewskiego, który w istocie znajduje się w fatalnej sytuacji. Jakkolwiek nie jestem entuzjastą jego twórczości, to jednak sądzę, że ze względu na jego wcześniejsze osiągnięcia zasługuje on na naszą pomoc".

W Weimarze odpowiednia komisja opatrzyła najpierw podanie Przybyszewskiego opinią, a dopiero potem zarząd Fundacji przystąpił na specjalnym posiedzeniu do jej rozpatrywania. Opinia komisji brzmiała:

„Propozycja przewodniczącego monachijskiego oddziału Fundacji, aby żyjącemu obecnie w Monachium w wielkich tarapatach pisarzowi polskiemu, lecz piszącemu po niemiecku, Stanisławowi Przybyszewskiemu, przyznać, podobnie jak przed rokiem, zasiłek z Wojennej Kasy Zapomogowej — została przez zarząd tej kasy odrzucona z powodu braku środków, jednakże z zaleceniem przekazania sprawy do przychylnego załatwienia Fundacji im. Schillera.

Przybyszewski jest właściwie już tylko wspomnieniem pełnej nadziei epoki rozkwitu literackiego naturalizmu w dziewięćdziesiątych latach ubiegłego stulecia. Od tego obcego pisarza, na podstawie kilku pomysłowych, lecz treściowo bardzo egzaltowanych utworów, oczekiwano wówczas w kołach berlińskich najwyższych osiągnięć. Ale od tamtych czasów popadł on w całkowite zapomnienie, jako że główny ciężar swojej literackiej twórczości przeniósł na obszar języka polskiego. Jedynie niedostatek i spowodowana wojną przeprowadzka jego do Monachium wprowadziły go na powrót w sferę interesów literatury niemieckiej.

Czy z tego tylko powodu, że kiedyś odgrywał on pewną rolę w literaturze niemieckiej, należy znowu zaliczyć go do nas — fakt ten pozostawiamy do oceny zarządowi. W każdym razie mogłoby chodzić jedynie o przejściową, względami wojny usprawiedliwioną pomoc Fundacji im. Schillera dla tego pisarza. Jeżeli zarząd Fundacji im. Schillera pomoc taką zechciałby poprzeć, stawiamy wniosek o niezwłoczne wypłacenie Stanisławowi Przybyszewskiemu sumy 200 marek.

Weimar, 28 czerwca 1916 r."

Podpis nieczytelny

Jak dalece Przybyszewski potrzebował pomocy i był wskutek tego niecierpliwy, świadczy pismo, wysłane do Dyrektora Fundacji w 6 dni po złożeniu podania. Przybyszewski pisał w nim: „Jedynie wyjątkowe trudności, w jakich się znajduję, zmuszają mnie do tego, by spytać uprzejmie Pana jako Generalnego Dyrektora Fundacji im. Schillera, czy moja prośba z 21 czerwca o pożyczkę w sumie 200 marek została uwzględniona, czy nie. Będę się poczuwał do wielkiej wdzięczności, jeżeliby Wielce Szanowny Pan Profesor zechciał skreślić do mnie kilka słów w sprawie mojej prośby.

Z wyrazami głębokiego szacunku
Stanisław Przybyszewski"

München, 27 czerwca 1916
Ruffinistr. 12"

Ostatni list Przybyszewskiego z 3 lipca tegoż roku jest najkrótszy: zawiera jedynie potwierdzenie otrzymanego zasiłku w sumie 200 marek oraz podziękowanie dla Fundacji. List ten zamyka zarazem jeszcze jeden nieznany epizod z życia pisarza, którego twórczość przeminęła, ale którego osobliwe dzieje budzą wciąż zainteresowanie historyków i krytyków literatury.

Jan Koprowski

Anglia

TWENTIETH CENTURY przekształciło się w kwartalnik i przeszło na numery specjalne. Numer lipcowy (vol. CLXX, nr 1010) jest antologią najróżniejszych aspektów komedii, tej być może ostatniej historycznej formy, jaka została ludzkości. Nieprzyjmowanie świata na serio jako forma psychicznej samoobrony szerzy się nagminnie, przy czym elitarna mniejszość ma swoją wysublimowaną odmianę, nihilistyczny humor i teatr absurdu. Głos zabierają zawodowi kpiarze, prowadzący „kolumny" humoru w pismach, rysownicy, pisarze, którzy jak Kingsley Amis zostali nie wiadomo dlaczego włączeni do satyryków, aktorzy i producenci przemysłu rozrywkowego, filmowcy i muzycy. „Zaledwie cienka linia dzieli amerykańską komedię od obłędu" — zauważył kiedyś James Turber. Czy linia ta już się nie zatarła? Pytanie to stanowi punkt wyjściowy artykułu Kennetha Allsopa, omawiającego makabryczny humor amerykańskich *„sicknics"*. W granicach pojęcia *„sick comedian"* mieści się szeroki wachlarz gradacji, od rytualnego sado-masochizmu do satyry politycznej. Natomiast Niemcy — zdaniem Johna Manderera — nie są przedawkowani, przeciwnie, renesans komedii, jaki przeżywają pod wpływem Brechta i Dürrenmatta, rozluźnił trochę ich przysłowiowe sztywniactwo. John Weightman daje analizę francuskiego nihilistycznego humoru. Poruszono mnóstwo tematów, całość jednak nie dała zbyt jasnego obrazu.

Końcową część numeru wypełniają dyskusyjne wypowiedzi wybitnych osobistości na aktualne tematy. Raymond Williams zastanawia się nad przyszłością marksizmu, Donald G. MacRae pisze, czym socjologia nie jest, G. B. Frazer ilustruje na przykładach, w jaki sposób najnowsze kierunki w malarstwie *(action paintings)* odbijają się w poezji, zaś Kenneth J. Robins zaznajamia nas z postulatami urbanistyki planowanej.

Bardzo interesujący numer wydał LONDON MAGAZINE (vol. I, nr 4) pt. *Malarstwo 1961*. Kilka klarownych szkiców, ilustrowanych reprodukcjami, wprowadza nas w ten współczesny labirynt. Michel Butor zamieszcza pierwszą część studium o źródłach współczesnej sztuki, czerpiącej soki z wielkiego przełomu w latach 1884—1914. Następnie Alan Bowness daje przegląd malarstwa angielskiego, John Russel pisze o Paryżu 1961, a Harold Rosenberg charakteryzuje najnowszy ruch amerykańskiej awangardy, *action painters*, czyli malarzy akcji. Jest to termin najczęściej używany i nadużywany w dyskusjach, nikt jednak dokładnie nie wie, co on oznacza. Szkic Rosenberga formułuje to pojęcie. Nowej sztuki amerykańskiej nie można nazwać malarstwem „czystym", gdyż tu ucieczka od przedmiotu nie jest dyktowana względami estetyki. Forma, kolor, kompozycja, rysunek są środkami pomocniczymi, które mogą być częściowo lub nawet całkowicie (były takie próby z pustymi płótnami) wyeliminowane. Znaczenie ma jedynie rewelacja zawarta w samym akcie, sposobie, w jaki artysta organizuje swoją emocjonalną i psychiczną energię. Sztuka, jako akcja, opiera się na założeniu, że artysta przyjmuje za realne jedynie to, co właśnie tworzy. Broniąc się przed ustaleniem czegokolwiek, musi ćwiczyć się w ciągłym „nie". Z natury rzeczy *action paintings* jest malowaniem w medium trudności, jest abstrakcją moralnego malarstwa w sztuce. Oparty na zjawisku nawrócenia, nowy ruch jest nieomal ruchem religijnym i sprzyja powstawaniu prywatnej mitologii. Ograniczony do estetyki i zbiurokratyzowany smak prawodawców sztuki współczesnej nie chwyta ludzkiego przeżycia zawartego w nowym malarstwie. Amerykańska sztuka awangardowa potrzebuje prawdziwego odbiorcy, zrozumienia dla nowej, twórczej zasady, a nie tylko rynku i reklamy.

Uwagi Robina Ironside o zmierzchu

sztuki portretu i tendencjach do antyportretu nasuwają wiele analogii z najnowszymi kierunkami w literaturze. Krótkie notatki autobiograficzne Paula Klee z lat 1879—1918 *(Notatki z moich pierwszych czterdziestu lat)*, podobnie jak wydane wcześniej pamiętniki, są dokumentem cennym dla adeptów sztuki, a pasjonującą lekturą dla laika.

W lipcowym numerze ENCOUNTERA (vol. XVII, nr 1) znajdujemy drugi z kolei artykuł z serii omawiającej wielkie uniwersytety. Markus Cunliffe, profesor historii z Manchesteru, pisze o Harvardzie, najstarszej i najbardziej snobistycznej uczelni amerykańskiej, z której wyszedł również obecny prezydent John Kennedy. Ostatnio prestiż jej zagrożony został przez Berkeley, który z dziką energią zdobywa sobie najlepszych uczonych i najzdolniejszych studentów.

Mary MacCarthy z właściwą sobie bezkompromisowością rozprawia się ze współczesnym dramatem amerykańskim. Jest to dramat realistyczny, ale, rzecz charakterystyczna, z wyjątkiem Chayefskiego, żaden z jego twórców nie czuje się dobrze w ramach tej etykietki. Realizm stał się dziś synonimem brzydoty i oportunizmu, odrzucając w gruncie rzeczy wszystko, co stanowi przedmiot wolnego wyboru. Reasumując, realizm jest to rzeczywistość zdeprecjonowana. Jest to ponura, purytańska doktryna, kwitnąca głównie w zimnych i zimnokrwistych krajach. Wewnątrz realistycznego dramatu istnieje jakby podwójne dno, wszystko wydaje się przypominać życie, lecz to podobieństwo jest pozorne, oznacza śmierć. Dramaturdzy realistyczni, zaczynając od Ibsena, zdawali sobie sprawę z braku jakiegoś zasadniczego elementu w ich sztuce. W Ameryce pragnienie zastąpienia brakującego elementu (zwykle określanego jako „poezja" lub „piękno") narasta proporcjonalnie do nieporadności językowej autorów. W całej realistycznej praktyce Artura Millera naiwne poszukiwania innego wymiaru łączą się z pogardą dla rzeczywistości.

Sztuka realistyczna jest z natury sadystyczna, zmusza bowiem ludzi do oglądania rzeczy nieprzyjemnych, bez możliwości odprężenia, jakie daje śmiech czy katharsis. Tennessee Williamsa fascynuje wyrafinowane okrucieństwo na granicy pornografii. Nikt sto lat temu nie mógł przewidzieć, że moralna teoria realizmu wyda takie owoce. Aby znaleźć idealnego realistę, trzeba najpierw znaleźć rzeczywistość — kończy swe wywody Mary MacCarthy. Po śmierci O'Neilla nie ma pisarza, który by wziął odpowiedzialność za to słowo.

Z artykułu H. R. Trevor-Ropera, profesora historii nowożytnej w Oxfordzie, dowiadujemy się o cieszącej się dużym powodzeniem książce A. J. P. Taylora pt. *O źródłach drugiej wojny światowej*. Koncepcja tej książki jest zaiste błyskotliwa. Otóż, zdaniem autora, Hitler był przeciętnym mężem stanu, nie lepszym i nie gorszym od innych. Ani mu się śniło o wojnie, do której pchnęły go okoliczności i błędy zachodnich polityków. Zdumiewający jest fakt, że książka została przyjęta przez ferującą wyroki Grub Street jako rewelacja angielskiej historiozofii i stawiana jest na równi z Gibbonem i Macaulayem. Wiele pism zamieściło pochlebne recenzje, broniąc jej przeciw atakom zazdrosnego wydziału historii. Samo suche streszczenie wywodów Taylora, jakie przytacza Trevor-Roper, jest przerażającym świadectwem umysłowej aberracji. Kazuistyczna obrona polityki zagranicznej Hitlera jest smutnym dowodem, na jakie manowce może zejść myśl naukowca.

W tymże numerze notatnik z dwumiesięcznej podróży po Afryce Melvina J. Lasky'ego, interpretacja ostatnich wydarzeń na Kubie dużego autorytetu w dziedzinie stosunków międzynarodowych — Teodora Drapera, odsłaniająca przerażający brak orientacji amerykańskich czynników rządzących, oraz ciepłe wspomnienie T. S. Eliota o zmarłym niedawno wydawcy, Geoffrey Faberze, którego był od trzydziestu lat najbliższym współpracownikiem.

Najmocniejszą pozycją ostatniego PARIS REVIEW (nr 25) jest proza, reprezentowana przez trzy opowiadania pisarzy wchodzących dopiero do literatury. Na pierwsze miejsce wysuwa się urzekające niesamowitością pomysłu opowiadanie duńskiego pisarza, Jana Gerharda Toondera, *Pająk*, przypominające makabryczne fantazje Hitchcocka.

Bardzo obiecująco zapowiada się proza Hughesa Rudda *(Pokój kochanka)*.

Wywiad z Robertem Lowellem, jednym z cenionych poetów średniego pokolenia i doskonałym tłumaczem Rilkego, Rimbauda i Propertiusa, odkrywa ciekawe szczegóły z okresu jego pierwszych prób poetyckich oraz bliskie związki z Allenem Tate'em, którego przyjaźni wiele zawdzięczał. Zapytany o obecny stan poezji amerykańskiej, Lowell porównał go do okresu aleksandryjskiego. Jego zdaniem poezja osiągnęła techniczną doskonałość, utraciła jednak związek z bezpośrednim przeżyciem. Poza Elizabeth Bishop, którą ceni najbardziej, nie widzi młodych poetów, którzy by odkrywali własny świat.

Poezję reprezentuje dwu znanych poetów angielskich; Donald Davie i Thom Gunn, i trzech nieznanych poetów amerykańskich: X. J. Kennedy, Daniel J. Langton i Lewis Turco. Grafikę — Duńczyk, Lars Bo, który w ciągu ostatnich dziesięciu lat wysunął się do czołówki paryskich grafików. Jego ilustracje czy, jak woli je nazywać, „iluminacje" reprodukowane tutaj pochodzą ze zbioru rysunków do krótkich opowiadań Kafki i robią przejmujące wrażenie.

at

Austria

ÖSTERREICH IN GESCHICHTE UND LITERATUR (Wiedeń), nr 6, czerwiec 1961 r. Do przeszłości austriackiej kultury wraca Erwin Christian Scholz w artykule o życiu muzycznym 1620—1740. O najnowszych czasach pisze Gerhard Fritsch, który bada problemy współczesnej powieści społeczno-politycznej. Przedmiotem zainteresowania Fritscha jest tak zwany Zeitroman, gatunek epiki odtwarzający obraz rozwoju Austrii w latach 1934—1960.

„Na pierwszy rzut oka — pisze autor — przeważa tematycznie czas «ciemnych lat», czas wojny, prześladowania i emigracji... Przy dużej różnorodności poszczególnych powieści dominuje w nich obrona znieważonego człowieczeństwa i poszukiwanie dróg ocalenia indywidualności w nieludzkiej epoce." Do autorów opisujących ten okres należą Franz Theodor Csokor, Aleksander Sacher-Masoch, Friedrich Torberg, Ilse Aichinger oraz Fritz Habeck, którego powieść *Jazda na tygrysie* Fritsch uważa za najbardziej charakterystyczne odbicie tej doby. Z pisarzy młodego pokolenia wyróżnia się tutaj Hans Lebert, autor głośnej powieści *Wilcza skóra*, poruszającej problem winy i kary za zbrodnie faszyzmu. „Wiele z tych dzieł — konkluduje krytyk — osiąga niewątpliwie poziom artystycznej prozy. Ale nad wszystkimi góruje jako przenośnia pokusy i zła powieść Hermanna Brocha *Kusiciel*, wydana już po śmierci pisarza."

W dalszym ciągu kronikarz omawia powieści opisujące czasy powojenne. Ich ilość jest niemała, ale zdaje się, że żadna z nich nie wznosi się ponad poziom przeciętności.

Numer zamykają recenzje i kronika kulturalna.

DIE BÜHNE (Wiedeń), nr 34, lipiec 1961 r. Numer imponuje wielością informacji o życiu teatralnym Austrii i najważniejszych scen Europy. Zwraca uwagę podsumowanie sezonu teatralnego Wiednia (1960/1961). Za najciekawsze przedstawienie ostatniego roku uważa redakcja *Becketa* Anouilha, a jako najlepszą rolę wyróżnia kreację Heidemarie Hatheyer, która grała Medeę w *Złotym runie* Grillparzera. Z muzycznego repertuaru największe pochwały zbiera *Zemsta nietoperza* Straussa pod dyrekcją Herberta Karajana.

Z relacji o obcych scenach zwraca uwagę duży fotoreportaż o Moskiewskim Teatrze Opery i baletu, zawierający dużo zdjęć i informacji, wreszcie omówienie mediolańskiego przedstawienia sztuki Patrioniego Griffi *Czarna dusza (Anima nera)*, które stało się najgłośniejszym wydarzeniem teatralnym Włoch.

rk

Czerwcowy numer LES TEMPS MODERNES przynosi na czołowym miejscu fragment nowej powieści Hélène Parmelin pt. *Żołnierz znany*. Powieść ta wydaje się być jeszcze jedną, nader oryginalną, próbą wykroczenia poza ramy powieści tradycyjnej drogą przemieszania wątku fabularnego z rzeczywistymi przeżyciami autora, czasu powieściowego z czasem realnym, opowieści z pamiętnikiem. Aby wyrokować o sukcesie tego eksperymentu, chyba zresztą niepowtarzalnego, trzeba poczekać na całą książkę. Zapowiada ją Julliard w jesieni. Najwięcej miejsca zabiera w numerze interesujący szkic socjologiczny o formach alienacji kolonialistycznej i formach oporu rodziny algierskiej, opracowany przez dwóch bojowników Frontu Wyzwolenia Narodowego, ukrywających się pod pseudonimami Saadia i Lakhdar. Autorzy rozróżniają cztery zasadnicze formy alienacji stosowane przez kolonializm w Algierii, a mianowicie naturalizację, wcielanie do wojska francuskiego, prostytucję oraz przymusową ekspatriację siły roboczej do Francji, i omawiają po kolei formy oporu, jakie spontanicznie przeciwstawiają im podstawowe komórki algierskiego życia społecznego, rodziny. W tym samym numerze wstrząsający dokument z siedmioletniego pobytu w psychiatrycznych zakładach zamkniętych, *Rafy* Simone Nathan. Jest to wielka spowiedź z życia osoby niewątpliwie chorej i niezrównoważonej, której jednak pobyt w szpitalach zrujnował resztki zdrowia psychicznego. W ten sposób *Les Temps Modernes* podejmują znów temat ostatnio zaniedbany, a nie schodzący od piętnastu lat z ich łamów: zasadniczej reformy lecznictwa psychiatrycznego we Francji i w całym współczesnym świecie. René Leibowitz, najwybitniejszy francuski krytyk muzyczny, drukuje w numerze czerwcowym obszerne studium o operze Schönberga *Mojżesz i Aaron*, która jego zdaniem stanowi najpełniejszą i najświetniejszą syntezę sztuki operowej naszych czasów.

Kolejny numer LES LETTRES NOUVELLES (poprzedni przyniósł *Traktat o manekinach* Brunona Schulza, jak już o tym donosiliśmy, i stał się sensacją sezonu wydawniczego) poświęcony jest młodym pisarzom południowo-amerykańskim. Przedstawia ich równie młody, ale już znany szeroko poeta, Octavio Paz. Wybór celowo pomija pisarzy znanych już w Europie, jak Jorge Luis Borges, Alejo Carpentier czy Miguel Angel Asturias, przynosząc zupełnie nieznane nazwiska. Rzecz ciekawa: niesłychana profuzja poezji na tym kontynencie, na dwudziestu siedmiu nowych pisarzy tylko sześciu prozaików, reszta to poeci. Utrudnia to zresztą osąd, bo przekłady poezji, zwyczajem francuskim, niestaranne i byle jakie, nie dają żadnego pojęcia o osobowości twórczej autorów. Z prozaików warto zapamiętać nazwiska dwóch Meksykańczyków, Juana Rulfo i Juana José Arreola. Obydwaj nie są już debiutantami (urodzeni w 1918 roku). Pierwszy ma na swoim koncie powieść *Pedro Paramo* (tłumaczoną we Francji) i tom opowiadań *Równina w ogniu*, drugi dwa tomy opowiadań: *Vario invención* i *Confabulario*. O ile Rulfo — sądząc po zamieszczonych tu próbkach — ma talent soczyście i barwnie realistyczny, o tyle Juan José Arreola lubuje się w grotesce i fantastyce i w sposób wręcz zdumiewający przypomina naszego Stanisława Zielińskiego. Trudno wołać o wydanie Rulfa i Arreoli, skoro nasze wydawnictwa nie zapoznały nas dotychczas ani z Carpentierem, ani z Borgesem, ale warto te nazwiska zapamiętać na przyszłość. W części sprawozdawczej notujemy polonicum: entuzjastyczny artykuł Butora (ma on, nawiasem mówiąc, entuzjazm dość łatwy) o malarstwie Kujawskiego z okazji jego wystawy w Darmstadt. Młody krytyk Bernard Teyssèdre drukuje ciekawe studium o estetyce Lukacsa pt. *Realizm krytyczny i awangarda*.

Ciekawy, w miarę ciekawy, ale wcale nie ogórkowy, lipcowy zeszyt LA NOUVELLE REVUE FRANÇAISE. Na czołowym miejscu E.M. Cioran kreśli *Portret człowieka cywilizowanego*, który jest jednym wielkim persyflażem, szyderstwem i pośmiewiskiem z dobrodziejstw (?) współczesnej cywilizacji.

Trudno nie dopatrzyć się pewnej racji w przytłaczających argumentach Ciorana, gdy jednak pisze, że „z dniem, gdy ostatni analfabeta nauczy się czytać i pisać, człowiek jako taki będzie zagrożony w swym istnieniu", musimy wzruszyć ramionami. Niesporną zdobyczą cywilizacji jest umiar, winien obowiązywać także w rozumowaniu. Piękne poematy prozą Michel Deguy, najwybitniejszego poety debiutującego pokolenia. Georges Poulet zamieszcza w tym numerze pierwszy rozdział dłuższego studium krytycznego o pojęciu przestrzeni u Lamartine'a, Marcel Jouhandeau kartki z dziennika, wreszcie Christian Liger pierwszą część interesującej sztuki o Giordanie Bruno pt. *Ofiara*. Wzruszające wspomnienie o Armand Robinie drukuje Henri Thomas. Bardzo urodziwe przekłady z Yeatsa zamieszcza André Pieyre de Mandiargues.

W lipcowym, ogórkowatym MERCURE DE FRANCE ładne opowiadanie Bernarda Delvaille *Najskrytsza miłość*, dobre wiersze Philippe Le Franca i Ofelii de Rougé oraz artykuł znanego historyka Jules Isaaca o słynnej sztuce Diego Fabbri *Proces wytoczony Jezusowi*, w którym dowodzi, że tak na przestrzeni dziejów, jak i dziś, historiografia chrześcijańska jest wiecznie bijącym źródłem antysemityzmu. Jak zwykle doskonały felieton Nicole Vedrès.

Podwójny numer ESPRIT za lipiec-sierpień przynosi parę artykułów o ostatnim puczu generałów i rozważań o roli armii we współczesnej demokracji zachodniej pod tytułem *Pretorianie*. Poza tym piękny tekst José Bergamina o Andaluzji pt. *Cante Hondo* i parę wierszy poety ukrywającego się pod pseudonimem Youri, którego już nie pierwszy raz czytamy na tych łamach.

LA TABLE RONDE, o której powiązaniach z faszyzującą pajęczyną Opus Dei pisaliśmy już nieraz, zamierza wyraźniej określić swe oblicze. Numer wakacyjny za lipiec—sierpień jest ostatnim wydanym pod redakcją Pierre Sipriot, który zgłosił dymisję. Nowy komitet redakcyjny będzie podany do wiadomości w numerze wrześniowym, zmienił się już od dziś wydawca, Plon przestał firmować pismo. W ostatnim tym numerze warto zasygnalizować zbiór wypowiedzi muzyków, kompozytorów i ludzi sztuki w hołdzie Henri Barraudowi, wybitnemu kompozytorowi francuskiemu, z okazji sześćdziesięciolecia urodzin, obszerny szkic Jean Marie Magnana o *Testamencie Orfeusza* Cocteau (w formie listu prywatnego) oraz olbrzymi poemat Pierre Béarna wystylizowany pod Apollinairowską *Piosnkę Niekochanego*, o tematyce jak na *La Table Ronde* nader nieobyczajnej, bo bardzo zmysłowej. Emmanuel Berl, który od lat z tym pismem współpracował, przeniósł się definitywnie ze swym felietonem do *Preuves*. W dziale sprawozdawczym ostry atak na *Matkę Joannę od Aniołów* i jurorów Festiwalu w Cannes, którzy nie tylko film ten dopuścili, lecz olśnieni tym „fałszywym arcydziełem" przyznali mu jeszcze nagrodę specjalną.

Bardzo interesujący i bynajmniej nie ogórkowy lipcowy numer PREUVES. Zawiera on między innymi pasjonujący artykuł Jacques Carata *Jutro Paryża*, relacjonujący urządzoną ostatnio w stolicy Francji wystawę perspektywicznego planu rozbudowy Paryża. Plan ten idzie po linii najmniejszego oporu, zamierza szerzej jeszcze rozprzestrzenić macki wielkiej metropolii, kosztem ostatnich terenów zalesionych w sąsiedztwie stolicy. Planowi temu — jak pisze Carat — grupa architektów i urbanistów zgrupowanych wokół pisma *L'Architecture d'Aujourd'hui* przeciwstawia inny, niesłychanie ambitny, lecz w warunkach kapitalistycznych nader trudny do realizacji. Szłoby mianowicie o powstrzymanie chaotycznej rozbudowy we wszystkich kierunkach — co zwiększa tylko trasy przejazdów pracowniczych i do cna zakorkowuje miasto — i o wybudowanie kosztem tego, o pół godziny drogi samochodem od Paryża (30—35 km), nowego milionowego miasta, przedzielonego od Paryża wielkimi terenami zielonymi, czymś w rodzaju śląskiego Parku Kultury na jeszcze większą skalę. Tylko takie rozwiązanie będzie rozwiązaniem w pełni urbanistycznym, potrafi „rozgęścić" stary Paryż nie naruszając jego historycznego charakteru i nie przeszkadzając jednocześnie w dalszej, nieuniknionej, rozbudowie kompleksu stolicy. Pomysł jest tak porywająco ambitny, że może znaleźć za-

paleńców, ale z realizacją trzeba będzie poczekać do innego ustroju niż kapitalistyczny. Drugą znakomitą pozycją numeru jest esej Roger Caillois *Ślady*. Wybitny ten pisarz i uczony, wędrując po pograniczach i rubieżach różnych nauk specjalistycznych, jak geologia, zoologia, antropologia, botanika, studiując mało znane owady i kolekcjonując rzadkie okazy kamieni, trafił na interesujące zbieżności, które w tym miejscu wykłada, pomiędzy sztuką współczesną, ściślej plastyką współczesną, a zasadniczymi strukturami materii, często niedostrzegalnymi dla oka, bo mikro- czy makroskopijnymi. Dochodzi w swoim eseju do wniosku, że „malarstwo nieprzedstawiające nie istnieje, bo nie ma takiej kompozycji form i kolorów, wymyślonej i wykonanej przez człowieka, choćby pomyślanej jako najbardziej odległa od rzeczywistości, dla której nie można by odnaleźć w przyrodzie wzoru albo stycznej". I przykłady, jakie podaje na poparcie swojej tezy — od rysujących się w pejzaże flamandzkiego malarstwa linii i spękań marmurów florenckich poprzez przekroje włókna obserwowane pod mikroskopem czy splątane ślady nart na śniegu aż po zdjęcie żyznej równiny z lotu ptaka — są nadzwyczaj przekonywające. W tym samym numerze piękny wiersz greckiego poety Sikelianosa *Przysięga nad Styksem*, artykuł Sabiny Brandt o literaturze lat ostatnich w NRD, dobre kroniki Berla i Jeleńskiego.

jl

Jugosławia

Janko Kos w obszernym szkicu *Konflikt współczesnego dramatu* (PERSPEKTIVE, marzec—czerwiec) zajmuje się problematyką czterech sztuk pisarzy słoweńskich, drukowanych lub granych ostatnio w teatrach jugosłowiańskich. Autor próbuje sklasyfikować rodzaje i funkcje konfliktów, ustala ich genealogię i zbieżności oraz poszukuje dla nich wyznaczników w postawach moralno-politycznych. Rozważania te są dość symptomatyczne — dają się po prostu odnieść do ogólnej sytuacji, w jakiej znajduje się dramat jugosłowiański w okresie powojennym. Obok nielicznych eksperymentów, poczętych w klimacie francuskiej awangardy lat pięćdziesiątych, większość dramatopisarzy w dalszym ciągu pozostaje w sferze wpływów i praktyki dwóch czołowych pisarzy: Cankara i Krležy. Upiorne już ciążenie problematyki okupacyjnej, widoczne zresztą w powyższych utworach, dotknęło również debiut sceniczny świetnego pisarza Vladana Desnicy pt. *Drabina Jakuba*, oczekiwany z pewnym zainteresowaniem, a nawet z niepotrzebnym pośpiechem przełożony już na język polski. Na tegorocznym Festiwalu Teatralnym (Starijno Pozorje) w Nowym Sadzie, gdzie m. in. wyjątkowo ostro i krytycznie przyjęto spektakl Desnicy, wystąpiły w całej rozciągłości wszystkie te słabości. W związku z tym Peter Selem (POLJA, czerwiec) pisze, iż jedyną współczesną sztuką, przedstawiającą rzeczywiste wartości literackie i sceniczne, okazał się dramat *Antygona* Dominika Smoleta, nowoczesna transpozycja mitu. Wobec takiego stanu rzeczy cytowany krytyk konkluduje: „...jeżeli Sterijno Pozorje ma być zwykłym festiwalem sztuki teatralnej, to dozwólmy wystawiać dzieła autorów zagranicznych. Według mego najgłębszego przekonania, do rozwoju naszej kultury teatralnej więcej przyczyni się Brecht lub Schèhade, a nawet Szekspir, niż *Autobiografia* (dzieło B. Nusiča, adaptowane na scenę — *sk*).

KNJIGA I SVET (z kwietnia i maja) publikuje artykuł Stojana Subotina — *O tłumaczach, przekładach i jeszcze o czymś*. W recenzjach tłumaczonych książek albo zupełnie nie pisze się o pracy tłumacza, albo też kwituje się jego trud lakoniczną, z reguły pochlebną wzmianką. Wynika to z niedoceniania pracy tłumacza czy z nieznajomości języka oryginału. Subotin podkreśla uczuciową stronę działalności translatorskiej. W obojętności tłumacza wobec autora i jego dzieła dostrzega groźne niebezpieczeństwo. Obecna sytuacja sprzyja rozmnażaniu się zawodowych

tłumaczy, którzy z czysto materialnych pobudek podejmują się każdej roboty.

Zagrzebska REPUBLIKA (marzec) uczciła 90-lecie urodzin i 70-lecie pracy twórczej nestora literatury słoweńskiej, Frana Saleškiego Finžgara. W tym samym numerze — przekłady interesujących, dotąd nie publikowanych wierszy i fragmentów listów F. G. Lorki.

sk

Niemiecka Republika Demokratyczna

NEUE DEUTSCHE LITERATUR (Berlin), nr 7, lipiec 1961 r. W numerze przeważa proza, której wachlarz obejmuje kilka pokoleń pisarzy, od najstarszej generacji począwszy, na najmłodszej skończywszy. Wspomnieniowy charakter ma *Okiełznana wolność* Hansa Marchwitzy, którego powieści ukazały się przed laty w polskim przekładzie. Marchwitza drukuje tu wyimek autobiograficznej książki *Ameryka*, która niebawem ukaże się nakładem wydawnictwa Tribüne. Z fragmentów powieściowych trzeba też wspomnieć o epizodzie z książki Waltera Kaufmanna *Rozstaje* oraz fragment młodzieżowej powieści Maxa Zimmerera *Strachy z Ceglanej ulicy*.

Poza tym znajdujemy kilka nowel młodych autorów, którzy dopiero debiutują lub niedawno rozpoczęli działalność literacką. Z krytyków zabiera głos Klaus Hermsdorf, który pisze o renesansie kultu prusactwa we współczesnej literaturze zachodnio-niemieckiej. Z pisarzy przedwojennych autor wspomina tu o Ernście Jüngerze, który wydał w ostatnich latach kilka książek. Wśród nowszych autorów uwagę krytyka absorbuje przede wszystkim Hans Scholz i jego dwie powieści: *Nad zielonym brzegiem Szprewy* oraz *Ciesz się teraz, Berlinie*. Hermsdorf ostro krytykuje obie książki za ich wsteczną tendencję. Liryce Johannesa R. Bechera poświęcony jest szkic Güntera Miehta pod tytułem *Poeta wiosny*.

Dział recenzji zawiera omówienia bieżących nowości wydawniczych, wśród których zwraca uwagę IV tom *Historii Literatury Niemieckiej*, opracowany przez kolektyw złożony z pięciu autorów. Tom, obejmujący okres od 1480 do 1600 roku, jest częścią monumentalnego, na wiele tomów obliczonego dzieła, które historycy literatury przygotowują od lat w ramach prac nad dziejami niemieckiego piśmiennictwa.

Numer zamykają glosy, polemiki oraz obszerny przegląd wydarzeń kulturalnych.

SINN UND FORM (Berlin), nr 3, czerwiec 1961 r. W przeciwieństwie do poprzednich numerów tym razem wypełniają dwumiesięcznik głównie prace publicystyczne i krytyczne. Na wstępie redakcja drukuje szkic Erenburga *Pablo Picasso*, wydany w roku 1955. O innym malarzu, Franciszku Goyi, pisze wiedeński krytyk i dramaturg Ernst Fischer. Jego obszerne studium ma duże walory literackie i kreśli ciekawy obraz epoki, życia i twórczości hiszpańskiego malarza.

Ozdobą numeru jest fragment trzeciego aktu nowej sztuki Arthura Adamova *Wiosna 1871*, osnutej na wydarzeniach Komuny Paryskiej. Z zagadnieniami teatru łączy się rozprawka Maxa Herrmannsa *Pantomima*, omawiająca istotę i technikę widowiska pantomimicznego. Szkic ten pochodzi z pośmiertnej teki Herrmannsa, założyciela nowoczesnej teatrologii niemieckiej, który został w 1942 roku zamęczony przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym Teresin. Kilka ostatnich prac tego wybitnego uczonego udało się uratować jego asystentce, pani Ruth Mövis.

Miłośników teatru zaciekawią wspomnienia Hansa Iheringa pod tytułem *Spotkania*, wskrzeszające w anegdotycznej formie dzieje berlińskich i wiedeńskich scen w pierwszych dziesięcioleciach naszego wieku. W notatkach Iheringa przewija się korowód reżyserów, autorów i aktorów „złotej ery" niemieckiego teatru. Najpierw pojawia się Max Reinhardt, potem Bertolt Brecht debiutujący na berlińskich scenach, słynny w owym czasie Siegfried Jacobson, redaktor *Schaubühne*, akto-

rzy Max Pallenberg, Albert Bassermann, Aleksander Girardi, Fritz Kortner, Heinrich George i Werner Krauss, pisarze ekspresjonizmu, który wówczas niepodzielnie panował w literaturze i był kolebką kilku generacji pisarzy.

Numer zamykają uwagi Arnolda Zweiga o formie epickiej i dramatycznej oraz przegląd ostatnich wydarzeń teatralnych i filmowych Iheringa.

S

Niemiecka Republika Federalna

AKZENTE (Monachium), nr 3, czerwiec 1961 r. Cały numer poświęcony jest problematyce powieści. Cykl artykułów na ten temat rozpoczynają refleksje dwóch krytyków amerykańskich, Welleka i Warrena, autorów głośnej *Teorii literatury*, którzy rozważają zagadnienie rzeczywistości i iluzji w dziele epickim: „Rzeczywistość powieści — piszą — to znaczy jej iluzja rzeczywistości, jej oddziaływanie na czytelnika, nie jest bez zastrzeżeń i przede wszystkim rzeczywistością warunków lub szczegółów czy codziennej rutyny życia... Realizm i naturalizm, w dramacie czy powieści, są literackimi lub literacko-filozoficznymi kierunkami, konwencjami, stylami, podobnie jak romantyzm bądź surrealizm. Różnica polega nie na rozróżnieniu pomiędzy rzeczywistością a złudzeniem, lecz pomiędzy różnymi ujęciami rzeczywistości, pomiędzy różnymi rodzajami iluzji. Uwaga: napomnienie czytelnika, by powieściopisarz zajął się »życiem«, jest często wezwaniem do zachowania konwencji dziewiętnastowiecznej prozy".

Strukturę powieści badają czterej autorzy. Hermann Piwitt drukuje szkic *Przyczynek do problemu początku powieści*, w którym przytacza różne sposoby rozpoczynania powieści w prozie dziewiętnastowiecznej i współczesnej, dochodząc do wniosku, że w początku powieściowym z reguły manifestują się przebieg, zalążki stylu i ujęcie rzeczywistości całego dzieła. Szwajcarski krytyk i historyk literatury, Ferdynand Lion, pisze o stylu francuskiej powieści od Stendhala i Balzaka do Gide'a i Prousta. Ewa Hesse analizuje prozę Samuela Becketta, wreszcie Walter Höllerer kontynuuje wywody z poprzedniego numeru o powieści Joyce'a.

Nową powieść niemiecką ilustrują fragmenty nie drukowanych jeszcze dzieł kilku autorów. Najciekawsze z nich to wyimki z powieści Güntera Grassa *Łupiny ziemniaków* i Waltera Höllerera *Opisanie opisu*.

MERKUR (Stuttgart), nr 160, czerwiec 1961 r. Największe zaciekawienie wzbudzają dwie prace publicystyczne: esej Zofii D. Podewils *Czas i istnienie* oraz studium Hansa Egona Holthusena o dramaturgicznej tezie „obcości" *(Verfremdung)* Bertolta Brechta. Zofia Podewils omawia metamorfozę pojęcia czasu i przestrzeni, spowodowaną przez teorię względności i teorię kwantów, oraz wynikające stąd konsekwencje natury filozoficznej, językowej, literackiej.

Holthusen, który powraca do teatralnej teorii Brechta, porusza zagadnienie często komentowane i jeszcze częściej wypaczane a, co najgorsze, stosowane do zjawisk nieraz nic wspólnego ze światem Brechta nie mające. Krytyk opiera się w pierwszej części swej pracy na teoretycznych wywodach Brechta, a w drugiej części konfrontuje zasady epickiego teatru z *Kaukaskim kołem kredowym*. Interpretacja tej sztuki, którą daje Holthusen, nasuwa szereg wątpliwości.

Dział recenzyjny omawia bieżące nowości wydawnicze. Tutaj zasługuje na uwagę artykuł Wernera Hofmanna o kilku studiach z zakresu teorii sztuki, które ostatnio się w Niemczech ukazały. Z tych publikacji zwracają uwagę: *Filozofia historii sztuki* Arnolda Hausera i *Sztuka i prawda* Hansa Sedlmayra.

NEUE DEUTSCHE HEFTE (Gütersloh), nr 82, lipiec—sierpień 1961 r. Relację rozpoczynamy od poloników. W zeszycie znajdujemy przekład kilku aforyzmów Karola Irzykowskiego (niestety bez adnotacji wyjaśniającej czytelnikowi niemieckiemu, kim był Irzykowski) oraz recenzję Hansa Kicheldorffa o *Ferdydurke*. Powieść Gombro-

wicza wyszła z druku w wydawnictwie Günther Neske w Pfullingen, w przekładzie Waltera Tiela. Kicheldorff ocenia wysoko książkę, pisząc między innymi: „Już dwa dziesięciolecia, które ta powieść przetrwała nie wykazując istotnych śladów rdzy, mówią dostatecznie o jej randze. Co więcej: to, co wtedy zostało w Warszawie napisane być może jako bardzo śmiały eksperyment, zostało później potwierdzone przez rozwój, który dał nowy impuls niesłusznie na śmierć skazanej formie powieściowej. Z olśniewającym niemal blaskiem *Ferdydurke* promieniuje fascynacją genialnego prekursora. I jest tragiczną konsekwencją historii naszego stulecia, która nie sprzyja sztuce, że ten prekursor nie stał się również pionierem torującym w Europie nową drogę".

Wśród prac krytycznych trzeba wymienić szkic Hansa Weigla o dramaturgii Pirandella i artykuł J. v. Kempsky'ego o filozofie Wittgensteinie. W numerze znajdujemy wybór nowych wierszy poetów holenderskich i nowelę Heinza Albersa. Obszerny dział recenzyjny zawiera omówienia bieżących nowości wydawniczych.

DIE KULTUR (Monachium), nr 164, czerwiec 1961 r. W tym numerze publicystyka wyparła prozę i poezję. Najpierw więc czytamy wypowiedź Tennessee Williamsa (rzecz przedrukowano z *New York Times Magazine)* na temat „stanowiska wolnego pisarza". Williams odpowiada na zarzuty dziennikarki Marii Mannes, która wypomniała amerykańskim dramaturgom, a w szczególności Williamsowi, że „dręczą, straszą i po prostu pozbawiają woli" amerykańską publiczność. Na dowód, że widz nie pragnie „niezdrowej" sensacji, pani Mannes powołuje się na ogromne powodzenie musicalu *My Fair Lady* osnutego na *Pigmalionie* Shawa. Odpowiedź dramatopisarza brzmi: „Nie zrobiliśmy nic gorszego niż to, co robi aparat rentgenologiczny lub strzykawka, która ściąga krew, aby obniżyć ciśnienie. Chociaż tu chodzi o instrumenty lekarskie, to i my — jak sądzę — zrobiliśmy co można, by wysondować, które tkanki i ciałka krwi w naszym świecie są zdrowe, ukazując ciemne plamy i rozsadniki choroby".

Słowa ostrej krytyki przeciwko młodzieży Zachodu drukuje prozaik Hans Habe w artykule pod znamiennym tytułem *Nie cierpię tej młodzieży.* „Nie cierpię tej młodzieży po pierwsze i przede wszystkim dlatego, że nie mogę znieść jej negatywnego stosunku do życia, do społeczeństwa i siebie samej. Tutaj naruszam powszechne tabu, albowiem nie wolno dziś domagać się pozytywnej postawy... Młodzież była zawsze krytyczna, niezadowolona, rewolucyjna i po trosze destrukcyjna, ale w tym sensie, że chciała zniweczyć to, co istnieje, i zastąpić je czymś nowym. Jej negatywizm dawniej wynikał z rozczarowania, że sprawy nie miały się tak, jak sobie tego życzyła. A zatem życzyła sobie czegoś i chciała".

Dział recenzyjny omawia bieżące nowości wydawnicze, poza tym pismo relacjonuje o aktualnym repertuarze niemieckich teatrów, podaje informacje o życiu kulturalnym i wydawniczym.

rk

Węgry

ÉLET ÉS IRODALOM, marzec. Najbardziej godną zainteresowania pozycją numeru jest rozprawa Andrasa Diószegi pt. *Dzisiejsza nowela a współczesność.* Uwypuklając niektóre charakterystyczne przejawy nowelistyki węgierskiej, Diószegi stwierdza, że cechuje je swoista powierzchowność, idąca w parze z tanim sentymentalizmem. Niewyszukane są zarówno problemy, jak stosowane wobec nich rozwiązania, pozory realizmu zaś osiąga się za pomocą wprowadzania banalnych przesłanek uczuciowych.

W pewnym okresie główny kierunek wyznaczało stwarzanie pseudopozytywnych bohaterów, obecnie zaś najbardziej popularnym schematem jest nawracający się na socjalizm drobnomieszczanin, który właściwie nie przeżywa żadnych konfliktów, a najwyżej jakaś omyłka lub dziwactwo oddziela go od świata „porządnych ludzi".

Diószegi powołując się przede wszyst-

kim na opowiadania Anny Balázs, Tibora Barabasa i Zsuzsy Thury stwierdza, że reprezentują one nie realizm, lecz kierunek zmierzający do *sui generis* schematyzmu, zręczniejszego i łatwiej dającego się strawić niż dawniej.

Omawiając inne rodzaje współczesnej prozy nowelistycznej na Węgrzech Diószegi cytuje takie nazwiska, jak Endre Illés, Magda Szabó, Boris Palotai, to jest tych autorów, których absorbują „wielkie problemy" — życie i śmierć, wspólnota i samotność — oraz rzutowanie tych spraw na psychikę ludzką. Charakteryzując jeszcze inne kierunki stwierdza, że znaczna część współczesnych nowelistów węgierskich dąży do wydobywania z rzeczywistości nie tylko błysków, elementów ważnych w sensie subiektywnym, lecz stara się doszukiwać uogólnień świadczących o prawidłowości zjawisk, dających wyraz obiektywnie sprawdzalnym elementom rzeczywistości.

W zakończeniu swej pracy Diószegi wzywa do zrywania z tradycyjnymi konwencjami, do tworzenia nowych środków wyrazu w miejsce starych i pokrytych rdzą form, strzegących jakże często takich treści, których czas już dawno minął.

Élet és Irodalom, kwiecień. Szczególną uwagę zwracają dwie pozycje: artykuł pt. *Samotność i jej aspekty* oraz słowo wstępne do zapowiedzianego cyklu artykułów na temat czołowych zjawisk literatury krajów socjalistycznych i literatury Zachodu.

Autor artykułu o samotności, Istvan Hermann, opierając się na materiale czerpanym z twórczości Kafki, Czechowa, Artura Millera, Gorkiego, Tomasza Manna, Martina Andersena Nexö, Camusa, Brechta oraz takich pisarzy węgierskich, jak Béla Illés, Máte Timár, Géza Molnár i Attila Jozsef, przeprowadza swą tezę dostrzegając zasadniczą różnicę między pojęciami samotność i samotnictwo.

Hermann, posługując się przykładami utworów wymienionych pisarzy, stwierdza, że samotność to okoliczności, to związki zachodzące w sytuacji wokół danych postaci. Samotnictwo natomiast to już więcej niż fakty i powiązania między faktami — to poddanie się sytuacji, bierne przyzwolenie na to, aby okoliczności niepodzielnie sprawowały swe panowanie.

zr

Związek Radziecki

Czerwcowy numer NOWEGO MIRA przynosi nowe dłuższe opowiadanie Wiktora Niekrasowa *Kira Georgijewna*, którego fragment ukazał się już przed paroma miesiącami w *Litieraturnej Gaziecie*. Autor *W okopach Stalingradu* od dawna cieszy się w Związku Radzieckim opinią pisarza poruszającego w sposób odważny i bezkompromisowy ostre problemy moralno-etyczne. Potwierdza to w pełni jego ostatni utwór. *Kira Georgijewna* jest opowieścią o powrocie człowieka, który ucierpiał niewinnie w okresie „kultu jednostki", i o perturbacjach, jakie powrót ten wywołał w życiu jego dawnej żony i jej otoczenia. Po licznych perypetiach wszystko wraca pozornie do stanu wyjściowego — dawni małżonkowie rozstają się ponownie, tym razem już na zawsze, następuje to jednak po wielu dramatycznych spięciach i bezskutecznych próbach odnalezienia „straconego czasu". Nowe opowiadanie Wiktora Niekrasowa stanowi niezmiernie ciekawe studium psychologiczno-obyczajowe współczesnej inteligencji radzieckiej. Wyraziste sylwetki bohaterów, zwięzły i lakoniczny dialog, a przede wszystkim pełna pasji szczerość bijąca z opowiadania — wszystko to sprawia, że *Kirę Georgijewnę* czyta się z dużym napięciem. Utwór ten ma się wkrótce ukazać nakładem PIW-u.

W tym samym numerze znajdujemy drugą interesującą pozycję prozatorską — powieść Włodzimierza Fomienko *Pamięć ziemi*, której akcja rozgrywa się po wojnie nad Donem, w środowisku wiejskim. Miesięcznik wydrukował dopiero pierwszy odcinek *Pamięci ziemi*, jednakże już w pierwszych rozdziałach uderza ostrość obserwacji autora i autentyzm jego bohaterów.

E. Drabkina publikuje *Opowieść o nie napisanej książce*, w której kreśli

nader interesujący portret Johna Reeda — pisarza i rewolucjonisty.

W dziale poezji — dwie ciekawe pozycje. D. Samojłow, z którego utworami nasi czytelnicy mogli się zapoznać w majowym numerze *Twórczości* z ub. roku, zamieszcza cykl nowych wierszy. Nasz niedawny gość, Rasuł Gamzatow, drukuje cykl filozoficznych liryków pt. *Rozmyślania,* odznaczający się nadzwyczaj staranną formą i zwięzłością wypowiedzi poetyckiej. Komplementy należą się także z pewnością znanemu tłumaczowi N. Grebniewowi za piękny przekład rosyjski.

Z pozostałych materiałów warto odnotować artykuł Lwa Kopielewa *Nie przezwyciężona przeszłość* — o współczesnej literaturze zachodnio-niemieckiej, obszerny esej A. Sztejna o *Lesie* Aleksandra Ostrowskiego, oraz interesującą korespondencję Maksyma Gorkiego z Leopoldem Sulerzyckim.

Cennym uzupełnieniem numeru jest jak zwykle obszerny i rzeczowy przegląd bibliograficzny.

Czerwcowy OKTIABR przynosi zakończenie powieści Micosa Aleksandropulosa *Noce i świty,* o której wspominaliśmy w poprzednim przeglądzie. W dziale prozy znajdujemy ponadto opowiadanie Sofii Georgijewskiej *Młodzi,* którego bohaterami są młodzi małżonkowie i ich mała córeczka. Opowiadanie Georgijewskiej wyróżnia się zwartą kompozycją i starannym rysunkiem psychologicznym postaci. Utwory, w których świat dorosłych ukazany jest na tle przeżyć i obserwacji małego dziecka, wymagają od autora dużego taktu i wstrzemięźliwości. Georgijewska wychodzi niewątpliwie obronną ręką z tej próby.

Poezję reprezentują w *Oktiabrze* wiersze Kazimierza Lisowskiego, poemat Ilji Awramienko Zarubki oraz Fiodora Fołomina. Poziom ich nie wznosi się ponad przeciętność, w przeciwieństwie do wielu utworów, które ukazały się poprzednio w tak starannie zwykle redagowanym dziale poetyckim miesięcznika.

W dziale krytyki znajdujemy szkic W. Archipowa *Oręż krytyki,* poświęcony twórczości Wissariona Bielińskiego, którego 150-lecie urodzin obchodzone jest obecnie uroczyście w ZSRR.

W dziale *Dyskusje o książkach* zwraca uwagę utrzymana w nader krytycznym tonie recenzja A. Dymszyca o pamiętnikach Ilji Erenburga *Czas, lata, życie,* które zdobyły sobie ogólnie tak duże uznanie. Dymszyc zarzuca Erenburgowi „wskrzeszanie pewnych zapomnianych nazwisk poetyckich, niezrozumienie roli Majakowskiego, poetyzowanie przestarzałych poglądów na powołanie artysty i jego rolę w społeczeństwie itp. Jeśli autor nie zechce uściślić swoich wspomnień — pisze Dymszyc — będą one zawsze wymagać sporego komentarza krytycznego". Zarówno ton, jak i kierunek ataku określają w sposób dość charakterystyczny pozycję, którą zajął ostatnio *Oktiabr* w radzieckich polemikach literackich. Potwierdza to także artykuł W. Litwinowa *Tiendriakow „stary" i Tiendriakow „nowy",* w którym autor przeciwstawia ostatnim opowiadaniom pisarza (m. in. drukowanej w *Twórczości* opowieści *Trójka, siódemka, as*) jego dawne, rzekomo znacznie lepsze utwory.

Moskiewskie ZNAMIA przynosi w 6-tym numerze opowiadanie Grigorija Bakłanowa *Poległych hańba się nie ima.* Autor, który tak ciekawie zadebiutował w ubiegłym roku *Piędzią ziemi,* nadal tkwi mocno w tematyce wojennej. Bohaterami opowiadania są żołnierze dywizjonu artyleryjskiego, rozbitego w nierównej walce przez niemiecką grupę pancerną, którzy dokonują desperackiej próby przedarcia się przez linię frontu. W tej dramatycznej opowieści o męstwie i obowiązku, odznaczającej się zwartą i dynamiczną kompozycją, uwidocznił się ponownie talent narracyjny pisarza, jego skłonność do ostrego rysunku psychologicznego. Człowiek w sytuacji wyjątkowej, wymagającej pełnego napięcia sił, będącej sprawdzianem wszystkich cech charakteru — oto co najbardziej interesuje Bakłanowa. Nakreślone przez niego postacie obracają się niemal wyłącznie w kręgu takich właśnie sytuacji ostatecznych, które co chwila stwarza sceneria wojenna. Czyny tych ludzi określają ich całkowicie i jednoznacznie. W związku z tym wydaje się zbędny dość pokaźny komentarz odautorski, którego niemal zupełnie nie było w najlepszych partiach *Piędzi ziemi.* W każdym razie nowe opowiadanie Bakłanowa stanowi ciekawą lekturę i świadczy, że nie jest on z pewnością autorem jednej książki.

W tym samym numerze znajdujemy ponadto w dziale prozy krótką nowelę Stiepana Szczipaczowa *Na Górach Leninowskich* oraz opowiadanie Mirzy Ibragimowa *Serce Medine*. Miesięcznik drukuje także interesujące wspomnienia Mikołaja Tichonowa i reportaż Siergieja Smirnowa z podróży na Kubę.

W dziale poezji — nowe wiersze Eugeniusza Jewtuszenko oraz poemat Grigorija Kurieniewa *Na brzegu Połoty*.

Wśród materiałów krytycznych warto odnotować obszerny esej Samuela Marszaka o poezji Aleksandra Twardowskiego — *O życie na świecie*, którego pierwsza część ukazała się w majowym numerze miesięcznika.

JUNOST' rozpoczęła druk bardzo ciekawie zapowiadającej się powieści Wasyla Aksienowa o współczesnej młodzieży radzieckiej — *Gwiezdny bilet*. W tym samym numerze Wiktor Niekrasow o *Majdanku* i *Kwiatach Oświęcimia* radzieckiego grafika Zinowija Tołkaczowa, wydanych w 1945 roku w Polsce nakładem „Czytelnika".

Czerwcowa MOSKWA przynosi zakończenie powieści Eugeniusza Permiaka *Stara wiedźma*, o której wspominaliśmy w poprzednim przeglądzie. Miesięcznik drukuje także opowiadanie N. Pocziwalina *Czysty ton* oraz cykl nowel duńskiego pisarza Jorgena Petersena *Skrwawiony piasek*.

W dziale poezji — wiersze Andrzeja Demientiewa, Włodzimierza Ługowskiego, Eugeniusza Jewtuszenko i Mikołaja Ancifierowa.

INOSTRANNAJA LITIERATURA otwiera numer czerwcowy wierszem Jarosława Iwaszkiewicza *Córkom Jurija Gagarina*. Miesięcznik drukuje także cykl wierszy rewolucyjnych poetów chińskich (ze zbioru *Wiersze poległych bohaterów rewolucji)* oraz wiersz poety kubańskiego Felixa Pita Rodrigueza *Karabin Nr 5764*.

W dziale prozy *Inostrannaja Litieratura* kontynuuje druk powieści Bogusława Brzezowskiego *Żelazny pułap* oraz zamieszcza opowiadania pisarza norweskiego Oivina Bolstada *Cień między nimi* i *Bez maski*.

Z poloników odnotować należy nadzwyczaj ciepłą recenzję opowiadań Janusza Korczaka, które ukazały się niedawno w przekładzie Kingi Sienkiewicz, oraz noty o nowych filmach polskich.

Numer uzupełnia bogata jak zwykle kronika kulturalna i przegląd prasy zagranicznej.

zf

W SPRAWIE ZBIOROWEGO WYDANIA DZIEŁ NORWIDA

Styczniowy zeszyt *Twórczości* (nr 186) przyniósł m. in. obszerną notę pióra *W. N.*, zatytułowaną *Z warsztatu norwidologa*, a zawierającą nie tylko sprawozdanie z parogodzinnego referatu, który piszący te słowa poświęcił pod koniec ub. roku swojej pracy nad nowym zbiorowym wydaniem dzieł Cypriana Norwida, ale również szczegółowe informacje dotyczące terminów ukazywania się tych dzieł, mające zaspokoić zrozumiałą ciekawość czytelników, miłośników i badaczy wielkiego poety.

Takie same informacje ukazały się nieco wcześniej w artykule I. Lubaszewskiej, która przeprowadziła w tej sprawie wywiad dla *Expressu Wieczornego* (1960, nr 263), a także w liście otwartym Redakcji Klasyków PIW opublikowanym na łamach *Trybuny Ludu*.

Informacje były jasne, szczegółowe i dokładne, a ponadto trzykrotnie powtórzone, wydawało się więc, że każdy zainteresowany i trafi do nich (jeśli będzie mu na nich zależało), i zrozumie (jeśli je uważnie przeczyta). Nie przewidzieliśmy tylko jednego, a mianowicie tego, iż owi „zainteresowani" (?) nie zadadzą sobie w ogóle trudu, żeby się o takie informacje zatroszczyć.

Po co tam — myśleli niektórzy z nich — wertować czasopisma, po co zasięgać informacyj u edytora, po co porozumiewać się z kierownikiem odpowiedniej redakcji PIW, kiedy wystarczy wziąć arkusik papieru i nakreślić na nim takie np. słowa (wszystkie podkreślenia moje):

„Jakże tragiczny jest los Norwida. Nie uznawany przez całe życie (...), ślimaczo wydawany przez Miriama, po ostatniej wojnie, kiedy sława jego całkowicie ugruntowała się, znowu zostaje uwięziony w równie czułych rękach innego krytyka (to o mnie, choć jako żywo nie jestem „krytykiem" — *J.W.G.*). Istnieje uchwała Rządu o wydaniu Dzieł wszystkich Norwida, istnieje umowa na wydanie tych dzieł z Państwowym Instytutem Wydawniczym. Wydawnictwo w każdej chwili wydałoby dzieła Norwida, niestety po dziś dzień praca edytorska ślimaczy się w nieskończoność. Rozumiem czułość, rozumiem troskliwość edytorską, cenię żyłkę szperacką, ale wszystko to razem nie może być usprawiedliwieniem".

Zaraz po tym genialna zaiste rada: „Uważam, że należy niezwłocznie powołać na nowo realny zespół naukowców i pisarzy, który by w oparciu o dotychczasowe badania był w stanie do końca obecnego roku przygotować co najmniej parę pierwszych tomów do druku. Dotychczasowa nieruchawość jest niepokojąca."

Przytoczone powyżej uwagi, podpisane kryptonimem *jasp*, ukazały się na łamach... *Twórczości*, i to jest właśnie jedynym powodem, że na nie w ogóle odpowiadam. (Cóż by sobie pomyśleli uważniejsi czytelnicy tego pięknego pisma, gdyby ów norwidow-

ski serwis informacyjny ograniczono do tych dwóch jedynie, tak biegunowo odmiennych, not *W. N.* i *jasp?*). Odpowiadam zaś możliwie jasno, szczegółowo i wyczerpująco, chciałbym bowiem, żeby i zatroskany *jasp* — najzupełniej nie orientujący się niestety w sprawach, o których pisał — skorzystał z tej odpowiedzi i nareszcie uporządkował sobie pewne przypadkowo przeczytane czy zasłyszane wiadomości, których bezkrytyczne powtarzanie jednych krzywdzi, drugich wprowadza w błąd, a jego samego trochę kompromituje.

Odpowiadam dla większej przejrzystości w punktach:

1) I odkrycie wielkości Norwida, i uratowanie jego spuścizny rękopiśmiennej, i znakomita (jak na owe czasy) publikacja jego dzieł — to wszystko wiekopomna zasługa owego Miriama (Przesmyckiego), tak pogardliwie poklepanego po ramieniu przez *jasp*. Wyrzucać mu „ślimacze" wydawanie Norwida to po prostu powtarzać krzywdzącą i głupią bajkę przedwojenną, a równocześnie popisywać się własną niewiedzą, oto bowiem wymowne daty i osiągnięcia edytorskie Miriama-norwidysty: 1911 — pięć tomów *Pism zebranych* (z komentarzem), 1915 — trzy nieznane poematy, 1933 — trzy tomy *Ineditów* oraz ogromny komentowany tom *Poezyj wybranych*, 1937 do 1939 — siedem tomów *Wszystkich pism* po ów dzień odszukanych. Taki to był w istocie ów ślimaczo pracujący Miriam — niespracowany starzec, poświęcający ukochanemu poecie blisko pół wieku własnego życia i pozostawiający w swoich tekach tylko te prawie nieczytelne norwidiana, których jego osłabione oczy nie zdołały już po prostu o d c z y t a ć.

2) Pisać dzisiaj o Norwidzie: „po ostatniej wojnie, kiedy sława jego całkowicie ugruntowała się", to pisać tylko pół prawdy, doskonale bowiem wiadomo, że pierwsze dziesięć lat powojennych to okres dla Norwida n a j g o r s z y, okres, w którym usiłowano odebrać mu miano i rangę wielkiego poety, prawie całkowicie usuwając jego dzieło z planów wydawniczych oraz z wykładów szkolnych i uniwersyteckich.

3) Twierdzenie, że Norwid jest „uwięziony" w moich rękach, jest, delikatnie mówiąc, fantastyczne. Można tak było mówić do pewnego czasu o Miriamie, który długo przechowywał u siebie niektóre nie opublikowane i niedostępne innym badaczom utwory Norwida, nie można tak jednak mówić o mnie, chociaż posiadam bowiem najbogatsze w Polsce archiwum norwidowskie, to jednak nie ukrywam w nim ani jednego utworu Norwida, którego odpis albo autograf nie znajdowałby się poza moim zbiorem i nie był dostępny innym sumiennym a cierpliwym badaczom i edytorom tego poety. Ba! — to m o j e właśnie zamierzenia wydawnicze zostały poważnie zwichnięte w ostatnich latach, musiałem bowiem czekać aż c z t e r y l a t a na zdobycie tekstu nieznanych przekładów Norwida z Dantego (nb. rozpoznanych przeze mnie jako przekłady Norwida), d w a l a t a na zapoznanie się z niezmiernie ważnymi listami Norwida do zmartwychwstańców i p r a w i e c a ł y r o k na dostęp do nie opublikowanego jeszcze bloku epistolarnego poety, który przestudiowałem dopiero przed dwoma tygodniami.

4) Podana przez *jasp* wiadomość, jakoby istniała „uchwała Rządu o wydaniu *Dzieł wszystkich* Norwida", jest całkowicie wyssana z palca, a w kontekście zarzutów wysuniętych pod moim adresem — wyraźnie demagogiczna.

5) Nie wiem, kto informował *jasp* o mojej umowie z PIW-em, widzę jednak, że poinformował fałszywie, nie powiedział mu bowiem, że wg pierwotnej koncepcji miałem dokonać jedynie w y b o r u dzieł Norwida i że umowę na wydanie jego k r y t y c z n i e opracowanych p i s m z e b r a n y c h podpisałem dopiero 24.IX.1959 r. (tj. niecałe dwa lata temu), będąc przekonany, że zdołam w krótkim czasie dotrzeć do „uwięzionych" w c u d z y c h rękach norwidianów. Niepowodzenie odniesione w tej sprawie (por. wyżej), a równocześnie chęć jak najszybszego dostarczenia czytelnikom poprawnej, choć nie opatrzonej aparatem krytycznym, edycji Norwida spowodowały, że PIW zgodził się — na mój wniosek — odłożyć jeszcze na parę lat k r y t y c z n e w y d a n i e w s z y s t k i c h p i s m, a w zamian przystąpić, już w r. 1962, do wydania w trzech pakownych tomach wszystkich d z i e ł Norwida (I — poezje, II — dramaty, III — proza), z pominięciem jego korespondencji, notatek,

wypisów, pism urzędowych itp., które znajdą się dopiero w wydaniu krytycznym. Tak więc już za kilkanaście miesięcy ukażą się wszystkie poezje Norwida, a w ciągu r. 1963 reszta jego dzieł literackich. Zaraz też po ukończeniu tej edycji „bezaparatowej" zacznie wychodzić pełne wydanie krytyczne, które pragniemy zacząć od tomów zawierających korespondencję.

6) Aby ocenić trafność wyrażenia *jasp*, który pisze, że moja praca edytorska „ślimaczy się w nieskończoność", wystarczy — mam nadzieję — przypomnieć czytelnikom, że do dzisiaj nie posiadamy krytycznego wydania dzieł Mickiewicza i że krytyczne wydanie dzieł Słowackiego, nad którym Kleiner pracował od r. 1909, a które począł realizować w r. 1924, do dzisiaj również nie zostało jeszcze zakończone. *Sapienti sat.*

7) Proponowany przez *jasp* „realny", a więc tu chyba: amatorski, zespół naukowców i pisarzy (?) mógłby w ciągu postawionych mu do dyspozycji sześciu miesięcy przygotować do druku tylko pierwsze tomy ulepszonego „Piniego", a więc powierzchownie opracowany zlepek edytorski, w którym błędom tekstu towarzyszyłyby błędy układu oraz luki materiałowe. Można i to zrobić oczywiście, zapewniam jednak projektodawcę, że Państwowy Instytut Wydawniczy za bardzo się szanuje, aby przystąpić do ogłoszenia drukiem takiej amatorszczyzny.

8) Ostatni zarzut *jasp*, dotyczący mojej „nieruchawości" edytorskiej, jest chyba, niestety, prawdziwy. Cóż, od r. 1949 opublikowałem zaledwie cztery pozycje książkowe Norwida: nieznany esej *Dwie aureole* (1949), *Poezje wybrane* (1951; z Jastrunem), *Poezje* (1956, 2 t.; z Jastrunem) oraz duży tom inedítów i wierszy rozproszonych *Okruchy poetyckie i dramatyczne* (1956; ktoś z Londynu zażartował sobie, zaliczając tę książkę do „największych wydarzeń wydawniczych w kraju na przestrzeni lat ostatnich"). Tej wyraźnej nieruchawości nie odkupuje oczywiście ani publikacja 20 nieznanych listów poety (1957), ani garść jego nieznanych wierszy i fragmentów, ogłoszona przeze mnie w czasopismach już po r. 1956 (ostatni, fragment nieznanego dramatu młodzieńczego, ukazał się świeżo w *Pamiętniku Teatralnym*, nr 2), ani tym bardziej zredagowany przeze mnie wespół z prof. J.Z. Jakubowskim tom *Nowych studiów o Norwidzie* (lada dzień w księgarniach), gdzie m. in. przygotowano pod moim kierunkiem materiały, które posłużą do poprawniejszej edycji listów poety. Dla czytelników *Twórczości* dodaję tu informację, że jeszcze w br. pójdą do druku dwie nowe przygotowane przeze mnie pozycje Norwida: *Vade-mecum* (pierwsza edycja krajowa zbioru, który w dziejach poezji polskiej mógł zająć to miejsce, jakie we Francji zajęły *Kwiaty zła*) oraz osobny tom zawierający 45 rewelacyjnych, a nie znanych dotychczas listów poety. Piszę: dla czytelników *Twórczości*, *jasp* bowiem — jak się wydaje — wyrobił już sobie na ten temat opinię *ne varietur*.

■

„Jakże tragiczny jest los Norwida."

■

Cóż by tu jeszcze dodać do tego wyjaśnienia? Chyba zacytować słowa mojego ojca, znajdujące się w jednym z jego nie drukowanych listów do Felicjana Faleńskiego.

„Byłbym szczęśliwy i dumny — pisał ojciec na długo przed wystąpieniem Miriama — gdyby udało mi się, przy pomocy ludzi dobrej woli, intencje moje dzielących, tchnąć ducha w prochy Norwidowe."

Ba! — ale jakże to trudno znaleźć dzisiaj takich ludzi prawdziwie dobrej woli...

W lipcu 1961 r.

Juliusz W. Gomulicki

CÉLINE

(1894—1961)

Gdy Franza Kafkę zapytano, czy jest tak samotny jak Wassermannowski bohater Kacper Hauser, odpowiedział: jestem tak samotny jak Franz Kafka. Samotności nie są porównywalne. Céline był samotny jak Céline. Bardziej samotny być nie mógł. Robił wszystko, co było w jego mocy, aby zostać wyklęty,

napiętnowany, zapomniany. Jego samotność była aktywna. Palił wszystkie mosty, zrywał wszystkie związki, nie chciał solidarności ani w nienawiści, ani w cynizmie. Był naprawdę zbuntowany. Przeciwko dobru i przeciwko złu, przeciwko prawu i przeciwko bezprawiu, przeciwko szlachetności i przeciwko zbrodni. Nie procesował się ze światem, niszczył go, niszczył go tam, gdzie go mógł dosięgnąć, w sobie.

Poczucie absurdalności świata, rozpacz egzystencji to chleb powszedni współczesności. Któż dzisiaj nie jest zbuntowany? Czytelnik powieści nie ustępuje jej bohaterowi. Od ćwierćwiecza już literatura drąży świadomość wyobcowania. Sartre'owski Roquentin, Camusowy Meursault i tylu innych mniej sławnych... Stajemy się coraz bardziej zżyci z własnym niepogodzeniem. Bunt jest po prostu niezbędny dla komfortu moralnego i intelektualnego dzisiejszego człowieka. Jest już konwencją, formułą przeżyć i doznań. Lecz przecież u źródła tego, co stało się modelem stosunku do świata, znajduje się bunt autentyczny. Dwa były takie w tym XX wieku: bunt Kafki i bunt Céline'a.

Od absolutnego wyobcowania Gregora Samsy z *Przemiany* do absolutnego niepogodzenia Józefa K. z *Procesu* Kafka prowadzi swojego bohatera, człowieka skazanego na istnienie, przez wszystkie stopnie świadomości absurdu. Niczego mu nie oszczędza, nawet niewinności, która dla Karla Rossmanna z *Ameryki* staje się okolicznością obciążającą i powodem klęski. Być człowiekiem to znaczy być skazanym. Jeśli małpa ze *Sprawozdania dla Akademii* wybiera „życie na stopie ludzkiej", to dlatego, że jest to jedyne wyjście z klatki, tylko dlatego, że innego wyjścia nie ma. Bunt Kafki to bunt metafizyczny przeciwko istnieniu jako takiemu, przeciwko egzystencji ludzkiej w warunkach świata.

Céline buntuje się bez motywacji. Nie pozuje na oskarżyciela. Nie szuka usprawiedliwienia dla swojego buntu w żadnych kategoriach, ani moralnych, ani metafizycznych. Nie w tym jest zagadnienie, czy świat jest zły, czy dobry, ale w tym, że jest w ogóle. Istnienie jako takie jest fałszem, uzurpacją, zbrodnią. Nie w filozofii więc leży siła Céline'a, ale w pasji, która go oślepia. Bunt Céline'a to bunt anarchiczny, bunt egocentryzmu. *Podróż do kresu nocy* (1932), największa książka Céline'a*, to olbrzymia tyrada, której każde słowo zamierzone zostało jako prowokacja. Przeciwko wszystkiemu, gramatyce także. Przeczytałem tę książkę na świeżo na wiadomość o śmierci pisarza. Jest ostrzejsza, niż była przed trzydziestu laty. A przecież stępiała gwałtowność środków wyrażenia. Ten język, niepohamowany, trywialny, argotyczny, po raz pierwszy na taką skalę zastosowany we francuskiej literaturze, osiadł, ustatkował się, nie robi wrażenia manifestacji. Brutalniejszym językiem przemawiają współcześni bohaterowie powieściowi. Ale — może właśnie dzięki temu — zaostrzyła się intencja książki. Céline dzisiaj nie brutalnością trafia, ale wyrafinowaniem. To już nie jest zwyczajne szarganie świętości, ale sucha, racjonalistyczna kpina ze zdrowego rozsądku. Bardamu, bohater powieści, jeden z porte-parole'ów Céline'a, przypomina kogoś bardzo osiemnastowiecznego, jakiegoś Robinsona, który zamiast na wyspę trafił do domu wariatów. Jest tam sam, bo sam być musiał. Wszystko, co istnieje dookoła, jest nie do zniesienia. *Podróż* to nie jest żywioł, to jest majstersztyk samotności. W tyradzie Bardamu słychać głos Diderota, Woltera i Monteskiusza z *Listów perskich*. Świat, po którym krąży Bardamu, to olbrzymia, nieprawdopodobna groteska śmieszna tym najbardziej, że prawdziwa.

Podróż do kresu nocy, jedna z największych książek francuskiej literatury międzywojennej, wywarła jak wiadomo ogromny wpływ stając się natchnieniem tzw. literatury czarnej. O ileż ją jednak przerasta! Jej jadowitość nie jest naturalistyczna.

Siłą talentu Céline'a była nienawiść. Jakżeż musiała być wielka, jeżeli wyraziła się tak czystą, białą gorączką. Była to biologiczna nienawiść do świata, nienawiść wiodąca do samozatraty. Céline dosłownie robił wszystko, aby zostać wyklęty. Nie pominął żadnej okazji. Zaparł się swojej ojczyzny, zaparł się człowieczeństwa, był antysemitą i kolaborantem. Nie zaparł się tylko jednego. Siebie. Swoją nienawiść obnosił publicznie jak cnotę. Był męczennikiem egocentryzmu.

zb

---

* Nie zdołałem niestety dotrzeć do wydanych po wojnie książek Céline'a, które uzyskały rozgłos we Francji *D'un Château l'autre* i *Nord*.

DZIEŃ POWSZEDNI TOMASZA MANNA

Czasopismo *Neue Deutsche Hefte* ogłosiło wspomnienie Konrada Kellena o Tomaszu Mannie, zawierające ciekawe szczegóły o życiu codziennym, pracy i charakterze pisarza. Są to uwagi bezpośredniego informatora, albowiem Kellen (urodził się w 1913 r. w Berlinie, od 1935 r. przebywa w Stanach Zjednoczonych, gdzie jest obecnie docentem) był dwa lata, od maja 1941 r. do sierpnia 1943 r., sekretarzem Manna w Kalifornii. Jesienią 1943 roku musiał się rozstać z autorem *Czarodziejskiej góry*, gdyż został powołany do wojska.

Kellen rozpoczyna wspomnienia od opisu zewnętrznej sylwetki. „Z wyglądu — charakteryzuje Manna — przypominał raczej statecznego dyrektora banku: zawsze poprawny, bardzo opanowany światowiec, który ubierał się konserwatywnie i przykładał dużą wagę do form zewnętrznych. Przestrzegany dystans w obcowaniu z przyjaciółmi i znajomymi, świadomie pielęgnowane i zachowywane tradycje europejskiego mieszczaństwa wywierały w swobodnej atmosferze Kalifornii osobliwe wrażenie."

Ów dystans zachowywał pisarz także w rodzinnym kole. Znamienny jest pod tym względem epizod, który Kellen przytacza: „W kilka dni po rozpoczęciu pracy — wspomina pamiętnikarz — byłem świadkiem rozmowy między braćmi Tomaszem i Henrykiem. Obaj siedzieli, przy filiżance herbaty, na dużej otomanie i dyskutowali o różnych problemach estetycznych i literackich. Obserwowałem zafascynowany to widowisko. Czy to rzeczywiście bracia? Czy nie miałem raczej przed sobą dwóch profesorów uniwersytetu, którzy dopiero co zawarli znajomość i teraz prowadzą bardzo uczoną i sztywną dysputę? Przy tym Henryk był jednym z niewielu wybranych, którzy zwracali się do Manna po imieniu. O ile dokładnie pamiętam, jego żona Katja i Henryk byli jedynymi, którzy mówili do niego »Tommy«".

Zewnętrzny chłód cechował również stosunek Tomasza do synów. Kiedy rozprawiał z nimi o ich pracach (Klaus był powieściopisarzem, a Golo, obecnie profesor uniwersytetu w NRF, publicystą i historykiem), przemawiał w takim tonie, jak gdyby chodziło o utwory zupełnie obcych mu ludzi. Według Kellena Klaus przygotowywał się do rozmowy przy każdym wspólnym posiłku z ojcem. „Przygotowuję sobie — wyznał Kellenowi Klaus — zawsze określony temat rozmowy, w przeciwnym razie ogarnia mnie zakłopotanie w obecności ojca".

Tomasz Mann wyróżniał się niezwykłą dyscypliną w pracy i korespondencji. Odpisywał na wszystkie listy, ważniejsze pisał własnoręcznie, inne dyktował na maszynę. Codziennie o godzinie dziewiątej rano siedział już za biurkiem w swoim gabinecie i pisał do dwunastej; od tej reguły nie było wyjątków, pracował nawet w podróży, „w hotelach, w kabinie statku, w wagonie pulmanowskim". Jedynie choroba naruszała ten porządek dnia. W czasie sekretarzowania Kellena pisarz pracował nad biblijnym cyklem powieściowym o Józefie i jego braciach. Każde przedpołudnie powiększało powieść o dwie, trzy stronice, wypełnione drobnym, gotyckim pismem. Mann tworzył pozornie bez planu, nigdy nie przygotowywał szczegółowych projektów, rękopisy nadawały się od razu do druku, tylko z rzadka autor zmieniał tu i ówdzie jakieś słowo, skreślenia należały do wyjątków. „Pisał z dużą precyzją, nie pozostawiał »literackich odpadków«, jego zdolności w ekonomicznym kierowaniu pracą były wprost niesamowite. Widziałem ze wzrastającym zdumieniem, jak często rzucał na papier nieskończenie długie, kunsztownie złożone zdania i o ile pamiętam, żaden z tych arkuszy nie powędrował w ciągu tych lat do kosza. Kiedy się go widziało przy pracy, to zdanie Lessinga »Geniusz jest pracowitością« przekształcało się w wyobraźni w maksymę »Geniusz jest samodyscypliną«."

Po pracy Mann wybierał się ze swoim pudlem na spacer zgodnie ze starym monachijskim zwyczajem i tradycją noweli *Pan i pies*. Potem obiad, po obiedzie „cezura dnia" — drzemka. O godzinie trzeciej rozpoczynało się dyktowanie rękopisu. Niekiedy urozmaicała to zajęcie lektura. „O piątej herbata. Domownicy gromadzili się w dużym salonie, Tomasz Mann był wtedy w towarzyskim nastroju, zjawiali się goście, gawędzono i omawiano różne wiadomości z »szerokiego świata«. Chociaż

poeta zachowywał sztywną formalność, cenił o tej porze dnia swobodne rozmowy o powszednich wydarzeniach. W czasie herbatki chętniej słuchał relacji o nieudanych zakupach i innych drobnostkach niż literackiej gadaniny lub głębokich rozważań o przebrzmiałych sprawach. Wobec ludzi, którzy w jego obecności uważali za swój obowiązek wypowiadać napuszone tyrady, był milczący."

Po kolacji pisarz chętnie przegrywał płyty, czytał lub przyjmował przyjaciół z sąsiedztwa. Do jego najmilszych gości należał Bruno Frank, któremu Mann był bardzo oddany. Kiedy był w dobrym nastroju, czytał gościom fragmenty powieści, nad którymi pracował. „Górnolotne pochwały słuchaczy przyjmował z łagodnym sceptycyzmem, łagodnie-krytycznym zastrzeżeniom, na które się niekiedy odważał jakiś zuchwalec, nie dawał posłuchu. Po prostu nie interesowały go.

W Stanach Zjednoczonych Mann odczuwał boleśnie utratę niemieckich czytelników, pomimo że jego dzieła rozchodziły się w dużych nakładach w angielskim języku. Pisarz był właściwie zdania, że jego dzieła są w gruncie rzeczy nieprzetłumaczalne i nawet w najlepszym przekładzie tracą swój styl, ironiczne niuanse i akcenty, nie mówiąc już o dwuznacznościach językowych, do których przykładał tak wielką wagę. Ofiarą tłumaczenia padała również, jego zdaniem, kadencja zdania, rytm i melodyjność narracji. O swojej najlepszej tłumaczce, która mistrzowsko przełożyła jego powieści na angielski i którą bardzo cenił, pani Loewe-Porter, powiedział: „Tak, jest miłą i zacną kobietą. Wprawdzie nie zna niemieckiego, ale ostatecznie nie każdy zna ten język".

Godna podziwu była jego cierpliwość w odpowiadaniu na listy, która go nie opuszczała nawet w humorystycznych lub zgoła niedorzecznych wypadkach. Kellen wspomina o historii tomiku wierszy wydanego na czerpanym papierze, dziele króla kolei żelaznych, które przysłała mu wdowa po multimilionerze. Ten krezus był, jak zapewniała jego żona, w wolnych chwilach poetą i aforystą. Wdowa sprezentowała Mannowi oprawne w pergamin poezje i prosiła jednocześnie o opinię Manna, dodając w liście, że jej zmarły mąż, „powinien być oceniony przez równego sobie pisarza". Co prawda Mann zdenerwował się, ponieważ nadawczyni załączyła list ze znaczkami i zażądała zwrotu tomiku, ale po przejrzeniu wierszy, powiedział: „No tak, miała rację, myślę, że i ja potrafiłbym coś takiego napisać". Mimo to odpowiedział krótko, ale uprzejmie.

Zdarzało się, że po zakończeniu powieści Mann popadał w depresję. Tak było też po napisaniu cyklu *Józef i jego bracia*, nad którym autor pracował dziesięć lat. „W ciągu tych ponurych lat hitleryzmu i emigracji — powiedział Mann — ta książka była moją laską i podporą. Brak pracy nad nią odczuwam teraz dotkliwie." Kellen dodaje, że pisarz nie był całkowicie zadowolony z cyklu biblijnego, którego pomysł zrodził się przed trzema dziesięcioleciami i długo dojrzewał. Za punkt kulminacyjny powieści uważał rozmowę pomiędzy Józefem i faraonem, a po zakończeniu powieści ta właśnie partia książki wydawała mu się słaba. Na pytanie, jak ocenia obszerny cykl, odpowiedział: „To jest dzieło wytrwałości". Za szczególnie udany uważał rozdział o Tamarze, który jeszcze przed opublikowaniem ostatniego tomu *(Józef żywiciel)* ukazał się jako druk luksusowy.

„Stosunek Tomasza Manna do otoczenia — kończy Kellen — był mieszaniną chłodnej rzeczowości i wyobcowania. Kiedy pewnego dnia zjawił się dostawca z wyczyszczonymi ubraniami i przedłożył rachunek — poza mną nikogo nie było w domu, a ja nie miałem właśnie pieniędzy w kieszeni — pisarz był zupełnie zakłopotany. Zażenowany wyjaśnił mi, że nigdy nie ma przy sobie pieniędzy i nie wie, co z tym człowiekiem zrobić". Taki był autor, który wymyślił Feliksa Krulla, wirtuoza sprytu, zaradności i szarlatanerii.

rk

JUGOSŁOWIAŃSKI BESTSELLER

Ostatnim bestsellerem jugosłowiańskim stała się niezwykła książka nie mająca bodaj precedensu w literaturze światowej. Autor: dwudziestu pięciu młodych astronomów — uczniów szkół zagrzebskich (najmłodszy liczy sobie 17, najstarszy — 19 lat), tytuł: *Dramat*

we wszechświecie, wydawca: Chorwackie Towarzystwo Przyrodnicze. Otóż ta osobliwa książka opowiada żarliwie i podniośle o losie naszej planety i całej ludzkości w momencie założonego wybuchu wojny atomowej. Nie trudno odkryć zasadniczą intencję młodocianych autorów, którym, wydaje się, można pogratulować pomysłu. Książka skomponowana jest następująco. Zamiast przedmowy napisano zbiorowy list autorów do japońskiej koleżanki, Kuniko Kambara, o potrzebie współpracy i przyjaźni młodzieży i ludzkości dla sprawy pokoju na świecie. W rozdziale wstępnym, zatytułowanym *Spojrzenie w wieczność*, mamy oryginalną wizję astronomiczną przeszłości i przyszłości Ziemi. Autorzy dość dowcipnie opisują sytuację na naszym globie sprzed kilku „lat platońskich" (1 rok platoński = 26.000 lat ziemskich — *sk*) i po jednym roku platońskim, próbując jednocześnie unaocznić bezsens obecnej sytuacji, jaka panuje na naszej planecie. Oto ludzkość dzieli się na 100 narodów, mówi 3.000 języków, prowadzi ustawiczne wojny jak w okresie dzikości itp. I wniosek, że tylko nauka i wzajemne zaufanie mogą powstrzymać grożącą katastrofę. II rozdział — *Dramat we wszechświecie* — opisuje wizję odległej planety, nazwanej zupełnie wymownie „Rozsądek". Z jej powierzchni rozumne istoty obserwują przez teleskop Ziemię. Dostrzegają jakieś sygnały świetlne i na tej podstawie przypuszczają, iż tam mieszkają rozsądni ludzie, którzy chcą w ten sposób nawiązać kontakt z innymi światami kosmosu. Z planety „Rozsądek" wysyła się statek kosmiczny w kierunku Ziemi. Jednak, nie osiągnąwszy Ziemi załoga statku konstatuje, iż widziane sygnały świetlne są po prostu odbłyskami potężnych wybuchów atomowych, które ogarniają cały obszar planety. Giną nie tylko ludzie, ulega zagładzie ich cywilizacja, przepadają dzieła Platona, Michała Anioła, Beethovena, Tołstoja. III rozdział — *Chcemy żyć* — jest patetycznym apelem do młodzieży całego świata, do dobrych i rozumnych ludzi naszej planety, aby w imię miłości człowieka ratowali ludzkość przed samounicestwieniem.

Prasa z entuzjazmem pisze o tym utworze, podkreśla olbrzymie zainteresowanie, jakie książka wywołała zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej. Bardzo duży nakład został natychmiast rozchwytany. Młodzi autorzy, którzy są jednocześnie esperantystami, postanowili już przełożyć swoją pracę na esperanto, by w ten sposób ułatwić przekład na języki narodowe. W tej chwili przygotowuje się wersję japońską i duńską.

sk

AMBICJA NIEPRZEDSTAWIANIA

Od pięćdziesięciu lat malarstwo światowe jest tyglem z wrzącą formą. Dziesiątki prądów, szkół, tendencji pozornie sprzecznych, rozproszonych, rozbitych zmierzają w bardzo określonym, wyraźnym kierunku: trwa poszukiwanie nowej realności. Anarchia jest pozorna. Wyobraźnią tak samo jak każdą inną dziedziną ludzkiej działalności rządzą prawa, które wyznaczają kierunki natarcia i punkty oporu. Jej procesu rozwojowego nie da się zahamować ani wekslować bodźcami zewnętrznymi. One mogą go opóźniać lub przyśpieszać jedynie. Tym bardziej że to, co się dzieje w malarstwie, nie jest zjawiskiem odosobnionym. Cała sztuka współczesna w swoich poszukiwaniach odeszła od tych ideałów, które wyznaczały jej rozwój w wiekach minionych. W opisywaniu, przedstawianiu przedmiotów i zjawisk już będących sztuka doszła do ostatecznych granic perfekcji. Nie ma już przed nią tajemnicy, tego niezbędnego bodźca każdego postępu. Satysfakcja ze sprawności to szczęście rzemieślnicze, a jedynym szczęściem sztuki jest radość odkrywcy. Pozostało stylizatorstwo, oczywiście. Święci też tryumfy. Sztuka dekoracyjna sięgnęła współcześnie w świecie szczytów, jakie znane były tylko w epoce Bizancjum. Co dalej? Czyżby była już pora na koniec świata? Bo przecież symptomem zmierzchu kultury jest wyczerpanie się wyobraźni. Kiedy sztuka nie ma przed sobą terenów do odkrywania, celów do natarcia, wiemy z dziejów niejednej umarłej kultury, świat się kończy. Wtedy właśnie następuje potop. W takiej czy innej postaci. Dlatego to, co się dzieje we współczesnej sztuce, warte jest nie tylko uwagi, ale także sympatii. Tam się bowiem odbywają próby ratowania świata. Wyobraźnia szukając dla siebie nowych te-

renów działania, nowych celów do ataku, rozszerza granice świata. Robi to samo, co w swoim zakresie robi nauka. Świat się nie kończy na opisanych, skatalogowanych formach istnienia. Poza nimi, niezależnie od nich istnieją nowe formy, nowe realności. Dotrzeć do nich, stworzyć je to dzisiejsza ambicja człowieka sztuki. Artysta w swoim dziele nie ogranicza się do kontemplacji. Interweniuje.

Między nowoczesną poezją a nowoczesnym malarstwem istnieje paralelizm celów i ambicji. Nowa poezja już od Rimbauda nie jest przedstawiająca. Jej słowo nie chce być symbolem, znakiem, wyznacznikiem czy oznacznikiem jakiejś obiektywnej, istniejącej poza nim realności. Nie chce być tylko nosicielem treści, nie chce być lotne i przezroczyste. Tężeje, nabiera ciała, materii, staje się przedmiotem, nie znaczy, ale jest. Narzędziem i tworzywem jednocześnie. Ambicje malarstwa nowoczesnego są identyczne. Ono także nie chce być przedstawiające. Nie chce swoją formą, walorem, plamą barwną pełnić funkcji służebnej. Pragnie je, jak poezja — słowo, uprzedmiotowić, by były zdolne organizować własne wizje, tworzyć własne, nowe, niepowtarzalne realności. I poezja, i malarstwo nieprzedstawiające odgrywają funkcję interwencyjną. Swoimi środkami wyrażenia powołują do życia zjawiska i wartości nie posiadające analogii w świecie otaczającym. Nie kopiują więc, ale uzupełniają, wzbogacają ten świat o nowe, niewyczerpane możliwości.

Sztukę nieprzedstawiającą kojarzy się na ogół z pojęciem abstrakcji. Cóż za uproszczenie! Zamazuje ono intencje i gubi sens nowoczesnego eksperymentu. Abstrakcja w malarstwie, tak samo jak pojęciowość w poezji, była jedną z faz rozwojowych, pierwszym krokiem na drodze do wyzwolenia się ze służebnej funkcji wobec realności obiektywnej. Pojęciowością poezja odrywała się od konkretu, broniła się przed jego modelowaniem, opisywaniem, przedstawianiem. Pojęciem zakotwiczała się w morzu słowa, tym swoim własnym, autonomicznym żywiole. Ale przecież nie ona, nie pojęciowość określa dzisiejszy stan poezji. Cała słowotwórcza funkcja poezji nowoczesnej zmierza do tego, by pojęciom nadać ciężar i konsystencję rzeczy. Słowo nowej poezji jest twarde, namacalne, zmysłowe. Jest ładunkiem wyzwalającym przez zderzenie z innym słowem iskrę, szok, zdumienie. Tak jak pojęciowość w poezji, tak abstrakcja w malarstwie miała funkcję oczyszczającą. Pierwszy etap nieprzedstawiania był w malarstwie ascezą. Oderwanie się od przedmiotu, od oczywistości realnej odbywało się, nie było dróg pośrednich, przez maksymalną, absolutną prowokację. Tutaj szok był silniejszy niż w poezji. W poezji pojęcie sugerowało jeszcze konkret, będąc jego uogólnieniem. W malarstwie oderwanie się formy było bezwzględne, całkowite. Ale jakżeż mogło być inaczej? Jakżeż inaczej można się było wydobyć z oblężenia oczywistością, gdzie każdy kształt był znakiem, aluzją, jeśli nie anegdotą. Ale to oderwanie się i wyzwolenie z plamy barwnej, rytmu przestrzennego energii oddziaływania wyobraźniowego — to był zaledwie pierwszy punkt programu nieprzedstawiania. Bo przecież nieprzedstawianie nie wyczerpuje się negacją. Nie przedstawiać to znaczy wyrażać, interweniować. Nie przedstawiać to znaczy tworzyć nowe realności.

Malarstwo nieprzedstawiające to już dzisiaj rozległa dziedzina eksperymentu i propozycji. Tutaj zbiegają się i rozbiegają drogi współczesnej myśli. Tutaj wyobraźnia próbuje wszystkich niemal formuł światopoglądowych. Tylko dla kogoś bardzo uprzedzonego sztuka nieprzedstawiająca jest jedną nierozdzielną magmą. Właśnie tutaj indywidualność malarza nie skrępowana zewnętrznymi hamulcami może wyrazić się pełnie, a więc skrajnie.

Okazję do zorientowania się w skali i możliwości nieprzedstawiania daje aktualna wystawa w galerii Krzywego Koła. Nie jest to pełny przegląd polskiej sztuki nieprzedstawiającej, wystawa ogranicza się bowiem do środowiska warszawskiego, i to tylko do ostatnich aktualnych prac. Wystawiają: Artymowski, Bogusz, Dłubak, Dominik, Kieszkowski, Kobzdej, Lenica, Łunkiewicz, Owidzki, Pniewska, Rozenstein, Stażewski, Szwacz, Walicka i Ziemski. Rozpiętość ogromna. Od klasycznie czystych rytmów przestrzennych nestora polskiej awangardy plastycznej Henryka Stażewskiego do maksymalizmu nasycenia wizji Rajmunda Ziemskiego. Te dwie indywidualności to jakby bieguny polskiego eksperymentatorstwa. Stażewski surowy, racjonalistyczny, jasny, za jasny, oślepiający jasnością jak Przyboś

w poezji. Ziemski — skłębiony, żywiołowy, poszukujący metafizycznego sensu, zmierzający do jakiejś syntezy wyobraźniowej, dociekający swoją wizją do ostatecznych granic realności w ogóle. Między tymi dwoma biegunami toczy się świat malarstwa. Propozycji jest wiele. Fantastyka rytmów przestrzennych Szwacza i Lenicy, poszukiwania fakturalne Kieszkowskiego, Kobzdeja, neoimpresjonizm Mariana Bogusza. No i, a może przede wszystkim, energia liryczna Tadeusza Dominika oraz baśniowość Erny Rozensztein i Heleny Walickiej. Kompozycje Dominika to najgwałtowniejsze i najradośniejsze propozycje tej wystawy. Wyzwalają jakieś nowe, świeże, jednoznaczne światło. Zwiedzając tę wystawę ostatnim słowem, jakie się nasunie, będzie abstrakcja. Nie negacja uderza, ale właśnie propozycja nowej harmonii, nowej organizacji przestrzennej, nowej realności w ogóle. A propozycji jest tyle, ile indywidualności artystycznych.

Malarstwo nieprzedstawiające czerpie natchnienie zewsząd. Tak samo z wielkich uogólnień metafizycznych, jak z precyzyjnych obserwacji mikroskopu elektronowego. Tu właśnie wyrażają się najpełniej, najskrajniej, najoczywiściej tendencje współczesnego świata. Dziś sekretu świata nie odszuka się w pejzażu. Ten widnokrąg został już wyczerpany. Ambicją sztuki jest dziś odkrywanie nowych widnokręgów. Malarz tak samo jak poeta, tak samo jak uczony, musi być dziś w dosłownym sensie jasnowidzem.

zb

LITERATURA PIĘKNA

Proza

Braun Andrzej — *Noc długich noży*. Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 212, 4 nlb.

Broch Herman — *Niewinni*. Powieść w jedenastu opowiadaniach. Przełożyła Wanda Jedlicka. Wiersze tłumaczył Witold Wirpsza. Wstęp napisał Egon Naganowski. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa. „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 464, 4 nlb.

Frajerman Ruwim — *Dziki pies dingo czyli opowieść o pierwszej miłości*. Przełożyła Irena Piotrowska. Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 309, 4 nlb.

Goncourt Edmond i Jules, de — *Herminia Lacerteux*. Przełożyła Krystyna Byczewska. Posłowiem opatrzył Maciej Żurowski. Obwolutę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 245, 3 nlb.

Grabski Władysław Jan — *Tartak ruszy*. Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Biblioteczka Ziem Zachodnich. Opowieści za 5 zł. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1961; str. 157, 3 nlb.

Kästner Erich — *Fabian. Historia pewnego moralisty*. Tłumaczyła Maria Wisłowska. Przedmową poprzedził Stanisław Wygodzki. Projekt obwoluty i tłoczeń: Jan S. Miklaszewski. Warszawa, „Czytelnik", wydanie I; str. 306, 2 nlb.

Kuncewiczowa Maria — *Gaj oliwny*. Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1961, wydanie I; str. 392.

Libiediński Jurij — *Komisarze*. Przełożył Stefan Klonowski. Wstępem opatrzył Ryszard Przybylski. Obwolutę projektował Tadeusz Michaluk. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 240, 4 nlb.

Mortkowicz-Olczakowa Hanna — *Janusz Korczak*. Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Fotografię Janusza Korczaka wykonał Edward Poznański. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie II rozszerzone; str. 284, 4 nlb.

Neff Vladimir — *Cesarskie fiołki*. Z czeskiego tłumaczyła Maria Erhardtowa. Obwolutę projektował Tadeusz Michałek. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 404, 4 nlb.

Newerly Igor — *Pamiątka z Celulozy*. Okładkę projektował Andrzej Heidrich. Biblioteka Powszechna. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie X; tom I — str. 244, 4 nlb., tom II — str. 302, 2 nlb.

Orłoś Kazimierz — *Między brzegami*. Obwolutę projektował Zbigniew Geppert. Warszawa, Państwowy Instytut wydawniczy, 1961; str. 147, 5 nlb.

Parandowski Jan — *Alchemia słowa*. Obwolutę projektował Jan Młodożeniec. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie III rozszerzone: str. 332, 4 nlb., 1 fotografia autora.

Pruszyński Ksawery — *Opowieści*. Wybór. Okładkę projektowała Ewa Frysztak-Witowska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 405, 3 nlb.

Przerwa-Tetmajer Kazimierz — *Koniec epopei. Waterloo*. Posłowie Janusza Wilhelmiego. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 689, 4 nlb.

Russell of Liverpool, lord — *Rycerze Busido*. Krótka historia japońskich zbrodni wojennych. Tłumaczył Tadeusz Wójcik. Posłowie napisał dr Józef Giebułtowicz. Opracowanie japonistyczne mgr Jolanta Tabaczyńska. Obwolutę projektował Tadeusz Michaluk. Warszawa, „Czytelnik", 1961, wydanie I; str. 340, 4 nlb.

Saroyan William — *Przygody Wesleya Jacksona.* Przełożyła Ewa Życieńska. Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1961, wydanie I; str. 392.

Stępowski Tadeusz — *Nie łatwo jest kochać. Strzępy żałosnej sagi.* Obwolutę projektował Marian Stachurski. Warszawa, „Czytelnik", wydanie II, 1961; str. 318, 2 nlb.

Tabus Robert — *Trzynasty stopień szczęścia.* Obwolutę projektował Jerzy Jaworowski. Warszawa, „Iskry", 1961, str. 136, 4 nlb.

Winwar Frances — *Nawiedzony gród.* Przełożyła Maria Skibniewska. Obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 464, 4 nlb.

Poezja

Kamieńska Anna — *Piołunowe ziele.* Wybór rosyjskiej liryki ludowej. Ilustrowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 189, 6 nlb.

Tuwim Julian — *Wybór poezji.* Wyboru dokonał Antoni Słonimski. Okładkę projektował Marek Rudnicki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 159, 6 nlb.

Ważyk Adam — *Labirynt.* Ilustrowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 37, 3 nlb.

Esej, krytyka

Herz Paweł — *Domena polska.* Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 299, 5 nlb.

Mackiewicz Stanisław — *Był bal.* Okładkę i kartę tytułową projektował Tadeusz Niemirski. Warszawa, Instytut Wydawniczy „Pax", 1961, wydanie I; str. 370, 2 nlb.

Reportaż

Sartre Jean-Paul — *Huragan nad cukrem.* Przełożył Zbigniew Stolarek. Obwolutę projektował Mieczysław Kowalczyk. Z cyklu „Świat się zmienia". Warszawa, „Iskry", 1961; str. 191, 1 nlb.

Monografie

Jastrun Mieczysław — *Mickiewicz.* Okładkę projektował Aleksander Stefanowski. Na okładce rzeźba Pierre-Jean David d'Angers. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, tom I — str. 259, 2 nlb., tom II — str. 300, 4 nlb.

Reizow Borys — *Flaubert.* Przełożył Jerzy Jędrzejewicz. Indeks zestawił Zdzisław Piszczek. Obwolutę i okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 528, 4 nlb.

Galewski Józef i Grzeniewski Ludwik B. — *Warszawa zapamiętana.* Ostatnie lata XIX stulecia. Okładkę i obwolutę projektowała Ewa Frysztak-Witowska. Biblioteka Syrenki. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 216, 4 nlb.

Listy, wspomnienia

Listy ciemnych mężów. Przełożył, wstępem i komentarzem opatrzył Tadeusz Brzostowski. Materiał ilustracyjny z druków niemieckich XVI w. zebrała Helena Domaszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961, wydanie I; str. 376, 4 nlb.

Teatr

Dramaty staropolskie. Antologia. Opracował Julian Lewański. Polska Akademia Nauk. Instytut Badań Literackich. Przypisy opracowała Janina Majerowa. Okładkę i obwolutę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; tom I — str. 485, 4 nlb., tom. II — str. 637, 3 nlb.

Wilde Oskar — *Cztery komedie.* Przełożyli Włodzimierz Lewik, Janina Pudełek, Cecylia Wojewoda. Z *Pism* Oskara Wilde'a. Pod redakcją Juliusza Żuławskiego. Okładkę i obwolutę projektował Aleksander Stefanowski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 429, 9 nlb.

HISTORIA

Łastik Salomon — *Z dziejów Oświecenia żydowskiego. Ludzie i fakty.* Teksty literackie z języka hebrajskiego i jidisz przełożył Tadeusz Gniazdowski. Okładkę projektowała Danuta Staszewska. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1961; str. 293, 3 nlb.

LITERATURA FANTASTYCZNO-NAUKOWA

Biały stożek Ałaidu. Wybór opowiadań fantastyczno-naukowych. Przełożyła Janina Dziarnowska. Wiersze tłumaczył Jerzy Litwiniuk. Okładkę projektował Janusz Stanny. Warszawa, „Iskry", 1961; str. 221, 3 nlb.

LITERATURA POPULARNO-NAUKOWA I PODRÓŻNICZA

Dorowski Jan Kazimierz — *Wysoko w Andach.* Okładkę projektował Janusz Grabiański. Zdjęcia autora. Z serii „Naokoło świata". Warszawa, „Iskry", 1961; str. 197, 3 nlb.

Latil Pierre, de — *Od „Nautilusa" do batyskafu.* Przełożyła Olga Nowakowska. Obwolutę projektował Marian Stachurski. Z serii „Człowiek poznaje świat". Warszawa, „Iskry", 1961; str. 189, 3 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Ficowski Jerzy — *Denerwujek.* Ilustrował Adam Kilian. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961; str. 42 nlb.

Grodzieńska Wanda — *Ralf*. Ilustrował Mieczysław Kwacz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 16 nlb.

— *Wesołe okienka*. Ilustrowała Monika Morysińska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 46 nlb.

Janczarski Czesław — *Dwa fartuszki*. Ilustrowała Krystyna Bieniek. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 16 nlb.

Jaworczakowa Mira — *Sanki*. Ilustrowała Halina Gutsche. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 16 nlb.

Jong Meindert, de — *Gniazdo na szkole*. Przełożyła Ewa Kołaczkowska. Ilustrowała Leonia Janecka. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydnie I; str. 253, 4 nlb.

Judah Aaron — *Tomek z dziurą w bucie*. Spolszczył Andrzej Nowicki. Ilustrował Zbigniew Piotrowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 89, 3 nlb.

Knutsson Gösta — *Nalle wesoły niedźwiadek*. Ilustrowała Olga Siemaszko. Przełożyła z języka szwedzkiego Teresa Chłapowska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 74, 2 nlb.

Lingren Astrid — *Fizia Pończoszanka*. Tłumaczyła Irena Wyszomirska. Ilustrował Zbigniew Piotrowski. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 114, 2 nlb.

Lofting Hugh — *Doktor Dolittle na księżycu*. Ilustrował Z. Lengren. Przełożyła Janina Mortkowiczowa. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 132, 4 nlb.

Malujemy... Album sztuki dziecka. Zebrał i opracował Bolesław Zagała. Wstęp napisał prof. dr Stefan Szuman. Układ graficzny Zbigniewa Rychlickiego. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, str. XXVI, 151 ilustracji, 16, 4 nlb.

Minkiewicz Janusz — *Sen o Gagarinie*. Ilustrował Janusz Grabiański. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961; 16 nlb.

Patzerowa Maria — *Zrobimy sami*. Zdjęcia modeli: Tadeusz Bukowski. Opracowanie graficzne: Maryla Mikiewicz-Poreyko. Okładkę projektował Hubert Hilscher. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961; str; 47, 5 nlb.

Piasecki Jan — *Skrzyżowane berła*. Ilustrował Romuald Klaybor. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 342, 2 nlb.

Rogoszówna Zofia — *Skowroneczek. Skrzypki Kasieńki*. Muzyka: Stanisław Colonna-Walewski. Opracowanie muzyczne: Olga Łada. Ilustrowała Hanna Krajnik. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 8 nlb.

Rzezacz Wacław — *Chłopaki, za nim!* Tłumaczyła Maria Erhardtowa. Ilustrował Andrzej Jurkiewicz. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 132, 4 nlb.

Siergiejew Iwan — *Mędrzec i poeta. Iwan Kryłow*. Przełożył Stanisław Niewiadomski. Ilustrował Janusz Grabiański. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961; str. 430, 2 nlb.

Stobiński Jerzy — *Same kwasy*. Ilustrował Jerzy Flisak. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 32 nlb.

Szuchowa Stefania — *Mateuszek na zaczarowanej wyspie*. Ilustrowała Janina Krzemińska. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie II; str. 30 nlb.

Twarogowski Tadeusz — *Wielki samouk*. O życiu i pracy Michała Faradaya. Warszawa, „Nasza Księgarnia", 1961, wydanie I; str. 118, 2 nlb.

RÓŻNE

Dydaktyka szkoły wyższej. Księga pamiątkowa Sesji Naukowej poświęconej zagadnieniom dydaktyki szkół wyższych. Katowice, 7-9 listopada 1958 r. Roczniki dydaktyczne pod redakcją Józefa Pietera i Mariana Janusza. Politechnika Śląska w Gliwicach. Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Katowicach. Obwolutę projektował Marian Bietkowski. Zakład Produkcji Pomocy Naukowych Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Tom I — str. 187, 3 nlb, tom II (Materiały do bibliografii dydaktyki szkoły wyższej w Polsce za lata 1944—1960, opracował Józef Czerni) — str. 254, 2 nlb.

Kowalski Stanisław — *W poszukiwaniu początków wierzeń religijnych*. Okładkę projektował Jerzy Zbijewski. Biblioteka Uniwersytetów Robotniczych. Warszawa „Iskry", 1961; str. 197, 3 nlb.

W poprzednim numerze:

Anna Kamieńska: Nasze stworzenie świata — *Jan Parandowski:* Idy Marcowe — *Marian Jachimowicz:* Józef Wrona. Wyobraźnia. Dziesięć palców — *Edward Stachura:* Listy do Olgi — *Jerzy S. Sito:* Marginesy Mondriana. Samostanowienie. Strofy do ciszy — *Julian Kawalec:* Odwiedziny w rodzinnym domu — *Barbara Olszewska:* Z cyklu: Album Bruegla — *Felicja Małek:* W 10-lecie śmierci Tadeusza Borowskiego — *Roman Karst:* Sztuka, parodia i diabeł — *Zygmunt Wachowicz:* Muzyka w twórczości Tomasza Manna — *Konrad Górski:* Aluzja literacka.

Książka miesiąca: *Henryk Bereza:* W hołdzie marzeniom.

Wśród książek: *Jacek Trznadel:* Poezja uświęconej sztuczności — *Stanisław Czernik:* Nad wierszami J. A. Frasika — *Bogdan Ostromęcki:* „Materia uczuć" — *Anna Kamieńska:* Safona po polsku — *Tomasz Burek:* Przedrzeźniona rozpacz. Rozrachunek z młodością — *Włodzimierz Maciąg:* Początek epoki — *René Śliwowski:* Opowiadania Katajewa.

Na widnokręgu: *Jarosław Iwaszkiewicz:* O Słowackim — *Andrzej Kijowski:* Przegląd prasy — *Zbigniew Bieńkowski:* Kilka słów o sensie — *Jan Koprowski:* Kongres pisarzy w Berlinie — *Jerzy Parvi:* Teofil Gautier — *Ernest Bryl:* Kochanowski, Norwid i Słowacki w telewizji — Przegląd Zagraniczny.

Noty

Korespondencja

Książki nadesłane

Wydawca: WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE I FILMOWE
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewn. 54.

Adres administracji: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 21/23
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.
Cena numeru zł 10.—

Cena prenumeraty: kwartalnej — zł 30.—, półrocznej — zł 60.—, rocznej — zł 120.—

Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15-go miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty — przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu". Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" — Warszawa, ul. Srebrna 12.

Cena prenumeraty zagranicznej jest o 40% droższa od ceny podanej wyżej. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch" w Warszawie, Wilcza 46, za pośrednictwem PKO Warszawa konto Nr 1-6-100024.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabywać w sklepie przy ul. Wiejskiej 14 w Warszawie. Zamówienia spoza Warszawy należy kierować do Centrali Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Srebrna 12.

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa. Zamówienie 5319/c z dnia 18.7.61 r.
Nakład 5310 egz. Druk ukończono we wrześniu 1961 r. S-66.

0374608

Cena 10 zł

W NASTĘPNYCH NUMERACH UKAŻĄ SIĘ

Jan Błoński — „Prawdziwe życie" Marcela Prousta · Jorge Luis Borges — Trzy opowieści · Michał Głowiński — Maska Dionizosa · Leszek Kołakowski — Wielkie kazanie księdza Bernarda · Andrzej Kijowski — Nowe opowiadanie · Giuseppe Tomasi di Lampedusa — Profesor i Syrena · Malcolm Lowry — Przez Kanał Panamski · Jan Strzelecki — Amerykańskie niepokoje (c.d.)